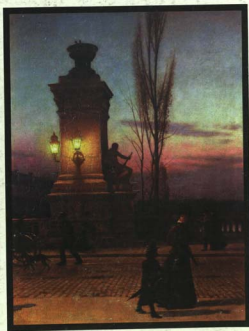


Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadczenia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki — mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena 3 zł 50 gr

a

3-4

(61-62)

1995

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



Polacy – Niemcy

AKCENT nr 3-4 (61-62) 1995

XVI
4(61-62)

akcent

1995

akcent

literatura i sztuka

Wydawca: Wydawnictwo Literackie, Kraków

Redaktor naczelny: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Redaktor: Andrzej Walicki

Copyright 1995 by "Akcent"

www.akcent.pl

Redakcja kolegialna

MONIKA ADAMCZYK-GĄBROWSKA
LECHOSŁAW LAMENSKI
WALDEMAR MICHAŁSKI (sekretarz redakcji)
DOMINIK OPOLSKI
KRZYSZTOF PACZUSKI
TADEUSZ SZKOŁUT
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelný)
BOHDAN ZADURA

Redaktor techniczny
Janusz Szulski

Korekta
Janina Hanel

Składanie
Zuzanna Karczewska

Czasopismo wydawane przy wsparciu ekonomicznym
Wydziału Kultury i Sztuki
Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie
i Ministerstwa Kultury i Sztuki

Numer 3-4/1995 zrealizowano przy pomocy
Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent”

PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 352071

Copyright 1995 by „Akcent”

a

rok XVI
nr 3-4(61-62)
1995

akcent

literatura i sztuka

Henryk Górecki. *Państwa i polityka w latach 1945-1970*. Warszawa: Wydawnictwo „Akcent”, 1995. 320 s., 16 zł.
Czesław Miłosz. *Wyprawa do Włoch*. Warszawa: Wydawnictwo „Akcent”, 1995. 128 s., 12 zł.
Jacek Turowski. *Wspomnienia z Górnego Śląska*. Warszawa: Wydawnictwo „Akcent”, 1995. 128 s., 12 zł.
Zdzisław Najmowski. *Chwała*. Warszawa: Wydawnictwo „Akcent”, 1995. 128 s., 12 zł.
Czesław Miłosz. *Wyprawa do Włoch*. Warszawa: Wydawnictwo „Akcent”, 1995. 128 s., 12 zł.
Jacek Turowski. *Wspomnienia z Górnego Śląska*. Warszawa: Wydawnictwo „Akcent”, 1995. 128 s., 12 zł.
Zdzisław Najmowski. *Chwała*. Warszawa: Wydawnictwo „Akcent”, 1995. 128 s., 12 zł.
Czesław Miłosz. *Wyprawa do Włoch*. Warszawa: Wydawnictwo „Akcent”, 1995. 128 s., 12 zł.
Jacek Turowski. *Wspomnienia z Górnego Śląska*. Warszawa: Wydawnictwo „Akcent”, 1995. 128 s., 12 zł.
Zdzisław Najmowski. *Chwała*. Warszawa: Wydawnictwo „Akcent”, 1995. 128 s., 12 zł.

PREZESION

POLEC POCZ.
Z. Kulturoznawca. *Wyprawa do Włoch*. Wydawnictwo „Akcent” (serwis) /
i dzieł i myśli Czesława Miłosza. *Wyprawa do Włoch* / słowa: Miłosz
Janusz Kwiatkowski / 1995. Wydawnictwo „Akcent” / Warszawa
kwartalnik (30000)

Na pierwszej stronie okładki:
Franz Marc *Schleifende Tiere*, 1913,
tempers 43,8 x 38,7 cm

Na czwartej stronie okładki:
Aleksander Gierzyński, *Aten w Monachium*, ok. 1890
ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie
fot. Stefan Ciechan

Adres redakcji
20-022 Lublin
ul. Okopowa 7
tel. 27-469

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają
urzędy pocztowe i „Ruch”, S.A.

W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik” — Polish American Daily News,
21 West 38th Street; New York, Ny 10018.

Pauline Fathers; National Shrine of Our Lady of Częstochowa; Bookstore,
P.O. Box 2049; Doleystown, RA 18901.

Sewede Slavic Books; 2233 El Camino Way; Palo Alto, CA 94306.

Mira Pnacek, „Polonia” Bookstore, 2886 Milwaukee Ave; Chicago, IL 60618.

Wydawca: EDYTOR PRESS Ltd.
20-401 Lublin, ul. T. Zana 38 c

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne, ul. Unicka 4
Druk ukończono w listopadzie 1995 r.

Cena 3 zł 50 gr
(35.000 zł)

Przez Kępnicki Młyn? Złoty w Koźminie. Józef Pater. Zdobycie
tak w nim — zabawa — w wiersz... / 178

SPIS TREŚCI

- Od redakcji / 7
Erich Loest: *Ten duży płaski kraj* / 9
Olav Münzberg: *Odszuty dom — powrót 1968* / 11
Andreas Reimann: *wiersze* / 16
Werner Heiduczek: *Zabrze* / 21
Norbert Weiss: *wiersze* / 28
Armin Müller: *Selma grabarka* / 31
Dieter Kalka: *wiersze* / 35
Karl Dedećius: *Zrozumienie i ufność* / 39
Günter de Bruyn: *Po tej i tamtej stronie Odry* / 43
Benedikt Dyrlich: *wiersze* / 47
Günter Grass: *Aleksander i Aleksandra* / 51
Halina Ludorowska: *Christy Wolf drogi do tabu* / 57
Christa Wolf: *Lipiec 1971. Obwiedziny w G.* / 62
Róża Domańska: *wiersze* / 70
Erich Loest: *Urodziny na Górnym Śląsku* / 74
Ze Zwartowa, ze Wachowy, między Wschodem a Zachodem. Z Wacławem Oszajcą rozmawia Sergiusz Sterna-Wachowiak / 89
Undine Materni: *wiersze* / 101
Rolf Schneider: *Przypły do pewnego powstania* / 105
Józef Japola: *Badania nad procesem komunikacji* / 108
Lutz Nietzsche-Kornel: *wiersze* / 120
Herald Gerlach: *Tomisław lub gdzie indziej* / 124
Joachim Walther: *Dwie polskie miniatyry* / 127
Thomas Kunst: *wiersze* / 130
Stefan Hermlin: *Czas wspólnoty* / 133
Radjo Monk: *wiersze* / 137
Zygmunt Bauman: *O znaczeniu sztuki i sztuce znaczenia myśli parę* / 144
Liz Wieskerstrau: *Czy wymyślił się takie historie?* / 151
Tom Pohlman: *wiersze* / 157
Martin Zeller: *Czarowniczek* / 161
Ludmila Marjańska: *Polsko-niemieckie spotkania* / 172

PRZEKROJE

POECI, POECL...

Z. Kołbuszewska: *Słowo jako list*; Jacek Bolewski: *Zdania (sprawy) z dnia i nocy*; Jerzy Jarniewicz: *Spotkania światła i słowa*; Marian Janusz Kawalko: *Nagle powroty*; Stanisław Dłuski: *Poeta kurzu, pleci i małych przestępst*; Grażyna Wisniewska: *Gorycz emigracji*;

Piotr Kępiński: *Między Szwabią a Koryntem*; Józef Fert: *Zabawmy się w dom — zabawmy się w wierz...* / 175

Z RÓŻNYCH STRON

Tadeusz Szkohat: *Franciszek Wierzyk — poeta przypomniany*; Janusz Termer: *Literatura polska według Piotra Kuncewicza*; Antoni Bednarek: *Literatura i przepowiadanie*; Krzysztof Guzowski: *Hermeneutyka personalistyczna*; Waldemar Michalski: *Współczesna proza łazycka* / 192

PLASTYKA

Elżbieta Matyaszczyńska: *Mnichów — czyli o artystach polskich w Monachium słów kilka* / 206

TEATR

Marian Lewko: *Nowe studium o Ibsenie* / 215
Malgorzata Olewińska: *Warszawskie Spotkania Teatralne* / 219

NOTY

Maciej Józwicki: *Za literaturą, przeciw historii* / 223
Kamila Dębowska: *O „Scriptores Scholaram” — kilka uwag...* / 227
Waldemar Michalski: *Deutsch-Polnische Woche* / 229

Pogranicze, tożsamość, niemiecko-polskie tematy...

Oto podwójny numer „Akcentu” poświęcony niemal w całości współczesnej literaturze niemieckiej. Ale nie jest naszym zamiarem przedstawienie pełnego obrazu tej literatury, choć czytelnik znajdzie tu wiele głównych nazwisk. Zainteresowanie piśmiennictwem niemieckim wymyka z tych samych przesłanek, które doprowadziły do publikacji w „Akencie” w ciągu minionych piętnastu lat wielu materiałów dotyczących efektu kulturowego, jaki kształtuje się w strefach sąsiedztwa różnych narodowości — na pograniczu kultur, gdzie spotykają się (zderzają się lub przenikają) odmienne tradycje i systemy wartości (przypomnijmy tylko zeszyty „monograficzne”: 3 / 1983, 3 / 1987, 1-2 / 1990, 2-3 / 1992, w których obficie występowały również motywy niemieckie).

Takim sposobowi myślenia, widocznemu przecież nie tylko w „Akencie”, energicznie wyszedł naprzeciw Związek Pisarzy Niemieckich w specjalnej uchwale z ub. roku (pisze o niej na następnym stronie Eryk Loest), co zaowocowało tzw. „planem Loestia”, którego wymierzonym efektem ma być m.in. specjalna, wysoкокakładowa antologia zatytułowana „Nach den Gewittern” opracowana przez Klausua-Dietera Sommera, zawierająca z jednej strony utwory niektórych słabiej znanych w Niemczech pisarzy polskich, z drugiej zaś — wybrane utwory lub fragmenty większych dzieł pisarzy niemieckich traktujących o Polsce, Polakach lub polskich ziemiach zachodnich. Właśnie „niemiecką” część tej antologii (dokładnie: prozę z części niemieckiej) postanowiliśmy zaprezentować. Nowej jej lektura tych kilkunastu tekstów nie daje pełnej odpowiedzi na pytanie o dzisiejszy stosunek Niemców do naszego trudnego sąsiedztwa, to z pewnością do takiej odpowiedzi przybliża. Zarówno niemieckiemu Wydawcy antologii, jak i Redaktorowi serdecznie dziękujemy za bezpłatne udostępnienie tekstów.

Antologia Klausua-Dietera Sommera zawiera również utwory poetyckie (np. znanego tłumacza Henryka Bereski) — tych jednak w „Akencie” nie wykorzystaliśmy. Poetycką część numeru postanowiliśmy bowiem wypełnić wierszami poetów z Saksonii. Zdecydowały o tym dwa względy. Po pierwsze Saksonia polonona na południowym wschodzie Niemiec jest regionem pogranicza — jej wytworzenie jest podobne,

jak szeroko pojętej Lubelszczyzny w Polsce. Owa „pograniczność” jednak także istniejącej tam ciegłe enklawy kulturowej Słowian polubskich — wiersze autorów dwujęzycznych, niemiecko-lubelskich (B. Dyrlich, R. Domaszyna), również znalazły się w tym tomie.

Po drugie — podczas gdy większość niemieckich prozaików prezentowanych w antologii „Nach den Gewittern” ma przedwojenną metrykę urodzenia, to wszyscy autorzy wybranych przez nas wierszy urodzili się po II wojnie światowej (wiersze te trafiła do antologii przygotowywanej w Lipsku przez śpiewającego poetę Dietera Kalke). Jest rzeczą interesującą, na ile do twórczości tego pokolenia przelknęły wielkie problemy historii. Pamiętajmy przy tym, że mamy do czynienia z pisarzami postawionymi wobec faktu zjednoczenia ich ojczyzny skutującego m.in. unifikacją wzorów życia czy standardów cywilizacyjnych. To również kwestia tożsamości, choć nie w naszym znaczeniu. A może czują się oni po prostu Europejczykami? Może są dalecy od romantycznego przewrażliwienia w kwestiach publicznych?

„Dla „Akcentu” powodem do satysfakcji jest fakt, że właśnie w naszej redakcji doszło przed rokiem do pierwszego spotkania pisarzy z Saksonii z Erichem Loestem, dzięki czemu poczynania kolegów z Lipska uzyskały patronat Związku Pisarzy Niemieckich. Po raz kolejny „Akcent” okazał się miejscem spotkań, zarówno w duchowym, jak i w dosłownym znaczeniu. Obecnie Dieter Kalke organizuje w Lipsku i sąsiednich miastach „Niemiecko-polski festiwal poezji” — serie wieczorów autorskich w okresie 23 X - 16 XI finansowanych c.m.n. przez saksoński Związek Pisarzy i Stowarzyszenie Niemiecko-Polskie przy wsparciu lokalnych władz, Fundacji Friedricha Eberta i innych instytucji. Wezmą w nich udział, wraz z poetami niemieckimi, autorzy z Lublina i Krakowa.

O innych przedsięwzięciach służących zbliżeniu pisarzy polskich i niemieckich pisze Ludmila Marjańska w artykule zamykającym blok przekładowy. Warto również przeczytać wypowiedzi Karla Dedeciusa, zaprzyjdanego z „Akcentem” od 1984 roku, dotyczącą działalności Deutsches Polen-Institut w Darmstadt, dialog między Wacławem Oszańcą i Serguszem Sterną-Wachowiakiem na temat pogranicza wschodniego i zachodniego, czy artykuł o roli, jaką odegrało Monachium w dziejach polskiego malarstwa.

Bogusław Wróblewski

ERICH LOEST

TEN DUŻY PŁASKI KRAJ

(słowo wstępne do antologii)

W kulturze polskiej ostatnich dziesięcioleci obce były trzy główne nurty — książki, sztuki i filmy dopuszczone przez państwo, zepchnięte do podziemia i wypchnięte poza kraj. Niemcom wschodnim zabroniono wglądu w niektóre obszary tej kultury, zaś na Zachodzie stawiano sobie inne cele. Do absurdów sterowanej polityki kulturalnej należał fakt, że autorzy żyjący w Polsce i w NRD — także ci lojalni wobec państwa — prawie wzajemnie się nie znali. Urzędnicy decydowali o tym, co ma być tłumaczone i lansowane. Na sporządzonej przez nich liście wymiany autorów i dzieł u samego dołu zamieszczano wytycznych autorów, których nie należało uwzględnić. Polscy pisarze emigracyjni stanowili w NRD temat tabu. Natomiast w RFN Polacy byli źle widziani, bo podjęrowano ich o sympatie prokomunistyczne.

Pod koniec kwietnia 1994 XII Kongres Związku Pisarzy Niemieckich stwierdził w swojej uchwale: „Upadek Związku Pisarzy Niemieckich rozpoznał się klęską o Polak. Jedni widzieli w Solidarności długo wyekwikowane powstanie przeciwko stalinizmowi, inni katolicką kontrowersję. Także historia Związku Pisarzy Niemieckich należy do polsko-niemieckiego tysiąclecia, które często przebiegało krwawo. Należą do niego Zakon Krzyżacki i bitwa pod Grunwaldem, Wit Stwos w Krakowie, trzecia wojna północna i August III Mocny, Poniatowski w Lipsku, polityka wschodnia Bismarcka, Gödra św. Anny, Westerplatte, Oświęcim, wypędzenie Niemców z Polski (w NRD wstępnym przesiedleniem), granica pokójku na Odrze i Nysie, Willy Brandt w Warszawie, *Blastany bebek* i *Poib*.”

Związek Pisarzy podjął zadanie aktywnej popularyzacji literatury polskiej w Niemczech. Początek miał miejsce w Bonn, gdzie federalny dyrektor do spraw administracyjno-gospodarczych SPD p. Verheugen i ambasador polski w RFN J. Keiser przedstawił Hannę Krall. Celem było pięćdziesiąt spotkań autorskich w pierwszym roku akcji — wykonano to z nawiązką. Wkrótce niemieccy pisarze na wschodzie i zachodzie zrozumieli, że wzajemne porozumienie następuje wtedy, gdy podejmują się wspólnego zadania. Dopiero gdy zaczął się uspokajać potężny zamęt spowodowany zjednoczeniem i odzyskaniem suwerenności (dwie rzeczy często mieszczone się ze sobą), w świadomości Niemców zachodnich pojawił się nowy aspekt, dotychczas przesłaniany przez NRD. Ten duży płaski kraj z czterdziestoma milionami mieszkańców. Granica na Odrze przemocą wyrwana między narodami przez Stalina a także Churchill'a (który w 1939 roku dla Polski przystąpił do wojny) musi stać się taką zwręczalną, jak granice między Niemcami i Danią lub Francją. Tak

¹ Powieść G. Grassa, wydana w RFN w 1959, w Polsce w wydawnictwie podziemnym „Nowa” w 1979, w PIW w 1984 (przepr. tłum.).

² Powieść H. Kana, wydana w NRD w 1977, tytułowy *Poib* dotyczy pobytu młodego żołnierza Wehrmachtu w węgierskim polskim po drugiej wojnie (przepr. tłum.).

proces ciągnie się czasami przez całe pokolenia. Może tym razem potwra to króćca.

Niniejsza antologia stara się przedstawić niemieckiemu czytelnikowi polską literaturę współczesną. Nie zastanawiano się przy tym, do jakiego obozu należy lub należał polski autor. Związek Pisarzy Niemieckich nie może się także mieszać w dawne lub aktualne polskie nieporozumienia. Zapraszamy wszystkich, którzy chcą do nas przyjść — decyduje jakość tekstów. Niemcy piszą o Polsce i stouknu Niemców do tego kraju, niektórzy pochodzą z obszarów, które leżą po polskiej stronie Odry i Nysy. Także to chcemy ukazać w antologii.

Oczywiście nie mam złudzeń, że nasz wybór jest reprezentatywny. Bez problemu można by zestawiał tryz antologie tej objętości i takiej samej jakości. Nie ma powodu, aby ktoś, kto nie jest tu przedstawicielem, czuł się osłonięty. Przecież dopiero czasami.

inicjatywa Związku Pisarzy, która od początku była otoczona fachową opieką przez Deutsches Polen-Institut w Darmstadt, spotkała się w Polsce z zainteresowaniem. Pisarze polscy zapraszani na spotkania autorskie do większej teraz Republiki Federalnej rewanżują się zaproszeniami dla autorów niemieckich. Pomagali nam male grupami, na przykład stowarzyszenia niemiecko-polskie. Zdumiewające, jak wiele dotychczasowych starai mogło ulec połączeniu. Widok fal rozchodzących się wokół dwóch kamyków wznoszących do Wisły i Renu daje wiele satysfakcji. Cieszy fakt, że proza z tego zbioru ukaze się króćce w języku polskim, obiecał to lubelski kwaternik „Akcent”.

Niektórzy niemieccy autorzy włączyli do programu swoich spotkań teksty autorów polskich. Niektóre grupy regionalne i okręgi krajowe Związku Pisarzy dopiero teraz zauważają, że pisarze polscy, którzy w Niemczech mieszkali po 1981 roku, żyją wśród nich. „Polaka, nasz najważniejszy, bo najtrudniejszy sąsiad” — to zdanie z XII Kongresu Związku Pisarzy Niemieckich w ubiegłym roku stało się dla nas zobowiązaniem na długi czas.

przełożyła Izabella Golec

ERICH LOEST, ur. w 1926 r. w Mittweida (Saksonia). W latach 1944/45 odbywał służbę wojskową, następnie pracował w rolnictwie i zakładach LHM. W latach 1947-1950 — wolontariusz i redaktor w „Leipziger Volkszeitung”. Od 1950 r. uprawia zawód pisarza. W 1955/56 odbywał studia w Instytucie Literatury w Lipsku. Był przewodniczącym okręgu lipskiego Związku Pisarzy NRD. 1957-1964 wiceprezident zarządu karnego w Bautzen (Budziszyn). 1981 wyjechał z NRD do RFN. Od 1994 jest przewodniczącym Związku Pisarzy Niemieckich w Monachium i Lipsku. Powieściopisarz, nowelista, esejista, prozaik, film, radio, telewizja, publicysta.

Prezentowany tekst jest wstępem do antologii pt. *Nach Dem Gewittern* opracowanej przez Klaus-Dietera Sommera dla Steidl Verlag, o której piszemy w nocie redakcyjnej do tego numeru (red.).

OLAV MÜNZBERG

Odszukany dom — powrót 1968

Ekspres Warszawa—Katowice—Budapeszt—Sofia. Jest godzina siódma rano, świeci słońce. Jadę przez Częstochowę. Dworce ozdobione małymi biało-czerwonymi chorągiewkami. Małe dworce, niewielu ludzi. Pociąg nie zatrzymuje się. Na bocznicach pociąg towarowe, coraz więcej mijanych pociągów towarowych, haldy, okrąg przemyłowy. Niebo jest rozmyte, zaciągnięte bielą, tudy, wiecie, kominy, dym, wszystko czarnozaraz. Jest godzina dziesiąta trzydziestki, a ciagle jeszcze szarówka. Powierzchnia lekko popalowana dymem, paruje, tężeje. Wagony z węgłem, twarze robotników, mury fabryk, małe ogródki między nimi: Katowice. Jest godzina jedenasta dwadzieścia pięć. Mam niecałe pół godziny do następnego pociągu. Wychodzę z dworca, próbuję kupić film do aparatu. Lekkie wozy bojowe toczą się przez miasto, na rogu dwaj żołnierze z pistoletami maszynowymi, chyba manewry. Kupuję film, tracę kilka chwil spoglądając na pozabwione blasku ulice, na idących w pośpiechu ludzi. Z powrotem na dworcem. Pociąg jest przepelniony, typowa kolejka podmiejska. Znowu przelatuje krajobraz przemysłowy, zaciągnięty dymem. Ale między kominami częściej wycychają się teraz łąki, wolno otwiera się znnowu trochę przestrzeni. Godzina czternasta. Jestem na miejscu. Gliwicz, dziesiąt Gliwicz. Niewielki dworzec, wiatr szarpie sukno chorągiewek, ludzie się tłoczą. Przed dworcem przypominam sobie niewyrażnie ten dzwiny, maszynny kształt. Spoglądam dokoła. Na małym placu stoją taksośki. Rozglądam się. Pięćdziesiąt metrów od dworca skrzyżowanie zerojkiej ulicy, po prawej i po lewej stronie. Idę przed siebie, w myślach — wycieczka nie była zaplanowana; wiza dotyczyła tylko Warszawy — zbieram swoje wspomnienia, aby po dwudziestopięcioletniej nieobecności odnaleźć dom przy małej uliczce w mieście zamieszkanym przez sto tysięcy ludzi — czteroletni wówczas chłopiec — skapota... duża, lekko wznosząca się ulica nosząca nazwę Gustav-Freytag-Allee, mała boczna uliczka w górnej części po lewej stronie, w połowie dwudzi, wznoszącej się ulicy sklep warzywny, na początku tak dużej wznoszącej się ulicy zakrętu, po prawej ciągnący się wzdłuż mur... Wspomnienie dentysty, jednego dużego i jednego małego kosciola... że dom stał na skraju miasta, że za ostatnimi domami leżała jeszcze wioska Fisterdorf. W pierwszym kiosku są pocztówki: widok z lotu ptaka, dworzec. Mam pięć godzin czasu. Pociąg odjeżdża o dziesiątymastej. Kupuję widokówki, idę dalej. Ulica skręca

w prawo. Spoglądam daleko przed siebie, około dwustu metrów, na chodnikach duży ruch. Pytam robotnika stojącego obok samochodu, czy za niemiecki. Przed dwudziestoma pięciami laty takie pytanie nie miałooby sensu. Za niemiecki. Pytam o księgarnię, potrzebuję planu miasta. Czy zna dawną ulicę Gustav-Freytag-Allee, polska nazwa? Odsyła mnie do kierowcy, ten lepiej zna niemiecki. Kierowca spogląda na mnie zdziwiony, czy tak mi się tylko zdawało? Dziękuję. Jestem szczęśliwy, że samochód odjeżdża — zdułem na plecach spojrzenia skierowane na mnie, na obcego. Idę do sklepu papierniczego. Kasiarka w głębi sklepu za niemiecki. Nie. planu miasta nie ma. Idę dalej, gdzie leży ta mała boczna uliczka, ta duża kłosa wznosząca się ulica z dawną nazwą Gustav-Freytag-Allee i z dużym kościołem. Odbijam w prawo, wzdłuż strumienia, mały kościółek za drzewami, zaglądam do środka. Wchodząca za mną Polka pytam po angielsku, po francusku, potem dopiero po niemiecku o nazwę, nie rozumię. Wymieniam kilku świętych w języku łacińskim. Nareszcie rozumię: Ach, Barbara, Święta Barbara. Docieram ponownie do głównej ulicy ciągnącej się od dworca. Zatrzymuję się przy kiosku. Kupuję dwie widokówki, następnie pytam sprzedawczynię od razu po niemiecku. Sprzedawczyńi szepcze że starszym mężczyzną, na jego marynarską odznakę, mały kryzik na biało-czerwonej wstążce. „Kogo pan szuka?” pyta lekko szorstkim tonem. Czy kogoś szukam? Siebie samego? „Nie, nie, nikogo, szukam Gustav-Freytag-Allee”. „Chwileczkę”. Mężczyzna wychodzi z kiosku, znika w pobliskim sklepie, wraca: „Na prawo i potem druga bocznicą po lewej!” Gustav-Freytag-Allee? Nie. Dochodzę do rogu ulicy, ukradkiem spoglądam za siebie... Mężczyzna wymachuje rękami, nie do mnie, blisko za kioskami są chyba jacyś ludzie. Idę w odwrotnym kierunku, sprawa wydaje mi się podejrzana. Idę szybko. Ulica wznosi się. Wszystko jest mi obce. Czy to w ogóle jest to miasto? Sens ma tylko zwracanie się do całkiem starych ludzi. Stary ludzie być może wiedzą. Na ławce siedzi dwóch starszków. Gustav-Freytag-Allee? Jeden z nich spogląda ponuro, nie odwraca w ogóle wzroku od swojej ławki, na której opiera się dwoma rękami. Ten drugi reaguje, odpowiada po niemiecku: „Nein!”. On to mieszka dopiero dwadzieścia lat; ten drugi mieszka już czterdzieści lat w tym mieście, ale tego nie wie. Czy on nie słyszy? Może wie, ale nie chce mówić! Tylko raz krótko spogląda na mnie, jego oczy pozostają nieruchome i puste. Ten drugi mówi coś do niego. Nie. Nie. Pytam o Fistersdorf. Muszę w końcu znać przynajmniej kierunek. Jest już trzecia godzina. Starzec pokazuje ręką, podaje numer tramwaju: „Poszedłem, czekałem, pytałem od nowa... nic. Tramwaj nie nadjechał. Nareszcie starszy pan, który wie: do ronda, potem duży kościół, Gustav-Freytag-Allee i gdzieś tam w górnej połowie po lewej stronie mała głęboka boczna uliczka i dom numer dwadzieścia trzy. Zapisał mi dla dalszej orientacji polskie nazwy ulic. Nareszcie mam przynajmniej kierunek. Dochodzę do ronda, po polsku rynek. Przy rynku znajduje się niewielkie targowisko, jestem głodny, kupuję kilka pomidorów. Po jednej stronie kwadratowego placu stoi dom z wystającymi schod-

kami — ratusz? Nie mam czasu, przechodzę podcieńiami w podanym kierunku. Tam ponad dachami duży kościół, przyspieszam kroku, uliczka jest wąska, na ulicy jedynie kilka osób. Plac przed kościołem, duży kościół. Tak, to ten, budynek z palonej cegły, zagubiony wśród domów stojących blisko jeden drugiego. Wchodzę do środka, oglądam wewnątrz: barok, chorągwie procesyjne po lewej i prawej stronie, turkusowa kopuła, wszystko ciemne, ogromne kiedyś kolumny, ogromne, niewidoczne prawie nigdy sklepienie... budzą się we mnie obawy z dzieciństwa, konfesjonal z drewna, światło pada przez okno, zniknięta wielkość, wspomnienie rozdarte jak skórą, wszystko przejrzane na wylot, gra, świece, grzech, ciemność, płyty podłogowe są jasne i widoczne, wszystko wyraźne, określone a bez tła. Utraciłem swoje stare przedmioty, zniszczyłem je sam, użyłem owo całkowicie zniszczenie, gdy tak stoję w przedsklepiu. Otarzuję się wietlinoporty, pokryty błękitno-białym sukmem, na nich widnieje napis *Luizki Felna*. Na suknach figura. Twarze Matki i Dzieciątka są czarne. Jaką kobietą czytał ożtarz w nawie bocznej. Pytam ją po niemiecku o fotografie wnętrza kościoła. Kobieta prosi mnie, abym podążył za nią. Wychodzę za nią na zewnątrz, kobieta boli się ruchu samochodu, strachliwie przechodzi przez ulicę, mimo że ani z jednej ani z drugiej strony nie widzę nadjeżdżających pojazdów. Po przeciwnej stronie stoi probostwo. Dopiero za kwadrans rozpoczyna się sprzedaż. Nie mogę czekać, przechodzę przez trawnik do tramwaju numer cztery. Z tyłu za przystankiem rozciga się inny plac. W pobliżu stoi pomnik, nowy pomnik, polski poeta narodowy Mickiewicz, pieśń rewolucji polskiej w XIX wieku, za pomnikiem gęsta kępa drzew, zasłaniająca widok. Tramwaj skręca za rogiem. Mają być dwa przystanki. Po pierwszym ulica rozwidla się, przez okno widzę mały kościółek, do którego prowadzi kilka schodków. Stoję na zewnątrz na stopniach, jadę dalej na lewo, ulica wznosi się, po prawej z tyłu zostaje kościółek, tramwaj przejeżdża wzdłuż dłuższego muru, oglądam, mam wrażenie, że to musi być ten mur, ten mały kościółek. Przypominam sobie, duży lekko wznosząca się ulica, duży mur. Tramwaj przystaje. Zeskakuję, jestem na miejscu, to na pewno ta, stoję na skrzyżowaniu, w połowie wznoszącej się ulicy, patrzę w tył, poniżej widzę mur, zakręt, spoglądam do góry, po lewej i prawej stronie drzewa, ulica gubi się w zakręcie na prawo. Na skrzyżowaniu jest kiosk. Tłoczę się razem z innymi przechodźniami, którzy również zeskoczyli z tramwaju, przed kioskiem, palcem pokazuję na pocztówki, bez słowa kładę kilka złotych na talerz. Ta mała boczna uliczka, ulica Gorkina, musi być wyżej. Dawniej po prawej stronie znajdował się sklep, gdzie sprzedawano warzywa. Z naprzeciwka idzie kilka osób: para zakochanych, żołnierz, starszuszka — zapytała? Mijam ich, to musi być po lewej stronie, pierwsza boczna uliczka skręca wjąę się, nie, idę dalej... przy trzeciej uliczce przystaje zdumiony, prowadzi ona prostą linię w dół, po jej prawej stronie ogródek łączy się ogródkiem. Uliczka jest mała i wąska, próbuję odszukać jej nazwę, na rogu jest sklep, przed sklepem stoi stary mężczyzna, zapytać go? Wejść do sklepu? Z naprzeciwka wychodzi młoda kobieta, pytam ją po niemiecku, pokazu-

ję na mój notes, na napisane nazwy ulic. Kobieta zna niemiecki, zna, jak się zdaje, ulicę, daje mi znak, abym poszedł za nią. Nie idziemy jednak w dół tej wąskiej małej uliczki, lecz ścieżką przez ogród. Opowiadam. Idziemy około pięciu minut. Zaczynam już wątpić, odwarzam. Moje wspomnienia kłócą się z informacjami starszego pana, jego informacje z nazwami ulic, którymi teraz przechodzimy. Próżną ja, abego kogoś spytała. Na pierwszym skrzyżowaniu spotykamy dwie starsze kobiety, mówią po ślasku, wiedzą dokładnie, ta mała uliczka to ulica Gorkina. Pytam o nie, one o mnie, niedługo, musimy iść dalej. Godzina siedemnasta, jest mi zimno, zwracam, idziemy z powrotem, idziemy tą małą, głęboką bochną uliczką teraz z dołu do góry. Po lewej musi być ten dom. Czy nowe numery pokrywają się ze starymi? 26... 25... 24... 23. To tu! Prawa połowa nieco wykusają się ze starymi? W ogródku stoi drzewo, zakrywa część fasady. Dom jest mały, mniejszy niż w moich wspomnieniach. Ulica wąska, węższa niż w moich wspomnieniach. Gustav-Freytag-Allee krótka, krótsza niż w moich wspomnieniach, w ogóle miasto jest małe, mniejsze niż moje wspomnienia, wszystko pomniejszone, wszystko zaciągnięte szarością, od grozy przeszłości i początku nowych lat. Upiory przeszłości, upiory faszyzmu pozostawily jedynie głód i krew, rozdarła dusze i żyły. Stoję przed domem, spoglądam w okna, na wysokim parterze, potem na pierwszym piętrze, na którym mieszkałbym. Na parterze jest otwarte okno, wygląda przez nie mały chłopiec. Podchodzę do drzwi wejściowych, tam te trzy czy cztery stopnie, tam stał wujek Artur, przypominam sobie zdjęcie w domu i porównuję. Jeszcze inne zdjęcie: ja sam stoję na ulicy na swoich małych stopach, małe oczy skierowane w dół ulicy, z tyłu za mną ogromni krowy, wszyscy chcieli być na zdjęciu, przewyższają mnie... Ale ulica jest teraz pusta. Czy mogę wejść do środka, pytam towarzyszącą mi kobietę. Na parterze ukazuje się blondynka w wieku około trzydziestu pięciu lat. Moja towarzysząca tłumaczy moje życzenie zobaczenia domu rodzinnego. Po twarzy Polki przebiega uśmiech. Pytam o Kisielewskiego. Mieszkała tu jeszcze Kisielewscy? Kręci przecząco głową, na samej górze mieszka jeszcze starszuszka. Czy mogę zobaczyć ogródek? Polka przywała skinięciem głowy, znikła za oknem, drzwi otwierają się, otwieram drzwi wejściowe, idę zaraz na prawo... sękatka jablonka postarała o dwadzieścia lat, po prawej z przodu grusza. Wiśnia zniknęła. Opowiadam urywki wspomnień. Pytanie, czy mogę zobaczyć dom, mieszkając na pierwszym piętrze. Polka kiwa głową. Wchodzimy po schodach na górę. Mieszkańcy są w domu, starsze małżeństwo, sześćdziesiąt pięć do siedemdziesięciu lat, on z białoswymi włosami, sami są przedsiębicielami z byłej Polki wschodniej należącej teraz do Rosji. Mężczyzna zna niemiecki, zaprasza moją towarzyszkę i mnie do środka. Poznaję przedpokój, po prawej przy wejściu stała wczyniejsza zada z domowymi przetworami, po lewej drzwi do dużego pokoju. Wchodzimy do środka, na prawo stary, ciagle jeszcze przekształcone drzwi. Siadamy. Są stare, obite fioletowym płaszczem fotele. Brak mi dwóch fortepianów. Na ścianie, zaraz obok wejścia po lewej stronie, ciemnobrązowy regał z książkami. Czy są na nim książki?

„Czego pan chce?” spytał mnie mężczyzna trochę zmieszany, trochę zaskoczony i niepewny. Spytał „Czego pan chce?” a nie „Czego pan sobie życzy?” Brzmiało to jak: Co pan sobie rości? Czego pan żąda? Widocznie miał mnie za byłego właściciela. Odpowiadałam zmieszany: „Nic... przyszedłem tutaj, żeby zobaczyć... jestem... chciałem tylko... ja tu się urodziłem... „Mój nie mam”, powiedział, chociaż ja niczego nie chciałem, „byłi Rosjanie, mieszkanie było puste”. Amozem zmienić się jego ton. „Niech pan wejdzie”, powiedział, „może pan wszystko zobaczyć”. Weśliliśmy do pokoju dęciennego. Stało tam jeszcze małe wyblakłe, polakierowane na jasnoniebieski kolor krzeselko. Czy należało do mnie? Usiadłem na nim, poszedłem do kuchni, do lazienki. Chciałem wszystkiego dotknąć, odwrócić, odłożyć na miejsce, chciałem popatrzeć i odejść. Spytałem o stare fotografie. Nie, nie wiedzieli na ten temat. Po jakimś czasie przyszyła młoda kobieta z dołu, widocznie synowa. Opowiadziała o dwóch fortepianach, które stały w pokoju. Mieszkanie nie było więc całkiem puste, gdy starzy się w prowadzili, nie jednak nie mówilem, nie o to chodziło, nie to było celem mojej wizyty. Pytałem jeszcze raz, naciskałem, opowiadałem wspomnienia z dzieciństwa, żeby rozweselić, rozluźnić, rozmyć niepewność i uprzedzenia. „Byłoby to przecież... nie do zastąpienia... wartość wspomnień... nie!” Obie kobiety zniknęły, wróciły po krótkim czasie. Młodsza poboyła na stole kilka zapianych ręcznie kartek z nutami i dużą książkę. Ręcznie zapiane nuty, zabrudzone, ale wszystkie czytelne, kompozycje mego ojca: „Jazda na sankach”, „Odejście”, „Wolanie”, „Nieśmiertelnie pachną lipy”... Ta książka była stara legenda, szeroka, duża, ciężka jak kodeks. Spytałem o więcej, poszedłem z młodą kobietą na strych, przrzucałem, przekładałem, co dało się odwrócić, znalazłem jeszcze kilka dalszych nut i stare płyty negatywowe ze szkła z 1929 roku, wzięłam to, co mogłem i co wolno mi było zabrać. Umylem sobie zabrudzone ręce, zamieniłem ostatnie słowo, podziękowałem, zrobiłem jeszcze przy świetle zachodzącego dnia zdjęcie domu, ogrodu... ale już naprawdę musiałem iść, zatrzymałem takśdawkę... jeszcze zdążyłem na podciąg.

Przełożył Marek Dziuba

OLAV MÜNZZBERG, ur. w 1938 r. w Gliwicach, po wojnie wychowywał się w Dolnej Frankonii, studiował prawo, historię sztuki i literatury w Monachium, Würzburgu i w Berlinie, w 1972 r. uzyskał doktorat w zakresie filologii, od 1991 r. profesor w Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Berlinie. Mieszka w Berlinie. Eaeista, autor utworów lirycznych i prozatorskich, wydawca: *Die Geschichte des Odeon* (Pamiętniki domu Opowiadanie Das gewesene Haus — eine Rückkehr 1988, *Die Geschichte des Tier und Sprache zu leben an. Acht Reisen in verschiedene Länder. (Zamyślenia drzewi i zaczynam żyć. Osiem podróży do różnych krajów)*, *Ästhetik und Kommunikation Verlag* — GmbH 1993.

Opisano w: *Przebieg życia artysty*

ANDREAS REIMANN

Przepis ze starożytności

Zebrać winniczki, gdy zbliża się zima,
gdy w swych skorupach chcą się już zaklepiać,
potem je w macie trzy tygodnie trzymać,
żeby zbielały — rozkosz podniebienia

z myślą, że cierpią, rodzici się zaczyna.
I kiedy sami też wrzecz zaczynamy,
wtedy wrzucamy je na wrzące wino:
umrą natychmiast.

Spokój im pisany.

Widzieć trupy z muszli wyjmujemy.
Teraz koronę wzroku trzeba odciąć,
solim mięso i starym zwyczajem
cosnkowym kremem jeszcze smarujemy...

To władza: smak ma nijaki. Lecz z ostrą
przyprawą chyba niezwykły się staje.

Pożegnanie

Odeszli w kraj przepastny swój
Damoj żołnierzy wzięli.
I radość była niby ból:
Miękkie jak kamień lósko (tu
Żadnego wszak nie mieli).

Nas z cierpiędy wybawili,
Z powrotem w ból wpełnili nas,
Raz jeszcze wyzwoliłi,
Wojskowy teraz ucił marsz.

Wojskowych marszów ucił rytm,
Kalinki też nie słysząc
Imperium swój spowolniał tik,
W słowach faszysty jednak w mig
on wraca jak złe ticho.

Bez domu żołnierz, znikł jak sen
kraj, co mu był ramieniem,
Drzwi zatrzasknięte, czuła się
przez już niczyją ziemię.

Tam nie wybiega nikt przed próg,
tu ich żegnali skromnie,
Ach, armia, która przeklął Bóg:
Jak smola przywali mundur, z nóg
kamasze kto im ściągnie?
Gdy dowiadania mówię im,
to ich w Rosję wołę,
Nie zginie Wojsła przecież, gdy
nie zechce z Rosji odejść.

Powitanie

Nie chcę ci, moja droga, chorowagi wywieszać:
same te maszy, bezlitośnie proste
to byłoby powrót do nie zamieszkanego
miejsce w twym umyśle. Choćby jakiś głupiec
miłość owinał w źle barwione chusty,
Białe byłoby nazywał dla nas gorzkie
po całej tej goryczy zapisaną.

Niejednej jeszcze nocy bezdiesz płakać.
Lecz radość będzie bezmierna jak nigdy,
kiedy jej przedsmak odrzuty zbyt łatwo,
bo twoja strata zyskiem cię wypełni:

i w pokonanych narasta zwycięstwo.

Byliśmy sztucznym tworem. Ten twór nas uznaje
przy pomocy kolorów i zapachów,
które normalnie odrzuca, za ludzkosc.

I to, co bierzemy, ma droga, za piękno,
to jest coś więcej niż kobiecy orgazm
mierzony męskim onanizmem.
To jest gwałt: toczące się dalej życie...
Tylko taka bezsilność zaciska się w pięść
i blaga o pocieszenie, gdy nazwać ją po imieniu.
Jest tylko strachem.

I ty jesteś strachem
i ty.

Blizszy świat

Gdzie absolutne widziałem gołębie,
czerwonogone, co jak słodki dym

osiadły, ach, na jakim mięjskim bruku?
Gdzie rozkwitały lipy wonnym miodem
zycząc me nozdrza? W jakiej łaźni ta
stygniała para pachnąca dębina?
Kraju od kraju oddzielić nie mogę.

Może w warszawie góra gellerta
wyrosła z wisły lub może jest chluba
pragi, przez którą przebiega się szprena...
Mogę powiedzieć tylko: to jest tu.

To jest mój kraj, gdzie z wszystkich możliwości
ta lepsza mnie spotyka i pociesza,
przez rzeczywistość brnie niepokieszona.

Domu nie zazna, kto w terażniejszości
żyje tylko umie: do wygrania nic,
nie do stracania nie ma: cóż więc ma?

Już następnego dnia obraży gubi
jak martwe włosy... A co z mną jest?
Tysiące ludzi widzę w lustrze, widząc
jedyne siebie. I krążą obrazy,
idą przede mną, i przez złęczone kraje:
tak przemieszani, jesteśmy bez granic.

Wiersz wiersza

Bezradne, próżno każdy z nas się rodzi:
skapy deszcz, który nie napoi traw...
Biedny poeta, obdarty, bez barw,
który z krainy przesądni pochodzi:

odchodzą w nicość wiersze, zanim w postać
słów spłyną, w mokry na papierze ślad.
Najlepsze wersy to ikający wiatr,
jeśli jej mierzyć bólem, co ma zostać

niemy. Wspomniana i miłość, i śmierć,
lecz ich wyrazić nie umie litera:
bezradne, próżno każdy z nas się rodzi...

Po dźwięk przekłętą i blask wiersz się godzi
być niemal ciszą, gdy nagroda cień.
I tylko na pozornie nie umiera.

Saló

Przechadzać się ponad burzą, trzesczy lodowa kra,
gwaltowny deszcz bije w górę, skacze do domu na chmurach,
w jezioro lód przepływa przez góry. Brzegi,
nim znikną w dali, paruja o poranku i tustozg...
Gasparo cicho obiera skrzypce z cedrów. W Saló
nie się nie dzieje, to szklanka bez grappy. Dokąd,
dokąd, Garibaldi? Jezioro się wznosi i ciężko
spada na śpiące miasteczko. Dojrzały granat
toczy się po zboczu góry w kotłynie. Jego czerwień
rozpryskuje się w głębi jak roztrzaskana loda.
Trzepocze niecierpliwości, mewa, przy mięjsku na gniazdo.

Kto czeka na coś wielkiego, tego czeka wielkie rozczarowanie.

Jeszcze po dziesięciu latach powiem do:

Nocą, gdy podchodzi losó, język
nie łapie za słowa, lósko
żebże o sen, wpadamy w śnieję
jak trafione losy. —

Radośnie zmęczeni
zapadamy w głębokie wody,
szum, jakby jechaly pociągi
po bezdźwięcznym morzu.

Rano powieki jak skorupki ostrej.
„Przepraszam, gdzie jesteście?” „Na plaży św. dzislandu”, mówisz.
„Co tam skacze po piasku?” „Króliczek, króliczek,
żadni kanibale!” Wstrząsa mną dreszcz:
jestem ostatnim z siedmiu szwabów,
tchórzliwy jak niewinność, co nigdy
źródła wszystkich swych obaw
odkryć nie potrafi.

Ach, moja przekłeta uparta miłości:
śnieg pada mówię, gdy świta, pociągi
toną w oleistych falach, myślę
o tobie gdzieś w św. dzislandzie, w półpocięchu
cznych działań, które żywią nas i niszczą.

Cry nie mógłbym wieczorem zrzucić po prostu
autotelicznych osłon, i wejść nago
w to, co zostało, być przy tobie zmysłem bez podejrzeń?

czarna masa perłowa nad płazami. Nie chcę
niczego od świata, lecz ją wziętym chętnie
w darze. Kto nazywa to skąpstwem, ten nie wie
nie o wypędzeniu. Ci z skąpytymi kijami
nie wiedzą, że nocą wypędzają mnie
do raju, gdy losi podchodzi, a my
poracamy w nasze ciała...

przełożył Bohdan Zadara

ANDREAS REIMANN ur. 1946, mieszka w Lipsku. Pisze wiersze, piosenki dla
dzieci, libretta operowe, prozę.
Opublikował m.in.: *Między nami*, wiersze, Mitteldeutscher Verlag, 1975; *Całe
połowiec* życie, wiersze, Mitteldeutscher Verlag, 1979; *Soneterium*, sonety, Con-
newitzer Verlagbuchhandlung 1995.

KONKURS LITERACKI FUNDACJI KULTURA

Fundacja Kultury zakończyła realizację czwartej edycji Programu — Konkursu
„Promocja najnowszej literatury polskiej”. Program umożliwił wydawcom uzyskanie
pomocy w wydaniu oraz promocji oryginalnych, odznaczających się wysokim
poziomem artystycznym dzieł poetyckich, prozatorskich oraz esejistycznych współ-
czesnych autorów polskich. Oceny zgłoszonych tekstów dokonała Komisja Literacka.
Program ma charakter konkursu, przyznawane są autorom piśmienne nagrody
i wyróżnienia — a wydawcom dotacje.

W czwartej edycji programu Komisja Literacka po lekturze 38 zgłoszonych do
konkursu książek postanowiła przyznać dwie nagrody główne: Andrzejowi Fak-
iewiczowi na książkę „Coś z maprości i leniwca, susz prawie” (Towarzystwo Przyjaciół
Polsotki Wrocławskiej) — jest to rzecz o piarstwie Maczysława Piotrowickiego
— pełen pasji esej o prozie twórczania i jego ukrytych implikacjach oraz *Zgłębieni*
Kruszyckiemu za książkę „Schwadenskrantz” (Oficyna Literacka) — interesująca
pisarstwo, wyraża emigracyjnych rezydentów powieść o Seweji.

Książki nagrodzone otrzymały specjalny znak PROMOCJA FUNDACJI KUL-
TURY, ich autorzy — nagrody pieniężne, a wydawcy subwencję na ich wydanie.

Ponadto Komisja postanowiła przyznać 8 wyróżnień, co w tej edycji programu
wiąże się również z nagrodą finansową dla autorów i subwencją dla wydawców. Są to:
opowiadania Dietmar Bittner „Belgiala” (Wydawnictwo Isis), powieść Ewy
Kurylik „Wiek 21” (Wydawnictwo Marabut), „Donosy cypli i tekturki o narodzinach”
Anny Nasławskiej (Wydawnictwo Open), zbiór wierszy Krystyna Rowiejskiej „Na dale-
konośny, na górze płonący” (Wydawnictwo Anta), wybór esejów Iwony Smolki „Muszę
sobie śpiewać” (Wydawnictwo Trio), Marty Tomaszewskiej „Miraż słońca, miraż
śmierci” (Wydawnictwo Książkowe Isis) — powieść o artystach i miejscu sztuki
w całoci świata, Stanisława Ciekotkiwa „Bywające, śniący” (Skłowo/Obraz)
— przyracające esejowi miejsce wśród gatunków wypowiedzi filozoficznej i wreszcie
„Ja tu tylko sprzątam” — niezależy myślowo i wartościowo piśmiennictwo
zbiór felietonów Jana Walca (Wydawnictwo Szpuk).

Uroczyste wręczenie nagród i wyróżnień odbędzie się pod koniec listopada br.
w Domu Literatry przy Krakowskim Przedmieściu.

Fundacja Kultury przyjmie już zgłoszenia do kolejnej edycji programu. Wydawcy
składają maszynopisy uweru i kointorys w Fundacji Kultury, w Warszawie, ul.
Ordynka 13 m.6. Każdy wydawca ma prawo w ramach jednej edycji zgłosić tylko
jedną najbardziej zaskakującą w udział w tym programie — konkursie uwre.

WERNER HEIDUCZEK

ZABRZE

Nie szukam wzorców dzierżawstwa ani ziem Karalautsch. W końcu
nikt nie odnajduje siebie, lecz tylko swoje cząstki, z całoci wyrasta
legenda, która żyje.

Zabrze mnie prześlada. Gdyby przyszło mi powiedzieć, czy
z upływem lat to miasto staje mi się bliższe, czy też oddala się ode
mnie, musiałbym przyznać, że nie wiem. Starość nie umie tęsknić za
przyszłością, w najlepszym razie tęskni za śmiercią, która dopiero
przynosi prawdziwy pokój, dlatego podobno ludzkość prowadzi
wyniszczające wojny — choć rzeczywistość przyrzeka jest żądza władzy
i brak rozsądku. A skoro tak jest, to starzejący się człowiek wraca
myślimi do dzierżawstwa. Gorzka rzeczywistość zamienia się często
moe niekoniecznie w wiek złoty, ale na pewno weszły już ten,
w którym przyszło żyć. Spoikałem ludzi, którzy ze smutnym
blaskiem w oczach tęsknią za obzorem koncentracyjnym. Brzmi to
strasznie lub eufemizm. Prawda ma jednak zawsze w sobie coś
przerazającego. Nikomu nie zostało oszczędzone powolne osamot-
nienie. Istnieje tylko ta różnica, że jedni są na to przygotowani, a inni
nie.

Zabrze — pomiędzy tym miastem i mną czasem wyrastają góry,
a czasem rozciąga się step. Odległość nie ulega zmianie. Tylko
wyobrażenie miasta zmienia się w zależności od mojego nastroju.
Obecność i bliskość, zamek śpiący królowi i stracone złudzenia,
zapomnienie i wspomnienie, nostalgia i ironiczny autodystans.
Dlatego z Zabrzem miałyby być inaczej niż z miłością, wielkimi
planami i wszystkim, co w wierzymy, że będzie trwało wiecznie.
Miasto powstało z połączenia wielu wiosek i otrzymało swoją
pierwszą nazwę: Hindenburg, na cztery lata przed moim urodzeniem,
to znaczy w 1922. Chociaż Zabrze-Poremia i Zaborze B, Biskupitz
i Dorotheendorf, Mikultschütz i Zabrze, które dziś daje temu
wskazyemu nazwę, mają setki lat, to miasto i ja leżaliśmy niemalże
w tej samej kołysce. Stąd się bierze nasze wzajemne podobieństwo: po
pierwsze nieumiejętność podporządkowania się aparatu, po drugie
odrobina barbarzyństwa. Czyżby nasi pracownicy byli Silingami
i/luko takie należeli do Wandalów, którzy napędzili stracha cywilizo-
wanych Rzymianom?

Miasta także mogą być bezdome dla ludzi. I żadne wielkie hasła
nie dadzą im tego, co zabrała historia albo los, o którym nikt nie wie,
czym naprawdę jest. W maju 1968 wielki de Gaulle odwiedził

Warszawę. Stamtąd, fetowany niczym rzymski triumfator, pojechał na Górny Śląsk, na pierwotny teren działania wielkiego Edwarda Gierka, który później — podobnie jak wielu innych przed jakimiś czasami — został przepędzony w niewłasne. De Gaulle przybył także do Zabrzea i nazwał je „najbardziej polskim wśród polskich miast”. Potem pospieszył do Paryża, ponieważ tam studenci próbowali go obalić i zapoczątkowali to, co do zachodnioeuropejskiej historii przeszło jako ruch 68 roku i w końcu nie pozostało bez wpływu na Europę Wschodnią, z tym, że jedni nazywali to „Praską Wiosną”, inni zaś „kontrewolucją”.

Zdanie de Gaulle'a wzbudziło wtedy pewne zainteresowanie wśród dziennikarzy i polityków. Zupełnie niespodziewanie mnie również z nim skonfrontowano. Byłem wtedy także w Warszawie, a po powrocie pojechałem do Monachium. Podczas kontroli mojego paszportu crefenowski żołnierz strazy granicznej odkrywszy, że urodziłem się w Hindenburgu, popatrzył na mnie z uśmiechem i powiedział: „Co pan powie o de Gaulle'u?”. Odważajmy się uśmiech, ponieważ nie przyszło mi do głowy nic sensownego, co dałoby się ująć jednym zdaniem, a na więcej nie było czasu.

Francuzi jak to Francuzi. Mieli swojego Ludwika XIV i swojego Robespierre'a. Voltaire'a i gilotyny. Wtedy nigdzie na znanym nam świecie nie realizowane hasło: „Wolność, równość, braterstwo” i swoją wyprawę przeciw Rosji. Swoji Maquis i swojego Petaina. Gdy Cezar pisał: Gallia est omnis devisa in partes tres, pewien francuski pisarz i polityk powiedział: Tak bardzo Kocham Niemcy, że chciałbym mieć dwa niemieckie państwa. Krótko mówiąc, mają uraz do Niemców. I nikt im tego nie może mieć za złe. Francuzi szczytą się swym wykształceniem. Jednak Górny Śląsk jest dla nich górą Sezam. Gdy po pierwszej wojnie światowej Niemcy i Polacy wzajemnie się zabijali z powodu tego terenu, wzywano sprzymierzonych. Francja była głównym mandatariumem. Kierując się tylko nazwą G ó r n y Ś l ą s k, nie znając zupełnie geograficznej położenia, francuskie dowództwo wojskowe wystawo strzelców alpejskich do Hindenburga, Gleiwitz i Beuthen. No dobrze, historia świata zna większe absurdy, a de Gaulle był przebiegłym politykiem, żadnym tam strzelcem alpejskim, jak choćby prezydent Wilson, który mylił Galię ze Śląskiem i Irak z Iranem — to przynajmniej zarzucił mu jego republikański przeciwnik White. Sformułowanie de Gaulle'a — chciałbym w to wierzyć — było demokratycznym uznanem nowych granic po drugiej wojnie światowej. Gdyby wygłosił swoją mowę w Bytomiu, Bytom stałby się najbardziej polskim wśród wszystkich polskich miast.

Jeszcze raz. Zabrze/Hindenburg przyciąga i odpycha mnie, zgodnie z powiedzeniem: droga pod górę i w dół jest taka sama. Uciekając z amerykańskiej niewoli dostaliśmy się do rosyjskiej. Po zwolnieniu chciałem wrócić do domu. Moi rodzice mieszkali jeszcze w jednym z dwóch przyfabrycznych domów na terenie Huty Donnersmarck, która dziś nazywa się Huta Zabrze. Była tam też moja babka, na jednym ze śmietających kocimi odchodami i zepsutą rybą podwórek przy Stallmachstrasse, naprzeciw palacu admirałskiego. I był tam proboszcz Thomeczek i martwił się, że zniszczono kościółek HI.

Geistes, swego rodzaju nawiązanie do baroku, a więc „perł” w pozabawionej ozdób piaszczystej kolonii. Rosyjski oficer kazał go spalić, ponieważ strzelano stamtąd. „Nasi wyzwoliciele”, mówi obecny proboszcz, gdy mnie oprowadza po odbudowanym kościele Ducha Świętego. Kościółek oczywiście nie jest już „perłą”, lecz tylko oszklifowanym kamieniem, gdyż raz zniszczonego piękna nie przywróci żadna dobra wola. Martwe pozostanie martwe, a nowe nie jest lepsze, co najwyżej inne.

Gdy w sierpniu 45 stałem na brzegu Odry, nie wiedziałem, że moja podróż do Zabrzea potrwa czterdzieści cztery lata i że groby są tak rozproszone na końcu przemijającego czasu. Grobu mojej babki w ogóle nie odnalazłem. A dobra staruszka była mi tak bardzo bliska. Ulice Haldestrasse und Stallstrasse leżały od siebie, jak to się mówi, o krok. Biegło się wzdłuż małych, drewnianych stajni, w których leżał węgiel, gnieździły się gołębie, gdakały kury, karmiono króliki, a przed Bożym Narodzeniem tuczono gęsi, co wprawdzie było zabronione, ale nikt się tym nie przejmowało. Socjologia, etnologia, psychologia i politologia nie rozstrzygnęły jeszcze, czy na Górnym Śląsku spożycie alkoholu jest dlatego dużo większe od przeciętnego, ponieważ że się tam tak dużo tłustego mięsa, czy też hoduje się świnię i tuczy gęsi z powodu nadmiernego spożycia alkoholu. W izbie krawieckiej mojej babki, którą wszyscy nazywaliśmy bama, nauczyłem się łapać ręką muchy. Ode mnie nauczyła się tego moja córka, od niej mój wnuk. Coś takiego nazywam tradycją, a w języku wyższych sfer politycznych naszego kraju byłoby to „przekazanie pałeczki”. Pola stają się grobami, groby polami. To także ciągłość.

II

Przejechał Korfanty

na chudym baranie, widać ob matłobno simojki i zwoje K Polacy wołali: — witać z niebios Panie.

Ten obraźliwy wierszyk przychodzi mi na myśl, gdy pociąg jadący z Lipska do Krakowa zbliża się do Zabrzea. Ani Eichendorff, ani śląscy poeci, tylko właśnie te cztery wersy. Można by się dopatrzeć ukrytego we mnie nacjonalizmu. Nie czuję się jednak ani Niemcem, ani Polakiem. Ludzi przywiązanych do miejsca urodzenia i żyjących z dala od niego nawiązano kiedyś „wędrowcami bez ojczyzny”. Zjednoczenia Europy, po którym wielu obiecuje sobie more nie wieczny, ale przynajmniej długotrwały pokój, dokonają pewnie ci, którzy włączą się po świecie nie znajdując miejsca wychlenienia albo tego, co nazywamy „ojczyzną”, lub „domem”. Nie tylko Żydzi mają swego Ahaswera.

Opuszcłem przedział, żeby nie musieć z nikim rozmawiać. Gdy z okna pociągu zobaczyłem dworzec — poczta stała na starym miejscu, schody ku Dorotheenstrasse wyglądały tak samo, Bahnhofstrasse wciąż prowadziła do Peter-Paul-Platz (w moim mózgu zakodo-

wane są jeszcze stare nazwy) — palce zaczęły wystukiwać niesłychane jamby o brudną zrybę. Nie wiem, co je do tego skłoniło. Może budzący się we mnie sentymentalizm. Jako sześćdziesięciolatek razem z innymi dziećmi skandowałem na ulicy ten wierszyk z taką samą niewiadomością i zadowoleniem, z jakim w prowadzonym przez zakonnicę przedszkolu z całego serca wykrzykiwałem piosenkę:

Kiedy żołnierze przez miasto maszerują,
Ładne dziewczęta ich w oknach wypatrują,
a dłaatego, a dłaatego,
bum tarara, bum tara
bum tara tara bum,
gdą parami szliśmy na spacer w dół Gartenstrasse, w górę Bismarckstrasse.

Korfanty i krowa, którą obiecywał każdemu, kto odda swój głos na macierz Polskę, powstańcy i bitwa o Górę Świętej Anny, wszystko to było dla mnie jak piękne i straszne bajki o wodniku Utopcu i hercebie zbójców Pistulce. Pistulka, było to dla mnie wtedy równie niepodważalne jak towarzyszący mi aniołowie stróże — dwa z mojej prawej strony, dwa z lewej — pokiolał na górę Świętej Anny Djokoba w postaci Korfantego, i ja też jako dorosły miałem być nie jakimś Duppaleją ani Ciulikiem, ani Sknryą, lecz hercem zbójców Pistulka w Guidowald. Ten zagajnik na południowo-zachodnim krańcu miasta wydawał mi się nieskończenie wielki. Jest tam cmentarz, pochowano na nim mojego brata, a jego śmiertel jest dla mnie równie straszną bajką jak ta o Korfantym i hercebie zbójców Pistulce.

Nostalgia powrotu. Także bezradność. Może i lepiej, że pociąg ruszył po dwóch minutach postoju, w ten sposób uzyskałem jeszcze pięć dni, zanim wynajalem w Krakowie samochód i od strony Katowic i Bytomia dotarłem do Zabrze...

III

... Z objawienia na górze Horeb: „Tyko się strzeż bardzo i pilnuj siebie, byś nie zapomniał o tych rzeczach, które widziały twe oczy; by z twego serca nie uszły po wszystkie dni twojego życia, ale ucz ich swych synów i wnuków...” [Biblia Tysiąclecia, Pwt 4,9 — przyp. tłum.]

Jeden dzień Kraków—Zabrze—Kraków razem z ładą i kierowką kupilem za 50 DM, do tego nieco elegii, lecz z tego źródła pijemy wodę, która nie pozwala zapomnieć.

Bogda jest podczas jazdy roztrągniona, bardzo nerwowa. Przed naszym spotkaniem w hotelu musiała jeszcze odprowadzić męża do pociągu, potem zająć się siedmiolietnim synem, który poprzedniego wieczora wypił atrament, ciekawe co jeszcze nabroi. Jakby tego było mało, przyjechał przyjaciel z Jugosławii. Musiał się znaleźć czas na filiżankę kawy. Teraz ten Niemiec. Emancypacja kwitnie.

„Za nami jednokierunkowe ulice Krakowa, wtedy Bogda mówi: „Piędziesiąt marek zachodnich to za dużo”. Czuję się do tego zobowiązana. „O Zabrze nie będę się targował jak o sari czy kawalek starego sera”, odpowiedziałam. „Za Zabrze nie będę się targował z nią”. Przekonało ją to.

Chce jechać do Zabrze przez Biskupitz, dokładniej tą drogą, którą często jeździłem rowerem. Ale Bogdy nie można skłonić, żeby spojrziała na mapę, uważa, że zna drogę. I oczywiście przepagililiśmy Biskupitz, zjeżdżamy nagle drogą z Mikultschütz, która prowadzi prosto do Huty Zabrze. Jestem bardzo zdenerwowany.

Czasem zdarza się w nocy, że wiatr budzi się jak dziecko, idzie samotnie aleją, cicho, cicho do wsi.

Po omacku dochodzi aż do stawu, a potem nasłuchuje: Wszystkie domy są blade, wszystkie dęby milczą.

Rilke: *Tęsknota do ojczyzny (Heimatsehnsucht)*

„Uczucie to luksus”, powiedział mój brat. Siedzieliśmy w jego domu w Hiszpanii, po zachodzie słońca, słyszeliśmy szum morza w zatoce. Powiedział to w takim zdenerwowaniu, że sprawił mi tym przykrość. Gdy teraz piszę, że „ojczyzna to luksus”, sam sobie sprawiam przykrość, ponieważ wiem, że siebie oszukuję. Druga wojna światowa pozbawiła życia pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt milionów ludzi. Wielu z nich umarło, nie wiedząc dlaczego i po co. Wielu jednak uważało, że umierają za ojczyznę. Co za marnotrawstwo uczuć. Co za luksus. Lustereczko, powiedz przecież, która ojczyzna najpiękniejsza w świecie.

Przy Donnersmark-Hütte nigdy nie było stawu jak u Rilkego, lecz tylko Beuthener Wasser, w której zakład się oczyszczał wylęgające ścieki. Tak jest i dzisiaj. Zmieniły się tylko nazwy. Huta Zabrze i Bytomka. Wspominając moją drogę przez czas i miejsca, stwierdzam, że całe swe życie spędziłem nad brudnymi rzekami; nie odbiera mi to bynajmniej tęsknoty za jeziorami i łąkami Rilkego. Nawet gdyby wojna nie wybuchła, uciekibyśmy z Hindenburga. Nawet gdyby nie przesuńnięto granicy, szukałbym czegoś innego. Co w takim razie każe mi wracać? Niektórzy wracają na starość do miejsca swojego dzieciństwa, a biek tam umrzeć. Nie, cmentarze są. Anny i ws. Andrzejka nie są ostatecznym celem mojej tęsknoty. Zatem ciekawość? Ciekawość zagnalaby mnie w inne strony. Chyba jednak „wzorce dzieciństwa”, „kraj Karalauschitz”, którym szukam, nawet jeśli znajdują się tylko skrzętki lub piękne klamstwo.

Oczywiście przjrzałem w Deutsche Bühnerei roczniki regionalnego pisma „Oberschlesischer Kurier” oraz pięć tomoów „Oberschlesien im Bild” — przeszło się ukazywać w 1936. Nie mogłem naturalnie pominąć „Hindenburg O/S”, którego pierwsze i drugie,

rozszerzone, wydanie ukazało się pod patronatem miasta Essen i które ma też swoje trzecie, jeszcze bardziej rozszerzone wydanie. O „Ostatniej Polce” Horsta Bienka należy pamiętać tak jak o telefonie w Solingen. Były pomocnik baterii przeciwlotniczej 252 na Rudaer Berg musiał mi koniecznie powiedzieć, że oskarży mnie o zniszczenie, ponieważ nigdy sześciu pomocników nie dobrało się po kolei w baraku do konduktorki tramwajowej, jak to napisałem w jednej z moich książek. Byli czysti. Zeby sięgać dziewczętom pod spódnice i do bluzki... Zrobi wszystko, aby jego dzieci nie wzięły tej książki do ręki (wylczyłem, że dzieci mają około trzydziestki, a może i więcej). Poza tym uciekło dwóch, a nie trzech rosyjskich jeńców i nie w chłodny dzień, tylko w ciepły, letni. Spiess to był rzeczywście obrzydlivy typ, ale kucharek nie wciągał do łóżka. Nie było żadnej Wandy, dlatego nie mogli jej powiesić w Rudzie. Mężczyzna wymyślał mi przez pół godziny, gotów był zapłacić za rozmowę maksymalną stawkę.

Gdy zapytałem go, gdzie pracuje, dowiedziałem się, że jest urzędnikiem państwowym, a konkretnie zajmuje się ochroną środowiska. Znow figiel spłataný przez historie świata. Strzelcy alpejscy, prezydent Wilson, de Gaulle i pan Twardawa z Solingen. Hindenburg mnie przesładuje.

IV

Bogda nie zna Zabrza tak dobrze jak ja, mieszkanie Lipska do odwołania. Wskazuje jej drogę do placu Dworcowego. Tam znajdujemy miejsce do parkowania. W „moich czasach” nie było zegarów na parkingach. Budynek dworcowy też jest nowy. Pamiętam jeszcze podział na Polski Dworzec i Dworzec Główny. Z jednego odjeżdżały pociągi do Kattowitz, z drugiego do Breslau, Heidebreck i Glatz. Poza tym wszystko jest podobne. A może jednak nie. Nie rozmyślałam na placu Dworcowym, dlaczego palec Admiralski, chociaż stoi tu jak kiedyś, szary i ocieplony stożkowaty półokrąg, nie jest już pałacem Admiralskim, w którym moja babcia jeszcze jako siedemdziesięciolatka oglądała półnagie tancerki, robię to teraz, ponieważ od dawna jestem z powrotem w Saksonii, patrzę na leńa polanę, na margerytki, na jaskry, na mikołajka polnego i szczaw. Odmienność nie wynika chyba z tego, że to architektoniczne monstrum — otwarte w 1927 roku, wyraz rosnącej samoświadomości miasta i oczekiwanej prosperity — nazywa się teraz „Hotel Przewodnika Pracy”. Tak przynajmniej Bogda tłumaczy nowy napis. Wykute w kamieniu głowy marynarzy — Azjaci, Europejczycy, Afrykańczycy — wciąż spoglądają z wysoka na Kronprinzstrasse, dzisiaj ulicy Wolności. To dziwne, myślę (znów dopiero teraz), kosmopolityczna mieszanina ras tak samo nie pasowała do flag ze swastykami jak nazwisko produkującego robotnika do głów marynarzy. Mieszkaniec Górnego Śląska zawsze był międzynarodowy. Należał do Polaków, Austriaków, Czechów, Węgrów, Prusaków, Hunów i jeszcze wcześniej — jak już wspominałem — do Wandaków. Dobrze wiedzieć, że moja polataną duszę można wyjaśnić historycznie. Na uliczkach i podwórzach

Zabrza uczyć się mądrości, którą posiadał Adam, gdy skosztował jabłko węża: Musisz poświęcić Boga jedną świeczką, a diabłu dwie. A jeżeli i to mi nie pomoże, pokrępie się godnym uwagi powiadem Seflika Klappadukka: Gdy ci obrazi żyły człowiek Nie myśl nie złego sobie lecz o każdej godzinie bądź gotów dobro czynić

Nagłówek: *Die Balfeje (Fajka)*

Lato 1989

Przełożył: Marek Jakubów

WERNER HEIDUCZEK, ur. 1926 w Hindenburgu O.S. (Zabrza). Ze szkoły średniej powołany do wojska, był krótko w niewoli, pracował na wsi i na kolei, w roku 1946 został nauczycielem w Herzberg/Elster. Od 1946 do 1949 roku studiował pedagogikę w Halle/Saale, później zajmował kierownicze stanowiska w oświacie, w latach 1953/54 kontynuował studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Poczdamie. Był nauczycielem w szkole sportowej dla dzieci i młodzieży, a w latach 1961-1964 w gimnazjum języków obcych w Burgas (Bulgaria). W latach 1964/65 pracował w Instytucie Herdera w Lipsku, od roku 1965 zajmuje się wykładem zamieszkuje w jego mieście. Powieściopisarz, autor książek dla dzieci i słuchowisk, esaista, dramaturg.

Zabrza jest fragmentem esaju pod tym samym tytułem zamieszczonego w jego książce *Im gewöhnlichen Stillstand (W zwyczajnym stabilności)*, Gustav Kiepenheuer Verlag, Leipzig 1991.

Książki nadesłane

Redakcja Wydawnictw Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego

Anna Grzywna-Wilczok: *„Jest i więcej prawd w piśmie”*. Mikiewiczowskie „Zdania i uwagi” w kontekście BiNII. S. 142.

Miroslaw Daniak, Karol Klauza: *Podręczny encyklopedia Instytutu Życia Kulturalnego. Pojęcia, terminy, instytucje, dokumenty, czasopiśmi, sigła*. S. 297.

Elietha Hahn: *Obywatelka socjologia szkoły chiłogroskiej*. Charles H. Cooley, George H. Mead, Herbert Blumer. S. 118.

Miroslawa Hanneiewicz: *Sztaf podzieleny. O poezji Sebastiana Grabowskiego*. S. 202.

NORBERT WEISS

Dziecięca zabawa

Ogródki działkowe rozłożyły się na skraju miasta
Za niskimi płotami z luźnych
Zmurszałych sztachet Noca
Cicho tam jak na cmentarzu I można najeść się strachu
Kiedy czarne drewniane kukły zaczną
Poruszać się na wietrze Dzierżawcy pozamykali altanki
Na zardzewiałe skobele Niektórzy łatwo
Ustępują Jeśli się boisz możesz
Weisnąć się pomiędzy grabie łopaty
Wiatrówki Wpatrywać się w ciemne kąty
Aż do bólu powiek Wymacać stary płaszcz przeciwdeszczowy
Lub zatechę koc Który możesz nacignąć w
Półnie na głowę i stać się
Niewidzialnym aż rozbydnie płomyk zapalki
Ale ty musisz być niewidzialny Wstrzymać
Oddech Ręką zamknąć usta
Zęby wbić we wskazujący palec aż
Zacznie smakować słodko i lekko I musisz
Czekać aż obce Małe Ostre
Obedrze znowu krzyk ze skóry
Wolno dopali się papierosa a
Na zewnątrz opadnie skobel

Ulica Północna. Drezno

Przydomowe ogródki rozrastają się Planują rewoltę
Kozaki po cichu szykują się do ostatniej bitwy

Zapach grzybów rozprzestrzenia się A cofa się
Front wypowialych domów Gipsowe anioły z rozdziawionymi
Ustami pyzaty dzieciaki i róg myśliwski Rumiani pasterze
Wędrują tam i z powrotem jak pielgrzymi bez paszportu

Pod chodnikiem snują się podchorążowie
Aziłanci pacyficyści dezertery
Ramię w ramię z piewcami niedoszęj
Rewolucji tłumacze snów brzuchomocny
Wiotcy myśliwi ćwiczą równy krok

Milczą maszyny drukarskie firmy Liberty
Ołowiane poźeganie ulotki proklamacje

Są lićmi i odlatują do dalekich krajów
Krzeseła z brzozeowego drewna skrzypią na wietrze z dolin
Gdybym był ptaszkiem jęcząc koty
Nie wracaj Krzyżczy krętołóg Nie wracaj tutaj

Po-widok

Moi przyjaciele mieli po dziesięćmiesię lat może
nieco ponad i byli bardzo oczynani Znali
Ernesta Fischera i Blocha I nawet wyrwani ze snu
potrafili odróżnić Ionesco od Becketta Co
Podziwiałem bez zazdrości Skrycie snuli się
Nocami po mieście Naklejali
Legalne Hasła na cierpiwie szkło latarni
Lub pisali w Expresso Które jeszcze po dwunastę
Było otwarte Swoje ponure ballady o czarnych
Plakach nad Sajgonem I cichsze wiersze o
Błękitnym jaksu Co podziwiałem bez zazdrości Wiedziałem
Przecież że jak i ja kochali mocne dźwięki
Francuską perkusję praskie trąbki ćwiczyli
Pilnie w miejskich szkołach konduktorskich Gdź
Wylecieli z akademika Wyjaśniali
Mi przy okazji zasadę całkowitej indukcji
Odgarniając swoim dziewczynom od Palucci włosy z
Czoła Co podziwiałem bez zazdrości Nie
Calkiem rozumiejąc czego należało dowiedzieć Moi
Przyjaciele odeszli Kręcąc animowane Filmy laikowe Robią
Intymny teatr i stać ich już na herbatę
Wyskoczyli z okna Ponad krawędzie Cienie
Nie dziwi mnie to

Niedziela w Großen Garten

Ale dzisiaj niebo jest akksymitnym baldachimem
Niesamowitym tajemniczym błękitem
Nad łąki nad Łabą wlatują oniemiale Jerzyki
Drzewa stoją wystrojone w girlandy
Na ścieżkach skrzypci wymyty żwir i
Kolorowe wydają się mieszczuchowi kwiaty ziemi
W zimowym płaszczu emeryt parasołka
Przyspila do trawnika motyle z papierków po cukierkach a pod
Pochyloną latarnią gefajter oddaje mocz
Przy kolnierzu powiewa krawat Stawy zielenią
Matki napychają dzieci a starsze panie karmią
Łabędzie Oddziałek żwawych liliputów

W kolejarskich mundurach odgradza miejsce na wysprzątanej dro-
dze
Czerwonobiałym kolorem dla dziecięcej kolejki Niedzielnie dudni
Muzyka Ponieważ obok ZOO świętuje
Stulecie i ćwierć wieku patazarni
I krat Dłatego rzepoli i rżnie orkiestra
Piękność z Duszanbe podpisujemy: ADIEU MÓJ
MALY GWARDZISTO BĄDŹ ZDROW I NIE ZAPOMNIJ
A O MNIE

I nie zapomnij o mnie wtóruje publiczność
Stukają kufle To jest pokój Tak to już jest
W kahuży na stole emeryt
Pomarzonym palcem rysuje plan okopów pod Orel Rostełnie
Czerwich pobrzmiewa w śpiwkie Calkiem blisko świeżości gumowe
Pociski Przechwytyją je wielkoglomy rakersi
Piękność nie wypada z tonu Dzieci najezdzone Zblazowane
Łabędzie jeden po drugim chowają głowy w pióra

przełożył Wacław Oszajca

NORBERT WEISS — poeta, nauczyciel, redaktor „Less-Reihe” w wydawnictwie
Hellerau-Verlag — ur. w 1949 w Dreźnie. Uczestnił do liceum półtechnicznego
i uzyskał wykształcenie technika-bibliotekarza. Uprawiał wiele zawodów: robotnika
budowlanego, drukarza, posłańca roznoszącego telegramy, sprzedawcę książek.
W latach 1964—1978 uczestnił na studia pedagogiczne w Zwickau. Karmie wykre-
sleny z listy studentów. Po wieloletnim okresie bezrobocia został zatrudniony
w twarzarni, później jako pomocnik archiwisty. W 1981 eksternistycznie ukończył
studia nauczycielskie w Instytucie Literaturnym w Lipsku. Obecnie jest nauczycielem w Dreźnie.
Opublikował po niemiecku: *Kolonoza i drogi wiejskiej dełfende*, wiersze, Haag und
Herchen 1991 oraz *Ze wstąpię w dół*, liryczne monogramy — Hellerau Verlag 1995.

Ulica Piłsnocka, Drezno

Przedstawicielstwo artystyczne w Niemczech
Książki o sztuce
Wydawnictwo
Ala
Winnikow
Kolejowa
Winnikow
Przedstawicielstwo
Kolejowa
Winnikow
Przedstawicielstwo
Kolejowa
Winnikow

ARMIN MÜLLER

SELMA GRABARKA

Kiedy nazrywała już margerytek i weszła do domu w mroczną sien, stało się coś, co ją na dwa, trzy uderzenia serca wytrąciło z równowagi. Poczuła się zmienacka tak, jakby nie mogła już ufać swoim krokom. Ledwie coś dostrzegła, wokół niej było ciemno, drżały jej kolana. Tak ją to przeraziło, że musiały złapać się za serce. Nagle stała się sobie obca. A przecież znała w tym domu każdy kamełek, każdy sęk, każdy stopień. Nawet wie nie znalazłaby drogi. Chodziła nią ponad czterdzieści lat, zimą, latem, w dzień i w noc, a teraz oto nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Po upływie kilku sekund doszła do siebie. Stała w sieni trzymając się poręczy. Stopniowo z mroku wyłaniały się znajome kontury, czworokąt drzwi i obraz z furmanką na ścianie. Widziała podest oddzielający płytki od podłogi i pomyślała: Za bardzo się śpieszyła, a przecież nie musisz. Nawet młodszy ślepa, gdy nagle wprost ze słońca znajdują się w ciemnej sieni. Dłatego nie powinnaś się dźwici.

Ale kiedy tak myślała, wiedziała już, że to coś więcej niż tylko zmiana światła i że nie wystarczy samo tłumaczenie. Dłatego zaczęła jeszcze chwila. Potem jednak puściła poręcz i powoli, bardzo wolno poszła w kierunku pokoju. Miała nadzieję, że zrobi się jej lepiej, kiedy usiądzie w fotelu. Siód był już dzięki Bogu nakruty, wycięła z szafy filiżanki od pięknego serwisu i postawiła upieczony wcześniej placek z kruszonką, makiem i dużą ilością rodzynek.

Przed wszystkim trzeba było włożyć do wody kwiaty, które wciąż jeszcze trzymała w ręce i dłatego wzięła z parapetu dzbanek. Do kuchni miały tylko kilka kroków, ale przebyła je z trudem. Musiała głęboko wciągnąć powietrze, tak głęboko, że aż poczuła ból w pierśsiach. To z podenerwowania, powiedziała sobie usiadła w kuchni na krześle czekając, aż naczynie napelni się wodą. Czekać dobrze jej zrobiło. Tak sobie posiedzieć, promyłała. Przynajmniej przez chwilę. Ale podniosła się, zakreśliła kramy i zamiała dzbanek z powrotem do pokoju.

Była niedziela. Miały odwiedzić ją dzieci: syn, synowa i dwóch wnuków. O wnukach myślała ze szczególną dumą. Starszy wrócił już z wojska, miał posadę w muzeum; preparaował patki i jaszczurki. Młodszy natomiast jeszcze studiował i chciał się poświęcić pracy w teatrze. Widać było, że widać im się dobrze, lecz ciagle się śpieszyła, również syn i także synowa. Podczas ostatniej wizyty, na Wielkanoc, ledwie wystarczyło im czasu na wypicie kawy. Dzień dobry, mamo.

Dzień dobry, babciu. W rękę bukiety i torba pomarańczy. I co powiesz na nasz nowy wóz.

Powzięła ją przez wieś, ona zaś zaszła się głęboko w skórzanych siedzeniach. Popatrzenie, Selma grabarka i jej dzieci. Nie żyzyła sobie, aby we wsi z przekąsem tak mówiono. Nie to, żeby miała coś przeciwko samochodowi. Boże broń. Niech dzieci jadą nim nad Adriatyk, albo gdzie tam sobie chcą. Ale ona mając siedemdziesiąt siedem lat nie zamierzała przyzywać się do takiego sposobu poruszania i kiedy zbliżał się zakręt i pieszczaly hamulce, ze strachu zamykała oczy.

Zauważyła, że na parapecie przesuwa się jakis cień, to kot. Lecząc nie ruszyła się z miejsca. Każdego innego dnia otworzyła by okno i wypuściła kota, bo ostatecznie dzieliła z nim mieszkanie, a nierządko i łóżce. Stanowił jakby jedno serce i jedną duszę. Ale dziesięć dzieci nie był tak jak zawsze, dzisiaj pragnęła dzieciom powiedzieć to, co jej już dawno leżało na sercu. I gdyby kot wiedział, o co chodzi, to z pewnością by ją zrozumiał. Dlatego okno pozostało zamknięte.

Czula się dobrze, siedząc.

Światło odlepiało ją, mimo że stonice sięgali tylko do połowy stołu. Musiała prawie zamknąć oczy. Filizjanki i talerze zdawały się unosić w jasnej mgłę. Również i ona zdawała się być lżejsza. Wyglądała na to, że krzesło pozbawione ciężaru oderwało się od ziemi i buja z nią w powietrzu. Przyjemnie było tak czekać na dzieci.

Cukier puder posypyany na kruszonce migotał jak śnieg. Skosztowała placaka i uśmiechnęła się. Chłopcy będą po nim obliźwiali palce, myślała. Również i synowa się nie oprze, mimo że tyjąc od ustawicznego siedzenia najchętniej słodkiego nie rusza. Pochodziła z pobliskiego miasta, więc była tutajjsza. Stara kobieta niemal się zatrzymała tą ostatnią myślą, bowiem wciąż jeszcze, niemal po uptywie półwiecza, dzieliła ludzi na miejscowych i przybyszów. Ona sama należała do przybyszów i taką już do końca zostanie.

Wiedziała, że synowi takie myślenie było zupełnie obce. Nie odrzywał się, kiedy zaczynała o tym mówić. Dlatego większość z tego zatrzymywała dla siebie, domyślała się, że wspomnienia go nie obchodzą. Przez czterdzieści sześć lat, a więc ponad połowę ludzkiego życia musieli się uczyć różnicowania pomiędzy tutajjszymi a przybyszami. Koczowali na samej tylko słomce w sali gimnazjalnej. Wtedy był jeszcze brzdącem i dlatego niewiele sobie przypominał. Również i tego, jak smakowało świeże mleko i jak przyjemnie pachniało bóżko, kiedy stelmach zabrał ich do swego janku. Była wtedy młoda wdowa, niskiego wzrostu, o krzywych nogach i do tego jeszcze z łobuziakami, ale stelmach szukał kogoś, kto by mu prał koszule i dbał o porządek w chałupie z pruskiego muru stojącej tuż za cementarzem. Dostał ten dom od plebani czy też może od gminy, bo pracował nie tylko przy warsztacie, ale grzebał również zmarłych.

Wciąż tu jeszcze mieszkała. Stelmach po kilku latach mizernego szczęścia umarł z zaprzecia, lecz zarówno plebania jak i gmina pozwoliły kobiecie z dzieckiem nadal mieszkać przy cementarzu, zaś ona bez wahania przejęła obowiązki stelmacha i grzebała zmarłych.

Dlatego wszyscy we wsi nazywali ich małą kobietą z krzywymy nogami Selmą grabarką.

Dzisiaj natomiast nadszedł dzień, w którym chciała dzieciom powiedzieć to, co sobie przygotowała, to, co w ciągu długich nocy formułowała słowo po słowie. Wciąż na nowo odmawiała zdania jak litanie i również teraz, siedząc w foteli i patrząc na stół zwracała się w myślach do syna.

Zbliżał się już do pięćdziesiątki, był urzędnikiem bankowym, miał duży samochód, mądrych synów i dzielną żonę, dlatego myślała sobie, iż spełni to jej ostatnie życzenie. Drogi synu, zamierzam powiedzieć, że nie znalazł swojego ojca. Mówiłam ci, że miał tylko jedną rękę i pracował w majątku jako parobek w chlewni, potem nawet jako woźnica. A ponieważ nie miał ręki, nie musiał iść na wojnę. Dlatego wszyscy we wsi nam zarzucali. Często ci mówiłam i mówię ci to także dzisiaj, że twój ojciec był dobrym człowiekiem. Lecz nasze wspólne życie długo nie trwało. Prży zwłocę drewna w górach wichura przewróciła świerk na jego zaprzęg. Przeszczeszone konie poniosły wóz razem z nim i zginął wleczony po ziemi. Tak i los spotkał twego ojca, synu, a waszego dziadka, chłopcy.

Tak chciała zacząć. Słowami, które powtarzała po stokroć. I znów widziała męża leżącego na mchu z dziwnie wygiętymi ramionami i rozszarpaną szyją, zalanego krwią. Nie mogła mu niestety postawić pomnika, ale stała zgrupowana nad trumną, dobiegając już odgłosy artylerii. Front zbliżał się do śląskich gór. Trzeba było uciekać.

Od tamtych dni, również wtedy, gdy była żoną stelmacha, żyzyła sobie powrota w tamte strony, aby na grobie męża posadzić trochę kwiatów, malwy, które bardzo lubił albo nagietki i kwiaty ciekł lato. Miejsce, gdzie pochowała męża, znajduje, nie ma obawy. Nocą często szła do niego. I idzie tam także teraz. Topole wyglądały jak oskubane, zawalili się mur z polnych kamieni. Na resztkach powyrastali krzewy, śnieguliczki i jarzębina, większość nagrobków poprzetrącano, na wszystkim rozlepił się błuszc. I mówiła jeszcze: Jak się ma siedemdziesiąt siedem lat, dzieci, to nie ma już na co czekać, dlatego moim ostatnim życzeniem jest, abycie, gdy nadejdzie mój koniec, zawieźli mnie do domu. I po ciechu dorzuciła: Polacy tu chrześcijanie. Nie będą mieli nic przeciwko temu, że spocznę obok Gustawa.

Zamknęła oczy i jak zawsze, kiedy sama do siebie powtarzała te słowa, wyobrażała sobie, że leży w odkrytej trumnie, może nawet szklanej, jak w baśni. Nawet po śmierci widziała, że zbliżała się ku niej góry.

Już najwyższy czas, poczuła to bardzo wyraźnie. Dzisiaj musi powiedzieć dzieciom, co ją gnębi. Otworzyła oczy. Stół i placzek na nim wciąż jeszcze stały. Lecz w pokoju zajaśniało osłabionym światłem, które jednak nie padało od okna, lecz zdawało się promieniować z naczry. Stawało się coraz jaśniejsze, wypełniało całe pomieszczenie, żółte ciepłe światło, i dopiero kiedy usłyszała jakiejś kroki, zniknęło. W drzwiach stanął chłopak od piekara.

Mam wam coś przekazać, powiedział. Dzwonił wasz syn. Coś tam nie wyszło. Może przyjadą następnego niedzieli. I kazali pięknie

pozdrowić. Chłopak patrzył na nią zdziwiony. Myślał pewnie, że wyrwał ją ze snu, bo z lekka się sklonił, jakby chciał przeprosić za swoją obecność. Ale ona była jak nieobecna. Nie słyszała, jak chłopak odchodził, nie zauważała nawet, że kot, który wyliznął się za chłopakiem do pokoju, wskoczył jej na kolana. Oczy miała wpatrzone w dal, ponad stółem, w dal pozbawioną konturów.

Owo poczucie dali było dziwnie sprzeczne z cisnością, w której się nagle znalazła. Brakowało jej powietrza. Położyła głowę do tyłu, na oparcie i szeroko otworzyła usta, aby głębiej oddychać. Nie miała dzieciom za złe, o nie, może rzeczywiście zaszło coś ważnego. Lepiej mieć pracy za dużo, niż nie mieć jej wcale, pomyślała. I jeszcze to, że musi im wszystko napisać. Zebrała resztkę siły, aby wyjść z szuflady kawałek papieru.

Kochane dzieci, zamierzala napisać i ogarnąć ją jakiś wielki spokój. Miała nadzieję, że papier przechwaja jej wołe. Nie będzie musiała zaprztać sobie długiej pamięci. To, co napisała, będzie widoczne dla wszystkich. Znowu pojawiło się światło, które już jej jednak nie odepłaniał, lecz zdawało się, że ją niesie, a nawet wynosi. Widziała w oddali góry i była całkiem spokojna. Nic jej nie zasłaniało widoku. Grzebień gór linity białe, śnieg spadł w środku lała. Widziała swoje dzieci w samochodzie, którzy wiozł ją w stronę gór i drwiła się, że nie nie czuje, ani zakretnu, ani kamienia, stała się całkiem lekka, wyswobodzona z samochodu i zamrunała w żółtym pięknym świetle mknęła w powietrzu otulona w blę, zwienny jedwab. Obok czuła tylko kota, który przwarł do jej szyi tak, iż pomyślała, że może przegryzł krtani, ale nie miała sil, aby go odepchnąć, zaś śnieg na górach wyglądał jak cukier puder.

Przełożył Eugeniusz Wachowiak

ARMIN MÜLLER ur. się w 1928 roku w Szwecji (wówczas Szwajcarii) na Śląsku. W 1945 r. w wyniku wojennej zawieruchy znalazł się Weimarer, gdzie mieszka do dziś. Zadebiutował w 1949 r. tomem poezji *Hallo, Bruder aus Krakau / Do brata z Krakowa*. Jest autorem kilkunastu tomów poezji i prozy. Pisze także sztukowiska i scenariusze.

Jego najwybitniejszy utwór, powieść *Der Pappensteim und ich / Król łalkowy / Ja* traktuje o nieoczekiwanych przebiegach nobelowo Niemca i Polaka, który przemierzając całą Polskę wracając w trasyem 1945 roku do swojej wspólnej „małej ojczyzny”, na dolnośląsko-wielkopolskim pograniczu (fragmenty w „Akencje” nr 1-2/1990).

W Polsce opublikowano liczne przekłady poezji Armina Müllera oraz prozę zawartą w tomach *Wracam do ciebie*, *Burgi i Papierowy gość*.

w odurzeniu opórz nagle się aż wywrócił aż wrogim doo się sięgł
nie ją zwał
w trój
działym obrazie
w opojeniu la

DIETER KALKA

na dzikim wschodzie

napady na banki już nie poplajają
jedynie podpalenia własnego domu
awanturcy w odpoczwanych brkach
robią nagonkę na przestraszone twarze

na zakrętał piszczą lyse opony
dzwoni blacha o blachę, w odpowiedzi ucieczka,
wielka jest nowo zdobytą ziemia.

kurwy przychodzą i kurwy odchodzą
ja „pałę sobie” ty pijesz on śpa
jesteśmy chory nie bardziej niż inni
i z ciekawością pchamy głowę w piach

tracisz to co miałeś lecz zyskujesz wiedzę
chwytaś słomkę w drinku jak tonący brzytwę
leci ci fatalnie — innym jeszcze gorzej
gdą się przy murze z blaszaną skarbonką

krzyżowcy szczęścia wiskają tandetę
pasterze zerują na instynctem stadnym
cóż za cudowne rozmnóżenie dóbr
a pies zabawienia szczeniał tylko raz

plochliwie dusze noszą piętrosko skruchy
i godzą się płacić podwójny rachunek
wreszcie wyczerpane padają bez życia
jeszcze raz uszedzisy na francuskie łoża

zły erodak nich znajduje

* * *
przesłania nietykalnych
odbieram nocą: kielichy napelniają się
wężę obrywający się krągłości

to on — moje drugie ja
chwytą złotą czarę rozlewa
ucia

biegnie obok pociągów na których ja siedzę
podaję mu rękę podciaga się wskakuje
teraz jest młną a ja muszę biec
z trudem odbijając stopy od żwiru

on jest piazarem a ja pismakiem
gdyby on tylko pisał to ja mógłbym tworzyć

on jest marzącym srebrnym cieniem
on odurzony w środku trzeźwego dnia
odnajduje grala rozlewa lecz podaje
mnie jego ciała żłopię jak ze szklanki
uparcie pisać w beznadziejny wieczór

między wodami

tryptyk

I
wiejskie zagrody — oazy nieszczęśliwych szczęśliwicy
ni gdzie nie ma ciszy wszędzie ból
pęknięć czasu rozrywanych
siła koni pod maską
na koźle ze skaju łysa głowa
dwudziestolatek już chwastun szmugler
bos, wirus trzeciego tysiąclecia
wyskakiąj przez szparę którą prze-
oczył skorumpowany celnik

jak trucizną jak odurzenie: kannabis w ogrodach
chłopów, konopie na nici konopie na oleju
na fajki: kobieta staje się piękna
po piątym pociągnięciu tacydy po zstojym
jest matką czarownicą boginią ewą
on kładzie fajkę na jej łono...

II
płynąłem między wodami
w rozpolowanej łodzi fale strzelaly
z prądem zamylały szczytliny stawały
w poprzek mój kil i tak porwanemu w topiel
wyciskał policzkiem brzegów
myciła mi pot z porów
witalczą w aortę ziemi
zawładnęła mną symfonia zakrętów której
nikt nie komponuje oprócz czasu
nikt nie słyszy pośród szumów

w odurzeniu oprócz malarza
ten ja uwził
w trój
dzielnym obrazie:
w spojzeniu na blonia
niemna

KARL DEDECIUS

III
między wodami rozpolowanego życia
wody umierania

zalec nasiona ciszy koniec
nagonki ucieczki przed nędzą
pod sercem
niemocą
szpazmem
posiadaniam

alchemia

znowu sen: wymieszać
powinien alchemik tinktury
w swej pustelni: jedynka prowadzi do dwójki
w retortach zamknięte nasiona
w przestrzeni tchnienie zamierającego ducha
w myślach próżnia

zza pustych zwierciadeł zza połowkowych soczewek
zza drutów skręconych spalonych nad ogniem
spojrzenie ponad pierwszy poziom
bytu:

z wody z oleju
jedna substancja
jednością niech stanie się życie
z dwóch miejsc odległych
niech się wymiesza
cisza i halas bezruch i wędrowka
złoty środek niech znajdzie
krwawiące serce

w przemiennej kapteli
w podwójnym świetle
w blasku nocy polarnej:
dzień.

drogi odsyłają wstecz:
król straci władzę
jeśli alchemik

nie łączący — autor powieści, w których ja straciłem swojego strażnika w
wody i oleju — podobała się wszystkim. Krępy był jak
nie uzyska gładkiej emulji —
i tłumaczenie powieści do języka niemieckiego
przełożył Bogumił Wróblewski w

DIETER KALKA — autor powieści, sztuk teatralnych, opowiadań — u. w 1957
w Alzenburgu, wychował się w Meuselwitz. Odbył zasadniczą służbę wojskową oraz
studia elektrotechniczne i matematyczne w Linnaeu (wykładał z listy studentów
z powodów politycznych), później studiował antropologię, psychologię i literaturę
w Zurichu. W 1973 założył w Linnaeu grupę folkowa „Ferntanz” (Taniec Ognia)
i w 1984 w Lipku — „Dieters Frohe Zukunft” (Wesołe Przyszłość Dietera).
Zrealizował pięć własnych recitali. Mieszka w Lipsku. Jest organizatorem festiwa-
li takich jak „Riegefolk”, Würzen 1985-1987, „Pierwsze Alternatywne Targi Książki”,
Lipsk 1990, „Niemiecko-Polski Festiwal Poezji”, Lipsk 1995.

Opublikował po niemiecku: *Przełomienie* pod pseudonimem Ina, wiersze,
Stockade-Verlag, 1988; *Utopijny festiwal, piosenki*, części 1 — 1986, część 2 — 1988;
Jeszcze jest mi wolno kochać, piosenki, Stockade-Verlag, 1989.

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Jan Sochoń: *U drzwi Gadoś. Szkice o powieści, filozofii i teologii*. Wyd. Archidiecezji
Warszawskiej, Warszawa 1995, s. 291.

Mariusz Rosiak: *Jan Ghalan z hotelu Intercontinental*. Wyd. „Ars Nova”, Poznań
1994, s. 116. 24.

Edward Wiltmore: *Szanghajski cykl Gaius*. Przełożył Tomasz Mirkowicz. Wydawnictwo
„JA CAPO”, Warszawa 1994, s. 332.

Ewa Iwanowicz: *Mit i mitologizm w doktrynie ideowo-politycznej hitlerizmu*. Wyd.
„Oldfriar”, Zory 1994, s. 232.

Zbigniew Jakubiak: *Mój wstępny brzech*. Oficyna Literatów i Dziennikarzy „Pod
Wiatr”, Warszawa 1995, s. 288.

Hanna Kowalska: *Kapelusze z zielonymi jaszczurkami*. Opowiadania. Wydawnictwo
„Przedmiot”, Warszawa 1995, s. 139.

Maria Barbara Szykowska: *Tradycje teatralne Nalczowa*. Wyd. Towarzystwo Przyjaciół
Nalczowa, s. 21 + 3 ilb. Nakład 300 egz. roczne numerowanych.

Tomasz Konrad Augustyniak: *Ucieczka*. Wyd. Staroniejski Dom Kultury, Warszawa
1995, s. 50.

Ludwik Gawronski: *O hejale i trębacach w dawnym Lublinie*. Wyd. Towarzystwo
Miłośników Lublina i Wydawnictwo MULTICO, Lublin 1995, s. 32

W tym miejscu zamieszczamy krótkie ogłoszenie prasowe, na temat książki
KARL DEDECIUS
ZROZUMIENIE I UFNOSĆ

KARL DEDECIUS

ZROZUMIENIE I UFNOSĆ

Każdy początek wymaga zrozumienia. Zrozumienia i ufności.
I oto piętnastki lat ufności jest poza nami. A także w tym, iż
niemiecka historia — jeśli się tego chce i nad tym pracuje — może
przejść nowy obrót; taki, który pozwoli nam ponownie żyć i działać
w rodzinie narodów, w pokoju ze wszystkimi, w pierwszym rzędzie
z naszymi sąsiadami.

Największą potrzebę zaufania dawało się odczuć po ostatniej
wojnie, szczególnie na naszej wschodniej granicy. Po tej i po tamtej jej
stronie. Wrogosc z biegiem czasu ustąpiła pola rosnącej ufności, co
jednak nie oznacza, że w stosunkach między Niemcami a Polakami
zapanała harmonia. Nie jest tak ani po zaistnieniu demokracji
w Polsce, ani po ponownym ustanowieniu niemieckiej jedności.
Wprawdzie przesłanki zmieniły się na lepsze, ale bezpardonni i
niczym nie zakłócona bliskość otworzyła drogę problemom dotych-
czas tłumionym, spięrzając zadania, których unikano.

Głównym zadaniem pozostało stwarzanie winygodności, budowa-
nie zgody. Ważkie słowa naszego głównego mecenasa Roberta Boscha
sprawily, że solidaryzujemy się z jego fundacją: „Lepiej stracić
pieniądze”, powiedział on kiedyś, „niż zaufanie”. Nas krąg przyja-
ciół, nasi mecenas zaliczani są do wspaniałych inwestorów zaufania.
Zawdzięczamy im wyposażenie, budowę i rozbudowę, a także sukces
Deutsches Polen-Institut (Niemieckiego Instytutu Polskiego).

Europa to osadzone na fantazji i odwadze społeczeństwo w przyrodę,
którego warunkiem jest zaufanie. Zaufanie to wymaga pielęgnacji
i pośredniczenia. Kultura, współpraca kulturalna jest przy tym
jako coś wspólnego i przyczyniającego się do pokoju. Kiedy to
zrozumiałem i zacząłem na początku lat pięćdziesiątych realizować
ten cel w pracach literacko-publicystycznych, byłem przekonany
o tym, że państwa europejskie, na Wschodzie i Zachodzie, będą
w stanie porozumieć się w jakimś momencie oraz że istnieją
perspektywy umów państwowych i uwarunkowań politycznych pro-
wadzących nieodwołanie do pokoju i przyjaźni narodów europejs-
kich. Ponieważ miało to się stać jeszcze w dłuższej perspektywie, niż
myślałem o tym przed czterdziestoma laty, należało natychmiast
zacząć wytyczanie mniejszych i łatwiejszych szlaków łączących oraz
budowanie mostów przekraczających granice w świadomości. Wy-
kształcenie, literatura i sztuka wydawały mi się środkami najmniej
kontrowersyjnymi i najbardziej odpowiednimi do tego celu.

Wiemy wprawdzie, że wraz ze stworzeniem „od góry” warunków
ramowych zrobiono już wiele, ale przecież nie wszystko. Jeśli coś ma
się udać, to musi istnieć także wola „od dołu”. Nad oddolną „dobrą
wolą” należy stale pracować. Zadanie to, owo tak często przywoły-
wane dzieło pokoju, jest dziełem permanentnym; nigdy nie zakoń-
czonym, zawsze zagrożonym. Współpraca kulturalna jest — jak
oddychanie — skazana na ustawiczną kontynuację.

Sądzę, iż znajdujemy się obecnie na właściwej drodze. To, co przed dziesięćkami lat zaczęło się jako sprawa osobista, jako pojedyncza inicjatywa — ostrożne zawieranie znajomości, późnej przyjaźni z pisarzami, artystami, redaktorami, wydawcami, tłumaczami, krytykami i nauczycielami w Europie Środkowej i Wschodniej — przyniosło zagestwiczoną się z biegiem czasu siłę powiązań, które stawały się coraz mocniejsze, bardziej różnorodnie i trwały. Dziś nie mamy już do czynienia z niemiálnymi przedawami pojedynczych prób, ale z całą ogółu wyrażaną przez szerokie warstwy obu społeczeństw i organizacje do tego powołane. Narody chcą się wzajemnie poznać, zbliżyć do siebie, usunąć nieufność, obcość, a nawet wrogość, stworzyć warunki dla tak wielokrotnie przywoływanej wspólnie domu europejskiego. Jednakże dobrego sąsiedztwa nie stworzyć się za pomocą ustawy i na pewno nie w czasie jednego okresu legislacyjnego. Jest ono stałym zadaniem.

Wizja europejskiego „Renesansu roku 2000” nie chce mnie opuścić i stale mnie uskrzydla. Przyznając się do winy: ciągle w nią wierzę.

W latach sześćdziesiątych urzeczywistniła się, dzięki korzystniejszemu z wiatrom, idea założenia Instytutu, który poszerzać wypelnił brak we wzajemnej pozytywnej wiedzy o sobie, na początek między Niemcami i Polakami, oraz przyczynił się do zrozumienia przeszłości i terażniejszoci przez obydwie strony i do lepszej współpracy w przyszłości. Planowano — jako uzupełnienie istniejących studiów akademickich na uniwersytetach — prę gmatycką polonistykę o szerokim oddziaływaniu: stworzenie pewnej koleżeńskości poprzez wielokrotne formy wspólnych projektów. To, co czynno od długiego czasu i w pojedynkę (korespondencja, rozmowy, wzajemne [spostreżenie się poprzez przekłady, wizyty, odczyty, wykłady, publikacje) — zeszała nie bez uporczywych i oporów z różnych stron — miało zostać zinstytucjonalizowane i ze wzmożoną siłą zwielokrotnione. Idea ta musiała czekać dzwazięć lat na swe urzeczywistnienie.

Deutsches Polen-Institut w Darmstadt, otwarty w 1980 roku, rósł i rozwijał się pomysłnie mogąc z roku na rok poszerzać swoją bazę, jak i swoje oddziaływanie. Miał także szczęście, że znalazł wspaniałych przyjaciół i mecenasów. Darmstadt, miasto posiadające zmysł artystyczny, oddało do dyspozycji Instytutu znajdującą się pod ochroną zabytkową secesyjną willę na wzgórzu Mathildenhöhe — dom Josepha Marii Olbrichta. Prezes Zarządu, Maria Irabina Dönhoff, wydawca hamburskiego tygodnika „Die Zeit”, stała się duchową bazą dla wiarygodności, którą respektowano, jak również zaufania wewnątrz i na zewnątrz Instytutu, obydwayi wiceprezesa, prof. dr Gotthold Rhode (zmarły w 1990 r.) i emerytowany konsul amerykański Alfred Blumensfeld (zmarły w 1992 r.) — przedstawiciele nauki i dyplomacji — byli w naszym przedziurym dzięki swej kompetencji nieocenionymi doradcami i prekursorami. Kuratorem fundacji (cura = opieka) dbało o warunki materialne. Członkowie Towarzystwa (obecnie liczy ono dokładnie pięćdziesiąt osób) reprezentują jako naukowcy, przedsiębiorcy, dziennikarze, bibliotekarze, nauczyciele, politycy, prawnicy różne grupy zawodowe i grupy interesów i są rękami i sercami nowożytności i różnorodności celów Instytutu służących dobru ogólnemu. Forma Towarzystwa umożliwiła uczestnictwo społeczeństwa, jak też i państwu (wszystkim jego strukturom: całej federacji, poszczególnym krajom związkowym i gminom). Struktura Instytutu zakłada jednak, przy całej lojalności wobec gremiów i instytucji, niezależność regionalną, partijno-polityczną, światopoglądową.

Jedną z głównych cech Instytutu była, obok swobody i niezależności w kształtowaniu ambitnych zadań, także wyjątkowa gospodar-

ność. Oszczędzanie stosując środki publiczne pragnie on uzyskać duży zakres oddziaływania i znaczenia. Uduje się to dzięki prywatnym dotacjom i gotowości niesienia pomocy przez fundacje, przede wszystkim fundację Roberta Boscha w Stuttgartcie, z którą od początku nawizała się trwała, wzorowa współpraca.

Dom Olbrichta na wzgórzu Mathildenhöhe w Darmstadt ma dla Deutsches Polen-Institut charakter symbolu. Olbrich był architektem stawiającym przed sobą wielkie, jasne cele. Marzył o jedności sztuki, rzemiosła i życia. O złączeniu się poezji i poila w jedną prezentację życiową wyzającą jakości — jako Gesamtkunstwerk syntetyczne dzieło sztuki. Nadawał tak domom prywatnym jak i budynkom publicznym wyjątkowe oblicze, budował oświaty artystów, dworce, domy towarowe i mieszkalne, także „Wieze weselne” (ale nie wieże z kości słoniowej) — jako twórcy urodzony w Trossau, następnie zamieszkały w Wiedniu i posiadający sporę dotychczas w obcowaniu z innymi narodami, przede wszystkim ze Słowianami — poszukiwał w Darmstadt wolności twórczej i kompetentnego mecenatu; większego zakresu działania, łączności ze światem, a to wszystko w sposób równie piękny jak i użyteczny; poprzez pracę, estetykę, amalgamację. Założenie Deutsches Polen-Institut w Darmstadt wynikało ze zrozumienia, że dla ruszającego powoli pociągu „Europa” musi zostać nastawiona zwrócona na Wschód.

Instytut był świadomy swego modelowego charakteru. Chciał rozwijać i praktykować nowo formy aktywności kształczącej narody.

System parlamentarny żywi się wolnym współzawodnictwem opinii, opiera się na rządzie i opozycji, partiach i stronnictwach opozycyjnych. Ale w kwestii pokojowego współżycia wszacy są zgodni: wobec niego nie ma żadnej alternatywy (chyba że tylko wojna potępiana przez wszystkich rozsądnych ludzi). A więc należało stworzyć pewien wzorec budowania przyjaźni między narodami opartej na współnocie ich kultur — nadający się do tego, by w tym zadaniu jednoczyć grupy będące zwykle po stronach przeciwnych, jednoczyć je w procesie określania generalnie takich samych celów. Należało ustanowić szczegółowy model dotyczący zarówno polityki wewnętrznej, jak i zewnętrznej.

Deutsches Polen-Institut jest takim modelem o charakterze kulturalno-politycznym. To, co obce, prowokuje zarówno zgodę, jak i sprzeciw. Przyciąganie jednych a odpychanie drugich. Także i obce kultury wywołują takie reakcje. Ale wymiana kulturalna nie polega na rezygnowaniu z tego, co własne, lecz na jego wzbogaceniu o to, co obce; tam, gdzie ono nas inspiruje i dopełnia. Wymiana kulturalna (tak jak handel) prowadzi do powstawania kontaktów i partnerstwa. Tam, gdzie to, co niemieckie i polskie wydaje się tak mocno zderzać ze sobą i obciążać się tyłoma zastrzeżeniami, istnieje potrzeba szczególnej idei harmonizującej.

Instytut stanowi wzorec także w sensie społeczno-politycznym: podejmuje się nowych zadań, otwiera nowe horyzonty, tworzy nowe miejsca pracy. Jest wspierany poprzez społeczeństwo, ale opiera również interesy społeczne. Taką obustronność, przy dużej efektywności inicjatywy prywatnej, jest przydatną do tego, by stanowić wzorcowy przykład dla właściwego (zdrowego) budżetu małych, ale skutecznie działających instytutów kultury.

Kiedy sąsiedzi, w tym przypadku Niemcy i Polacy, pracują jako partnerzy nad projektami obchodzącymi obie strony, zbliżają się do siebie zarówno w sferze zawodowej, jak i ludzkiej.

Gotowość pomocy niesionej przez Niemców jest ewidentna. Sprawdziła się w czasie długoterminowych projektów i w wielu spontanicznych akcjach pomocy w przeszłości. Pokazałiśmy — w początkowym stadium — że zrozumieliśmy problem przyszłej współpracy w Europie, że chcemy pracować — ofiarnie — nad pod-

stawami. Ale samotny niemiecki marsz ku Polsce mógłby znowu zostać źle rozumiany jako germański „Drang nach Osten”, wywołując animozje i nieufność.

Dlatego należy domagać się wspólnych wysiłków wszystkich partnerów w Europie. W Europie Środkowej i Wschodniej brakuje nam dzisiaj „placówek kształcenia”, w których przy pomocy międzynarodowych ochotników przekazywano by wiedzę i praktykowano to, co jest wspólne dla Europy. Widzę, że istnieje konkretny związek między współpracą kulturalną a bezpieczeństwem w Europie. Kultura jest ważną częścią bezpieczeństwa, a bezpieczeństwo warunkuje kulturę. Potrzebne są nam centra kształcenia promieniujące swoją siłą (a nie tylko modne lecz niezobowiązujące miejsca spotkań), które skupiają pośredników kultury znających teren i nadają im uprawnienia do podejmowania zadań przyszłości; które związane są z rodzimym miejscem i krajem zamieszkania. Te miejsca muszą się stać atrakcyjne: tak samo w Weimarze jak i w Wilnie, Rydze, Krakowie, Pradze, Budapeszcie i dalej indziej.

Z nadzieją na polsko-niemiecko-francuski „Renesans roku 2000” restauruję się właśnie w Krakowie okazal renesansową willę, która będzie oczekiwać na gości z Zachodu, aby wspólnie z nimi nadrobić europejskie braki. Krótkowzrocznością byłoby jednak pozostawienie takich inicjatyw tylko jednemu krajowi. Potrzebne są wspólne „edukacyjne place budowy” obejmujące większą ilość narodów.

Narodowe egocentryzmy nie przyniosły Europie w przeszłości szczęścia i pokoju. Europa wymaga europejskiej solidarności, to znaczy gotowości niesienia pomocy, a więc także altruizmu.

Tak rozumiemy dzień wczorajszy i w tym pokładamy naszą ufność w dzień jutrzejszy.

przełożył Janusz Golec

Tekst według: *Fähigkeit Jahre Deutsches Polen - Institut Darmstadt. Werkarbeitenbericht 1980-1995. Justus von Liebig Verlag, Darmstadt 1995, ss. 62-67.*

Książki nadesłane

Towarzystwo Naukowe KUL — Instytut Jana Pawła II KUL

Rocco Buttiglione: *Chrześcijaństwo a demokracja*. Ss. 139.

Rocco Buttiglione, *Doktorant honoris causa KUL 18 maja 1994*. Redakcja i opracowanie Jarosław Merecki. Ss. 93 + 5 nb. + 6 fot.

GÜNTER DE BRUYN

PO TEJ I TAMTEJ STRONIE ODRY

Zagadka, jaka przez lata stanowił dla mnie pan Müller, uległa rozwiązaniu dopiero po jego śmierci. Jedyna wiatemniczna osoba milczała tak długo z ostrożności. Dziś nikt jednak nie wierzy, że gdyby było inaczej, to rzeczywiście miałyby kłopoty z władzami. Jedni nie wierzą do dzisiaj, że pan Müller w ogóle popełnił jakiejś przestępstwo, inni zakładają, że ochroniliaby go wówczas jego niepoprzytalność; ja sam wierzę raczej w zwykłe ludzkie odroczenia celników, ale w tej opinii jestem osamotniony. Nikt we wsie nie czuje się specjalnie poruszony historią pana Müllera, niektórzy są natomiast oburzeni, zwłaszcza jego syn, synowa jak również wnuki.

Za swego życia pan Müller nigdy nie wzbudzał specjalnego współczucia. Najmniej zaś na pewno w ostatnich latach życia, w okresie, gdy go poznałem. Miał wówczas, gdy przybyłem do wsi, ponad siedemdziesiąt lat, ale ciągle jeszcze pracował. Rolnicza Spółdzielnia Handlowa zatrudniała go jako sprzedawcę w swoich punktach sprzedaży. Każdego dnia jeździł na rowerze do innej wsi. W czwartki był u nas. Przez osiem godzin ten niski, baryczny mężczyzna ślecząc przy odrapanym stole nad rachunkami i cennikami nie pozwalając odejść swym klientom. Sklep mieścił się w spichrzu dawnego majątku. Aby dojść do tego niewielkiego pomieszczenia, należało przejść przez całą halę magazynową. Mijając po drodze یرatunki i stopy worków z otrębami, już za dala słychać było wysoki, pośpieszny, wydobywający się jakby bez dechu głos pana Müllera. Zawsze mówił jak ktoś, kto się boi, że już wkrótce nie będzie mógł powiedzieć i dlatego korzysta z ostatniej okazji. Gdy otwierało się drzwi, przerywał nagle w półzdania, aby poinformować przybysza o czymś, o czym trzy, cztery lub osiem czekających w kolejce przed zdążyło się już dowiedzieć: że spóźni bezsensowne noce z powodu chorych owiec, że zepsuła się studnia lub że przymrocz zniszczył sadzonki pomidorów. O czymkolwiek by nie mówił, ciągle się żalił. Był, gdyby mu uwieryć, wręcz naznaczony cierpieniem. Nie istniała taka praca, która przyniosłaby mu choćby najmniejszy dochód, bez względu na pogodę nawiedzały go wyłączone szkody, imalną się go każda choroba i tylko krążące w obiegu pieniądze, z których pewna część przeznaczona była przeciw dla niego, stale go unikały.

Początkowo byłem zdziwiony tym, jak spokojnie ludzie znosili długie oczekiwanie w kolejce; później pojąłem, że ta pozorna

cierpliwą w rzeczywistości była rezygnacją. Zdawali sobie sprawę z bezcelowości jakiegokolwiek formy protestu i poddawali się potęgę słowotoku. Ani prośby ani błagalne zakłęcia nie mogły skłonić go do przypięszenia akta sprzedaży, nawet ostre słowa, wypowiedziane, aby przerwać potok mowy, nie prowadziły do pożądaných rezultatów. Patrzył wtedy prawie przestraszony na tego, kto mu przemawiał, mruczał pod nosem: „Tak, oczywiście, natychmiast!” — zaczynał po omacku szukać okularów, ale zanim je znalazł, zapomniał już o strachu! — na nowo rozpoczętą tyradę skarg: słaby wzrok był przecież punktem wyjścia dla niektórych niecierpliwych, jakie go nawiedzały. Roządnienie się nie okazywało zniecierpliwienia było raczej poświęcenie uwagi guśnikom, narzędziom, farbom i nazwom na półkach lub też wzajemnym rozmowom, dopóki nie przebrzmiały żale pana Müllera. Gdy skargi cichły, a pan Müller brał do ręki okulary lub długopis, by dopełnić akta sprzedaży, wciążądz musieli również rozmowy, gdyż każdy wyraz, jaki do niego dochodził, wywoływał nową potokli słów.

W tym czasie pomieszczeniu panowała więc zupełna cisza, gdy pan Müller pochylał się w końcu nad blokiem rachunków. Po włożeniu kalki długopis zatrzymywał się i pan Müller podnosił się raz jeszcze, aby spytać obecných o datę. Przyglądał się potem przedmiotowi, który miał zostać sprzedany, jak gdyby nigdy go jeszcze nie widział. Półgłosem odczytywał nalepki. W tym momencie zachodziło duże niebezpieczeństwo, że czynność jego ponownie zostanie przerwana. Jeżeli bowiem z towarem jakiś czynił już doświadczenia, to zaraz je oburznie omawiał. Jeżeli mimo takiego ostrzeżenia klient obstawał przy zakupie, rozpoczynała się piśmienna część transakcji, traktowana przez pana Müllera bardzo sumiennie. Towar należało opisać jak najdokładniej. Gdy po godzinnym oczekiwaniu zdobywało się na jego przykład torebkę nasion marchwi, to nie poprzestawał na krótkiej formie „nasiona”, lecz pisał: nasiona (marchew), rodzaj: wczesne wielkie, opakowanie: podwójne, 0,40 M. Pomyła była data, poniżej jego podpis. Gdy nabycya powiadał własnym podpisem odebranie towaru, rachunek i kopia oparywana była pieczątką. Posiewając pan Müller nie tylko że pisał wolno, ale i dużymi literami, to przy większych zakupach potrzeba było kilka rachunków. Nawet więc bez jego wiecznych żalów zakupy u niego trwały długo.

Gadatliwość pana Müllera nie wynikała bynajmniej z potrzeby nawiązywania kontaktów. Innymi ludźmi nie interesował się bowiem do tego stopnia, że w ogóle nie słuchał, gdy coś mówili. Wieczory i dni wolne spędzał sam (nie licząc jego owiec i kur). Nie miał też w zwyczaju zdręzczać słuchaczy swoim zyciorysem, chociaż ważniejsze fragmenty pojawiały się w trakcie jego skarg, tak że o jego biografii klienti byli dobrze poinformowani. W Nowej Marchii, zaraz za Odrą, posiadał wczesniej gospodarstwo — tak duże i zasobne oczywiście, jak żadne z tutejszych. Po wojnie zaczynał na nowo jako gospodarz i zaraz po kolektywizacji przeszedł na emeryturę, jeden z tych spokojnych ludzi, co to w dzieciętną pielegnął ogródek, dwie godziny spędzają w gospodarstwie, a wieczorem siedzą przed telewizorem. Dopiero po (ale nie na skutek) śmierci żony stał się tym

nieznoimym starcem, który nie tylko ciągle skarżył się na ogrom pracy, jaką sam sobie stwarzał, ale też i na brak pieniędzy — co było śmieszne, gdyż każdy wiedział, że emerytura, pensja i zyski z hodowli owiec, gęsi i kurczaków oraz uprawy szparagów i pomidorów składały się na niezły dochód. To mu jednak nie wystarczyło. Przygotowywał też hodowle pieczarek, do której jednak nie doszło. Wynajął komuś dom, który wczesniej zohydził swojemu żonatanemu synowi, i przeniósł się do letniej kuchni. Jeżeli prawdą jest, to co ludzie opowiadają (ja sam nigdy u niego w domu nie byłem), mieszkał tam razem z jagniatami i kurczakami.

Kartkę z napisem: „Zamknięte z powodu choroby!”, którą po powrocie z podróży znalazłem przyczepioną do sklepowych drzwi, napisał jeszcze własnoręcznie. Umarł w miedzianych wieku osiemdziesięciu jeden lat. Bez specjalnego współczucia, ale trafnie mówiono we wai: zaharował się na śmierć. Syn, który oczekiwał ogromnego spadku, był rozczarowany. Każdemu, kto chciał słuchać, opowiadał, że stan konta jego ojca wynosił osiemdziesiąt siedem marek i osiemdziesiąt siedem fenigów. Ta symetria liczb szczególnie go, jak się zdawało, irytowała.

Gdy zagadka została rozwiązana, stało się jasne, że żąda pieniędzy zwyciężyła nad emeryckim błogosławieniem w roku, kiedy to możliwe stały się bezwznowe podróże do Polski. Pomyśl, aby pojechać do Polski, nie zrodził się w nim sam. Pan Kühn, jego były sąsiad musiał go namówić do wspólnej podróży. Obydwie wsie, w których spędził rozdarłe połowy swego życia, dzielił pół godziny jazdy samochodem. Pewnej letniej niedzieli po obiedzie Kühn zabrał pana Müllera, a na kolejną był już z powrotem. Po przełamaniu początkowej nieufności i trudności w porozumiewaniu się zostali uprzejmie przyjęci i ugoczeni. Młode małżeństwo, które rok wcześniej przejęło stare gospodarstwo pana Müllera, znało trochę niemiecki. Pan Kühn, który czuje się nieco winny, próbuje wyjaśnić tę sprawę używając słowa „szok”. „Był to szok”, mówi, „że prawie nie się zmienilo. Oprócz błędnego tyunku od frontu i nowego plotu wszystko było po staremu, nie było żadnych nowych zabudowań. Stoją jeszcze drzewa, które zasadziłeś, tylko piękniejsze, większe, drabina wisi ciągle jeszcze na tym samym miejscu, czarna kłama i drzwi kuchennych, która sprawiała ci jako dziecku tyle trudności, ciągle jeszcze ciężko się obraca; nawet czarny kot wylegujący się w słońcu na schodkach wygląda przypadkowo zupełnie jak twój”. To wszystko tak go chyba uderzyło, że całkiem zapomniał o swoim własnym dziecku.

O tym że pan Müller postanowił, aby w ostatnich latach życia zaharowywać się dla gospodarstwa, które nie należało już do niego, zdecydowało chyba to, że nowi właściciele poprosili go o radę. Obara, która stała na bagnistym podłożu, już czterdzięci lat temu chyliła się ku upadkowi. Teraz pięknicia w ścianach stała się niebezpieczna. Dużo pieniędzy ci młodzi ludzie nie mieli. Rozbiórka i budowa nowej obory byłaby tańsza niż remont.

Czy pan Müller już tego pierwszego dnia obywatela dolożył swoją częścią do kosztów budowy, tego pan Kühn nie wie, wie jednak na

pewno, w jaki sposób te setki marek przodostały się za granicę — nie chce tego jednak zdradzić. Zawsze się opierał, mówi pan Kühn, przed wożeniem Müllera na drugą stronę, ciągle jednak to czynił, naturalnie na koszt Müllera. Wyrzuty też mu zawsze tobił, ale ten nigdy na nie nie reagował, tylko w czasie jazdy uskarżał się na ciężką, przynającą niewielki dochód pracę.

Nigdy nie byli dłużej po drugiej stronie Odry niż dwie godziny, radość lub choćby zadowolenie także nie uwidaczniały się na obliczu pana Müllera, gdy obserwował postępy budowy. Nasuwał się nieodparte wrażenie, że spełniał jedynie uciążliwy dla siebie obowiązek.

przełożył Marek Dziuba

GÜNTER DE BRYUN, ur. w 1926 r. w Berlinie, w 1943 r. jako matryzta powołany do służby w wojskach pomocniczych Luftwaffe, krótki pobyt w obozie jenieckim, po wojnie pracował jako robotnik rolny, ukończył następnie studium naukowe, w latach 1949—1953 studiował bibliotekoznawstwo i po studiach pracował zawodowo jako pracownik biblioteki, w latach 1953—1961 pracownik naukowy w Centralnym Instytucie Bibliotekoznawstwa w Berlinie, od 1961 r. literat. Mieszka w Berlinie. Autor powieści, opowiadań, esejów, słuchowisk radiowych, wydawca.

Opowiadanie *Pan Müller, ur. w tej i tamtej stronie Odry* ukazało się w zbiorze opowiadań *Rubylon, Erzählungen*. S. Fischer Verlag, Frankfurt am Main 1992.

Książki nadesłane

Osirodek Kultury i Sztuki, Wrocław

Biblioteka Wrocławskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Seria III:

Urszula M. Benka: *Córka socy*. Poezje. Str. 63.

Ernest Dyrczek: *Termyt. Opowiadania*. Str. 63.

Anna Janko: *Zabici czarni długo stoją*. Poezje. Str. 63.

Piotr Klimczak: *Wąpierz spożyżona*. Poezje. Str. 42.

Maciej Niemiec: *Male wiersze 1976—1994*. Str. 40.

Adam Popawa: *Koncert na salwenty*. Poezje. Str. 29.

Zielona granica. Polska-saksońska antologia poetycka. Die grüne Grenze. Polnische -Sächsische Anthologie / Gedichte. Wybór i opracowanie Ernest Dyrczek. Str. 121.

At kłoda języnie i mi
Nicoz promiennik
nie czoła kształtowanie
Rozdział 1
Wieloznaczne
Jako kwadrat, przystający do

BENEDIKT DYRCLICH

Jezyk mojej matki

Nie wymyśliłem cię

Juz byłeś

Od dnia moich urodzin

Rosłeś wraz z mną

Jesteś skórą moich lat

I rytmem pór roku

Bywasz miękki jak aksamit

I twardy jak kamień

Ty mój dwójjędyny

Niepowtarzalny

Próbowano nas rozdzielić

Wypędzić mnie z ciebie

Słowa naszych pieśni

Zamykano w lodowatych izbach

Aż wybuchłeś

Otworzyłeś mnie

I stałem się twój

Pokazuje rany

Choć są one ukryte

Pod kostiumem

(który łatwo zmieniacz)

Nie jesteś zgrzebną koszulą

Wychodzisz ze skóry

Jesteś niczym biel mojej matki:

I uwalniasz

Moją nadzieję

Mój ojciec

W drewniakach przy maszynym stole

Jego niebieski fartuch. Nie liczy

Uderzeń w głowę dłuta:

Ostrze wdziarsz się w ciało

Suchej lipy

Aż kłoda jęknie i z ust
Nosą oczu przemawia krwem
Na czole rzeźbięcego pojawia się pot
Ręce drżą krzykiem
Jego duszy: ukrzyżujcie go, ukrzyżujcie!

Przykłada duto, struga dalej, biczuje
Siebie i drewno — już widać
Leżące gładkie ciało — rozciągnięty
Wizerunek na stole rzeźbiarza
I serce wspólnie coraz bardziej pulsuje

Aż życia lancę złamie zmęczenie
Widok łaki w oknie przestaje cieszyć
I palce puchną boleśnie (jeden
keiuk już dawno stracił jako stolarz)

Ojciec zamyka pracownię i przez podwórze
Idzie do matki...

Sto godzin trudu to jakby na krzyżu
Wspólne umieranie — jeszcze ostatni gwóźdź
Wbiją w prawicę i całą męką wśród wsi zwiast
Tak martwy korpus na krzyżu
Jest naszym życiem

Pokój w którym umarł Iwan Franko

Odmawiasz przyjęcia Świętych Olejów
Żądaś tylko światła
Więcej świata

Słyszysz twój głęboki oddech
W ostatniej godzinie
Życia

Równocześnie za oknem
Słychać jak roślinie jarzębina
Jak wystrzelona z procy
Pnie się do góry
Spod konarów rozłożystego dębu

Woła o słońce
Dla siebie
I wszystkiego
Co z prochów powstało

W jej krzyku słyszysz głos
Moich braci — mojego narodu

Przez stulecia

Nie mógł podnieść się z kolana
Wzrostem i siłą — walczył z ciemnością

Zamykasz oczy

Na zawsze:

Ja wciąż słyszę twój oddech

Gniezno

Otwierasz kolejne katakumby
Co zakazane wychodzi na światło
Mieszko i Bolesław Chrobry powstają
Idą z nami
Przekraczają kute w brązie drzwi katedry

Przed sfiatygowanym głównym ołtarzem

Intonujesz

Znaną pieśń

Jeszcze Polska nie zginęła

W twoje ręce składam życzenia

I zawiązuję supełek pamięci

Niech święty Wojciech

Nadał cię ukrzydła

A na mnie splynie

Twoje wszechogarniające

Zaufanie

Wyznanie z B.

Dzisiaj jak sądzę

Można już mówić prawdę

Bogaćto i bieda

Są źródłem nowego porządku

Kto to powieidiał?

Czy wcześniej nie mogłeś sprzeciwić się złu?

Gdy sąsied twój musiał milczeć (musiał)?

Wszyscy milczeli

Trzymali język za zębami

Ślepi na to co działo się dokoła

Uciekaliśmy w marzenia

Tajemniczy Budziszyn — żył poezją zamkniętą w czterech ścianach

Aby ten drugi Budziszyn nie wysł z rozpaczki —

Dziś mówimy że słyszełmy jego krzyk

We wspomnieniach nawet smutek wydaje się wątpliwy

przełożył Waldemar Michalski

BENEDIKT DYRLICH — poeta, prozaik, dramaturg, obecnie redaktor MDR — urodził się w 1950 w Neudorf. Mieszka w Bautzen (Badziszyn). Uczęszczał do lużyckiego Liceum Politechnicznego w Rakełwitz. W latach 1968—1970 studiował teologię w Filozoficzno-Teologicznym Studium w Erfurcie. Pracował m.in. jako piekarz. Współpracował z Lużyckim Teatrem Ludowym w Bautzen jako dramaturg. W roku 1980 ukazał się Wzrost Sokoła Teatrzałm im. Hansa Otto w Lipsku i od tego czasu pracuje w Niemiecko-lużyckim Teatrze Ludowym w Bautzen. Pisze w języku lużyckim i niemieckim.

Opublikował w języku lużyckim: *Zielne hubki*, wiersze, 1975; *Trzeci wołko*, wiersze, 1978; *Nocakowanie*, wiersze, 1980; *W paszliach*, wiersze i proza liryczna, 1986. W języku niemieckim: *Zielne pocalunki*, wiersze; *Palenie czarownic*, wiersze, 1986; *Latające jaskółki*, wiersze, 1994.

Opublikował w języku niemieckim: *Wzrost sokoła*, wiersze, 1980; *W paszliach*, wiersze i proza liryczna, 1986; *Zielne pocalunki*, wiersze, 1986; *Latające jaskółki*, wiersze, 1994.

IV Ogólnopolski Konkurs Literacki

EKOART '95

o Grand Prix Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Warszawie

1. Organizatorem konkursu jest Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury (Grupa Literacka „Wers”) przy współudziale instytucji i urzędów centralnych i wojewódzkich zajmujących się ochroną środowiska.

2. Celem konkursu jest podjęcie szeroko rozumianego problematyki ekologicznej, dotyczącej zarówno naturalnego środowiska człowieka, jaki i jego przetrzyszczenia psychologicznej warunkowanej przyrodą lub wytworami cywilizacji technicznej. Organizatorem zależy na uzyskaniu utworów literackich o niepowtarzalnych walorach artystycznych, które nie tylko będą diagnozować rzeczywistość, a w niej rolę człowieka, lecz przede wszystkim oddziaływały na wrażliwość odbiorcy.

3. Konkurs ma charakter otwarty. Mogą w nim wziąć udział obywatiele związków twórczych nie stowarzyszeń, nadających zestaw pięciu utworów poetyckich lub pięciu miniatur prozatorskich albo opowiadanie objętości do 12 stron znormalizowanego maszynopisu.

4. Jury rozpatrywać będzie wyłącznie prace przedłożone w formie maszynopisu oraz w pięciu egzemplarzach kładka i opatrzone godłem. Do zestawu należy dołączyć zaklejoną kopertę, sygnowaną tym samym godłem, zawierającą imię i nazwisko autora oraz jego dokładny adres.

5. Jury przyzna nagrody i wyróżnienia w łącznej wysokości 65 mln starych złotych.

6. O terminie i miejscu rozstrzygnięcia konkursu organizatorzy powiadomią — tylko laureatów — odrębnym piśmie.

7. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do publikowania wyróżnionych i nagrodzonych utworów w prasie, radiu i telewizji bez prawa do honorariów.

8. Biuro organizacyjne mieści się w Górnym Słowa i Obrata, 50-428 Wrocław, pl. T. Kościuszki 16, tel. (0-71) 349 52, pod ten adres można nadysłać prace w terminie do 15 października 1995 r.

Wzruszenie nagród i wyróżnień nastąpi w listopadzie 1995 roku.

GÜNTER GRASS

ALEKSANDER I ALEKSANDRA*

Przypadek postawił widowca obok wdowy. A może przypadek nie miał nic do rzeczy, ponieważ jak historia zaczęła się w Zadzusku? W każdym razie wdowa była już na miejscu, kiedy wdowiec potknął się, stracił na chwilę równowagę, ale nie upadł.

Stanął obok niej. Numer butów czterdziestki trzy obok numeru butów trzydziestki siedem. Przy straganie chłopki, który ofrował zebrane w koszyku i rozpostarte na gaście grzyby, do tego ciete kwiaty w trzech wiadrach, wdowiec i wdowa znaleźli się nawzajem. Chłopka przysiadła z buku hali targowej między innymi chłopami i płonem ich małych ogródków: selerem, brukwią wielkości dziecięcej główki, szczypiorkiem i burakami.

Jego dziennik potwierdza, że było to w Zadzusku, i wyjaśnia numery butów. O potknięcie przypisał go brzeg chodnika. Ale słowo „przypadek” u niego nie występuje. „Tę dnia i o tej godzinie — z wybiciem dziesiątej — zetknęło nas chyba zrządzenie losu...” Jego starania, żeby ukonkretnić treść, niemo podniecając osobę, dają mglisty efekt, podobnie jak podejmowane kilkakrotnie próby określenia koloru jej chustki na głowie: „Nie była to włócznia tundra, raczej brunatność ziemi niż czerni torfilla...” Lepiej wychodzą mu cęgly klastor-nego muru: „Całe w strupach...” Reszcie muszę sobie wyobrazić.

Zaledwie parę gatunków ciętych kwiatów stało jeszcze w wiadrach: dalia, astry, chryzantemy. Koszyk wypełniali podrzywki brunatne. Cztery czy pięć nadgryzionych przez ślimaki podrzywkiwo leżało rzędem na tytułowej stronie starego egzemplarza lokalnej gazety, „Głosu Wybrzeża”, ponadto pęczek pietruszki i papier do zawijania. Kwiaty były trzeciej jakości.

„Nic dziwnego”, pisze wdowiec, „że stragany pod Hałą Domini-kańską wydawały się tak marnie zapatrzone, ostatecznie w Zadzusku kwiaty mają wzięcie. Już poprzedniego dnia, na Wszystkich Świętych, popyt jest często większy od podaży...”

Chociaż dalej i chryzantemy wyglądały okazałe wdowa zdecydowała się na astry. Wdowiec pozostał niepepny: „Nawet jeśli do tego właśnie straganu zwabimy mnie zaskakująco późne prawniki i podrzywki, to przecież po krótkim przetrzyszczeniu — a może było to bicie dzwonów? — uległem szczególnego rodzaju pokusie, sile przyciągania...”

* Początkowo fragmenty powieści pt. *Wrobley kunka*

Kiedy wdowa z trzech lub czterech wiader wyciągnęła pierwszego, potem następnego, niezdecydowanie trzeciego astra, odłożyła kwiat, żeby wymienić go na inny i z kolei wyjąć czwarty, który także trzeba było odłożyć i zastąpić, wdowie zaczął też wyciągać astry z wiader i wymienić je wybrednie jak wdowa, przy czym wyciągał rdzawo-czerwone, jak ona od początku wyciągała rdzawoczerwone; bądź co bądź do wyboru były jeszcze bladofioletowe i białawe. Ta kolorystyczna zgodność otumaniała go: „Jakaż cicha harmonia! Podobnie jak ona szczególnie lubię rdzawoczerwone astry, które płoną sobie spokojnie...” W każdym razie oboje zawzięli się na rdzawą czerwień aż do chwili, gdy w wiadrach nie było już po niej śladu.

Ani wdowie, ani wdowcowi nie starczyło na bukiet. Ona miała już wrzucić swoją skąpą wiązkę do jednego z wiader, kiedy zaczęło się coś, co zowie się akcją: wdowie odstąpił wdowie swą rdzawoczerwoną zdobycz. On podał, ona wzięła. Milczące przekazanie. Już nie do cofnięcia. Nieugaszenie płonące astry. Tak skojarzyła się para. (...)

Tam więc, między Dominikańską Halą Targową a Świętym Mikołajem, naprzeciw osmioletniego „Nosu w Garach”, znaleźli się wdowie i wdowa w czasach, kiedy to ręcznie wymalowany szyld z napisem „Kantor” obwieszczał, że na parterze wieży obronnej mieści się punkt wymiany walut. Ciągły ruch leżnej klienteli i łupkowa tablica przy wejściu, na której dolar amerykański w stosunku do miejscowej waluty co godzina drożał i drożał, świadczyły o powszechnej bryndzy.

— Czy wolno mi? — Tak zaczęła się rozmowa. Wdowie chciał zapłacić nie tylko za swoje, również za jej astry, teraz już jeden bukiet, i wyciągał banknoty z portfela, niepewny wobec tak zasobnych w zera pieniędzy. Wdowa odpowiedziała z polskim akcentem: — Nie panu nie wolno.

Być może fakt, że odezwała się w obcym języku, przydał owemu zakazowi dodatkowej ostrości, i gdyby dorozucane zaraz spostrzeżenie: — Wysej! — to jednak całkiem ładny bukiet — nie otworzyło właściwej rozmowy, przypadkowe spotkanie wdowa z wdową można byłoby porównać ze spadkiem kursu złotychki.

Pisze on, że jeszcze podczas gdy wdowa plaćcia, wywiązała się rozmowa o grzybach, zwłaszcza o późnych, spóźnionych prawdziwkach. Lato, które nie chciało się skończyć, łagodną jesienią wymieniono jako przyczynę. „Ale kiedy powołam się na globalną zmianę klimatu, ona po prostu mnie wyśmieła”.

W bezchmurny lub lekko zachmurzony listopadowy dzień stali oboje zwróceniu ku sobie i nic nie mogło odebrać ich od straganu z kwiatami i od prawdziwków. On zapatrzył w nią, ona w niego. Wdowa śmiała się często. Jej z polską akcentowaną zdania poprzedzał lub kończył śmiech, zdawało się: nieuzasadniony, zwykły dodatek przed albo po. Wdowcowi spodobał się ten nieomal przeraźliwy śmiech, bo w jego papierkach figurują zdania: „Jak dzwonił! Nieraz aż strach brzytno, pewnie, jednakże lubię słuchać, jak się śmieje, nie pytając o przyczynę jej częstego rozchawiania. Być może śmieje się za mnie, wyśmiewa mnie. Ale i to, że jestem dla niej śmieszny, podoba mi się”. (...)

On chciał nieść siatkę. Ona mocno trzymała. On prosił o to. Ona odmawiała: — Najpierw zrobić prezent, a potem jeszcze taszczyć.

Drobna sprzeczka, no odroczenie się, w trakcie którego zawartość siatki nie mogła doznać uszczerbku, trzymała parę pod halą targową, jak gdyby oboje nie chcieli, jeszcze nie chcieli porzucić miejsca spotkania. Raz on jej odbierał siatkę, to znów ona jemu. Nie wolno mu było nieść również astrów. Sprzeczał się jak dobrze zgrana, znająca się od dawna para. W każdej oboje mogliby zaśpiewać duet, już bym wiedział, pod czujną muzykę.

A wdowów nie brakowało. Niemo przylądala się straganiarka. Wokół świadkiem było wszystko: osmioletnia wieża obronna, jej najnowszy sublokator: zatłoczony kantor walutowy, z boku rozłożona szeroko, jakby rozgęta od wycieków hala targowa, posępny Święty Mikołaj, chłopki z sąsiednich straganów i potencjalna klientela, bo pomiędzy tym wszystkim kłębł się i przewalał biednie wsluchany tylko w powszednie kłopoty tłum ludzi, których nieduże pieniądze co godzina traciły na wartości, podczas gdy wdowa i wdowie dojrzeli w sobie najzajem dodatkowy zysk i nie chcieli od siebie odstąpić.

- Muszę jeszcze pójść gdzieś indziej.
- Gdyby wolno mi było towarzyszyć pani.
- No, to spory kawalek.
- Byłaby to dla mnie prawdziwa przyjemność...
- Ale ja muszę na cmentarz...
- Jeżeli nie będzie zbytnio przeskadzał...
- No, to chodźmy.

Ona niosła bukiet astrów. On w siatce na zakupy niósł grzyby. On chudy, pochylony. Ona stawiająca krótkie, rozbrzmiewające twarzym stukotem kroki. On ze skłonnością do potykania się, lekko podwlecący nogami i o dobrą głowę wyższy od niej. Ona niebieskooka w odcieniu farбки, on dalekowiedz. Jej włosy ufarbowane na tytanowski blond, jego szpakowaty wąsik. Ona zabrała ze sobą zapach swych natarczywych perfum, on przytulony sprzeciw swojej wody po goleniu.

Oboje zniknęli w ciżbie pod halą targową. Nie było już też widak baskińskiego beretu wdowa. Na krótko przed wycieciem jedenastej z wieży Świętej Katarzyny. A ja? Ja muszę podążyć za parą. [...]

Żeby skrócić dalszą drogę obojga na cmentarz: pałac wdowa poprowadziła wdowca ze śródmieścia przez wiadukt, który od czasu zburzenia obwarował i zbudowania Dworca Głównego ma pod sobą wszystkie tory kolejowe prowadzące z Danzigu lub Gdańska na zachód bądź biegnące z zachodu do Gdańska lub Danzigu. Jako że w notatkach wdowca przeplatają się dowolnie nazwy polskie i niemieckie, trzymam się jego niezdecydowanego nazewnictwa, nie mówię Brama Oliwska, tylko: wdowa poprowadziła go ze śródmieścia do przystanku tramwajowego Olivera Tor, potem ze skracającą w lewo szosą do Kartuz w górę łagodnie wznoszącym się stożkiem Hagelsbergu do stacji benzynowej dla jeżdżących na benzynie bezolowiowej turystów, naprzeciw której leży stary, ocieniony przez buki i lipy cmentarz służący dawniej parafianom Bożego Ciała, więc

Świętego Józefa i Świętej Brygidy, a na zachodnim skraju kilku pozakościelnym wspólnotom. Będąc już od przelipzenia, zdawał się nieczynnny. Żadna otwarta brama nie dawała przystępu. Szi wzdłuż obrosłego krzakami plotu. Naprzeciwko sąsiędnego cmentarza wojskowego na wznoszącej się łące z pomnikiem ku czci Armii Czerwonej, na którego przedpola grał w piłkę tużin wyrostków, znajdowała się znana wdowca dziura w płocie.

— I wtedy — ledwie stanęli pod drzewami i potóró pojedynczych i podwójnych grobów — wdowiec formalnie przedstawiał się wdowie: — Pozwoli pani, że się przedstawię, naturalnie o wiele za późno: nazywam się Aleksander Reschke.

— Jej śmiech potrzebował czasu i musiał, zwłaszcza między rzędami grobów, wydać mu się niestosowny, wyjął się jednak, kiedy ona, wciąż jeszcze się śmiejąc, odwróciła się: — Aleksandra Piątkowska.

— W brulionie Reschkego ten zapis przypięcztowuje zrzęczenie losu. Cóż z tego, że jego relacjonującemu tylko koleżce szkolnemu — musieli nas wcisnąć na jedną ławę w przedostatniej klasie — ta równobrzmiennie wydaje się zbyt harmonijna, odpowiednia co najwyżej dla śpiewogry według znanego pierwowzoru, stosowaa dla basinowych postaci, ale nie dla tej skojarzonej przez przypadek parę: trzeba jednak pozostać przy Aleksandrze i Aleksandrze, ostatecznie jest to ich historia.

— Ale również wdowa i wdowę, jaki ich dotychczas nazywałem, nawet jeśli nie mogli być świadomi tego, że spotkali się jako ludzie owdowiali, bliskość imion zapewne wystraszyła. Chcąc zaznaczyć swą niezależność, Aleksandra Piątkowska ruszyła w drogę między kwatery. Zniknęła za nagrobkami, wyłoniła się ponownie, znów zginęła z oczu, oddalała się; a Aleksander Reschke również zachowywał odstęp. Czapał po omalzbęd ścieżkach, gdzie szeleściły jesienne liście. Jego buskinki berat zaslony, znów widoczny. Łakby bez celu zatrzymywał się przy tym, przy owym nagrobku: dużo diabału i wypolerowanego na wysoki połysk granitu, mało piaskowca, marmuru i muszlowca.

— Wszystkie nagrobki pod polskimi nazwiskami podawały daty śmierci od końca lat pięćdziesiątych, z wyjątkiem owych licznych, ciągnących się rzędami w polozonej na uboczu kwatery grobów dziecięcych z roku 1946, roku zarazy: drewniane kryzje i kamienie nagrobne w kształcie poduszec. Cisy pod cmentarnymi drzewami nie miały dalekie wraźki grających w piłkę wyrostków, nie docierały nawet odgłosy ze stacji benzynowej. Czytam: „Tutaj na nowo uświadomilem sobie sens wyrażenia cmentarny spokój”.

— Jednakże Aleksander Reschke prowadził poszukiwania. Znalazł na skraju cmentarza dwa przekrzywione nagrobki, późnej dwa dalsze, całkowicie zarośnięte, i miał kłopoty z odczytaniem na nich czełkowliek. Odległymi w czasie datami śmierci — od początku lat dwudziestych do połowy czterdziestych — i inkrupcjami nad nazwiskami — „Tutaj spoczywa w Bogu”, „Śmierć jest bramą życia” albo „Tu leży nasza kochana Mama i Babcia” — przypomniały o czasie zaprzestaliśmy tego miejsca wiecznego spoczynku. Reschke

odnotowuje: „Także te nagrobki ze zwykłego tu materiału: diabał i czarny granit szwedzki”.

— Na chwilę zostawiam go przy ociałych nagrobkach. Pani Piątkowska pewnie tymczasem wstawiła bukiet astrów do wazonu na grobie swych rodziców. Twierdzi, że ta podwójna mogiła, okolona bukszpanem, jest mniej zaroięta niż mogiły sąsiędnie. Ojciec zmarł w pięćdziesiątym ósmym, matka w sześćdziesiątym czwartym. Oboje nie dożyli siedemdziesiątki. We wszystkim kwaterach mogą zaobserwować zaduszkowy ruch: tu i ówdzie zapalone znicze na grobach świadczyły o tym, że odwiedził je ktoś, kto już sobie poszedł.

— Ale wdowa i wdowiec nie rozglądali się wokóło.

— Byłam u mamy i taty. Mój mąż leży na leśnym cmentarzu w Sopocie. — Powiedziała to Aleksandra Piątkowska stając obok Aleksandra Reschkego, którego ociałe nagrobki odstawały od teraźniejszości; głos rozbrzmiewający z boku i zza pleców pewnie go przetrząszył, w każdym razie przywołał do rzeczywistości.

— Znowu para. Ponieważ ona wyjawiała mu swoje wdowieństwo, powinien był i on powiedzieć o śmierci żony, a również o wczesnej, zbyt wczesnej śmierci rodziców, ale także o swoim zawodzie, poinformował, że jest doktorem historii sztuki i profesorem wykładającym w Zagłębiu Ruhry, w imię dokładności nie pominał tematu napisanej dziesiątki lat temu pracy doktorskiej. „Płyty nagrobne i epitafia w gdańskich kościołach”, i dopiero teraz, zniecałca, wspominał o śmierci żony: — Edith zmarła pięć lat temu.

— Wdowa milczała. Potem podszła bliżej, jeszcze o krok bliżej do przekrzywionych nagrobków, które były dla wdowca godne uwagi. Nagle i jak na to mięjsce zbyt głośno wybuchła: — To wstyd dla Polaków! Usunęli wszystko, gdzie było coś napisane po niemiecku. Tutaj i wszędzie. Także na leśnym cmentarzu. Nie chcieli zmarłych zostawić w spokoju. Wszystko po prostu zrównali z ziemią. Już wkrótce po wojnie i później. Gorsz jeszcze niż Rosjanie. I to, zbrodniarze, nazywają polityką!

— Śledząc zapiski Reschkego widzę, że próbował on uspokoić wzburzoną wdowę podając jako przyczynę, w tej mniej więcej kolejności, najazd na Polskę, konsekwencje wojny i że wszystkich stron przesądnie akcentowany nacjonalizm. Naturalnie niszczenie cmentarzy granicy z barbarzyństwem. Również jemu, musi to przyznać, na widok takich zapominających nagrobków robi się smutno. Z pewnością należy sobie życzyć bardziej ludzkiego obchodzenia się ze zmarłymi. W końcu grób to ostateczny wyraz człowieczeństwa. Ale bądź co bądź w dużej mierze uchroniono przed wandalizmem płyty na grobach patryjuszowskich rodów niemieckiego pochodzenia we wszystkich ważniejszych kościołach, także w kościele szpitalnym w werwaniem Bożego Ciała. Nie, nie, no rozumie jej trudny do utmierzenia gniew. Blisko mu jest pragnienie pewności, że groby najbliższych znajdują się w dobrym stanie. Za pierwszą po wojnie bytnością w Gdańsku — „To było wiosną pięćdziesiątego ósmego, kiedy siedziałem nad moją pracą doktorską” — chciał odwiedzić grób dziadków ze strony ojca na ongiś Zjednoczonych Cmentarzach. O tak, to było straszne: zobaczyć to szpustozone, nawiedzone jakby

przez nieokreślaną żółśliwość miejsc. — Ten widok! Niech mi pani wierzy, pani Piatkowska, że rozumiem pani oburzenie. Mnie stać było tylko na smutek, który został zrealizowany przez fakty z czasem już historyczne. W końcu to my pierwsi dopuściliśmy się tego barbarzyństwa. Nie mówię o wszystkich innych ogromnych zbrodniach...

Para zdawała się stworzona do takich rozmów. On opowiadał wysoki ton podniosłej mowy; ona potrafiła wiarygodnie wpaść we wściekłość. Pod stercami wysoko, wyrosłymi na przekór wszelkim politycznym perturbacjom bukami i lipami, które pożywały się liści, i w obliczu obu przekrzywionych nagrobków wdowa i wdowiec zgodzili się, że gdzieś, a już z całą pewnością na cmentarzach, musi kończyć się przekleta polityka. Mówi się przecież — zawołała ona — że ze śmiercią wróg przestaje być wrogiem.

Nazywali się wzajem panem Reschke i panią Piatkowska. Odpreżeni po obustronnych wyznaniach spojrzeli nagle, że w pobliżu i w oddali inni jeszcze ludzie składając kwiaty i zapalając znicze czcili pamięć swoich zmarłych. I dopiero teraz wdowa powiedziała to, co brulion wdowca utrwalił dosłownie: — Oczywiście mama i tata o wiele bardziej woleliby leżeć na cmentarzu w Wilnie, nie tutaj, gdzie wszystko było obce i obce pozostało.

Czy to było już owo elektryzujące zdanie? Czy też nad ich cmentarną rozmową nadal ciążyły usunięte nagrobne? (...)

Przełożył Sławomir Blaut

GÜNTER GRASS ur. w 1927 w Gdąstsku, po wojnie pracował na wsi i w kopalni potasu. W 1947 uczył się kamieniarstwa i rzeźby w Düsseldorfie. W latach 1948-1952 studiował w Düsseldorfie w Akademii Sztuk Pięknych u Magnsa i Pankowa, a w latach 1953-1956 w Szkole Wyższej Sztuk Pięknych w Berlinie u Karla Hartanga. Od 1956 zawodowo najwięcej się pisarstwem. Mieszka w Berlinie. Autor powieści, opowiadań, wierszy, dramatów, esejów, także grafi i rzeźbiar.

Aleksander i Aleksandra jest skróconym przez autora pierwszym rozdziałem powieści *Wroble kamuka. Opowiadanie*. Wydawnictwo Steidl, Göttingen 1992.

HALINA LUDOROWSKA

Christy Wolf drogi do tabu

Należąca do pokolenia „późnych debiutów” Christa Wolf (ur. 1929), jak wielu jej kolegow-równieży, weszła do literatury w początkach lat sześćdziesiątych (1960–65). O jej debiutanckim opowiadaniu *Moskauer Novelle* (1961) pamiętają dziś chyba tylko historycy literatury, nawet sama autorka po latach dość bezwzględnie skrytykowała ten utwór.

Twórczość Ch. Wolf rozpęta jest w dość symboliczny sposób między powieści *Niebo podzielone* (1963, polskie wydanie — r. 1966) a opowiadaniem w formie dziennika *Was bleibt* (*Co pozostanie?* — 1990) i ostatnio wydanym tomem esejów i próz dziennikowej *Auf dem Weg nach Tabou* (*Na drodze do Tabu*, 1994); jej sens najlepiej da się odczytać w kontekście podzielonych i znowu zjednoczonych Niemiec.

Dotychczas główne tematy czerpała Ch. Wolf z rzeczywistości NRD, z NRD-owskiej „przeszłości komunikacyjnej”. Wyznaczyły one równocześnie potencjalnego odbiorcę jej przesłania. Właśnie, przesłania, bowiem z biegiem lat utwory jej nabrały moralizatorskiego rozmachu, przysparzając autorce sławy, także daleko poza granicami kraju. Układa się ta twórczość w sposób meandryczny; autorka podejmuje wielokrotnie udane próby rozbięcia romantyzmu tabu niejako „od wewnątrz”, nie ubierając się w szaty mecenacka reżimu, ale też nie stała się, jak wielu jej kolegów ze świata literatów, jedynie pisarką dworską. Już pierwsza powieść uruchomiła „miejscą między wierszami”: temat mura berlińskiego i sieceży i NRD (tzw. *Republikflucht*; i to nie z pozycji pisarza emigrującego, jak w przypadku U. Johnsoona). Tu też zaczęła się galeria wrażliwych postaci kobiecych: Rita poddała w chorobę społecznego nieprzystosowania, czytelnik został też alazynie powiadomionym o tym, że wypadek w fabryce wagonów kamufluje jej próbę samobójstwa. Druga taka postać jest tytułowa Christa T. z drugiej powieści. Jej wewnętrzna niezgoda na „przystosowanie” (do ideologicznych i politycznych warunków NRD doby Ulbrichta) kończy się śmiercią z powodu białaczki. Choroba przecina fascynację życiem i próbę zrealizowania przez bohaterkę własnego „ja”. Z kolei *W zorze dzieciństwa* stanowią rozprawę z pokoleniem młokosów ojców i ich przeszłością, oficjalnie uznaną za przewyciężoną. Christa Wolf stoczyła parę batalii z cenzurą. Powieść *Rozmyślenia nad Christą T.* (1968) przeleżała 3 lata, a wydrukowana najpierw w znikomym nakładzie była istotnie utworem spod lady. Opowiadanie *Mala wycieczka do H.*, rozprawiające się ze schematyzmem socrealizmu, ukazało się tylko w Niemczech Zachodnich (1974). W latach 1982-83 odbyły się żaźarte targi o ostateczny kształt tomu *Kassandra. Vier Verlesenen und eine Erzählung* (*Kassandra. Cztery eseje i jedno opowiadanie*) i wydanie NRD-owskie (w parę miesięcy po nakładzie zachodnio-

— G. Müller-Waldeck: „Sommermärchen” — jetzt gelesen. [w:] „Weimarer Beiträge” 1991, 2, 1, s. 140.

niemieckim, w specyficznych warunkach NRD jakby drugoobiegowo wyszło okrojone.

Twórczość Christy Wolf, choć ona sama jest nadzwyczaj wyuczona na wszelkie „wzorce” i stereotypy (por. powieści *Wzorce dzieciństwa*), próbowano do tej pory, niezręcznie gwałtownie (także i u nas) i nie zawsze sprawiedliwie, jako „zaklasyfikować”. Obciążając przez wiele lat z jej książkami i wprost własnym prac na ich temat w języku niemieckim pragnę zwrócić uwagę na jeden z wielu aspektów twórczości Christy Wolf: przepłatanie się jej życia z literaturą. Bo też mało kto, tak często jak ona, sięga po formy wypowiedzi najbardziej osobistej: dziennik intymny, pamiętnik, kronikę, list, opowieść o pierwszej osobie. Te formy wypowiedzi wypływały najczęściej z podjętej tematyki (jak np. eseje wokół *Kassandra* [1982], tekstu protestującego przeciw każdej wojnie, a zimnej w szczególności), czasem podążyła pisarka torem wyznaczonym przez największych twórców niemieckiego kręgu jejowego: Tomasza Manna, Maxa Frischa, Ingeborg Bachmann. Czytając postacista do jej późniejszych utworów (*Siefell, Sommerstück, Was blüht*) odnosi się wrażenie, iż zależy jej na tym, by czytelnicy identyfikowali je z wyraźnie określonym „tu i teraz”, z określonym społecznie „czasem”, a spośród niego wyłuski i autobiograficzną „chwile”, którą wcielają dla siebie lub swojej rodziny.

Wymiar jednostkowy i wymiar społeczny stają się w ten sposób w utworach Christy Wolf sakramentami samej prawdy psychologicznej. Czasem brzi ona: „Jak można równocześnie być obecnym i nie uczestniczyć, okropna tajemnica ludzi tego stulecia”¹. Twórczość ta do faktu zamknięta jest klamrą dwóch totalitaryzmów, ale próba rozrachunku z nimi przyprowadza pisarke wielu kłopotów, wywołując w końcu niezrozumienie wśród publiczności literackiej, zwłaszcza przede wszystkim w 1988 r. domagano się Nobla, teraz wytkano bezwładnie i dworskość. Ważniejsze było, że przez 35 lat *Stasi* znawczo ją przez kilka miesięcy za swą agentkę „Malgorzata” nit to, że potem przez ćwierć wieku była duchowym oparciem dla inteligencji, rozdarte między lojalność wobec NRD jako państwa a krytycyzm wobec jego ideologii.²

Opublikowana w 1976 r. powieść *Wzorce dzieciństwa* na tle ówczesnej literatury NRD była tekstem obrazoburczym. Sens owego zjawiska tak określili polski germanista W. Białik: *Tekst Christy Wolf jest tekstem przewrotnym, a jednocześnie na wskroś uciążliwym. Można by go nazwać, nawiązując do przywołanej tu już kilkakrotnie literatury obrazoburczą obrachunkiem z obrachunkiem. Jest to powieść, która dogły te jakoś obrachunki z niemiecką przeszłością, którą wydaje się pisarce problematyczną*³.

Bogaty aluzyjnie utwór Ch. Wolf dopuszcza znaczną wolność (i dowolność) interpretacyjną⁴. Nieprzypadkowo właśnie *Christa Wolf* często bywa pytana, czy nie popada w trudności z oficjalną polityką, ona to właśnie bowiem nie cofa się przed tematami, na które nie wazy

się waga i ona to właśnie pisze, „ryzykując, że zostanie błędnie zinterpretowana”⁵.

Dla większości czytelników, także dla wielu polskich czytelników, aktualnie nie bardzo już zainteresowanych wszelkimi obrachunkami, kontekst literacki, w jakim pojawiała się i funkcjonowała twórczość Christy Wolf, wydaje się rozdzielenie zamkniętym opatrzonej wyrazistą odą roku 1989. Władze z powodu tej wyrazistej ceury można zacząć przewartościować, jak pisze H. Orłowski, „ale nie za późno na ponowną rozważania lekturę”⁶.

Recepcja twórczości Ch. Wolf w Polsce przebiegała w dość naturalnie i niezakończony sposób, na szczęście nie podlegając atakowi mitologizacji, jak np. twórczość Güntera Grassa. Z perspektywy demokratycznych zmian w Europie piarstwo Ch. Wolf wydaje się zanadto „monokulturowe”. Urodzona przed II wojną światową w dzisiejszym polskim Gorzowie nad Wartą przeżyła tam zsenaszenie lat, ale ta faza życia nie stała się jej tematem, jak to miało miejsce w przypadku urodzonych na polczyźnie polsko-niemieckim piosarzy takich jak: Johannes Bobrowski, Günter Grass, Horst Bienek czy Siegfried Lenz. Powraca u niego tylko pewna topografia „miasta nad rzeką” (choć jest ono położone w różnych utworach w bardzo odmiennych miejscach, por. *Niebo podzielone*) czy obraz „sosen i piasków” (*Rozmyślenia nad Christą T.*). We *Wzorcach dzieciństwa* Landsberg to raczej miasteczko, z którego się ucieka, a nie do którego się stale powraca. Z tego powodu cudzoziemscy badacze nie identyfikują tej autorki z jakimś określonym regionem — symptomatyczną pomyłkę popełnia amerykańska germanistka, sytuując autorkę na... Śląsku! Pojawiają się tu u Christy Wolf „motyw polski” jest dosyć sztaplowo: bezwzględna podródo Polski, motywy typowy dla prozy NRD po r. 1970 (niekonieczność tu „podróż sentymentalna” do kraju dzieciństwa, bo akurat ten temat traktuje autorka ironicznie: *Kwitnie również, jak wiec, podróżowanie do na pół zatopionych krajów dzieciństwa, czy to ci się podoba, czy nie*)⁷. Inny, tajemniczy, epizodyczny motyw występuje w opowieści *Sommerstück* (*Latnia zima*, 1988): to historia mizajęjącej Polki, ofiary oboku koncentracyjnego, która pozostawała dwie córki: jedną (Polkę) koło Krakowa, drugą (Niemkę) w Meklenburgii. Propozując czytelnikowi polskiemu refleksję nad twórczością Christy Wolf należy złożyć, że wnikliwy odbiorca sam zwerfkuje pewne tezy tych książek. Spryja temu przede wszystkim wielość wydań utworów Wolf w naszym kraju. *Niebo podzielone* ukazało się trzy razy, *Rozmyślenia nad Christą T.* miały dwa wydania, *Wzorce dzieciństwa* wydano chyba był i później (1981), ale za to w renomowanym „Czytniku” i w przekładzie znakomitego tłumacza (Sławomir Błaut). Sporta przywileju popularyzatorską oddało pisarce Wydawnictwo Poznańskie, wydała ongiś część tomów międzywydawniczych (również PIW i Czytelnik) serii „Kolekcja Literatury Niemieckiej Republiki Demokratycznej”⁸ pod troskliwą opieką poznańskich germanistów (m.in. S.H. Kaszyński, H. Orłowski) oraz znani tłumacze jak m.in. Teresa Jętkiewicz, Stefan H. Kaszyński, Sławomir Błaut, Zofia Rybicka. Obserwując literaturę współczesną, zwłaszcza powojenną, łatwo dojść do wniosku, iż wiele utworów reprezentuje prozę jakby „niegotową”, istniejącą paralelnie do historycznie ukształtowanych gatunków literackich. I niekoniecznie muszą to być okazy tzw. gatunków parateryackich, użytkowych, zwyciężyć się od zwiek

¹ Ch. Wolf: *Wzorce dzieciństwa*, przełoży Sławomir Błaut, Czytelnik, Warszawa 1981, s. 54—55.

² Ch. Wolf: *Was blüht*, Aufbau-Verlag, Berlin und Weimar 1990, s. 7.

³ A. Krzeminski: *Zastrowanie istoty*, „Gazeta Wyborcza” z 19—20 czerwca 1993 r.

⁴ W. Białik: *Drapki pokos rzeczywistości* [w:] *Współczesna literatura NRD*, red. H. Orłowski, Wyd. Poznańskie, Poznań 1982, s. 22.

⁵ Ibid., s. 25.

⁶ H. Orłowski: *Wstęp* [w:] *Antologia opowiadań pisarzy Niemieckiej Republiki Demokratycznej*, Wyd. Poznańskie, Poznań 1986, s. 7.

⁷ Ch. Wolf: *Wzorce dzieciństwa*, przełoży Sławomir Błaut, Czytelnik, Warszawa 1981, s. 14.

obrzeżami beletrystyki. Najczęściej są to warianty powieści, nowel, opowiadań, przełamujące zamkniętą, klasyczną formę gatunkowych pierwowzorów. Stosunkowo najwięcej wśród nich stylizacji, odzwierciedlających strukturę gatunkową przekształconą zgodnie z zasadą „mimetyzmu formalnego” (M. Głowinski). W tym rejestrze mieści się znakomite zarówno *Człowiek bez właściwości* Roberta Musila, jak i utwory Tomasza Manna, czy powieści lub diariusze Maxa Frischa. Oba założenia artystyczne niosą ze sobą określone niedogodności, na które wskazuje m. in. Andrzej Ciesielski: *W efekcie ich, którzy wypowiedzią się na temat (...) [w] pamiętnikach i autobiografiach, podejmują w rzeczywistości tematykę znacznie szerszą i piszą — jak to się mawiało w epoce Oświecenia — „o człowieku w ogólności”; o naturze jego związków z ojczyzną; z innymi ojczyznami, grupami, plemionami, rodziną, wojskiem, zakonem, rewolucyjnymi organizacjami*¹¹. Ch. Wolf od lat ma predylekcję do „gatunku prozy”, w samej więc nazwie gatunkowej raciera kontury poszczególnych odmian gatunkowych. W jej poszczególnych utworach dominaty powieściowe występują z różnym natężeniem. Jeśliby zgodzić się z lansowaną obecnie przez przedstawicielki młodszej generacji literaturoznawców tezą, iż Ch. Wolf w dużej mierze wyraża niepokoję współczesnych kobiet (niekoniernie feministek), to odnajdujemy w jej twórczości przykłady operowania tzw. kobiecymi formami wypowiedzi, wystarczająco wymienne odmiany romantycznej powieści w listach, tzw. portret literacki, scenki rodzajowe (najczęściej wokół tematów „familijskich”). Jest to z pewnością życie chwytna „na gorąco”.

Wreszcie ostatnio opublikowany tom *Na drodze do Tabu* (1994), prócz esejów z lat 1990–94 zawiera on próby narracyjną pt. *Proba gosiadła*. Obok wskazanego w tytule i podtytułowego przez specjalnie zreprodukowaną ikonografie motywu w pasywnego wykorzystuje ono motyw kozła ofiarnego i polowań na czarownicę. Bardzo ciekawie prezentują się w omawianym tomie trzy fragmenty z dzienników intymnych pisarki: *Woserin, Freitag, den 27. September 1991; Santa Monica, Sonntag, den 27. September 1992 i Berlin, Montag, den 27. September 1992*. W pierwszym, napisanym w domu letniskowym na wsi meklemburskiej, obserwuje diarystka zmiany po jednoczeniu Niemiec, m. in. wygląd sklepów na prowincji, prywatyzację usług medycznych. Ten fragment dziennika koncentruje się wokół spraw „domowych” (rodzina, wnuki, wypoczynek, podróże itp.).

Natomiast fragment „emigracyjny” w Santa Monica (skojarzania z pobytem T. Manna w Santa Monica są tu chyba zamierzona wobec czytelnika prowokacją intelektualną) konfrontuje życie w Ameryce („American way of life”) z refleksją na temat życia społecznego po przełomie 1989 r. w Niemczech. Ta historia jednego dnia zawiera ciąg słów-kluczy: sny o emigracji — „wjazd” — przesiedlenie (ze wspomnieniem roku 1945) — poczucie „braku zadomowienia”. Oddalenie od domu umożliwia pisarce zyskanie tak potrzebnego dystansu, by powziąć natrętną decyzję o powrocie. Chłodno obserwuje „wymianę elit” w Niemczech, zarówno politycznych, jak i intelektualnych (to „że w dziedzinie intelektualnej pierwsze ataki skierowano przeciwko pisarzom, nie było dziełem przypadku”¹²). Autorka zastawia się w końcu, czy będzie jeszcze kiedykolwiek w stanie napisać coś w imieniu fikcyjnej postaci, przecież do tej pory sama była głównie protagonistką swych utworów, odkryła więc bez osłonek nagleżbę tajemnicze swej osobowości.

*Christa Wolf nadal wierzy w sens pisania tekstów, w których autor ofiarowuje siebie, obnaża się w akcie bezstronnej autoanalizy — tej funkcji literatury nie zastąpi żadne inne medium*¹³. To przekonanie, potwierdzone przez niemiecką pisarkę na spotkaniu w dniu 24 maja 1995 w Gdańsku (gdzie towarzyszyła Günterowi Grassowi, Pawłowi Huelle i publicystce „Polityki” Adamowi Krzemińskiemu) może być chyba traktowane jako autorekomendacja nowego okresu jej twórczości.

Halina Ludorowska

¹¹ A. Ujbertowska, *Polityka w trzecim zánia*, „Gazeta Wyborcza” z dn. 26 maja 1995.

Książki nadane

Wydawcy różni

Deutsch-Polnische Ansichten zur Literatur und Kultur. Jahrbuch des Deutschen Poln-Instituts Darmstadt, 6. 1994. Harrassowitz Verlag, Wiesbaden 1995, s. 332.

Arkadiusz Bicha: *Papierowy ptak*. Proza. Wyd. „Lampa i Iskra Boła”, Warszawa 1995, s. 101.

Roman Nowak: *Rozpierzchnięcia*. Szata graficzna Przemysław Kocmacki. Wyd. Antytypiczne „book-art”, Poznań 1993, 42 karty nb, druk jednostronny, porcja bibliofila.

Janek Guszka: *Myśli*. Nakład własny autora. Lublin 1993, s. 20 nb, dołączony z płyty linorytowych, porcja bibliofila.

Sławomir A. Burzewski: *Extrakt. Edycja domowa każdego Polaka*. Wyd. „Lampa i Iskra Boła”, Warszawa 1995, s. 111.

Marek Sepewski: *Mokra ziemia*. Opowiadania. Wyd. „Lampa i Iskra Boła”, Warszawa 1995, s. 106.

Zdzisław Łączkowski: *Zakłady jęzi*. Wybór prozy poetyckiej z lat 1950-1990. Wyd. Staromiejski Dom Kultury, Warszawa, s. 107.

Ryszard Filibrand: *Impulsy imitacji*. Opowiadania. Wyd. Kociewski Kantor Edytor. Toruń, Toruń 1994, s. 123.

Zwierzyniec 94. *Album. Wyższa popularekna*. Wyd. Galeria Sztuki Współczesnej. Żarnów 1995, s. 20 nb, ilstr. barwne.

Parnas his. Słownik literatury urodzonej po 1950 roku. Oprac. Paweł Damin-Wąsowicz i Krzysztof Yarga. Wyd. „Lampa i Iskra Boła”, Warszawa 1995, s. 102.

¹² A. Ciesielski: *Pamiętniki i autobiografie światowe*. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Warszawa-Kraków 1992, s. 3.

¹³ Ch. Wolf: *Auf dem Weg nach Tabu*. *Texte 1990–1994*. Klempner & Witsch, Köln 1994, s. 240. tłumaczenie moje — H.L.

CHRISTA WOLF

Lipiec 1971. Odwiedziny w G.

Trzynastka to nieszcześliwa liczba. Uciekała wbrew woli — też jedzę z hasel, z którym dałoby się związać życie. („Kto nie pamięta swojej przeszłości, skazany jest na to, by ją powtórzyć”)

W idealnym wypadku struktury przeżywania powinny się pokrywać ze strukturami opowiadania. Byłoby to coś, do czego się dąży: fantastyczna ścisłość. Ale nie ma techniki, która pozwoliłaby niewiarogodnie zawiązywać spłot, o niciach skręconych ze sobą według najsurowszych praw, przelozżyć na język linearny, nie uszkadzając poważnie owego spłotu. Mówić o leżących jedną na drugiej warstwach — „plaszczynach opowiadania” — znaczyłoby uciekać się do nieścisłych określeń i fałszować rzeczywisty proces. Rzeczywisty proces, „życie”, zawsze ponosie się już dalej; przylapano go w ostatniej fazie pozostaje nieszapkojęjonym, może niezadowolonym pragnieniem.

Późnym wieczorem, gdy kuzynka Astrid chciała wreszcie uciec przed panem Andrackiem, ten jednym grecczym zdaniem (Ależ panno Astrid! Chyba nie zamiera pani na serio nas opuścić!) zamknął przed nią na klucz nie zamknięte drzwi na korytarz, tak że musiała prosić, by Nelly je otworzyła. Kto północny, gdy wyszli niemal wszyscy goście — także Andrack — Nelly usiadła na kolanach wujowi Walterowi i została za to zgąnianą przez matkę: Musi przyzwyczać się do tego, że nie jest już dzieckiem. Ogarnęło ją przeczucie, co to może znaczyć, i zrobiło się jej przykro.

W.G., wieczorem ową skwarą soboty, gdy dawna Richtstrasse wracaliście do hotelu, zanurzając się w czerwone, fioletowe, zielone prostokąty reklam świętych. Lenka zaczęła na ulicy szmatoczyć się ze swym wujem Lutzem. Ty powiadałaś — Nie brykajcie! — a Lutz przysłał: — Czy to nie są słowa babci od Azorka? — Nie zdawałaś sobie z tego sprawy.

Lenka, już wtedy wyższa, niż kiedykolwiek miała być, Nelly, porównywała ukradkiem swój wzrost ze wzrostem mijających was młodych mężczyzn, którzy — nie zważając na minimalny choćby dystans — oglądali się za nią bez zęzady, czego ona oczywiście zdawała się nie dostrzegać. Zaczęła się zabawa. Lutz zwrócił ci na to uwagę spojrzeniami, ty wykrywiłaś usta — uznanie i rezygnacja — a H. powiedział: — No i wszystko jeszcze raz zaczyna się od początku! — Było z tego trochę śmiechu. Lenka opanowała już

wówczas — a prawdopodobnie posiadała zawsze — sztukę odawania, że nie słyszy. Ukazywała swoją znaną nieprzenikniętą twarz.

(Teraz, w trzy lata później, tego zmiennego lata roku 1974, nocą, kiedy Lenka wraca z drugiej zmiany, przызgaszona zmęczeniem. W dziesięć, pignasie minut, kiedy siedzi niemo, niezdolna do mówienia, jej twarz odzyskuje barwę i życie. Jak ona potem, jedząc powoli parę truskawek, zaczyna mówić, pojedynczymi zdaniem, które dzielą długie przerwy. Zapytuje, czy nie jest to przypadkiem zbyt wygórowane żądanie, kiedy poszczególni ludzie — na przykład ja, mówi — upierają się, żeby znaleźć pracę, która sprawia im przyjemność. Co dla trzech czwartych ludzi jest niemożliwe, mówi: dla tych wszystkich z fabryk.

Opisuje, jak zbiera w niej strach i wściekłość, kiedy automat, dostarczający jej w ciągu zmiany dziesięciu tysięcy oporników do oznakowania, z monotonnym, zwyczajnym psytrkaniem produkuje braki, oznakowane ciała oporowe — że coś tak martwego nazywa się „ciałem”! — na których kolorowe obwódki ukazują się w odwrotnej kolejności albo zlewają się ze sobą nie do poznania. Czasem, mówi, rozgląda się za olbrzymim młotem, żeby rozwalić automat. Co inni robią ze swoją wściekłością, zapytuje, na przykład młody, inteligentny człowiek, który ją zmienia, a stoi przy tym automacie od dziesięciu lat. Ktoś przecież musi wykonywać tę pracę, powiada on. Zresztą dobrze płatną. Robotnicy zmianowi dostają obiad za piętnaście fenigów, to właśnie jest socjalizm, mówi Lenka

Inni, mówi, siadają w pakamerze i oglądają piłkarskie mistrzostwa świata, choćby automaty, jeśli zdarzy się jakikolwiek zakłócenie, wydzwaniwały w niebogłosy. Wtedy Liebscher, któremu się oczy psują i długo już tej pracy nie poglgnie, leci jak wariat do wszystkich automatów i doprowadza je do porządku. Musi sam sobie odawdaniać, że jest nierastapijony. Za to zwalają winę na niego, kiedy wraca partia braków: To przez Liebschera, bo niedowidzi.

— Draństwo — mówi Lenka. — Uwważasz, że można tak z ludźmi robić?

Liebscher trzy dni się cieszy, kiedy na pożegnanie podam mu rękę. Zostawia mi zawsze pół butelki mleka, dostajemy je z zakładu bezpłatnie, bo musimy posługiwac się szkodliwymi dla zdrowia roztworom, od którego regularnie boli mnie głowa. Może też od upału: co najmniej trzydzieści dziewięć stopni, ze względu na suszarnie. To człowieka wykańcza. Wentylatory już dawno na pospote, ale kobiety dostają za to dodatki i nie domagają się naprawy.

Uwważasz, że ludzie mogą tak ze sobą robić? Przez całe życie? Po osiem godzin dziennie?

Przy tym wyloby bedura, mówi, gdyby ona, tylko przez niezyste sumienie, robiła to samo. Ale to bezczelność po prostu odejść. Ona zresztą już wie: jeszcze parę tygodni będzie o tym myśleć, ale nie wyda się to jej już takie rzek jak dziś. Wszystko białnie, mówi. Dlaczego tak musi być?

— Są sprawy nie do rozwiązania. I to nie musi zależeć od ciebie samej, może nie?

— Tak jest — odpowiadasz. — Sprzecznoci antagonistyczne. —
Ona mówi: — Przystań.)

Tamtego wieczoru w G. — niedogięsiejm L. — byłicie bardzo zmęczeni i o wpół do dziesiątej — nie było jeszcze zupełnie ciemno — poszlicie spać. Lenka od razu, nie tknąwszy książki, „Hioba” Józefa Rotha, położyła się na boku, twarzą do ściany. Każde z łóżek stało pod podłużną ścianą niedużego pokoju. Dwa nocne stoliki dokładnie wypinaly łuk między nimi. Przy każdym łóżkiem leżał szary wzorzysty dywanik z bouclé. W nogach łóżek stał stolczek z odstających nogami i dwa z ogonów niewygodnych krzesel, jakie w latach pięćdziesiątych eksportowaliśmy do naszych wschodnich sąsiadów. Szała po prawej przy drzwiach. Nocna lampa, jak wszystkie nocne lampki w hotelach: mała, niepraktyczna i ciemna.

Starając się jak najmniej zniechęcić, czytała jeszcze parę minut gazetę, którą zabrałiscie z domu. Tytuły, wynotowane później przez ciebie w bibliotece okręgowej w Pozdanie, brzmiały: Wyższe wymagania wobec pracy związków zawodowych. — Tydzień Bałtyku z programem pokoju. — Dobrym przykładem nadac charakter masowy. — Czy w przyszłości droga młodego pokolenia klasy robotniczej ma wieść już tylko przez wyższe uczelnie? — O światowy poziom trzeba codziennie walczyć na nowo. — Chorzy ze strachu: 30 procent wszystkich pacjentów cierpi na neurotyczne odchylenia. — Czy jaszczur wymarły po zmianie bieżąca?

(Doniesienie z dnia dziesiątego, 26 czerwca 1974. Szwedzki Instytut Pokoju stwierdza w ogłoszonym studium: układ o zakazie bronii atomowej zawiódł. Nie udało się zapobiec posiadaniu tej broni przez inne kraje. Różnicę ugrupowania przestępcze mogłyby zaśladać materialem rozszepielanym.)

Zamknęła oczy i zobaczyła wyraźny i wierny obraz Rynku w L., jakim znała go Nelly, i było ci trudno przywołać Rynek, jakicst teraz i jakim go dopiero co widziała. Lenka, o którąś zadziła, że śpi, spytała nagle, czy tywisc „jakieś uczucia do rodzinnych miejsc?”. Wzruszona, że zatrzaszczyła się o twój nastrój, zapewniła ją przekonanie: Nie. Przyszło ci na myśl, że pytanie Lenki zawierało też delikatną ocenę miejsc rodzinnych, jakie zostały jej pokazane. Nie mogła ich pewnie uznać za zbyt pojąające.

Nie udawało ci się zatać, a przy tym nie mogłaś być bardziej zmęczona. Okno pokoju było otwarte. Skraj dachu niskiej oficyny odgraniczając wiać jeszcze niebo, na które rzeczywiście, choć dla ciebie niewiedocznie, wszedłiscie księżyc. Zapamiętam to sobie. To są sprawy, które można sobie zapamiętać. Inne zanikają.

Tęsknota do miejsc rodzinnych? Nie! To dobrze brzmiało. Tylko że zdanie było gotowe na dlugo przedtem, nim Lenka chciała je użyć. Tak że nie było już wiadomo, czy się kłamało, czy mówilo prawdę. Gdyż inne zdanie niż to od wielu lat w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Tej nocy w obcym mieście z jego obcojęzycznymi halasami pojąmiesz, że mszczą się uczucia, których trzeba sobie zabraniać, i szczegółowo rozumiesz strategię, jaką stosują; jak same wycofując się pozornie, zabierają ze sobą wrażenia pokrewne. Na indeks trafia

nie tylko żal, ból — niedopuszczalne jest też ubolewanie, a przede wszystkim pamiętanie. Pamiętanie o tęsknocie do miejsc rodzinnych, żalu, ubolewaniu. Karczowanie korzeni. Tam, gdzie powstają odzucia, w owej strefie, gdzie są jeszcze w pełni sobą, nie splątane ze słowami, tam zapamiętanie w przyszłości nie beżpośrednio, lecz — nie ma co się bać tego słowa — wyrachowanie.

I oto, kiedy dochodzą słowa, naturalnie, bez uprzedzeń, wszystko już minęło, niewinnosci została stracona. Ból — może teraz go się zapomina — da się jeszcze nazwać, odrzucić już nie. Za to, w takie noce, jak ta, ból nad utracconym bólem... Żyć pomiędzy echami, pomiędzy echami echi...

Linie — linie życia i linie pracy — nie przetną się w punkcie, który staroświecko nazywa się „prawda”. Zbyt dobrze wiesz, co ci powinno przychodzić z trudem, a co nie. Co wolno ci wiedzieć, a czego nie. O czym rozmawiać i jakim tonem. I o czym na zawsze milczec.

Wstajesz, nie zapalając świateł — po cichutku, żeby nie zbudzić Lenki — i bierzesz tabletkę nasenną.

W nocy jestem lepszym człowiekiem (cytat). Lepsze oznacza w tym czasie: trzeźwiejszym, odważniejszym — polęcznie, które za dnia występuje rzadko. Trzeźwy i ostrożny — tak. Tamtej nocy, zanim tabletką zaczęła działać, byłaś trzeźwa i upadała na ducha — co jest czymś innym od ichorzoństwa — i obdarzona ułatniająca się szybko zdolnością przejrzenia siebie i wytrzymywania tego.

Nie będziesz mogła napisać tej książki, wiedziałaś, dla czego (...)

Fakt, że Charlotta Jordan, która zwykle raczej ponad miarę lękała się o swoje dzieci, pozwoliła im samym, aczkolwiek w towarzysztwie krewnych, jechać w tak zwane nieziane, w walcowanej całejmi latami, dawno zastępy w legendzie historii rodziny nigdy nie zostały należyście uwzględnione. A przecież — gdyby rozważano znow na trzeźwo, przy zdrowych zmysłach, ale tego właśnie nie robiono — ta ważna decyzja matki musiałaby bardziej dziwić niż fakt, że ludność wezwano przez telegraf przewodowy do opuszczenia miasta. Oczywiście nie dysponowano żadnym transportem. Sceny, jakie rozgrywały się na dworcu, można opisać ten, kto je przeżył. Wczorzym tego samego dnia, 29 stycznia 1945, ostatni przepelniony pociąg z uciekającymi został pod Witnica ostrzelany i spalony przez radzieckie szpicie pancerne, które obeszły miasto od południa.

W jednym punkcie zgadzają się opowieści rozproszonej na cztery wiatry, pomniejszonej o kilku swych członków, jak też z osobistych i politycznych powodów skłóconej ze sobą rodziny: przytomności umysłu i pomyslowości swawra Alfonsa Raddę, należało zawiązać, że w sama porę otrzymała się możliwość ucieczki. Po telefonicznym umówieniu się w ciemności wczesnych godzin porannych zjechał na koło dziesiątej ciężarówka firmy Otto Bohnsack, Zboża i Pasze, pod dom Jordanów, aby „załadować”, jak brzmiało fachowe wyrażenie, swoich tościów Hermanna i Augustę Menzlów, swawagę Charlotte Tedei i jej dwoje dzieci, Nelli i Lutz.

Była to jego wielka chwila. Alfons Raddé, który całe życie musiał walczyć o szanowaną pozycję w rodzinie swej żony, okazał się teraz

podporą bezbronných kobiet i dzieci. Wszystko przebiegło planowo. Bagaż Jordanów — walizki, skrzynie, pękate worki z pościelą, pudła konserw z Jordanowych zapasów sklepowych, a nawet beczulczka masła, której zawartość, gdy minęła przeliskwie chłodna zima, nie oparła się oczywiście zepsuciu, ale nawet żelczalka służyła jeszcze rodzinie do smarowania chleba, a także jako pożądany przedmiot wymiany — wszystko zostało zaladowane.

Opuszczając miejsca rodzinne trudno nie uronić łzy. Charlotta ociągała się. Przypuszczalnie jej duchowe siły były zaabsorbowane postawieniem, jakie powzięła dopiero pakując bagaż. Nie miała czasu na płacz. Żeby Nelly płakała „przy całej ferajnie”, to nie wchodziło w rachubę.

Natomiast babcia od Azorki tak. Płakała w nieśmiały, ukradkowy sposób. Inaczej pokolone ciotek: Truchden Fenske, rozwiedziona, Olga Dunst, której mąż odszedł „w siną dal” z panią Lude, Liesbeth Radde: wszystkie one siedzą w półmroku ciężarówki — oprócz ciotki Lucie, która zeskoczyła, żeby pomóc przy zaladunku — i towarzyszą każdej nowej sytuacji, każdemu nowemu pożegnaniu łatwo i obficie płynącymi łzami.

Dzisiaj — mamy 31 sierpnia 1974 — w trzydziestą piątą rocznicę rozkazu fuhrera, który rozpełzał drugą wojnę światową, gazety poświęcają tej dacie komentarze. Nigdzie na świecie nie zanosi się chyba na nową wojnę.

Choćż zwaśnione strony na Bliskim Wschodzie dalej się zbroją; dziesiątki tysięcy ludzie na Cyprze cierpią wskutek następstw jednej z tych „wojen ograniczonych”, jakie weszły w modę (pomiedzy nimi owa stara Greczyna, której płacz na ekranie telewizora przypomina ci placz twojej babki); chociaż w Wietnamie toczą się walki, a w Chile nie ustają tortury; największymi nieszczęściami tego dnia są katastrofa kolejowa na dworcu w jugosłowiańskim mieście Zagrzebiu i klęska powodzi w Bangladeszu.

Dzisiejszy jest także, jak każdy dzień, wierzchołkiem trójkąta czasu, którego dwa boki prowadzą do dwóch innych — do dowolnej ilości innych — dat: 31 sierpnia 1939. Od jutra rana na ognie odpowie się ogniem. 29 stycznia 1945: dziewczynka, Nelly, niezdranna i sztywne w podwójnie i potrójnie włożonych jedne na drugie rzeczach (historycznie niezdranna, jeśli to wyrażenie coś mówi) zostaje wciągnięta na ciężarówkę, aby opuścić tak głęboko zakotwiczone w niemieckiej poezji i w niemieckim sercu miejsce dzieciństwa.

Dzisiaj, w ten gorący dzień, kiedy przez otwarte drzwi balkonu dochodzi szeleśt topolowych liści, dalekie szczykanie psia i warkot silnika pojedynczego motocykla. Dzisiaj, kiedy w tobie — rzadkie szczęście — nawet rzeczy mało ważne mogą drugo spotęgować poczucie, że żyjesz, obiad, wino do drugiego dania, parę stron książki, kot, bicie zegara z pokoju, w którym H. siedzi nad swoimi zajęciami, odłask słoica na biurku. Drzemka po obiedzie i niejasny sen. Wiersz, w którym czytasz między innymi: Strzeż się niewinności swoich towarzyszy dzień. Przede wszystkim jednak pięć godzin dnia nad tymi stronami, mocny rdzeń każdego dnia, z realnego życia najbardziej realny. Bez którego wszystko, jedzenie i picie, miłość,

drzemka i sen, odrealniłoby się w szaleńcem, budzącym trwogę pośpiechu. Tak jest dobrze i tak powinno być. Dzisiaj nie ci nie skrozi przywołanie tamtego przeliskwie zimnego styczniowego dnia.

Chcą więc odjeżdżać, uwijajcie się, pośpieszcie się, robi się późno. Nelly, już na ciężarówkę, wyciąga rękę, żeby pomóc wsiąść matce. Ta jednak cofa się nagle, potrasza głową: — Nie mogę. Zostaję tutaj. Nie zostawiaj przecież wszystkiego na lasce losu.

Podniosła się wrzawa w samochodzie, wolań, zaklęcia, nawet krzyki — babcia, ciotki! — wrzawa, w której Nelly nie brała udziału. To, co się działo, było przecież niewiarogodne. Nastąpił krótki dialog między ciotką Lucie a Charlottą, w toku którego opieka nad dziećmi została powierzona szczególnie ciotce Lucie — rozładni wybór — w zamian za co Charlotta przyrzekała zatrzymać się o swego brata, męża Lucie, wuja Waltera, który „trzymał pozycję” w swoim zakładzie, fabryce maszyn Anshütza & Dreissiga. Zaraz potem nastąpił start ciężarówek: Alfons Radde, słusznie zagniewany, nie czekał ani minuty dłużej. Kto nie chce się zabrać, niech zostaje. Przenikwiy krzyk z wnętrza wozu, który opadł, gdyż Charlotta szybko zniknęła z pola widzenia odjeżdżających. Nelly widziała jeszcze dom, okna, za którymi leżały tak dobrze znajome pomieszczenia, ponad wystawami czerwone litery: Bruno Jordan, Artykuły Spożywcze, Delikatesy. Na koniec topoł.

Po latach, gdy oszołomienie zaczęło ustępować, Nelly próbowała sobie wyobrazić każda minutę tego ostatniego dnia, jaki matka spędziła w ich rodzinnym mieście. Gdy ciężarówka zniknęła jej z oczu, stoi chwilę jak wryta.

Jest już za późno. Myśli, że straciła dzieci, musi sobie zabrać. Pośpieszenie wbiega po schodach, wraca do spustozanego mieszkania. Doprowadzić do ladu, na wszelki wypadek najpierw doprowadzić do ladu. Powkladać, poustawiać, ułożyć w szafkach i na półkach to, co musiało zostać i walało się. Zdejma portret fuhrera ze ściany (wdrapać się na biurko, żeby sięgnąć), porząbać w pinwicy siekierą i spalić w piecu. Nagle, wróciwszy do mieszkania, staje jak rażona piorunem: nie miała już nic do roboty. Calkiem oszalała, zostając tutaj. Nie wiedziała w ogóle, dokąd pojechały jej dzieci i jak ma je odnaleźć. Momentalnie upadły powody, jakie sobie wymówiła: być strażniczką domowego ogniska, być odpowiedzialną przed mężem za mienie, utrzymać dla dzieci ich dzieciństwo. Ale to przecież bzdura, powie sobie. Kompletna bzdura.

Uprtomniła sobie, że potrzeba jej informacji. Telefon już nie działał, sytuacja wydawała się poważna. Pomyśł: Leo Siegmann, przyjaciel Bruno Jordana, księgarz, jest w zaopatrzeniu koszar generała von Strontca. Jeśli ktoś może jej powiedzieć, jak sprząć stoją, to właśnie on. Zdecydowana na wszystko, przedziera się do niego. Siegmann, błądy, niszczy właśnie ostatnie wate papiery, potem bez zwłoki przyśta: choćby miał iść piechotą. Garnizon dostał rozkaz wymarszu. Spojrzenie na dziedziniec przekazuje Charlottę: wszystko stracone. Wie już, co i jak. Wyjaśniło się jej, mówi do Leo Siegmanna. I gdzie wasze ostateczne zwycięstwo?

Teraz ucieka i ona.

Wchodzi Lenka. Musi jeszcze coś opowiedzieć. Wczoraj wieczorem, kiedy wróciła z młodzieżowej wycieczki do Zivohosta koło Pragi, zapomniała o czymś ważnym: jakie mianowicie piosenki śpiewają nasi turyści w socjalistycznych krajach. Domyślał się, co śpiewają, kiedy wieczorem znalazł się praskiego piwa?

„Czemu tak pięknie jest nad Renem”, poduszaw.

Nie, tym razem nie. Tym razem dwie inne piosenki. Pierwsza: „Nie ma piwa na Hawajach, nie ma piwa”.

Znam, mówisz. A druga?

„W małej polskiej mieścinie”, odpowiada Lenka. Tej nie znasz?

Nie.

Ale za to ja. „W małej polskiej mieścinie, żyła sobie dziewczyna, /piekną jak kwiat, jak róży kwiat, /drugiej takiej małej nie znajdziesz w Polsce całej, /ale nie będę się całowała /z nikim, przysięgała, /nie będę się całowała”.

I co dalej? pytasz. Ty też znasz wściekłość i chęć walenia w śpiewające twarze.

Piosenka ma trzy zwrotki. Z dwóch ostatnich Lenka знаła tylko urywki. W drugiej zwrotce, pamiętała, „stało się”. Po czym „polska dziewczyna” wiesz się, z kartką u szyi, „na której napisała: raz jeden spróbowałam, strzyćek wybrać musiałam”.

Oni byli rzeczywiście od nas, Lenka?

A jak myślisz?

W jakim wieku?

Między dwudziestką a trzydziestką... Ale to jeszcze nie wszystko.

Wiesz, jak kończy się trzecia zwrotka?

No?

„Weź sobie niemiecką dziewczynę, /bo ta po pierwszym uścisku, /nie myśli wcale o strzyćku”.

Tej wczesnej jesieni wieczorami szybko robi się chłodno. Dzień kończy się meteorologiczne lato. Wiesz, że nie wolno sobie żywić szerszego starzenia się. Żyć z duchem czasu! Trzeba duchowi czasu pozostawić szansę, że się człowiekowi ukaze. Trzydzięci pięć lat temu od zdobywania polskich miecien przez niemieckich żołnierzy zaczęła się wielka wojna. Raptem straciłaś ochotę na opisywanie, jak garść ludzi — Niemców — przeliła koniec tej wojny. Masz tych ludzi w nosie. Piosenka, śpiewana latem 1974 przez Niemców, pozbawiła cię wszelkiego zainteresowania nimi.

Co na to mówili Czezi, Lenka?

Tylko wybaluszali oczy i śmieli się sztyderco.

Ci śpiewacy nie przeczytają ani jednej linijki z tej książki. Nie patrzyli w telewizor, gdy dwa lata temu przed kamerami mówili trzy polskie kobiety, które w niemieckim obozie koncentracyjnym w Ravensbrück były poddawane „eksperymentom medycznym”. Jedną wbrew jej woli i bez potrzeby operowano. Drugiej wstrzyknięto coś w pierś, którą po tym, stwardniała i szerniała, trzeba było usunąć. („Stale musiałam myśleć o tym, że nigdy nie będę miała męża ani dzieci, ani domu. Niczego.”) Trzecia po serii przemoq aplikowanych zastrzyków przez długie lata była cala w wrzodach. W roku 1950

urodziła dziecko, Jadwigg. Straszliwie zniekształcona twarz tej młodej dziewczyny pojawiła się nagle w zbliżeniu na ekranie.

Czemu państwo zdecydowali się na dziecko, powiedziała po porodzie lekarka, profesor położnictwa, do ojca Jadwigi. To przecież zupełnie oczywiste, że to kalekto jest skutkiem pobytu pańskiej żony w obozie koncentracyjnym...

Jadwiga mówiła sama. Plakała. Dwadzieścia dwa lata życia na tym świecie były dla niej ustawicznym koszmarem. Jedyną jej pociechą jest to, że może się uczyć. Studiuje matematykę na Uniwersytecie Warszawskim, nie chodzi jednak na ogólne wykłady, to bytoby dla niej za ciężkie. Powiedziała: Chciałabym żyć jak wszyscy ludzie i robić dla nich coś dobrego, z czego będą mieli pożytek.

Ani linijki więcej. W telewizji chór starych czarnych mężczyzn śpiewa: O when the Saints go marchin' in... — *sigmas mzymz osts*

Muzyka Bacha.

Katastrofę kolejową w Zagrzebiu spowodowało ludzkie niedopatrzenie.

W G. (niegdys L.), polskiej mieścinie, w niedzielę, 11 lipca 1971, kolo dziewiętej rano jedliście śniadanie w barze mlecznym przy Rynku.

„Wiele zapisywałem, aby ugruntować pamięć”. Johann Wolfgang Goethe.

przełożył Sławomir Blau

CHRISTA WOLF ur. w 1929 w Gorzowie Wielkopolskim (Landsberg). W 1945 została przesiedlona do Mecklenburga. Matuzr zdała w Bad Frankenhausen (Kyffhäuser), w latach 1949-1953 studiowała germanistykę w Jenie i Lipsku, w latach 1953-1959 była pracownikiem naukowym Związku Pisarzy Niemieckich, była też redaktorem „Neue deutsche Literatur” oraz lektorem nacelnym wydawnictwa „Neues Leben”. W latach 1959-1962 pracowała także w wydawnictwie Minerva-Verlag w Halle/Saale, od tego czasu uprawia zawod piasara. Prozaik, autorka esejów, scenariuszy filmowych, krytyk literackich, wydawca.

Lipiec 1971. Obieduję w G. jest trzynasty rocznica powieści *Wzrost dzieciństwa*, wydanej w Aufbau-Verlag, Berlin i Weimar, 1976.

Wszystko to jest... *Wszystko to jest... Wszystko to jest...*

Wszystko to jest... *Wszystko to jest... Wszystko to jest...*

Wszystko to jest... *Wszystko to jest... Wszystko to jest...*

Wszystko to jest... *Wszystko to jest... Wszystko to jest...*

Wszystko to jest... *Wszystko to jest... Wszystko to jest...*

Wszystko to jest... *Wszystko to jest... Wszystko to jest...*

ROŹA DOMAŚCYNĄ

Nagi jak jagnię

był ślimak na kamieniu
obok ścieżki jego skorupka
nieruchomo oczekiwała ciosu
niczym przecięte piłą drzewo które jeszcze stoi
albo miasto zastęgle w białych rakietach
gdy samoloty trafiają w cel
czas przeszkajaje

tak jest zawsze
zrzuconane zamyka w sobie cząstkę
niepokonanego

Krajobraz następstw

ustawiamy znowu wszystko od początku (merde)
by powolny nasz morderca został panem
czasu miejsca oblężania i rozładunku
ginie świat pod czarnych spalin zmył tunanem
gdzieś włóczęgi nasze i pikniki i te sprawy

jednak w końcu wciąż tu jeszcze rośnie trawa

ból bliźniego układamy na wystawach
choć dotknięcie rąk go jeszcze bardziej wzmagą
tylko chaos nie poddaje się czasowi
więc łykamy sny w pigułkach lub te sprawy

przecież w końcu jeszcze rośnie tutaj trawa

dzłbko po którym ciało wspina się do góry,
nad którym trwa i kładzie się pod którym
jak odbicie w lustrze ciąg obrazów i te sprawy
czy przeszkadza komuś że już nie ma nawet trawy

Pod białą lnianą chustką

dla Mładny Cheryny

była zima
gdy przyszedł rzemień
ucięklam na poddasze
robilam z gazet okryty
które podarowałam tobie
z kieszeni fartucha wjechał
lepkiego cukierka
zalatującego zapachem owcy
(którą nazywałam Lizka)
jej beczenie ostatni wysoki ton
słyszałam przez zatłkane uszy
z głową wstaloną w twoje ciało
rzeź nabrała zapachu lnianego płótna
wiatru i bukszpanu
słońca i świece
do dzisiaj
słyszę zgrzyt ostrzonego noża
mięso boli
podczas przedwesołego świąniobicia
siedzę na poddaszu
przełykam smarki i ley
i niezdarnie układam lniane faldy
żagiel na świat

Powierzchniowa ocena

urodzone w więzieniu dziecko niesie lilij

ci którzy chcą je napiętnować mówią: to jest dziecko urodzone
w niewoli
czy ma stopy jak każdy? wszystkie dziesięć palców?
dlaczego nie ma dłoni zgrubiałych od pilnika
czemu nie przepłowiwało krat w oknie zanim przyszło
dlaczego zostało

narzędzia nie skóciłyły jeszcze wymiany ciepła
pomiędzy skórą a żelazem
oprawy gotują się do pracy

czarno kwitnie lilia na ludzkiej skórze

Mieczysław Karłowicz, *Święta*, wyd. 1970.

Mieczysław Karłowicz, *Święta*, wyd. 1970.

Pod białą linianą chustką

Obudź się, piękna dużo
udaj się do swego ciała
(to starożytny archaiczny przepis)

mnie również nie ma
w ogóle nie ma nic
gdzie cię nie ma
przy mnie jestem tylko
gdy ty jesteś tutaj
odwracam się
od uciekających dni
w ruch
który ty wyznaczasz
cały czas
po wznieśszy nos
twoje imię i przekazuję je
z ust do ust

Pod krzakiem czarnego bzu

czego chciałam
gdy ciało gotowało się
pęczniało i rosło
i już nie pomagały dziecięce piosenki

może tylko zapomniałam
jak w kącie pełnym pajęczyn
próbowałam życia erotycznego
Lejtna Paul i ja sześciolenni pełni ochoty

chodziłam na procesje
gdzie odmierzałam tym samym krokiem
Boże Ciało i majowy pochód
wystrojeni na życie potem

podczas przysięg przed pulpitem i ołtarzem
zastępiałam w sennym odrętwieniu
pamięć przesuwała obrazek po obrazku
jakby w rytm wykłaskiwanej piosenki

znów mnie kusi zabawa w berka

Tak

poza granicę wiecznego milczenia
już całkowicie pozbawiona mowy i bezwolna

układam stopy w blokach startowych
choźdź ponaglam siebie nie każ mi
nawet być martwą gdy umarłam

Okupacja świata

postępuje po kryjomu
nie widać jej na wipligijnych stołach bogaczy
ona odbywa się o świecie
przysadzicieli czarziawi facyci
szcztokami i wiadrami
zajmują ulicę niczym twierdzę
a ich kobiety w pływających sukienkach
wchodzą do hal targowych jak do świątyni
każdemu słowu odbierając
jego drugie znaczenie
każdy kolorowy gadzet
to podstępny atak
pakują je i wioką
wszystko trwa przez cały dzień aż wieczorem
kładą kamień na cmentarzu
nie marnują na to ani słowa
i idą

przełożyła Ewa Mazur

RÓŻA DOMASZYŃNA ur. w 1954, mieszka w Białym, pisze w języku białym
i niemieckim. Opublikowała: Zaunucker, wiersze, Janus-Press, 1991.

Książki nadesłane

Wydawnictwo „Kurpisz”, Poznań

Mieczysław Kurpisz: *Dochośnienie*. Wyd. 2. Str. 118.

Mieczysław Kurpisz: *Striptiz papuści*. Str. 252.

Mieczysław Kurpisz: *Odlot do środka*. Str. 314.

Gdzie cię nie ma

ERICH LOEST

Urodziny na Górnym Śląsku

Dzień zaczął się dla Antona Krygera popiochem i zamieszaniem, a przecież zamierzał po obejściu swoich kłopotów, halli III, przekraść się szybko do złomowiska: tam miał pojawić się Dunecki, który już kilka tygodni temu obiecał mu szynkę lub pół barana, potem mówił ogólnikowo o mięsie. Pokazywał przy tym tęsknymi wymiary, tyle a tyle, przeciągając w końcu termin aż do ręka ranka. Dunecki pracował jako murarz zakładowy, raz tu, raz gdzie indziej, szukanie go nie miało więc sensu. Przy obiedzie pojawił się nadje obok stołu Krygera, wyszczerzył zęby i podniósł kiuk do góry, znaczyło to: wszystko w porządku, ale nie wyjaśniało, czy dostarczył soczystą szynkę, czy żylasty, lojowaty ochlap ze starego barana. Kryger dał sto złotych zaliczki i zalał wilczy worki wełny szklanej, a kiedy dwa tygodnie temu Dunecki wymurował śmieśnienie mały podcecik na jakąś maszynę, otrzymał za to potwierdzenie wykonania, które w dwóch trzecich było oczywistym prezentem. Dunecki wiedział naturalnie, że matka Krygera obchodzi osiemdziesiąte urodziny i że jejżada rodzina z różnych stron, a mimo to trzymał go w niepewności. Teraz podniósł kiuk i wymamrotał: O drugiej za barakiem paliwowym.

Był to jednak wspaniały schab, tak długi, że dłuższego świnią nie mogłaby dostarczyć, od karkówki poprzez kotlety schabowe aż do części szynclowej, było na nim niewiele tuszuszka, a jak zapełniał Dunecki świnka ta dość temu chrukała jeszcze wesoło. Dunecki wymamrotał cenę, którą Kryger uznał za nie przesadzoną i prawie zapomniał o swoich solennych przysięgach niezadawania się nigdy więcej z tym zdziercą.

Pół godziny wcześniej skończył pracę. Mięso, które uginął się łagodnie pod własnym ciężarem i pachniało przez ścierkę, niósł w ręku. Kiedy wyszedł z bramy zobaczył zaparkowanego mercedesa, obok stał męczczyzna w białych szortach i białej koszuli z krótkimi rękawami, wyglądający jak tenisista, i krzychał: Antek! Anton Kryger podszedł do tego męczczyzny, który był jego bratem Karlem Heinzenem i powiedział po niemiecku (po raz pierwszy od dwóch lat wypowiedział niemieckie zdanie): — No, Heini, dzięki Bogu! — Słowa odporne przechodziły mu przez usta.

Śmiejąc się uściśnięli sobie ręce i stwierdzili obydwaj, że nie zmienili się przez te dwa lata, kiedy to ostatnio widzieli się w Stuttgarcie, gdzie Anton spędził dwa tygodnie, z których jeden przepracował na czarno

u blacharza. Karl Heinz Krüger poinformował brata, że przyjechał kolo południa po męczącej jeździe nocnej, zdrzemnął się godzinke, a teraz czeka, aby zabrać Antka, braciška. Wozyli mięso do bagażnika, a kiedy Anton sięgnął po pas bezpieczeństwa, przypomniał sobie od razu Stuttgart, jazdę tym samochodem, dzwonienie pasu w mocowaniach i jego napięcie w rękach, kiedy ciągnął go do dołu. — Dobra, miałeś drogę, Heini? Wszyscy zdrowi? — Czuli się jak zawsze, kiedy po dłuższym czasie mówili po niemiecku: Słowa pojawiały się, nie wiadomo skąd, wydawało mu się, że nie tkwią w nim, lecz nadlatują, przyjmował je, to znów odrzucał od siebie, nie miał wyczuć, co jest z pewnością dobre, a co być może nieprawidłowe, co jest konstrukcją wadliwą, choć zrozumiałą. Jakby w gorączce błędził po pokoku.

— Mama wygląda świetnie. Z jej osiemdziesiątką! — Karl Heinz Krüger nie mógł wyprzedzić wyrotki, ulica była wąska, z naprzeciwka ciągnęły wozy konne. W zagłębiu węglowym jeździło się marnie. Zle mu się jechało od granicy — powiedział bratu. Bądź co bądź jednak nie miał tam kłopotów i nie czekał długo, ani z RFN do Czechosłowacji, ani stamtąd do Polski. — Antek, człowieku! — i Karl Heinz położył rękę na udzie brata.

Krüger musiał przejechać jeszcze dwa ruchliwe skrzyżowania i mógł już wsiąść samochód na podwórko za domkiem matki. Matka stała w drzwiach, z rękami pod fartuchem i łzami w oczach. — Jesteście. — Przez moment nie wiedziała, który jest starszy, Anton, czy Karl Heinz, aż przez chwilę chciała pokręcić głową i poskarżyć się im na poly żartobliwie: Jak też to te myśli płaczą się przy osiemdziesiąt! Ale to nieważne, grunt, że chłopcy i dziewczynka byli przy niej. Wychowała czworo dzieci, rozpięchali się we wszystkie strony świata, a teraz znów miała ich przy sobie. Takiego szczęścia nigdy nie umiała sobie wyobrazić, obawiała się zarówno tego uczucia jak i dzisiejszego dnia. To tylko Antek dodawał jej ciałe otuchy. Ach Antek, ach Mariechen.

Karl Heinz był przy niej pierwszy i podniósł ją do góry, łagodnie i ostrożnie, chwycił ją w pasie i odchylił się troszkę do tyłu. Tak jak się spodziewał, piśnęła — Heini — a kiedy ją postawił, ciap spadł jej z nogi i trzeba go było wsunąć. Teraz w obecności brata Anton Kryger po raz pierwszy od dwudziestu lat mówił z matką po niemiecku i ona też rozmawiała z nim w tym języku, co obajmu im wydawało się dzwonne, jakby z innego życia.

— A Mariechen?

— Z mężem na cmentarzu.

Karl Heinz pomyślał, że jest to wruszające, a jeśli nie, to że strony Mariechen z całą pewnością sprytnie, ponieważ nie mogło bardziej ucieszyć mamy. A więc Mariechen znów jest ulubienicą, jedni zwoją mięso, tort i kawę, a Mariechen pielgrzymuje do grobu taty. — A Berni?

— Będzie po szychcie — powiedziała matka. — Nie wczesniej niż przed siódmą.

Bracia zaniesli mięso do kuchni, stała tam oczywiście żona Bernarda. Rozwinęła mięso, powąchala je i także ona uznała cenę za

godziva. Trzeba ponosić koszty, nie ma rady! Wyrzuliła to podnoszeniem rąk i okrzykami, spoglądała przy tym na swego szwagra Karla Heinza, który nie mówił po polsku, ona zaś nie mówiła po niemiecku, potem Karl Heinz próbował jej objaśnić gestami, ile kawy ma wziąć na duży dbanek, a matka lumaczyła. — Żebyście mi nie oszczędzali na kawie! — Karl Heinz pokrzykiwał i powtarzał, że przywołaj dzisiaj pustek, a Anton pomyślał w tym momencie, że jego brat nabył je po cenie hurtowej.

Stół do podwieczorku był nakryty, musieli poczekać na Marię i jej męża, i matka powiedziała, że chwila odpoczynku dobrze by jej zrobiła. Cały dzień minął na życzeniach od sąsiadów i kłesed, po mszy przed drzwiami kościoła zatrzymywali ją ludzie, których wcale nie znała, ścisłali jej dłoń i powtarzali: Dużo zdrowia i wszystkiego dobrego! Coś takiego, czworo żyjących dzieci i aż trudno pójść, że wszystkie przejechały, także z Anglii i Niemiec! Hundert Jahre sollst du werden, sollen Sie werden, pani Krygerowa! Sto lat, sto lat. Serdeczne powinszowania w dniu urodzin, pani Krygerowa!

2

Mary Hearn czuła narastający ból głowy. Wzięła męża pod rękę i przytuliła się do niego. Czujcie się, ponieważ on z nią przejechał, powiedziała, zdając sobie sprawę, że zapewniała go o tym już wielokrotnie, i że powtórzy to jeszcze wiele razy, gdyż ten dzień był w gruncie rzeczy okropny. Ten bezmiar wspomnień, ból tam, gdzie nie dało się wzbudzić uczuć i refleksji oraz pusaka. Była także mama, ale brakowało wspólnych słów, nawet ton głosu zmienił się zupełnie. — Moja Mariechen — brzmiała kłóśnię inaczej niż w wspomnieniach. Spiętrzenie uczuć-sentymentów, łatwiej było wyrazić je po angielsku.

Ernest Hearn chciał wiedzieć, co stało dawniej tam, gdzie dziś niczym pudełka stoją nowe bloki. Po drodze widział jednopiętrowe budynki z cegły, pozostałości po pierwszej fazie uprzemysłowienia, jeszcze zamieszkałe, a właściwie już muzealne — czy były już w tym miejscu in the time of little Mary, kiedy może tą drogą nosiła ojca jedzenie? In the time of Kaiserreich — dowiedział się Ernest Hearn: Tu była Rzeczka Niemiecka także w latach 1919—1939, ale te kominy i wieże wydobywcze naprzeciwko stały już po polskiej stronie. Tramwaj turkocząc przejechał przez granicę. Mary opowiadała o tym często. Jego ojciec także.

Kiedy skreślił na podwórku i zobaczyli mercedesa, Mary wypowiedziała po cichu ostatnie angielskie zdanie, a potem powtarzała w pamięci: Jesteś Karl Heinz, Heinil! Wszystko w porządku na granicach? Ale pierwsze jej słowa brzmiały: — Ach, ten zapach z kuchni, przypominam go sobie! — Zawolała też do matki i obudziło się w niej wspomnienie cioci z Łodzi, która przewoziła to ciasto, zawsze przed Wielkanocą.

— Anżyk — powiedziała matka — ciasteczka anżykowe. Przywoziła je Selma.

No tak, ciocia Selma. Krótkimi angielskimi zdaniem wprowadziła męża we wszystko, o czym właśnie mówiono, mama miała sześć sióstr. — A ilu braci?

Ale oto pojawił się Karl Heinz, Maria rzuciła się mu na szyję, mówiąc i śmiejąc się na przemian poklepała go po brzuchu: — Tobie to najlepiej smakuje twoje własne ciasto? — Jak dawno się właściwie nie widzieli? Trzy lata, mój Boże. Mężczyźni uścisnęli sobie ręce, rozciągnęli usta w uśmiech i uznali, że wyglądają nieźle. Potem pojawił się przy nich Antek, Anton, i razem zaczęli roztrząsać kwestię, która teraz wydawała się najważniejszą: wódka, whisky czy koniak? Karl Heinz miał w bagażniku »Hennessy«, Anton kupił za funty, która przyląła mu Mary »White Label« w Pewexie, a sam postarał się o wódkę, i to nieczłą — a więc co? — This is Poland — wykrzyknął Ernest. Wszyscy zrozumieli to tak: Na początek wódka. Ernest Hearn zastanowił się nad swoim zdaniem, że tutaj jest Polska i nie był pewny, czy ze względu na swoich szwagrow nie powinien się być powstrzymać, dla nich bręga że jest to jeszcze Oberschlesien, a nie Górny Śląsk, dla Krügera w Württembergii z pewnością, dla tutejszego Antka Krygera być może gdzieś w głębi świadomości. Ach coś znowu, de Gaulle powiedział, że Katowice są najbardziej polskim ze wszystkich miast, i cała Polska zakrzyknęła z radości.

Ciasteczka anżykowe i ciotka Selma, a więc było jednak coś, o czym wcześniej nie wspomniano, może wybito szczyłek w pokrywie lodowej. Mary siadła przy oknie, zawsze stało tam krzesło, pozostał widok na kąt podwórka, dawniej na murze siedzieli gołębie, stada gołębie. Ból głowy nie nasilał się i jeśli zamieszanie nie wzrosło, być może wystarczy jedna talkęta.

Uśmiechnięta twarz przed nią: bratanica Lena. Mary odważeniła uśmiech i spojrzała na włosy Leny, o których ktoś jej napisał, że są takie, jak jej w dzieciństwie. Lena studiowała w wyższej szkole medyczno-technicznej, angielski był tam przedmiotem obowiązkowym, także przed maturą Lena uczyła się angielskiego. Niemiecki? No, but perhaps next year; dziwnym było posiadać bratanicę, na którą, jak się zdawało, przeszło podobieństwo fizyczne, ale nie język ojczysty. — Mamó — powiedziała Mary, Maria — wszystko było tak strasznie dawno temu, mamó. — Słowo »strasznie« było odpowiednio, uderzało, nie chciała myśleć o tym, jak uciekała, zanim przyszyły rosyjskie czołgi, najpierw rowem, a potem ciężarówką Wehrmachtu, przez Morawy do Austrii, a jednak to się pojawiło się, Joachim, uciekała do rodziców Joachima, w nadziei, że także Joachim się tam przebieje, jej pierwszy mąż, polubiłony w czasie wojny w kościele odległym o siedem łąk: Ale Joachim Steiner był bardziej niż martwy, nie zachowało się jego zdjęcie, ani żadne słowo o nim. — Mamó, przywożłam ci zdjęcia. — Wyszukała w swojej torbie zdjęcia obojga dzieci, które nie były już dziećmi, miały 28 i 24 lata, mężczyzna i kobieta, żonaty i zamężna, pokazała także swoje wnuki, prawnuki mamy, a matka nałożyła okulary i karała sobie objaśnić, kto jest kim i gdzie kto stoi. Matka nie powtarzała obcych imion, bała się także spotkać osobieście ze swymi wnukami i prawnukami, gdyż nie

umiałaby z nimi rozmawiać, z krwią swojej krwi. Ale ewentualność takiego spotkania była niewielka.

Potem wkroczyła Zuzia, żona Antona, i nie tylko Anton, który jak zwykle, natychmiast poczuł się z niej dumny, odczuł, że to nie wejście, lecz wkroczenie. Zuzia natychmiast sięgnęła na siebie wszystkie sprzątacze i odezucia. Stała w drzwiach mówiąc: — Życzę wszystkim wyspaniałego dnia — podszedła do teściowej, pocałowała ją w czoło i wyszeptala jej coś do ucha, jakieś podstępne życzenia, wszystkich, najlepiej, zdrowia, potem podzwołała kolejno wszystkich, klepiąc po ramieniu lub podając dłoń, i jak długo to robiła zamilkły rozmowy, gdyż wszyscy czekali na swoją kolej. Średniego wzrostu była Zuzia i charakteryzowała tym ją to, co między czterdziestką a pięćdziesiątką jest określane jako atrakcyjna figura, nosiła ciemnoszary kostium, który czynił zadość wszystkim jej kształtom, jej włosy były czarne jak tusz, farbowane rzecz jasna, emanowała z niej pewność siebie, tak że cokolwiek by uczyniła, uznano by to za właściwe w tej konkretnej sytuacji. A kiedy już przed Ernestem Hearnem — z nim przywitała się na kościu — wykonała dworski dyg, z którego ten podniósł ją wytwornym gestem, obróciła się do wszystkich i powiedziała: — No, panowie, a teraz kielicha dla mnie! — Wybrała whisky.

— Mamo, ajerkoniaku? — Karl Heinz Krüger podał matce kieliszek, a ona stuknęła się z wszystkimi, także z Leną, która uważnie powtórzyła toast wujka Ernesta. Lena była podniecona i rozkoszowała się tym uczuciem, postanowiła nie zapomnieć nic z tego, co się teraz działo i miało się jeszcze dziać, taki dzień jak ten się nie powtórzy; dwóch Anglików i Niemiec z nimi podjednym dachem. Babcia była jeszcze trochę Niemką, ale tato i mama nie, a ona sama naturalnie tym bardziej nie. Po angielsku życzyła swojej ciocie Mary i jej mężowi zdrowia i wielu podróży po pięknym polskim kraju i udało się jej popieścić przy tym tylko nieistotne błędy. Karl Heinz zanurzył rękę we włosy Mary i we włosy Leny, przyciągnął obie głowy łagodnie do siebie, aby wszyscy mogli zrozumieć: ten sam produkt. Ale wtedy wszyscy zobaczyli, że włosy Mary są sztucznie rozjaśnione, a może to domieszka siwizny, więc Karl Heinz puścił włosy i podszedł do stoła, gdzie Zuzia kroila tort, wziął nóż i też zabrał się za krojenie, specjalnością jego był tort z kawalkami bambakalencera oraz dużą ilością czekolady i pralinek na wierzchu, bomba kaloryczna pierwszej kategorii. Jak oznajmił radośnie, a Lena zrozumiała to słowo i energicznie potrząsnęła dwiema rękami. No, no, no! Karl Heinz Krüger kroił obok Zuzi Kryger, która powiedziała: — Ach słuchaj, jakie to wszystko piękne! I jakie piękne dla mamy.

Mówił jej o przepisach kulinarnych, mówił powoli starając się o proste zdania, ale ona na koniec powiedziała: — Nie musisz się tak starać, rozumiem jeszcze wszystko. Tylko kiedy się mówi. — Stefcia, żona Bernarda, która prawie wszystkie przygotowania poczyniła sama, stała pogrążona w niewesołych rozmyślaniach, że w tym pomieszczeniu jest jedyną prawdziwą Polką, a świadomością bezsenności i jalości tych rozmyślań uprawiała ją w gniew. Teraz — przynajmniej — pewnie będą mówić coraz więcej po niemiecku. Mogła przynajmniej zemić się, chwalić nieco zbyt głośno po polsku

mięso i pytać Antona ponownie o cenę. Anton nazwał Duneckiego chytusiem i Stefcia, żona Bernarda, znów stała na uboczu, wyłączone z rozmowy tęskniąc za swoim mężem, na którym mogłaby się oprzeć, przy Bernardzie wszyscy byli małutcy, ach gdyby już tu był.

Matka oczywiście siedziała u szczytu stołu, obok niej Mary i Karl Heinz, potem Ernest, Zuzia i Anton naprzeciwko siebie, było też miejsce dla Bernarda, a dalej siedzieli Lena i Zuzia Bernarda, która nawet nie odwiązła fartucha. Ernest pytał Lenę o przebieg jej studiów, ile godzin zajmują poszczególne przedmioty, i z namysłem kiwał głową. Ile godzin tygodniowo pracuje nauczyli? On sam uczy historii. W Polsce jest po raz pierwszy, powiedział, i dodał patrzeć także w kierunku swojej żony: — But my father was here in nineteen twenty. — Mary przetłumaczyła i wyjaśniła: Ojciec Ernesta był podporządkowany w oddziale, który należał do komisji plebiscytowej, jak wiadomo Francuzi, Anglicy i Włosi mieli zażądać o porządek na Górnym Śląsku po pierwszej wojnie światowej. — I have seen the monument — Ernest miał na myśli pomnik w Katowicach, który był poświęcony trzem powstańcom, chciał spytać, czy dzisiejsza Polska zgodnym chórem chwali ówczesnych powstańców, ale to nie była odpowiednia chwila na to pytanie. Jeśli przybył tutaj, to częściowo po to, aby ułatwić swojej żonie odnalezienie się, a częściowo kierowały nim zainteresowania zawodowe.

Matka zrozumiała. — Wtedy — powiedziała — no tak. Spojrzała na zięcia innymi oczami, a więc nie przejechał z calkowicie obcego świata, nagle wydał się jej, że czuł w bronią i w helmie na dole przy przystanku tramwajowym, gdzie powstańcy zbudowali barykadę z przewróconych pojazdów. — Wtedy poznałam waszego ojca. — Przypomniała sobie, że także on miał broń i nosił przy pasie baniasty granat ręczny. Anton zaczął się obawiać, że będzie teraz opowiadać, po której stronie walczył ojciec, oczywiście po niemieckiej, a ponieważ chciał temu zapobiec, krzyknął: — Ach, coś tutaj się nie działo! — i podniósł kieliszek, aby wszyscy toast za ojca Hearna — ma nadzieję, że jeszcze żyje? Zmarł dziesięć lat temu, usłyszał, ale to nie powód, wtrącił Hearn, aby za niego nie wypić.

— Wcześniej wszyscy byliśmy Górnoślązakami — powiedziała matka. Ach, czy to było „wasserpolsch”? Se obłecie biały kraklik, załóż sobie biały koltar? Wycieczka to była majówce, wycieczka majowa. Albo wierszyk:

„Ma se matka pęchł na nodze
Zaraz chora bardzo srodze
Purina dobre, dobre,
wiolinka dann kaputt.”

Maria i Zuzia także to znały, śpiewały i śmiały się. — U sąsiadów tak mówili — powiedziała matka z zapalem, którego nikt nie rozumiał. Takie jej mąż czasem popadał w „wasserpolsch”,

¹ Określenie „wasserpolsch” było znane już w XVII wieku i oznaczało dialekt polski używany na Śląsku, silnie nieojczyznymizowany. (zprzj. tłum.)

szczególnie, kiedy przeklinał. Przeklinanie w „wasserpolnisch” sprawiło więcej przyjemności niż po niemiecku. Przymyślały się jej przekleństwa, ale nie wypowiedziała ich oczywiście głośno, a ponieważ zatopiła się w swoich myślach, nie usłyszała, że Lena, wnuczka, spytała ją po polsku, czy dziadek chodził do polskiej, czy do niemieckiej szkoły, a kiedy Lena cierpliwie powtórzyła pytanie, odpowiedziała szybko i po polsku, że dokładnie nie wie. Ale Antek powiedział: — Naturalnie, że do niemieckiej, w Gleiwitz.

— To było w Gleiwitz — Zuzi nie patrzyła na Steficia — ja także byłam w Gleiwitz.

— Were you born in Gleiwitz-Gliwice? — spytał Ernest Hearn swoją bratową Zuzę, która najbardziej mu się podobała z całej tutejszej rodziny, oczywiście poza Mary, miał ucrucie, że to ona tworzy atmosferę tej uroczystości, a także tempo, w jakim podnosił się nastroj. Nadarzyła się okazja, żeby spytać, kiedy Zuzi się urodziła. 1937; aha, miała więc 42 lata, tuż do ósmego roku życia według kryterium językowego była prawdopodobnie Niemką, pod względem przynależności państwowej z całą pewnością. Gleiwitz należało do Rzeszy, niemiecka radiostacja została tutaj jakoby napadnięta przez Polaków, naziszi sami to zorganizowali. A więc do ósmego roku życia Niemką. Kiedy więc nauczyła się polskiego? Po '45, oczywiście. Steficia wstała gwałtownie i odniosła puste talerze do kuchni.

— Teraz whisky! — zażądała Zuzi. — Heini, jaką tam masz gorzałkę?

— Panie i panowie — powiedział Antek, obchodząc z kieliszkami stół — teraz za naszą połowę rodziny z Anglii, a właściwie jedną trzecią, ach nie, jest także Ernest. A więc dwie dziesiąte rodziny. Oczywiście, że policzyłem Bernarda — zawałał, kiedy podniósł się głosem protestu, że chyba nie potrafi już dobrze liczyć po tej odrobinie wódki. — A jeśli już wcześniej trochę zabawałem — A więc kolegią whisky, dla mamy kropelka. Ernest Hearn podniósł się, skłonił wszystkim na poły żartobliwie, na poły uroczystość, powiedział, że pije za przyjaciół brytyjsko-polską, Anglia jest podobnie jak Górny Śląsk krajem węgla kamiennego i dlatego w gęstym powietrzu tego regionu czuje się jak w domu. — U was śmierzdy tak jak i u nas! — zawałała Zuzi i Ernest stuknął się z nią. Być może zawsze tak wyobrażał sobie Polkę, ciemna, za mocno umalowana i uperfumowana, głośna, a przeciwta kobieta jest Niemką lub była Niemką, a została Polką. O Mary nigdy nie myślał tak jednoznacznie, że jest Niemką, była żoną Austriaka, w 1948 przybyła do Anglii i przez małżeństwo ze swoim drugim mężem, jego poprzednikiem, została Angielką. Oczywiście, że była Angielką i pochodziła z Niemiec. Kim była Zuzi? Zuzi zawałała: — Czy wszyscy się najedli? —

3

Był łagodny dzień październikowy, wiatr wiał z północnego zachodu, a ponieważ ta miejscowość leżała na północnym skraju regionu, powietrze było czyste. Kto obszedł fabrykę wokół i prze-

szedł przez podmokłe łąki, znalazł się po dziesięciu minutach w lesie, rozległym, nie dało się go przejść w ciągu jednego dnia. Kiedy znalazł się na podwórzu, Antek spytał: — Kto idzie na spacer?

Steficia oczywiście musiała zająć się koleją, Zuzi chciała pozmawiać po podwieczorku, a Mary położyć się na godzinę, tak, że pozostali tylko mężczyźni. Chcieli trochę rozprostować kości, przewietrzyć się, wyruszyli więc energicznie wzdłuż ogrodów i hałdy węgla, aż na tyły fabryki. Ponad hale odlewni żeliwa wstawał nowy budynek administracji, jedenastopiętrowa budowa ze stali ze szkłano-aluminiową fasadą, szczyt nowoczesności i okropnie droga, jak powiedział Anton swego brata; od dwóch lat budowa nie posuwała się naprzód. To było tak samo jak z maszyną Orlikona, w porwybie kupiono ją na wyrost, z całego świata ściągano najnowocześniejsze maszyny, a potem kulono spłacanie kredytów, czasem nawet nie starczało na procenty. Ernest Hearn spoglądał i wsłuchiwał się w ton głosów swoich szwagrów próbując złożyć to sobie do kupy. Wkrótce minęli fabrykę, a także całą miejscowość, przez porośniętą chwastami dolinę usypano nasymp na drogę, chodnik i drogę dla rowerów. Dalej zaczynał się las, który oddalał się od drogi i Anton Kryger powiedział: — Teraz dopiero się zdziwisz!

Bo ten las sosnowo-brzozyowy, w którym wybruszyli się naprzemiennie fragmenty piaszycy i podmokłe zostało pocętkowany kortami tenisowymi, parkingami, polem kempingowym, łąkami piskinowymi i osiedlem domków letniskowych. Anton pokazał saunę, kawiarnię i budki z lodami, lody są niezwykłe ważne dla Polaków i — jak potwierdził to Karl Heinz Krüger — który z racji zawodu wiedział to najlepiej, naprawdę dobre. Budoźcy wybrali ziemię z kotliny i powstało nieregularne jezioro. Karl Heinz Krüger pokazał bratu i szwagrowi piaszczystą plaż kąpielową i mały mostek wiodący na wyspę. Ten park kultury nadawał się do wędrowania i gry w siatkówkę, picia piwa i gry w kregle, było tu miejsce dla dzieci, młokosów, a także starszych — czyż to wszystko nie wspaniale, po prostu super! Na piasku plaży Ernest wydrapał galgą datę 1939, a za nią znak zapytania i spytał: Is this here? To była Polska, ale parę kilometrów dalej na zachód zaczynała się Rzesza. Karl Heinz Krüger nie wspominał, że w tych latach w lecie 1940 i 1941 rzesze niemieckiej Jungvolk² rozbiły swoje namioty, był tam z zielonym sznurem od naraniemięcia do kieszeni na piersi. W 1943 Karla Heinza powołano do Wehrmachtu, dwa tygodnie po weselu jego siostry Marii z Joachimem, który wówczas stacjonował w niezbyt odległym Brzezynie. Ale tych tematów nie poruszali nawet, gdyż znał angielski, a Ernest niemiecki. Ernest wiedział od żony, jak łatwo jest wyjaśnić, dlaczego Karl Heinz nie jest górnośląskim Polakiem, lecz Niemcem federalnym ze Stuttgartu: Przy końcu wojny leżał ranny w lazarecie w Szwabii; kiedy go zwolniono, znalazł pracę w piekarni należącej do amerykańskich władz okupacyjnych, było mu ciepło i mógł się tam najęść, a kiedy nadeszła pierwsza wiadomość

² Organizacja NSDAP zrzeszająca chłopców w wieku 10-14 lat, wychowująca ich w duchu faszystowskim i przygotowująca do wstąpienia do Hitlerjugend (1926-1945). (prp. tłum.)

zdomu rodzinnego, upłynął już rok. Nie była to radosna wiadomość, która skłoniłaby go do powrotu, a i powrót był już raczej niemożliwy. Tak więc pozostał, ożenił się, urodził się dzieci, a teraz był Niemcem, tak jak Mary — Angielką.

— No to jak — spytał Karl Heinz Krüger, kiedy okrajali sztuczne jezioro — przemyślałeś sobie sprawę wyjazdu? — Był to ich stały temat w czasie wizyty Antona u niego; wyjazd z żoną i córką w ramach leczenia rodziny, różne za i przeciw; doszli do wniosku, że trzeba to jeszcze dokładnie przemyśleć, a przede wszystkim Anton chciał poinformować dokładnie Zuzę. — Zuzi mówi, że musiałaby zaczynać jako robotnica. Lena nie zna niemieckiego. A praca dla mnie jako inżyniera? Zasuwaj jeszcze raz latami jako robotnik? Lena i tak nie wyjechałaby z nami. Tutaj może studiować, a u was?

— Jesteś rozsądny — powiedział Karl Heinz Krüger — no, a Zuzi przede wszystkim. Przecież znowu w odwiedziny. Przeszło, miątko. Nie możemy się zachowywać jakbyśmy byli o trzydzieści lat młodsi. — On sam kończył w przyszłym roku pięćdziesiąt trzy, Maria zbliżała się do pięćdziesiątki, a Antek miał czterdzieści siedem. — Ja nie mógłbym już wrócić, a ty nie możesz wyjechać.

— Rzeczywiście — powiedział Anton Kryger — to ja jestem Polakiem, czy co?

Karl Heinz Krüger nie chciał kłótni, ale nie chciał też żadnej sentymentalnej mieszanki. — Ach, tylko mówisz po polsku.

— Bo niemiecki był po wojnie zabroniony. — Anton Kryger próbował sobie przypomnieć, dlaczego właściwie na początku lat pięćdziesiątych, niezauważalnie dla nich samych, zaczęli także i w domu mówić po polsku. W pracy i na ulicy to było oczywiste, kto nie znał polskiego, musiał się go szybko nauczyć. Może prowadzona na ulicy rozmowa po polsku przeciętna się za próg domu i była kontynuowana w kuchni? Z radia, a później z telewizji wyciskał się polski, było łatwiej dokonywać jakichś myśli usłyszanymi przed chwilą słowami. I tak już rozmawiali od lat, Zuzi i on, tylko po polsku, przy stole i w łóżku, także pieszczotliwie słowa były polskie, a pewnego razu Zuzi wybuchnęła gwałtownym śmiechem, kiedy namienicie jej przysięgał, że on i ona poszli Niemcami, mimo wszystko i na zawsze, ale żeby było łatwiej, po polsku.

Przez chwilę szli we trzech milcząc, Antek Kryger i Ernest Hearn spojrzeli na siebie i uśmiechali się porozumiewawczo — dobry spacer i dobre męskie milczenie. Antek Kryger pomyślał nagle, co jego swagier wie o pierwszym mężu swojej żony, o Joachimie Steinerze z Austrii, który przepadł tak szybko, jak nagle się pojawił. Z pewnością znał to nazwisko, przecież w dokumentach także widniało, że Maria przez pewien czas nazywała się pani Steiner, i jak to właściwie się stało, czy poprzez ten ślub nie była po wojnie Austriaczką? No, chyba zbyt wiele to Maria nie opowiadała o Joachimie, co najwyżej, że był unterscharführerem w Waffen-SS, został ranny w ramie i leżał w Ratibor w szpitalu wojskowym, a poznali się z Marią w Kattowitz w oczekalni dorowoczej. Być może ten człowiek był dla Ernesta Hearna po prostu żołnierzem Steinerem, podoficerem, który zaginął pod koniec wojny. Niech spoczywa

w pokoju. Tego pokoju Antek z ostrożności wolaby nie naruszać. Był na ślubie w miejscowym kościele, wtedy Joachim mógł znowu używać ręki do kierowania ciężarówką, w tym czasie odkomenderowano go już do Brzezinki. Dwaj koleży Joachima przyjechali na ślub. Odbyło się radosne weselę ze smacznym jęzdem i głoynymi śpiewami, Antek był na półprzytomny po tych ilościach ciasta i salatek kartoflanej, które pochłonił. Potem wszyscy trzej esemesami odjechali do Brzezinki, a następnego dnia Joachim Steiner przyszczalnie znowu przewoził transporty, być może materiały budowlane, jak opowiadał, były może kobiety, dzieci, starych mężczyzn i całe rodziny Żydów. Brzezinka leży niedaleko od Oświęcimia, a Krematoria obozu, o czym się tymczasem dowiedziانو, dymimy w miejscowości o pięknej nazwie Brzezinka. Tak wiele i tak mało wiedział Anton Kryger o unterscharführerze Steinerze, który pół roku później znowu poszedł na front i tam rozwił się jak dym — a ile wiedział Ernest Hearn?

Mięso było pokrojone, pobite i posolone, popieprzone i posmarowane masztardą, piętzyło się apetycznie, obok tabletek rzedami rożenki do szaszłyków. Czud było cebulę, czosnek i sos pomidorowy, w kuchni krzyżowały się rozmowy, mieszały się polski i niemiecki, a najgłośniejszy był Bernard. Trzymał w ręku piwo. Kiedy wszedł trzej spacerowicze zaczął wykrzykiwać do nich po polsku i po niemiecku słowa powitania. Maria przedstawiła go: — Oto najważniejszy z nas wszystkich. — Bernard Kryger wcale nie zakwestionował tej oceny. Teraz tu był, ostryżyczość zaczynała się, wszystko co zdarzyło się przedtem było tylko nieistotnym wstępem. A padał na początku to piwie dla panów spacerowiczów, otworzył butelki, podał jej i czterej mężczyźni stuknęli się nimi fachowo, także Ernest, który wyczuł, że gdyby poprosił o szklankę, zostałaby to odebrane jako zgryz. Żona Bernarda, Stefcia, odzwadzała dym z męza, który bil ich wszystkich na głowę, choćby przybyli nie wiadomo z jak daleka. Dostała tyk z butelki; siła Bernarda promieniowała na nią, teraz nie była już służącą dla panów spacerowiczów. Jak gdyby jej bliskość skłoniła go do tego, mówił teraz po polsku, toast dla mamy, sto lat, sto lat, sto lat niech żyje nam. Wszystkiego dobrego.

No tak, park kulowy to ładna rzecz. Bernard pracował tam, jak prawie wszyscy z zakładu, podobniejłami i w niedzielę, sto godzin, prowadził koparkę, wyrównował krawędzie dróg lub też rozrzucił żwir. W pracy ciągle znajdował się w czołowie, jak zwykło od piętnastu lat jako رہبر, wyróżniał prawie co roku, a raz nawet był przy tym, kiedy delegacja melndowa głównemu przywódcy partii o sukcesach w kopalniach, on jako jedyny był Niemiec, Bernard Kryger, prrodownik pracy. Teraz chętnie by porozmawiał z Ernestem o związkach zawodowych górników w Anglii, strajkowali przeciw często i trzymali łokc kraju w swoich rękach. Podobnie jak górnicy górnolodzący. Ludzie prasy formułowali to chętnie tak: Na Górnym Śląsku bije serce Polski. Ale oczywiście nie byłoby na

miejscu prosić w tej chwili Mary o tłumaczenie dyskusji o sprawach związkowych, teraz trzeba było je i wznosić toasty, za naszych gości z Anglii, za Stefcię, wspinając kucharke, za Antka i za Kochaną świnkę. Mięso, wódka i piwo, ogórki i salata kartoflana, czerwone buraczki we wspianej pikantnej zalewie, przepis przywozła Stefcia ze swojej wioski koło Lwowa, a później jeszcze raz na stół wjadła ciasta. Matka jako pierwsza złożyła ręce na brzuchu i kolejno spoglądała na swoje dzieci, teraz wszystkie były jej dziećmi, także Stefcia, a nawet ten obcy nauczyciel z obcego kraju, który właśnie się do niej uśmiechał, i z którym obij już Maria pozostala, aż śmierć ich rozłączy. Śmierć, z którą matka obcowala od lat, która zabrała już prawie wszystkich, z którymi wstawała, i której oczekiwania na początku każdej zimy; zawsze mówiła: Nie docekam następnego wiosny. Jeszcze rok, no, może dwa.

Zuza jadła najmniej, a salatkę kartoflaną nawet nie tknęła. Okropne było już samo automatycznie włączające się myślenie i przeliczanie, ile kalorii zawiera kawałek mięsa, lyeczka cukru lub kielszcz wódki. Czula na sobie spojrzenia Karla Heinza i Ernesta, przyzwyczajona do takich męskich spojrzeń i uśmiechała się uśmiechem przeznaczonym dla krewnych: nie różnił się on prawie od uśmiechu do teściowej, która siedziała teraz z nieobecnym spojrzeniem, ten dzień był chyba jednak zbyt wyprzedzający. Maria pochyliła się w jej stronę i Zuza powiedziała: No cóż, zamienimy się miejscami. Najchętniej Zuza spytałaby: Czy jesteś szczęśliwa, Mario? Czy była to właściwa decyzja, że pojechałaś do Anglii i wyszłaś za tego przyszanego porządniego, ale chyba też trochę bezbarwnego nauczyciela? Czy ponownie uciekałaśby stąd, ach tak, z pewnością uciekałaśby, znowa cześmana Steinera znow uciekałaśby, ktoś szedł świadomie do obozu. Ty musiałaś odejść, ale ja miałam możliwość wyboru, tyle, że byłam zbyt młoda, aby działać zdecydowanie. I jak to jest, myślisz jeszcze czasem, śnisz jeszcze czasem po niemiecku? Ale Zuza nie pytała o to wszystko i zdziwiła się, że wcześniej ani razu nie wpadła na to, o co teraz chciała by zapytała. Zdjęcia leżały obok odsuniętych talerzy i sztućców. To jest moja córka, a na tej ulicy, trochę dalej, stoi nasz dom. I Maria, Mary, poczuła światłowna, ostrą tęsknotę za tą ulicą, za tym, aby przejąć się nią z siatką na zakupy w rękę, a Miss Oakland, sąsiadka idzie z naprzewnika ze swoim białym szpicem.

— Najadłem się za dwóch — Anton Kryger powrócił to zdanie po polsku dla Stefci. — Ależ żowno wspinał naogotowałaś dziewczynko! — dodał i w tym momencie naprawdę prawie lubił Stefcię. Żalotić brała patrzeć, jak tak sto w wieniu Bernarda, jak Bernard nie daje jej się wybić, jak go uwielbia i ulega mu i przy tym wszystkim jest szczęśliwa. Bernard Wielki, który prawdopodobnie żowno zaczyna awanturę, jak wypije o jednego za dużo.

Lena sprzątała. Wyobrażała sobie ten dzień inaczej, świat przyszedł do domu rozszadając ściany. Od wujka ze Stuttgartu dostała dzinsy, a z Anglii płyty, nagrane przez zespoły, których nazw nigdy nie słyszała, przez brodatych młodych mężczyzn, jak pokazywały okładki, którzy wyglądali nie inaczej niż muzycy pop w Polsce i na całym świecie. Ale nie mówiono o niczym, czego by już nie wiedzieli.

i po raz pierwszy dotkliwie i boleśnie, a nawet upokarzająco odczula, że tak naprawdę to nie zna żadnego języka obcego, że zdania angielskie potrafi tylko kaleczyć. Czyż nie mogła być chowana dwujęzycznie, mówiąc w domu po niemiecku, a na ulicy i w szkole po polsku? Kary wtedy po wójnie!

— Nie było chyba z tym tak źle. — powiedziała Lena w odpowiedzi. — Weszła Stefcia i zaczęła wycierać szklanki do polysku, rozmawiali przy tym cicho i powoli, Stefcia czuła się jakby uwolniona od atmosfery panującej tam wewnątrz, gdzie nie rozumiała dwóch z trzech zdań, gdzie także Bernard mówił teraz coraz więcej po niemiecku i nie starał się już prawie wcale wyciągać jej do rozmowy. Każdy z osobna z tej rodziny był do wytrzymania, ale nie wszyscy naraz. Kto podoba się jej bardziej, Maria, czy Karl Heinz? Oboje tak samo, stwierdziła Lena, a Karl Heinz jest bardziej podobny do jej ojca niż wujek Bernard. A wujek Bernard żowno jest podobny do ciotki Mary, przynajmniej z oczu. Lena nie odważyła się spytać, czy któreś z tych dwojga przywozilo coś dla Stefci, być może po prostu o tym zapomniano. A przecież ciotka Stefcia i wujek Bernard mieli też dzieci, ktoś jednak może przyszaczy coś dla wszystkich?

— No, to już czas na mnie! — powiedziała matka i wszystkie spojrzenia skierowały się na nią. W czasie ostatniej godziny pracy nie myślał już o tym, że to przecież jej urodziny, że przejechał tutaj, aby je świętować. Cieszyła się, że po nieskończenie długim czasie są razem, tylko Maria gładka czasem dłoń matki. Tak, matka, mama. A Bernard zaintonował pięć, którą w Polsce zawsze się śpiewa. Jelli ktoś ma urodziny lub jest oznaczany, Kiedy chce się komu poświęcić coś dobrego: Sto lat, sto lat, niech tyje tyje nam, sto lat, sto lat niech tyje tyje nam. Śpiewali wszyscy z wzniesionymi kielskami, także Stefcia i Lena, które stały w drzwiach kuchni, wszyscy, oprócz Marii, Ernesta i Karla Heinza. Matka broniła się, a kiedy skończył, podziękowała za piękny dzień i wspinał prezenty, no a jutro przecież żowno zobaczą się. A ponieważ śpiewano po polsku, po polsku podziękowała. Wszyscy pocałowali ją w policzek, a kiedy Maria podprowadziła ją do korytarza i chciała pomóc wejść po schodach na górę, mówiła żowno po niemiecku. Pomagać, tego jeszcze brakowało.

Potem rozmowa rozwinęła się leniwie i Ernest Heinz sprawił swoją żonę, czy także i oni nie powinni powoli zbierać się do wujcicia, ale Maria odpowiedziała, że jeszcze na to za wczesnie, bracia wzięliby to jej z pewnością za złe. Zuza, która objęła Marię za ramiona, zawolała, że powinni teraz spróbować, czy są w stanie zaśpiewać niemiecką piosenkę. Am Brunnen vor dem Tore³ na przykład. Zaczęła śpiewać zbyty wysoko, tam kręci się młyńskie koło, Maria wtórowała i tak obie szwagierki siedziały, zwrócone do siebie twarzami, ostrośnie zagłębiając się w tekst, mój ukochany, który tam mieszkał zaginął. Dotarli do końca pierwszej zwrotki, ale jak zaczęła się druga? Maria śpiewała tę piosenkę, kiedy ze swojej grup Bund Deutscher Mädel⁴ stała w białej bluzce i niebieskiej spódnicy w sali szpitalnej

³ Przy studni przed bramą, popularna piosenka ludowa (przep. tłum.).

⁴ BDM — organizacja faszystowska dziewcząt powyżej 14 roku życia (przep. tłum.).

między rannymi żołnierzami. Opatrunki wystawiały na szynach z łózek, powietrze było przepelnione obeszalającym zaduchem, a najgłośniej śpiewał żołnierz w opasce na czole, oczach i nosie, o którym szepetano, że jest niewidomy. Stefcia słuchała tej piosenki przypominając sobie, że śpiewali ją niemieckie dozorczyńskie obozu dziecięcemu, w którym zamknięta ją, polską sierotę, i jak zwykle przestraszyło ją wspomnienie wymierzonej przez nie kary, kacy chód, dzieci musiały kołysać się jak kaczki przekucząc z jednego końca podwórka na drugi, wrzask dozorczyń w powietrzu i strach przed piekarnem, przed upadkiem i pozostaniem na ziemi. Kacy chód, to było jedno z tych niezliczonych niemieckich słów, które pozostały w jej pamięci. Dozorczyń śpiewały te piosenki w swoim pokoju, który był jasny i ciepły, a polskie sieroty dogotywały na przyrzech z zimna, głodu i strachu.

— A pamiętasz jeszcze Antek, jak przyjechałeś do Brunszwiku? — Bernard zawsze z tym wyskakował, ciągle odczuwał to jako bolesną zmianę w swoim życiu, a Antek za każdym razem odparowywał: Ale tutaj przecież zostaliście kimś, brakuje ci czego? Czy to wypada członkowi Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, hm? — Ale te pierwsze lata w obozie! — odwracał się na Bernard. — Pamiętam to jak dziś — mówił Bernard nad stołem, nie zwracając uwagi na to, czy ktoś go słucha — ja na tym podwórku zaprzęgłem konie, a tu kto stoi przede mną? Antek, bracieśku! Dostał ojciec list rok po wojnie, wziął go ktoś, kto koniecznie chciał do domu, osioł, i tu Antek stoi i mówi, moście to sobie wybierzcie! Nie mów! Najpierw „dzień dobry”, czy coś takiego, lecz: pozdrowienia od tatusia, natychmiast masz wracać do domu. Tak, jakbyśmy troszkę za długo bawili się poza domem! Natychmiast masz wracać — zstyslicieś!

Zuza i Maria zastanawiały się, co jeszcze mogłyby zaśpiewać, tekst jakiej piosenki mogłyby sobie najszybciej przypomnieć. Mein Seckelander, wir sehn uns wieder am Odestrand! — lepiej nie. Lena gapiła się na swoją matkę, takiej jej jeszcze nie widziała, z tak błyszczącymi oczami i czerwonymi policzkami, dziesięć lat młodsza, lub jakby ją zakochana. I mówiła po niemiecku, słowu wyskakowały jej z ust, jakby toczyły się ich tam więcej, niż można porządnie odprawić.

— A ile miałeś wtedy lat? — spytał Antek.
— A czy to ma jakies znaczenie? — wrzasnął Bernard.
— Jasne, że tak! Dwa dziesiąte czterdzi, członek grupy spadochronowej i podoficer, a ile miałeś odcierów?

— Wszystkie gówno! — krzyczał Bernard. — Zasuwam do domu, bo powiedziałeś, że ojciec leży chory i nie może orać, no to syn musi wrócić z obozyny. Człowieku, nie ma nic głośniejszego niż być chłopcem, to całe podwórko i konie, i ziemia. A kiedy wracam ojciec jest zdrowy jak kobyła, a na mnie ktoś donosi, że byłem podporucznikiem i Polacy wadząją mnie do ciupy.

— A w ciupie zostajesz najlepszym rębaczem Górnego Śląska!
— Antek śmiał się teraz, ale Bernard złał go, jak wrócił z obozu.

¹ Śląsku, ma kraino, wziętym się znów na nadodrzańskich płaszcz

a następnego dnia znów zjechał do tego samego szczytu, tym razem dobrowolnie i nigdy więcej nie wziął do rąk lejców.

— Gdybyś nie przyjechał, miałbym dzisiaj sklep cukierniery jak Karl Heinz, no nie?

— Stefcia poszła do kuchni zabierając ze sobą puste butelki. Zuza obejrzała się i pomyślała: Wszyscy jesteśmy tu przeciw Niemcami, poza tym Anglikami, ale on przynajmniej nie jest Polakiem, a Lena jest córką dwojga Niemców, i nie skończyły nawet tej myśli zaczęła śpiewać: — Deutschland, Deutschland über alles, über alles in der Welt. Wenn wir stets zum Schutz und Truhitze bürdlichen zusammenhält — śpiewała Zuza, tak jak podsuwano jej odpowiednik — von der Maas bis an die Mehemel — Antek gwałtownym ruchem głowy oderwał się od rozchichotanego wyobrażenia o Bernardzie, jak stoi w białym kitlu za ladą cukierni, z toriem w rękę i gapił się na Zuza: Czy ona aby nie oszalała? Ale oto włączyła się Maria i oba głosy narastały lekko zadowoląc: — von der Etsch bis an dehen Belt!⁴ — Stefcia pchnęła drzwi i krzyknęła: — Bernard! — I Bernard poderwał obie ręce do góry i chwycił z prawej i lewej strony za wargi i zęby, miękkość i wilgoć — Deutsch... — zaczęło się jeszcze wysoko i trafnie i urwało bulgocząc, a Bernard zatkął usta Zuzy i Marii i odchylił ich głowy do tyłu, zaczęte właśnie triumfalne słowo zamarło i w tę ciszę Stefcia wyrwała długie polskie zdanie, które dla Ernesta Hearn'a zdawało się posiadać tylko kanciaste rzeczowniki i które mogło mieć tylko ten jedyny sens, że mianowicie uroczystość właśnie się skończyła.

Mąż Stefci tak stracił jej zdanie: — Fajrant, psinkrew! —

5

Czy były to wiry, z których musiał wyszarpać się do góry, czy też tkwił na dnie szczytu, zaś niebo skurczyło się w maly przewisł — budzenie się przychodziło Antonowi Krygerowi z mozołem. Ból głowy wyrwał go ze snu i natychmiast poczuł to piękce, uporczywe pragnienie: przylek, podniebienie i język były jak papier ściepny. Zuza potrzasała nim, ciągle powtarzając coś o wstawaniu, wolała go po imieniu, hm! No to otworzył wreszcie powieki, dobrze, dobrze, zaraz przyjdzie, chciał wymamrotać, ale wargi mu się zlepiły.

Zuza postawiła kawę i chleb. Rankiem w tej kuchni nigdy wiele nie rozmawiano, tak więc Anton Kryger nie zauważył, że jego żona od momentu obudzenia nie więcej nie powiedziała. I tak musiała wcześniej wyjść na swój autobus. Nagle przypomniał sobie, urodziny mamy i to okropne zakolecenie, mój Boże, no tak. Teraz, kiedy patrzył na Zuza szamoczącą się z szalikiem, przypomniał sobie nagle wszystko, a na podwórku Maria chciała jeszcze wszystkich przeproszać i prosiła Bernarda, aby przeprosił w jej imieniu Stefcię, ale

⁴ Pieśń napisana w 1841 roku przez Heinricha Hoffmanna von Fallersleben. W latach 1922-1945 właśnie ta pierwsza zwrotka była hymnem niemieckim. Od 1952 hymn RFN, ale śpiewana jest tylko trzecia zwrotka, wyrzucająca dźwięnie do zgodzonych, wolnych, rządzących prawem Niemiec. Także obecnie hymnem RFN jest trzecia zwrotka tej pieśni. (zprzyp. tłum.)

Bernard stał jak słup, Stefcia zanosiła się płaczem, Lena obejmowała Stefcię, płacz wybuchnął z Leny głośniejszy niż jeszcze w drodze do domu drżała nie reagując na żadne słowa.

Ranek na Górnym Śląsku, Karl Heinz Krüger układał torby podróżne siostry i szwagra w bagażniku. Mieli przed sobą długą podróż przez Morawię, Czechy i Bawarię, na lotnisko we Frankfurcie nad Menem, nie było potrzeby omawiania wszystkiego od razu.

Maria, Mary wyniosła jeszcze jedną szafkę, w środku było pudełko z dwoma małymi wyszczerbionymi filiżankami, wyprosiła je od matki, a ta powiedziała: A cóż wam się podoba w takich starociach? Teraz matka podeszła do drzwi, uściśki, pocałunki i fry. Niech Bóg ci strzeże, moja dziewczynko, Maria wstrząsnęła kłanie i pomyślała: Widzisz teraz matkę po raz ostatni.

Mężczyźni usiedli z przodu, a Maria, Mary wsunęła się między siatki i pakunki na tylnym siedzeniu. Karl Heinz Krüger wyjechał ostrożnie z bramy i starał się skoncentrować uwagę, którą szczególnie nie potrzebował na dziedzię, piętnaście kilometrów jazdy waskimi ulicami z zaprzęgami konnymi, traktorami i rowerzystami, z tym niesamowicie pomieszanym ruchem, to najgorsze ze wszystkiego. Maria obejrzała się i uniosła rękę, aż słup bramy wjazdowej skrył widok matki. Wtedy zamknęła oczy i czekała na fry, które nie napłynęły.

Zuza Kryger siedziała przy biurku uporzączy się już z pierwszym nawalem pracy. Teraz najprawdopodobniej nadגיע zastój, czas, aby zatroszczyć się o herbatę, wypłabły ją z dużą ilością cytryny, może wytrawiały ten zły smak z ust. Mój Boże, to, co zrobiła, było okropnie i nie pomagała jej myśl, że można to zrozumieć. Skandal nie wjdzie poza rodzinę, oczywiście, że nie, ale znow na lata zaczęła na słowatkach ze Stefcią. Będzie oczywiście prosiła Stefcię o wybaczenie. Ale najpierw Bernard musi ją przekonać, żeby w ogóle przyjęła przeprosiny: wiele zależy teraz od Bernarda. Zuza sięgnęła po pierwsze papierosa tego ranka i wdziała już z góry, że nie będzie jej smakował. Przez cały dzień wspomnienia, niemieckie słowa, zdania, niemieckie piosenka — i to wydarzyło się jej, Zuze Krygerowej, od której nawet córka nie nauczyła się jednego niemieckiego słowa. To było nie do pojęcia. Myśli urwały się, kiedy wieszka koleżanka, plik papierów w rękach: Pani Krygerowa, rozliczenie dla, od, za — może pani spojrzeć? I tak myśli, w jaki sposób mogłaby pogodzić się z córką, pojawiła się później.

Ernest Hearn wyciągnął w tym czasie nogi i bardziej leżał niż siedział, bas bezpieczeństwa na pierś, rozkoszując się sposobem jazdy Karla Heinza Krügera. Nie wyprzedzał za wieszka cenzu, zatrzymał się uprzejmie przed starym męczyzną namrocze; oj, ojczulku, ojczulku! Haimawal przed dziećmi na rowerach, ale kiedy już przygotował się do zrywu, to robił to z rozmachem. Miniony wieściór — trzeba by się było spytać jeszcze o różne rzeczy. Ale dlaczego Stefcią, kiedy wszyscy stali już na podwórku i próbowali się poznnać, krzyknęła do Mary: Ty kacycho chodź! Spytaj Mary: Kacycho chód, co to jest? — Przed nami granica — powiedział Karl Heinz Krüger.

przełożyła Izabella Golec

Nota o autorze — zob. s. 10.

Urodzony na Górnym Śląsku i Gebirgstadt in Görzy Śląsk i jest skromnym dla potrzeb tej publikacji opowiadaniem pod tym samym tytułem. W: Erich Loest, *Beschwerden* (Stryczy w brzech Opowiadania) Linden-Verlag Lipsk, 1990.

Ze Żwiartowa, ze Wschowy, między Wschodem a Zachodem

Z Wacławem Oszejką rozmawia Sergiusz Sterna-Wachowiak

Sergiusz Sterna-Wachowiak: Czy zechciałby odpowiedzieć serjo na pytanie z tytułu *Wschowy i Żwiartowa* — jest to kultura symboliczna dzieląca dwie antagony, Robinson Crusoe i Don Kichot, który z nich bardziej byłby jemu?

Wacław Oszejka: Jedni i drugi nadawali się do jawnego stylu życia w specju św. Ignacego z Loyoli, bo trzeba pamiętać, że duchowości Ignacejaka i duchowości Jasnacka to nie to samo. Takie w historii polskiej jasnacki można by porównać Robinsonowi i Don Kichotowi. Mają oni w sobie od, czym Ignacy były zainteresowały. Z jednej strony ciekawości świata, z drugiej strony radzenie sobie we wszelkich okolicznościach. Jeden i drugi próbował żyć rytmicznie, choć dla Robinsona naturalnie natura podstawowa, fizyczna, a dla Don Kichota psychiczna, kulturalna.

SSW: W historycznych czasach, mających w latach 30. kilka różnicujących wydań, SSW: *Kraj między Wschodem a Zachodem. Podróż Żyda do Hiszpanii*, Marek Ehrenpreis, przeł. ze Polak jest Don Kichotem. Dalo mi to anegdota do niedzielnia, i ze Polak jest Don Kichotem, o tyle Wielkopolskim przypisano Robinsona Crusoe, który rozpoznaje nawet wyjątek bertha. Czy dostrzega podobne różnice między wschodem i zachodem Polak, tj. który ze Żwiartowa pod Zamocinami i z Lubina, czyli z kręgu Don Kichotów — przychłodzi do kręgu Robinsona, zamieszkuje krajem w Kaliznie, Poznaniu, Toruniu i Jastrzębiej Górze niedaleko Gódnika, na kuku zachodnio-północnym?

WO: Do niedawna zgadzałem się z takim podziałem, ale dziś jako przybysz ze wschodu na zachód Polski do kultury symbolicznej znalazłem jeli nie struktę, to przynajmniej na wyśmiałem pozmian: umiętność robenia pensji i gospodarzenia. Tak się stoczyło, że ładnie mieszkałoby na Kracach Zachodnich mogli się odnieć już z dalszej przeszłości sztuce robenia gospodarzki, co w warunkach naberu rosyjskiego, a także austriackiego nie było możliwe. Dla mieszkańców polskiej rodzinnej Zamośczyzny, dla wszystkich mieszkających na wschód od Kalizna trzeba by znaleźć jeszcze innego patrona. Kogosi, kto — gdy bywało lepiej — próbował być artystą gospodarstwa, zaś gdy go przyścisną — próbował jak Don Kichot walczyć z wiatrakami, okazywającymi się straszny czynny o wiele groźniejszym. Trzeba by znaleźć symbol człowieka, który ciągle próbuje i angażuje się w nie spełnia.

SSW: Może w stawie razem małymiś do czynienia z Szyfem?

WO: Właśnie, to jest ziemia Szyfów. Mieszkaniec Polski leżącej na wschód od Kalizna nie zostawia po sobie owoce, nie ma plonu.

SSW: Ale przypuszczając do Polski na zachód od Kalizna Władysława Gombrowicza obserwował, że historyj chłop upadł jako lekomośnica, przemyślny i ziemniaki niczym kolosała od osadki, podziatnę głębię z Krainie Wschodnich wędz i ziem jak drzewo, jakby sam był słońce ogrodnik i ogrodnikiem w jednej osobie.

WO: A to Gombrowicz się myli, bo według mojego odczucia chłop wschodni nie jest żadnym drzewem czy ogrodem. To jest pięknie powiadane, ale tak mówić można tylko z oddalenia czy z dystansu, tak o Wschodzie pisze się, kiedy się już na Wschodzie nie mieszka. Zaczyna się wtedy tragiczna codzienność, bieda, bernadziej, niemożność. Z jakiegoś oddalenia piana też o tym polscy romanściarzy, a dziś Singer, który wymienia Błogosz, i tak dalej, lecz myli już drogę do Błogosz.

SSW: Młot w osz, „Wypaś beznadzie” widać w Robinsonie pioniera, zdobywcę, postawca, co w podrobniej osnawce; ze kaski były według Milosza raczej Don Kichotem. Według mnie jest w tym coś na rzeczy. Czy zatem dialog Wschoda i Zachoda

odtwór od niemi, od immanencji, od ciała i krwi. Mądrość Cerkiwi dostrzegam — sam o tym pisałem — w ikonie, przez którą jak przez okno niebo wlewa się w rzeczywistość niemi. Poza tym prawosławie imponuje znaczeniem, jakie jego teologia przywiązuje do ichnienia Ducha Świętego i do sofi. Przyjrzałem się też na szacunku żydom, czyli Żydom wierzącym, z Synagogi, wyznawcom jadaizmu. Powiedzieli mi oni, że wszystko jest możliwe, a i, możliwa jest wobec tego syneza, katolicyzm, który powszechność, w której to różne elementy — Katedra, Zbiór, Cerkiw, Synagoga — nie muszą być sprzeczne. Dobra realizacja się to może? To pytanie, moje myślenie jest łase na paradoks, na niemożliwość, na wewnętrzną sprzeczność, a w wszystkim logika porażki żywi się bardziej, niż jakakolwiek inna logika. Ale wracając do naszych badań. Jeśli Katedrę, czyli katolicyzm pojmiamo jako sakrament, Zbiór jako słowo, Cerkiw jako sofię, to nie obędzie się bez Synagogi, która odpowiada, że może być Bóg pośród swego narodu. Chrzześcijaństwo dopowiada, że to się realizuje we wcieleniu Synagoga ostrzega nas przed oddzieleniem sakramentu od słowa i sofi, bo słowo i sofi są wcielenie. Jeśli by tak podjęcie do sprawy, to nie ma sensu pytanie, czy chrześcijaństwo odnosi się do świata zewnętrznego czy do świata wewnętrznego, bo po prostu jest to kwestia Ducha Świętego, który jest w nas, w Kościele i może zaowocować w świecie gospodarki, polityki, techniki, w wszystkim, co jest życiem. Bardzo trudno powiedzieć, co jest a co nie jest chrześcijańskie i trzeba by zastanowić się również, jak chrześcijaństwo jest jawisko now age. Według mojego judeo-chrześcijańskiego myślenia retorycznym jest pytanie, czy może być cokolwiek nie związane z JHWH? Prościej nie jest poza.

Jastrzębia Góra k. Gdańska, 21 X 1994 r.

V Konkurs Poetycki o Nagrodę im. K. K. Baczyńskiego

Stowarzyszenie Literackie im. K. K. Baczyńskiego oraz Katedra Literatury Romantyzmu i Literatury Współczesnej Uniwersytetu Łódzkiego ogłaszają ogólnopolski konkurs na zestaw poetycki. Do udziału w konkursie zapraszamy autorów, którzy nie mają jeszcze w druku poetyckim publikacji książkowej. Będziemy rozpatrywać jedynie utwory datowane nie nagrodzone i nie publikowane.

Zestaw poetycki, o łącznej objętości do 100 wierszy, należy osłuszyć gołdem. Tym samym gołdem prosimy osłuszyć także dołączoną do zestawu załączną kopertę, w której będzie imię, nazwisko i adres autora oraz odcinek potwierdzenia wpłaty 10 zł (drukiem złożony) na konto Stowarzyszenia: PGB SA I O, Łódź 344609-3809.

Prace należy nadsyłać w trzech egzemplarzach maszynopisu do dnia 10 grudnia 1995 r. pod adresem: Śródmiejskie Forum Kultury, 90-056 Łódź, ul. Roosevelta z dopiskiem na kopercie: V Konkurs Poetycki o Nagrodę im. K. K. Baczyńskiego.

Rozstrzygnięcie konkursu i wręczenie nagród nastąpi 23 stycznia 1996 r. O dokładnym miejscu i czasie uroczystości laureaci będą powiadomieni listownie. Organizatorzy nie odpowiadają nadesłanych prac.

Stowarzyszenie Literackie

im. K. K. Baczyńskiego

Śródmiejskie Forum Kultury

ul. Roosevelta 17, 90-056 Łódź

UNDINE MATERNI

nie unol
dłoni w drzwiach
gdy odchodysz Zabierz
czarne zeglarskie buty
weź kosmyk włosów
z czola Być może
można przejść przez ramy
pamięci jak w płótno obrazu
aby dotknąć wspomnień
Cóż więcej można bez niego

To nie jest kraj dla nas mówisz
koscia zawisa na wierzchołku
i kręci się w kółko
tak jak twoje imię które przyzywa

Pojedynczy głos nie ma przyszłości
jednak suma punktów jest większa
niż metaliczne błkiny raneK Kroki
w pokoju On głodny i nieczuły

Jeśli chcesz odejść nie podnoś
chorągiewki dłoni Iż Zabierz
kosmyk swoich włosów Pokój
Ranek Łuźne sznurowało
zeglarskich butów Niechaj ostatnia tła
wpadając do zlewu

spłynie z innymi
ściekami

Żnagle wieczorem

i nagle w środku wieczora
lodowata byłka strachu która
choce wyskrobać życie z
powłok którymi ty i ja jesteśmy
pietnem nadziane na paliki płotu
powiewają puste na wietrze może hni
nika kropla krwi w

zachodzącym słońcu które odchodzi
teraz ramię w ramię z łyżką
może obrócić się dziecko
i zapyta kim jesteś
to wszystko niewiele znaczy
gdy nagle w środku wieczorem
łęk przychodzi i mówię łyżka
a nie wiem
co to oznacza

Później

Ona trzyma swoje włosy
pod wodą aby je
pocieszyć
pod łogorem skóry
przycięli się sen
milknąc
z klawiatury swoich organów
z wolna zdejmował palce
biało płakały włosy z ramion
biało płynęło mleko do szklanki

Przylepka

N w chlebnie mieszka ojciec
nosi ostre noża
pomiędzy zębami
rękami lepi kule karabinowe
od gorzałki
zakalcowały

* * *

Jestem teraz w domu sama
ze swoimi nocami
które lażą po pokoju
jak głodne koty
z błędnymi oczami i parszując sierścią
Jedzą zgniłą rybę
która dla nich wykladam
jako trutkę

Zarys

Alexandrowi Weisbergowi-Cybulskiemu

jestemy
małymi głodnymi ptakami na
krwawiącym makami polu historii
z butelką najprędziejszego spirytusu
na pod skrzydeł płaszcza
albo z bombą na tylnym siedzeniu samochodu
lub z gumką do ścierania w aktywie wszystko
definiującej formuły
mieszkamy w szafach pancernych twarzą
do ściany z naszą tajemnicą
wieczorami kalekami palcami wystukujemy morsem
znaki na metalu
potem krańdym nad skrawkiem ziemi niczyj
i liczymy tę czerłą gwiazdę
która nam przycielono
od czasu do czasu nożrą się ktoś lub znika
sporządzamy protokół w
trzech egzemplarzach później znowu
szafa pancerna papier i
paragrafy funkcjonujemy według
określonego schematu pilnujemy aby nie zniknęły
te trzy gwiazdy i nikt później nie przychodzi
— nasze sumienie jest czyste jak
lata pięćdziesiąte w książkach do historii
kiedy nasi ojcowie już myśleli o nas
i dziedziłczyli po dziadkach gumki do ścierania
a nasze matki kochały i jednocześnie obawiały się
nas ponieważ nieprzerwanie rolibyśmy godni
lecz zawsze głodni i zafajdani
dla szoku wynalaziono tablice ściennie
a wycierająca się z nich kreda tak jak gumki
była od początku najważniejszym składnikiem
piórników i programy doświadczalne
normalizowania osobowości irwały
bez końca a nasze nożdrza tonęły we mgłę
podczas jesieni
początkowo polykalśmy papkę i wymiotowaliśmy
później tylko polykalśmy
głód był większy a my ucyliśmy się
nieodróżniania granicy między dobrym
a właściwym strach swym palcem wskazującym
wziął się w końcu czaszki wtedy
szafa pancerna niebo pole papier
i paragrafy raz w roku urlop
gdzieś tam po drugiej stronie w Puszcze
bociany prawie wżerały się nam w serca

potem znówu szafa pancerna klucz
wybierany na wyczerpie z pęku obraca w zamku
szyją szręję w wykromalonym kołnierzyku
jak rok bardzo powoli
palec przekraczający klucz jest skaleczony
mam w ustach syreny środy
nie znam odpowiedzi ani recepty
na dworcach kolejowych zbierają się
butelki bomby gumki formuły
i wskakują do nadjeżdżających pociągów
w Puszcze bociąny prawie wyżerły
nam serca z piersi a ja nawet skądinąd
ręka nie będę mogła nawet

Przełozyla Urszula Gierszon

UNDINE MATERNI ur. 1963 r., mieszka w Rełnie. Poetka. Ukończona studia w Instytucie Literatary.

Przełozyla Urszula Gierszon

Przełozyla Urszula Gierszon

Przełozyla Urszula Gierszon

Przełozyla Urszula Gierszon

ROLF SCHNEIDER

Przypisy do pewnego powstania

1

Wojny są czasem innowacji. Wykazują, że *homo faber* jest szczególnie zdolny, gdy zajmuje się swoim samounicestwianiem. Antyczne powiedzenie o wojnie jako mowie wszystkich rzeczy ma swe uzasadnienie, przede wszystkim w dziedzinie sztuki inżynierskiej i logistyki.

Brzemieniem w skutki wynalazkiem pierwszej wojny światowej, obok użycia aparatów latających, było zastosowanie militarne gazów trujących. Brzemieniem w skutki wynalazkiem drugiej wojny światowej, obok użycia bomb z nuklearnego materiału rozszczepialnego, była likwidacja respektowanego do tej pory rozróżnienia między frontem a zapleczem.

Atak niemieckich bombowców na brytyjskie miasto przemysłowe Coventry przyniósł prawie całkowite jego zniszczenie.

Nieliczona liczba cywilów została poszkodowana. Coventry ustanowiło rodzaj toposu, do którego usilnie starała się nawrócić jedna lub druga wujająca strona. W Niemczech też nazwy powinny brzmieć, między innymi: Norymberga i Dreżno. Poza granicami Niemiec — między innymi: Lidice i Warszawa. Polska stolica miała być wskutek woli niemieckich sztabowców tym, czym stała się w końcowym stadium, według okieslenia poety Brechta, wielka Kartagina: nie do odnalezienia. Pośród wielu zniszczonych podczas drugiej wojny światowej krajobrazów miejskich Warszawa ucierpiła najbardziej. Miało to oznaczać okrutną odpowiedź na dwa heroiczne, ale zakończone klęską powstania zbrojne: jedno żydowskie w getcie warszawskim i drugie wzniecone przez polską Armię Krajową generała Bora-Komorowskiego w aryjskich dzielnicach miasta.

Drugie powstanie silniej utkwiło w zbiorowej świadomości historycznej. Trwało dłużej, przy tym podczas jego wybuchu istniały pewne widoki na powodzenie: Armia Czerwona Józefa Stalina stała właśnie na przeciwnym brzegu Wisły. Gdy powstanie wybuchło, armia ta oczywiście zatrzymała swój pochód. Zniemawidzony przez nią polski nacjonalizm, którego reprezentanci, zgłędzeni, od czterech lat leżeli w grobach w Katyniu, i zniemawidzony niemiecki narodowy socjalizm, który przyczynił jej sowieckiej ojczyźnie tak wiele bólu, miały się wzajemnie wyniszczyć. Jak zawsze, gdy chodzi o krew i okrucieństwo, rachuby Stalina potwierdziły się zgodnie z planem.

Po powstaniu w getcie Hitler polecił zburzyć dzielnicę żydowską. Po powstaniu warszawskim rozkazał zniszczyć całe miasto. Skutki są

dziś niewyobrażalnie. Posępne zdjęcia fotografa Heydeckera przekazują więc coś na kształt wrażeń archeologicznych.

2 rok bezdusznego powstania

Odwiedziłem Warszawę po raz pierwszy w roku 1957. Stworzona przez Niemców jawała pustka bezlitosnej destrukcji była jeszcze widoczna w wielu miejscach. Postawiony przez Sowietów pałac kultury stał nycim brutalny i szycdercy palec wskazujący w pozabawionej domów okolicy. Marszałkowska przebiegała wąsko i bojaźliwie pomiędzy ruinami. Nowy Świat był na razie fragmentem ulicy.

Miastu brakowało wesołości. Miało co prawda swój dowcip, ale był on ponury i złowrogi czarny; upiornie refleksy tamtej wymazanej żydowskiej duchowości, która tu niegdyś zamieszkała. Zapach, który wisiał nad ulicami i placami, niespełniale uciążył, ale i niezniszczalny, pochodził od zgnilizny i rozkładu popiołu.

Kartkuję zapiski w moim notatniku z tamtych czasów i czytam: *Personel hotelowy traktuje mnie z czyni w rodzaju powstrzymanej niechęci. Kamienne twarze. Atak psychiczny: znajduję bezbłędne zastosowanie. Przyzwyczajam się, by prosząc o klucz w recepcji wymieniał po angielsku mój numer pokoju. Byłem przecięt jeszcze dzieckiem przy końcu wojny, mówię do siebie. Sprzeciwiam się poniekąd formułowaniu i ordynowaniu narodowej zbiorowej wsty. Pien wyluzował zmienia zdraćcam swój rodzaj językowy, by przy oddawaniu klucza do pokoju hotelowego popaść w plaskie smakowanie komercyjnej uprzejmości.*

Wstępuje do agencji, by kupić bilety do teatru. Starsza pani, ciemnonośa i ciemnooka, rzuca mi posępne spojrzenie. Wydaje się rozpoznawać moje niemieckie pochodzenie, zanim jeszcze otwieram usta. W zakłopotaniu mówię po francusku. Oczywiście rozpoznaje mój akcent. Obsługuje mnie, podaje mi cieniutki, ciemnoczerwone kawalki papieru i otrzymuje za nie banknoty. Na jej twarzy widnieje gorzki i sarkastyczny tryumf.

Na jednym z przedmieść zobaczyłem obszarpanego mężczyznę. Kuleje. Zachodzi mi drogę. Również i on od razu spostrzegł, że jestem Niemcem. Pokazuje na siebie i wskazuje na prawą stopę, która kwili w niegłosemym hucie. Mówi mi po niemiecku. Mówi mi po niemiecku, że był w czasie wojny robotnikiem cudzoziemskim w Niemczech. Żle go potraktowano, wygnano go bosa na dwór podczas bardzo mroźnego zimowego dnia, odmrózł sobie palec u nóg, od tego dnia kuleje. Straszna sytuacja. Ja sważam tego człowieka za zebra. Być może jest nim, być może nie. Nie mam przy sobie żadnych pieniędzy, ani złotnika, zostawiłem portfel w hotelu. Próbuje wytłumaczyć mężczyźnie moje ubóstwo. Wyszukuję mu cierpliwie. Prawą ręką czyni pewien gest, który zdaje się mówić: Co to znaczy, co też pan wygaduje, chciałem tylko panu opowiedzieć moją historię.

Kłania się i kulczyka dole. Nie jest, zdaje się, żadnym zebrawkiem, a gdyby nawet, to tego rodzaju, że byłby księciem wśród zebrałów z całego świata, Kulczyka ku ruinom, innych istnienia nie mogą zaprzeczyć, przed którymi nie mogę uciec w inny język, mogę tylko milczeć. Milczenie miasta jest większe.

3

Przy każdym moim następnym pobycie ruiny były coraz bardziej niwelowane. Przemieniały się z powrotem w budowlę, którymi niegdyś były. Warszawa formułowała teraz nowe dramaty, świeższej daty. Ich przyczyni nie nosily wreszcie niemieckich nazwisk.

Dziś te pieczęlowicie zrekonstruowane budowle, Rynek Staroego Miasta, cytadela, a także i Zamek Królewski noszą ślady delikatnego rozkładu: ślady użytkowania, lat, przemian, to jakby imitowana pastyna, która do złudzenia przypomina te prawdy i używa zrekonstruowanej historii aury oryginalności.

Kto myśli jeszcze, gdy o tym nie wie, gdy sobie tego stale nie powtarza, o nadzwyczaj okropnych uwarunkowaniach roku 1945?

4

W ostatnich latach powstała nowa sztuka wykonywana pommników. Rzeźbiarz Gerz polecił ustawić w dzielnicy Hamburga — Harburg, stalowy obelisk przeciwko zapomnieniu o najwspaniej niemieckiej historii. Przechodnie powinni lub mogli wspiąć się na jego powierzchni za pomocą leżących obok do dyspozycji metalowych ryłców. Gdy powierzchni były już dostatecznie zapisane, słup wbijano trochę w ziemię, aby zrobić miejsce dla następnego notatek.

Słup wbijano w ciągu pięciu lat siedmiokrotnie. W listopadzie 1993 zniknął zupełnie. Tylko widoczna szczelina umożliwia wżerzenie w otwór, którego półmokrą pozwała raczej domyślać się istnienia tego specyficznego monumentu wraz z jego graffiti niż go rozpoznać.

W ten oto sposób powstał melancholijny symbol sposobów i skutków ludzkiej pamięci. Stalowy słup rzeźbiarza Joचना Gerza mógłby równie dobrze stanąć w wielu innych miejscach. W Warszawie tym słupem jest całe miasto.

1994

przełożyła Halina Ludorowska

ROLF SCHNEIDER, ur. w 1932 r. w Chemnitz, wychował się w Wernigerode. W latach 1951–1955 studiował germanistykę w Halle/Saale; redaktor czasopisma społeczno-kulturalnego „Aufbau” w Berlinie, od 1958 r. wolny twórca, przez długi czas pracował w teatrze w Moguncji. Mieszka w Schöniche koło Berlina. Przekaz, poeta, autor słuchowisk i sztuk telewizyjnych, poeta i tłumacz poezji.

Przełożył do powojennego niemieckiego — copyright by author.

JÓZEF JAPOLA

Badania nad procesem komunikacji (Ong i jego koncepcja oralności i piśmiennosci)

Revolucja komunikacyjna w XX w. to znacznie więcej niż „elektryfikacja” kontaktów międzyludzkich. Towarzyszą jej różnorodne zmiany w różnorodnych wymiarach życia, szczególnie psychicznym i społecznym, w efekcie inwazyjnie wpływają na siebie, o innych, o związkach międzyludzkich. Na progu nowego tysiąclecia obliczamy milio-
nami wzrost wspaniałego światła rozszerza telewizja, komputery wyznaczają nasz centralny system nerwowy w nową instalację.

Opiniokwódcą dzieła Walera J. Ong, amerykańskiego jeźdźcy, stanowi rewolucja — w intencję szerzej rewolucja — w komunikacji, jaka dokonuje się w ciągu stulecia. Stara się rozpoznać jej skądś dla świadomości oraz — „instytucji” życia społecznego, szczególnie w obszarze kultury i mediu. Przepowiednie Ong najlepiej ilustruje jego najbardziej aktualna książka *Orality and Literacy*, przetłumaczona na dziełce języków, przybliża uwagę coraz leższych czytelników, rodzi nam zwoleńców i kręgi badaczy szeregą dziedzin. Wiąże i kategorie pojęwców w niej przetworzone stanowią skrócone wersje wcześniejszych publikacji Ong, części to poindrodo związanych z jej problematyką, czyli charakterystyką oralności — kultury oralnej, i piśmiennosci — kultury swartych o kolejne postaci pisma (cyfrowa i graficzna) lub rękopisownia, typograficzna lub kultura druku) oraz kulturę elektroniczną czy oralności słownej. Ong zgłębia skądś, jakie przyniosły to fazy kultury, docieka przyczyn wywołania się problemu oralności, odrębności kultury oralnej, cech pisma i następstw jego zaistnienia, czynników opóźniających dominację kultury cyfrowej, konsekwencji piśmiennosci dla myśli i kultury, dla literackiej sztuki słowa, znaczenia oralności i piśmiennosci dla wybranych kierunków badań literackich oraz — języka, nauki i kultury.

1. Określenie problemu oralności

Porównanie się problemu oralności łączą Ong z tzw. kwestią Homerycką i zaawansowaną prawdziwością metodologiczną, zgodnie z którą defekty gorzej technologii (płd-
powyższy ujawni jedynie technologia dokumentacji (w tym przypadku — elektronicznej). Jest także czynnik statystyczny; nasza codziennosc oraz budują warunków — różne od typograficznych swym oralnym naczehowaniem — media elektroniczne (telefon, radio, telewizja, komputer etc.). Nową jakość stwarzają przez tę odmiennosc, nazwie Ong kultura „oralności wrażeń”, kultura elektroniczna.

Wspomiana „kwestia Homerycka” zajmuje filologów od epoki starożytnej, ale nabrła pełnej aktualności m. in. w związku z odkryciem analogii starożytności Homera (Robert Wood, XVIII w.). Wyjaśniania i kłopotliwe odkrycie filologów XIX wieku występowało z szeregiem hipotez, przełam zwanymiżcającym przewidywaniem zmarłego (1935) Milanowoi Parry'emu, który w poezji Homera ujawnił obecność np. klisz językowych, które — w kategoriach piśmiennosci — stanowią kompensatoryjny defekt poezji i są nie do przyjęcia. W poezji oralnej, jak się okazało, są nie tylko naturalne, lecz także sztuczne. Parry, Albert B. Lord, Eric A. Havelock badającą m. in. literaturę,

¹ *Orality and Literacy: The Technologizing of the Word*. London and New York: Methuen, 1982. Później dokonano szerszego piśmiennego doświadczenia. W J. Ong, *Orality and Literacy: The Technologizing of the Word*. London and New York: Methuen, 1982. Później dokonano szerszego piśmiennego doświadczenia. W J. Ong, *Orality and Literacy: The Technologizing of the Word*. London and New York: Methuen, 1982. Później dokonano szerszego piśmiennego doświadczenia.

porębiając rozumienie oralności i piśmiennosci oraz ich oddziaływanie, dochodzą do wniosku (zaliczenia metodologicznego). Jest przeciwstawienie oralności niepiśmiennosci kultury piśmiennosci odkrywaną odmiennosc dynamiki pierwiastkowej werbalizacji oralności — werbalizacji piśmiennosci, a więc to, czego potrzebowało, by cenzuralnie uratować honor Homera.

Wage badań nad oralnością uświadomiłą fakty: język artykułowanych dźwięków, język oralny, to najczęściej stosowany sposób komunikowania się. Najdawniej zapis pochodzący sprzed sześciu tysięcy lat, natomiast homo sapiens król, według Ong, trzyniędo do piśmiennosci tysięcy lat, co ujawnia „różnicę wieku” między oralnością oralnym a człowiekiem piśmiennym. Żywe kultury oralne istnieją nadal, na kilkadziesiąt tysięcy języków w dziejach ludzkości tylko 106 związało się z pismem na tyle, by stworzyć literaturę; spośród trzech tysięcy istniejących języków zaledwie 78 ma literaturę. Trudno zatem kwestionować oralność jako podstawową postać języka, bo i teksty pisane wymagają świadomości dźwięka.

2. Odrębność kultury oralnej

Wybrażenie nie zmienionej piśmiennosci kultury oralnej odnawia świat, którym rządzą nie dający się „zatrzymać”, z natury ulotny, dźwięk. Słowo — dźwięk — jest tu zdarzeniem, a język — sposobem działania — nie odpowiednikiem myśli. Dla człowieka oralnego słowo-nazwa reprezentuje wielką potęgę, rodzi władzę (Ong zauważa, że to nie zmienia — choćby chemik o życie konstruuje sytuację, że i ma narzucić; człowiek opeki typografii odgrędnął dowód do etykiety złożonej z rzeczą).

Kulturę oralną adnotowała pamiątka, która pełni — funkcję pisma. Potrzeby mniomoni determinują składnię, myśli wyraża się za pomocą schematów nomenotycznych, powtórzeń, anastyx, alteracji, asonansu, poprzez standardowe wyrażenie (niezależnie od: m. zbieranie, posłitek, pospólnych etc.). Na spójność syntaktyczną oralnej składni są: adnotacyjność stylu albo styl doświadczenia, nie — przyporządkowujący (niezależnie odnawia syntaktyka Księgi Rodzaju, np. 1: 1-5), która nową informację wprowadza za pomocą spójnika „i” ewentualnie „a”; zamarczenia nowe czynią to znaczą — właśnie za pomocą słów przyporządkowujących. Powołacze są nie ujęcia analityczne, a „nagromadzenia” (formy narzucające zbitki słowne); nie „dotknięcie” nie „dotknięcie” słowa, nie „kognicja” nie „piękną kognicją”; naturalnie funkcjonują też epiteti typu „niezapamiętana kognicja” czy „dotknięcie samowolą”. W oralności nie możemy — jak w tekście piśmiennym — powołać do fragmenta wcześniejszego, dlatego proces mówienia i słuchania musi być zwolniony, konieczne — powtarzanie, redundancja — powiększanie wymogami szukania kolejnej myśli. Wyhodzą naprzeciw potrzebę płynności retoryka narzuca tzw. *coopta*, „amplifikację”, tak dążi naukę w średniowiecznej i renesansowych tekstach. Poziom redandancji różnie przy powiększaniu się audytorem, „język” bebnów afrykańskich przekracza w ośmiokrotności. Poważa jej uniknąć piszące, które przabiega przynajmniej dziesięć razy wolniej niż mówienie.

Adnym z trzudniejszych problemów w świecie oralności jest zachowanie wiedzy; wymaga wielokrotnego powtarzania, cenni są — przechowywują i przekazują — starcy (ich rola maleje z wynalazieniem pisma). W tym kontekście może zaskakiwać istnienie oralności — imię nie „piśmienna” — kategorii oryginalności, która polega na swojej interakcji z publicznością. Narracja oralna jest zawsze blisko świata ludzi, blisko życia, nie ma np. neutralną listy nauk; określa w *fiat* światu naszą imię wodów i wchłonie poszczególnych krajów.

Nastawienie agnostyczne to koleżna, nieczytelna i bogata w konsekwencje która oralności. Przynajwa, zagadki służą wale na słowa, przezwalczkom” (pot.

² Thamusas zawsze nazywał „język” do dwóch, ponieważ utracenie typowemu dla nas składowaniu przyporządkowania (wzrost, sankcja, tak więc itp.). Przekład polski w XX w. nierzadko wzięty „język” nie to myślenie, choć możemy podać od tłumaczenia k. Wska. Ong nie uważa, iż dawne przekłady są wstrząsające; słow są przynajmniej doświadczenia do zwalniają, porządkowują i potębi oddziaływanie.

³ Formy mniomoni bez trudu dają w wyrażeniach politycznych, szczególnie w różnych krajach, do tendencji obliczamy one „język” *scrypcion „Juda”*, „podległość *scrypcion*” — „*scrypcion „Juda”*”, „*scrypcion „Juda”*” itp. Dla wyjątku piśmiennosci nasz narzędnik *scrypcion „Juda”*, waga i uciążliwa, która oralności jest znacząca.

⁴ Współczesny Marzycy amerykański — indolencja sięgła swym oralem — zagadki są w tym. *fiat* (rozważanie może powiększyć).

Biblii). Z drugiej strony, wyraża jest chęć wzniesia się w pozamiane, empatia, nie — dynam, „Obkitywami” Homera jest pozorny, wyznaczony przez formuły — wyraz „luszy społecznej”.

Kolejna kategoria, tzw. równowaga tenazyjologiczno homotezyczna polega na odrzuceniu tego, co nieaktualne, co poza biżutką użyciem. Funkcjonuje też tzw. amnezja strukturalna, która pozwala zmieniać genealogie, niewygodne fakty itp.; (władca ma sędziów swów, w set siemem prowincji, gdy liczba tych ostatnich zmienia się do pięciu, władca ma nagłe pięciu swów — bez żadnego wyjątku).

Myslenie oralny ma charakter syntetyczny, nie abstrakcyjny. Ludnie śpiekani (badania Lurli) uosabialiłami geometryczne figury z przedmiotami (księżycem, talem, rycinami, z czymśami (tym, co można robić z pomocą owych przedmiotów). Ciałowik oralny ma trudność z określeniem (definicją) konkretnego przedmiotu, ma to również z satonalizacją.

Nie mamy przebiegu procesu zapamiętywania w epoce oralności. Parry ustalił, iż poeta oralny, dysponując formułami o katalizie np. heksametru, miał w siódmokroczność dawać nowe wersy, doborząc je stosownie do postaci lub zdarzeń. Te koncepcje potwierdzają badania Louisa, prowadzone w XX w. na oralnych poetach Jagozwali, którzy uczą się słuchając miotającami i latami innymi „Jurdów”. Chociaż nie śpiewają nigdy tak samo, zachowują wz wzajemnie zasadyich korpus czy własne pieśni. (Ong zauważył, iż nawet formuły eucharystyczne są się identyczne w postarzonych wieśniaczkach, potwierdzają zapisany zostały poświęcone pamięci świętego Kościoła, a dopiero później zapamięta).

W nowym świecie jawi się ewolucja postaci literackiej. Jeśli wiemy, że pamięć oralna potrzebuje postaci heroicznych, „mocnych”, niezwykłych; konieczne są typy (mądry Nestor, roztopiony Odys, gwałtowny Achilles, młody Czerny Kapłanek czy okrutny wół), łatwe do zapamiętania zdania (jedynki cyklopy, trylogowy Cerber), krótkie formuły (tryzy Grezy, tryzy Parkli). Nie mażący to, że Ong odrzuca rolę innych czynników, które mogły oddziaływać na powstanie owych typów i dzieł, pozostawia jednak słabość pamięci. Przemawia za tym fakt, iż dopiero kilka wieków po wynalazieniu druku bohaterstwo utwór mógł zostać zwykły ciałowik (za przykład wyciągnął Ong *Uścisnął, Królowa Ułpika*’).

Kultura oralna to także styl życia, określenie „kultur verbomotezycznej” — termin Marcela Joussa’a — wyraża odmienne podejście do roli mowy w kulturach z dużym udziałem oralnym, a nawet jej przydatność jako sposobu myślenia. Używanie mowy ma w nich większą wagę od konkretnego działania, np. kupowanie jest w większym stopniu wymiarem relacyjnym form, zmierzającym, niż „miałabyś wyznać rzeczy”. Ciałowik oralny uwspiernia swoje zachowania, szczególnie te niebezpieczne, pamiętając — uwewnętrznia.

Oralność umożliwia powstanie wspomnianych tworów werbalnych, utworów, jakie nie byłoby możliwe zrealizować osobą pismanną, mutatis mutandis dotyczy to również pismennosci. Jednocześnie jest oralność niejako okazana na stworzenie pisma, coo bowiem zapewnia rozwój, a niiszcząc oralność, pozwala ją także zrekonstruować.

3. Pismo, jego charakterystyka i skutki

W kategoriach oralności witalne przedstawienie słowa — pismo — nie jest słowem rzeczywistym, jest „wzornym systemem modelującym”, który daje szansę uruchomienia potencjałów słowa. Myśl zagnieżdżona jest w mowie, nie w tekście, którego znaczenie rodu się dzięki temu, że widzialne symbole oddają ją w formie dźwiękowej. Czytelnik postrzega nie słowa, lecz zakodowane symbole, z których świadomość odpowiednio przywołuje osoby jest w stanie ewokować słowa rzeczywiste.

Z perspektywy oralności, twierdzi Ong, słowa nie są — nie mogą być — znakami, ale jest to stanowisko tylko pozornie zgodne z twierdzeniem Derridy, iż „nie ma znaków

¹ Foucault, E. *La lettre au sens de son double*. „Zakodowany znak” nie może być samą formą, ale musi być także znaczeniem. „Zakodowanie” oznacza więc nie tylko zapis, ale także wyrażenie. „Zakodowanie” oznacza więc nie tylko zapis, ale także wyrażenie. „Zakodowanie” oznacza więc nie tylko zapis, ale także wyrażenie.

² Adaptacja tekstu Louisa suryego Ong pismo „wzornym systemem modelującym” połączony wyjątek jest bezowym przymoty system języka mówionego.

językowych przed pismem”. „Signum”, etymologicznie „przedmiot, za którym się idzie”, był wyomalowywany za standardem wzorem — obywatel (np. ciał, który oszono w ołch rozpoznanym w armii rzymskiej). Znaki ikonograficzne (np. znaki zodiaku), wykorzystywane choćby przez alchemików jako rodzaj etykiety, nie są — jak słowa — nazwanymi tego, do czego odwołują. Ciałowik oralny nie był w stanie myśleć o słowach jako o „apokryficznych makach”; „skryptywa słowa” w zasadzie nie były dla Homera przystępne. Ciałowik wyrażający swoje „wzornym” — uzmysławia, jako bywał, widzenie nie razi go pojmowaniem słowa jako „znak”, uścisnął „atrybutami” dźwięk, wyrażenie nazwy w czasie, choć bowiem odchodził je wzrokowo — jako odwołujący do czegoś „znak”.

Potęgi i domość pisma obejmują kategorie dialektu i grafioletu. Pierwszy, w postaci ciałowik oralnej, zawiera co najwyżej parę tysięcy słów, a jego użytkownik zwykle nie zna ich historii semantycznej. Możliwość grafioletu — Ong rozumie jako „między-dialektowy język stworzony przez głoski związane z pismem” — uzmysławia, jako bywał, widzenie nie razi go pojmowaniem słowa jako „znak”, uścisnął „atrybutami” dźwięk, wyrażenie nazwy w czasie, choć bowiem odchodził je wzrokowo — jako odwołujący do czegoś „znak”.

Potęgi i domość pisma obejmują kategorie dialektu i grafioletu. Pierwszy, w postaci ciałowik oralnej, zawiera co najwyżej parę tysięcy słów, a jego użytkownik zwykle nie zna ich historii semantycznej. Możliwość grafioletu — Ong rozumie jako „między-dialektowy język stworzony przez głoski związane z pismem” — uzmysławia, jako bywał, widzenie nie razi go pojmowaniem słowa jako „znak”, uścisnął „atrybutami” dźwięk, wyrażenie nazwy w czasie, choć bowiem odchodził je wzrokowo — jako odwołujący do czegoś „znak”.

Potęgi i domość pisma obejmują kategorie dialektu i grafioletu. Pierwszy, w postaci ciałowik oralnej, zawiera co najwyżej parę tysięcy słów, a jego użytkownik zwykle nie zna ich historii semantycznej. Możliwość grafioletu — Ong rozumie jako „między-dialektowy język stworzony przez głoski związane z pismem” — uzmysławia, jako bywał, widzenie nie razi go pojmowaniem słowa jako „znak”, uścisnął „atrybutami” dźwięk, wyrażenie nazwy w czasie, choć bowiem odchodził je wzrokowo — jako odwołujący do czegoś „znak”.

Potęgi i domość pisma obejmują kategorie dialektu i grafioletu. Pierwszy, w postaci ciałowik oralnej, zawiera co najwyżej parę tysięcy słów, a jego użytkownik zwykle nie zna ich historii semantycznej. Możliwość grafioletu — Ong rozumie jako „między-dialektowy język stworzony przez głoski związane z pismem” — uzmysławia, jako bywał, widzenie nie razi go pojmowaniem słowa jako „znak”, uścisnął „atrybutami” dźwięk, wyrażenie nazwy w czasie, choć bowiem odchodził je wzrokowo — jako odwołujący do czegoś „znak”.

Potęgi i domość pisma obejmują kategorie dialektu i grafioletu. Pierwszy, w postaci ciałowik oralnej, zawiera co najwyżej parę tysięcy słów, a jego użytkownik zwykle nie zna ich historii semantycznej. Możliwość grafioletu — Ong rozumie jako „między-dialektowy język stworzony przez głoski związane z pismem” — uzmysławia, jako bywał, widzenie nie razi go pojmowaniem słowa jako „znak”, uścisnął „atrybutami” dźwięk, wyrażenie nazwy w czasie, choć bowiem odchodził je wzrokowo — jako odwołujący do czegoś „znak”.

Potęgi i domość pisma obejmują kategorie dialektu i grafioletu. Pierwszy, w postaci ciałowik oralnej, zawiera co najwyżej parę tysięcy słów, a jego użytkownik zwykle nie zna ich historii semantycznej. Możliwość grafioletu — Ong rozumie jako „między-dialektowy język stworzony przez głoski związane z pismem” — uzmysławia, jako bywał, widzenie nie razi go pojmowaniem słowa jako „znak”, uścisnął „atrybutami” dźwięk, wyrażenie nazwy w czasie, choć bowiem odchodził je wzrokowo — jako odwołujący do czegoś „znak”.

kiepi śnią podrywanymi tradycją. Znamienne są sformułowania św. Pawła („wiera przychodzi ze szeptania”, „ltera zabija, dach daje życie”).

— Ogną zgrza się z Derridą, że zwięzła pisma i słowa mówiącego ma charakter przypadkowy, ale wyjątkowo tej kwestii wadzi — inaczej niż Derrida — w oratio, z której wyrasta pismo. Stanowisko Derridy wiąże z „odchYLENIEM” cyrograficznym i typograficznym, czyli szeregowym przeobrażeniem przez pismo świadomości człowieka, w którym naturalny proces myślenia ślęł zmianie, powstał język „wzwojny od kontekstu”, dyskurs „autonomiczny”.

4. Co opędziło zwycięstwo kultury cyrograficznej?

— Zastanawia fakt, że z pojawieniem się pisma nie nastąpiła szybka likwidacja wpływu i oddziaływania Kultury oralnej. Zwycięstwo kultury pisma opóźniła mityka oraz wyuczona lincia. Retoryka, nasuwająca na przewidywanie opinii antagonisty, szukanie argumentów wykorzystywanych przez topoi, loci, czy loci communes, tj. zbiory argumentów, rozumiających albo jako „komnaty analityczne” (definicja, przyczyna, skutek, przeciwstawienie, podobieństwo etc.), albo jako tzw. komnaty zabawy tj. formuły, powiedzenia na różnor. tematy. Ona zawierają i zachowują dorobek oratio.

— Około r. 700 mówiący zapuła lincia nie rozumieli też dźwięku, zapamięta, dlatego zaczęto jej uczyć. Kształtko obłpów, co retorycy i lincia na ponad tysiąc lat zwigzło z jedn. pki. Romaniacze wywarła, jednakoż pisma, stanowią lincia dnoś potęgi pisma. Wyuczona lincia (mowa na rękopisie), korzystająca z zasobów mentalności oratio, nie była związana z niewiedomością, jak język objawy. Wyuczona lincia literacka, rozumiana dzięki wykształceniu, porównywana z tekstem w języku objawym zachowuje pewną nieprzeżyłość, wymaga obniżenia — przybliżenia postaci autora, jego psychologii, ich historycznego i sytuacji nieznanej — co później miało tak trywializ Nowych Krytyków.

5. Myśl i kultura a wpływy piśmienności

— Przed zapisaniem liter pisaných nie ma, członki przeciwie — lincia cały czas, druk, który uwikłał słowo w proces wywarzania, uczynił artykułem piśmowej potrzeby — sugeruje, że jest ono zrealiz. Oratio, tj. podporządkowanie słyszania, pozostała w jakiejś mierze jeszcze mianokryty, a nawet XVI-wieczna księga, w której była dzielone różnicę słowa trywa, przeciw czemu tak bantuje się nazwa poczucie tekstowości. Druk zniweczył nieodwołalne dominancje słyszania, wymaga bowiem konsekwentnej kontroli wizualnej. Daje wrazenie finalności teksta literackiego, nakazuje, filozoficzne. Nie przyjmuje dopowywanie, w maszynach głowy były dyskusją ze światem zewnętrzny. Oratio słowo, przekształcone dzięki pismu w przestrzeń widzialną, regularne w druku sennaturalnie usytuowane, stało się doskonale, maszynowo zegarowe, co ułatwia i przyspiesza proces czytania. Kopiewanie, stosując kopyt, by oszczędzić energii kopyt, było dostosowane na twórcę tekstu, druk — upraszczając lekturę — sprzyjało jego odbiorowi. Książka, coraz mniej wywarzone z uniwersyteckich retoryki, stworzenie wielkość słownika i pojęcia „oprawowanie” języka, tj. naczelność tego, którego używają piarze, umanie tekstu drukowanego za najpełniejszą postać wypowiedzi, wracanie — prywatność, jaką zagęszcza niewielka księga do całego czytania, i — poczucie prywatnego posiadania słów. (Kultura oratio rzadko mówi o prawie własności do wiersza; z piśmien rodzi się powoli niechęć do plagiatu).

— W teorii literatury druk doprowadził do formalizmu i New Criticism, traktujących dzieło sztuki jako zamkniętą we własnym świecie „słowu ikonę”. Z druka bierze początek pojęcie intertekstowości (zapożyczenie „wiedzy”, intertekstualność”), z przeciwstawieniem, i tekst powstaje nie z samych tylko doświadczeń żywych, lecz i dlatego, że znany pewien rodzaj zorganizowanego doświadczenia tekstowego, np. powieści. Kultura mianokrytowa rozumiała intertekstowość „naturalną”, dopuszczając więc przetwarzanie tekstu, zapożyczenia, adaptacje; kultura cyrograficzna,

traktując dzieło jako jednostkę „zamykającą”, odrębna, wywarowała pojęcia „oryginalności” i „wzorcowości”, rodziła swoisty izolacjonizm estetyczny. Zapisał jej koncepcje romantyzm, a zachwilo nią nowe — ostatnie dziesięciolecie — rozumienie intertekstowości, wywołując swoisty szok u młodych pisarzy, którzy właśnie z powodu intertekstowości zaczęli się śkić, że nie twórczo niczego nowego.

— Era postcyrograficzna, era skłatkoni — szorzę przez Ogną nie omawiana — pogłębia związek słowa z przestrzenią, pozwala przekształcać więcej tekłów, np. (nagrywane) wywiady, świadome wprowadza nieformalny styl wypowiedzi. Telefon, radio, telewizja otworzyły epokę „wzwojnej oratio” (niechętnie pisany listy, telefony sięgają po telefon); z wywarzeniem poczuciem wspólnoty, skupieniem na tym, co aktualne, a nawet używając formalizm. Ta nowa oratio stwara społeczności o wiele większe od piętnastowiecznych, społeczności rozumiana „wieloletniej wieści”. — Bez pisma, twierdzi Ogną, człowiek nie osiągnąłby nigdy stanu głęboko interioryzowanego świadomości. Słowo mówione rozbułkuje w świadomości wraz z artykułacją języka, wyodrębnieniem podmiotu i orzeczenia, by je wzajemnie uzależnić, a w ludzi uczynić grupę społeczną. Pismo dzieł i wywołuje, ale jednocześnie prowadzi do głębszej jednoci, wymaga samowiadomości (jaśń), uwiązania związków międzyobowoz, kształtując świadomości. I oratio, i rozwój piśmienności są niezbędne do ewolucji świadomości.

6. Literacka sztuka słowa a piśmienność

— Porozanie cech oratio i piśmienności pozwala w nowy sposób śledzić, jak formowały się fabula, narracja, postać, gatunki i inne kategorie literackie. — Narracja opozna opiti oratio zakładają, iż oratio twórcy świadome uchybia się od organizacji swej wypowiedzi, ale oratio wywołanie, jego struktura, są wariacjom tego, co wypracowała piśmienność. Są to jednak przykłady „odchYLENIA cyrograficznego”, kultura oratio nie wyuczyla bowiem lincia rozumiać czego się powieści, które kulminowałyby lincia. Poeta oratio potrafił jedynie nawrócić słuchacza „w drodze rzeczy” (np. lincia ma konstrukcję pudełkową, opartą o waruty tematów), struktura epodyczna była jedynym znaczącym sposobem prowadzenia narracji. Wynika to z zasadniczej różnicowości między bodowaniem fabuly lincia i sposobem funkcjonowania pamięci oratio. Ta ostatnia nie wyraża świadomości intencji barda, lecz przechowuje tradycyjne formaty i wzorce. Bard nie przekazuje wyuczonych informacji, lecz przypomniała nazywane tematy i formuły śpiące przez poprzedników. Rządzą tu presja sytuacji oraz konwencje myślenia oratio (adetywitywność, nagromadzenie, redundancja, copia, etc.), nie prawa wyobraźni twórczej. Narracja „piśmienna” uchybia się do wydarzeń, dlatego sytuacja wyjątkowa różni się od finalu.

— Perspektywa oratio-piśmienności — nowe narzędzie badawcze dla historii literatury — rzuca specyficzne światło na literaturę średniowieczną: oratio pod presją piśmienności (teksty biblijne) oraz średniowiecznej instytucji akademickiej, z typowym dla nich przemianowaniem oratio (dysputy) i teistykami (komentarze do dzieł piśmiennych).

— Ta perspektywa uwidzenia również nieoczywisty wpływ tzw. doświadczeń powtarzalnej wypowiedzi „wizualnej”, która umożliwiła wstręty epki, tj. krótkożad (od romantyzmu), stopniowo wywarzyła powierzchwny zdrukowanie, a nawet miejsce past, czego skrajnym wyrazem jest poezja konkretna (interakcja przeszerzeń typograficznej i — wyobrażanego — brzmienia słów) — utwory zwykle nie nadające się do czytania na głos, nie będące też obrazami. Ogną uważa poezję konkretną i dekonstrukcyjną za pochodzący typografii, nie pisma, inaczej niż świat dekonstrukcyjnościś odwołujących się do pisma.

— Nie sprzeczające zmian w literaturze jedynie do skutków przejścia od oratio do pisma, warto zauważyć, że ten czynnik pogłębia interpretację przemiany między gatunków. Ogną pokazuje to na przykładzie różnicy między opowieścią w kulturze oratio i — piśmiennej. Pierwsza wykorzystuje opowieści do zachowania i przekazania wiedzy, np. o wojnie trojańskiej, wiąże praktyczną, wiadomości w formę wianka, zapewniającą przetwarzanie, ułatwiający powtarzanie (Maksymy, zagadki, przywołano — choć też trwałe — są do tych celów zbyt zwężać). Jej fabuły determinuje „swoisty oratio”; bez punkt kulminacyjny, „wracanie” słuchacza in medias res, bagatelizowanie czasowego następstwa zdarzeń. Dawniejsze teksty, np. dialogi

Platona, narzucając trytycznikową rolę sibi-schacznika, epodymioidny charakter „żywej” opowieści dla kręgu zebranych. Teksty filozoficzne i teologiczne według średnich średniości sformułowały formę „trudności-organizacji” (sibi-dyspansji). Jest to, jako opowiadający dzieła swego grona prezentacji Boccaccio czy Chaucer. Nie jest jasne, co do kogo mówi w *Ceremonium* i *Charakter*, autorzy i trytycznicy nie mogą się odnieść, a pisarze wieku XIX, narzucając przypominając „drogiemi czystnikami”, że nie opowiadają, lecz piszą. Jeszcze trudniej ustalić rolę trytycznika Wale (sibi-dyspansji) ortograficznie i gramatycznie tego dzieła są motywy jedynie w druku, tylko ironicznie przywołuje ono Arystotelesową mimetycyzm). Nurt ironiczny w literaturze narasta z „wiekiem” pisania (druk), pisano bowiem — w opinii Oga — rodną ironię. Dodajmy, że zapewne i Gombrowicz jest nie do pominięcia w kulturze orala. — Inny przykład: epika, postać etniczno-orala, w wersji pisanej (drukowanej) jest archaizującym odwołaniem psychodynamicznej orala (początek in medias res, formułowe opisy ubrojenia i zachowań agonistycznych). Z utępieniem orala epika zmienia kształt where wyittom oralem intercom. W *Władze* nie ma narratorem w pierwszej osobie, pojawia się u Werghuzia, „Piśmienny” Spenser (*The Faerie Queene*) mimo epiki, nie potrafi piśnić jak Homer, chociaż nie wie o arotli nocepli orala. Wiek XVIII może co najwyżej szyć się z opo (sibi-dyspansji) heronikomyznych. Roman, choć zakorzeniony w orale, spoczątkowo wydaje się tworem kultury cyrograficznej, ballada rozwija się na pograniczu orala, powieść jest gatunkiem silnie powiązanym z drukiem (wyrażają element interoryzacji, odwołanie się postaci, mocne zabawienie ironii). Twory literackie epoki elektronicznej otrzymują przemianę struktury, napisana dziwnie, sibi-komputerym kodem i zostają pozostawione fabule.

Wbudowa orala-piśmiennoci-topograficzna pokazuje też, jak wpływ na gatunki literackie i styl wywarły kobiety. Nie krępowała ich tradycja orala, nie były bowiem kształcone w orale uformowanej nauce. Styl — nieortoretyczny, bliższy zwyczajnej konwersacji — z jakiego korzystały, nadal odbicie stylizacji pierwszych powieści, których związek z życiem kupieckim wynika z fakta, że szkoły handlowe (z językiem narodowym) nawiązały pierwsze zasady przywilejowanego dźwięczności.

Ta ewolucja powieści fabule, jak narzędnikowa do światowego listownianca fabule, sp. „rozwiązanie” akcji zostało najpierw zrealizowane w powieści kryminalnej. Na pewnym etapie rozwoju literatury — osiągnięcia zostały utrwalone — zdecydowano się odczytać przemianę fabule, uciekając się nie do epizodycznej opowieści, a do samodzielnego wariacji na fabule (*Unlives Joyce’a*, *Zabójca Robbe-Grilleta*).

Dialog drogi przeżył postać literacką, „płaska” czy „głęboka” postać orala (niezmiernie nie zakłajając odbiorcy) stopniowo zmienia się w postać „głęboką”, zbliża się (już w antycznym dramacie — gatunku uzależnionym od pisania) do „złotej osoby”, z „interoryzacji sumienia” (od protestanta — Defoe; ale ponieważ już o bohaterów greckiej tragedii), z mechanizmem introspekcji (aschera chrześcijańska — poczucie się od św. Augustyna).

Postać „płaska” nie zakłajając całkowicie; typu są niezbędne w średniowiecznym moralitacie (prezentacja onó i wady, typologiczne czynniki (Heartford). Alcebrich) mają postaci z pierwszych powieści; z typów korzystają wstępnym i komedie. Wielu elektronicznie mógł odrzucić fabule, ponieważ pełnił funkcję jej brak, podobnie rzecz ma się z postacią; „wydrążone” czy „putne” postaci Kafki, Becketta, Psychoza są do przyjęcia dzięki postaci „płaskiej” — z powieści klasycznej. W innym razie byłoby to niemożliwe.

7. Oralski i piśmiennoci a badania literackie

Występ orala tryzkiego, jeśli w ogóle, miał ceł charakter estetyczny; był sposobem ucieczki odzierań, poczucia młodości, wzmocnienia tożsamości grupy, służył utrzymywaniu wiedzy. Z tej perspektywy „początek czysty” — postulat romantyków — oznaczała odciecz od realnego życia, autonomię wypowiedzi, jako zapewnienie technologii (pisem, w w intercom) oznaczała dominację piśmiennoci, która zdradza już terminologia; nawet określenie „literatura” (czyli „pisem”), brak terminu dla dzieł orala; najczęściej używany — „literatura utna” — stanowi, zdaniem Oga, godną odrzucenia hybrydę.

Myślenie o literaturze kategoriami tektury (zakontrowanie autonomii pojedynczego

działa złączonego z widzialnym autowiem tektury), traktowanie go jako „siedmiokształtów”, a pisma jako „dyskursu autowiem tektury” — przynają Now Criticism i formalizm; które odrzuciły biografizm i psychologizm nurtów wczesniejszych. Jest to świadectwo odciecz od mentalności orala (retorycznej, kontekstowej) do — tekturowej (niekontekstowej), w pełni — jak sadzono — niezależnej; jeszcze nie ma świadomości, że należy tekturę opisać nie „język-tekturach”, nie może istnieć niezależnie od świata tektury. To m.in. Roland Barthes przypomniał, że interpretacja wymaga też wyjścia poza tekturę i odniesienia do trytycznika; tektur bowiem nie może, dopóki nikt go nie czyta. Now Criticism bada — pierwszy raz w dziejach — literaturę narodową (angielską) korzystając z języka narodowego. (Badania wczesniejsze; oparte na retoryce, ograniczając się do literatury łacińskiej i — fragmentarycznie — greckiej.) Bezpośrednio w swej dezbiorogawolności analiza „tekstu Nowych Krytyków może zwrócić uwagę na ograniczenia rozwijającej się psychologii głębi i faktów, w tekście w języku ojczystym i trytycznym tuteż w świecie oralskiej wzniesioności, w prawdziwościśm do tekstu w języku martwym, chociaż te implikacje głębi porostają mało wykorzystane. Liczne kwestie rodzące się na styku oralski z piśmiennocią nie są uwzględniane, twierdzi Oga, ani przez metodologów strukturalnych, ani dekonstrukcjonistów (z skupienia na sektach z północnego okresu tyrograficznego — epoki romantyzmu). Otwara nie zmieniając strukturalnie analizy opowieści orala (Claude Lévi-Strauss), chociaż mniej składowo odwołanyśm cyrograficzno-topograficznym, powiata jednak psychodynamicznie wyrażenia oralskiego, są też skrupowane (odrzuca się nawet istotne elementy, jeśli nie przystają do wzorca) wymagani bioryzmu. Badania nad oralskiścią pokazują, że opowieści orala nie zawsze daje się spawać w godne schematy (np. kategorii Froppa).

Nieprzystawalność elementów orala i piśmiennoci pokazują sytuację, w jakiej były oraly wykonywane przez, czyli odbierane od tematu z powodu okoliczności, jakie wywołało określone słowo. Biegly wykonywa (np. Homer) wypłaca się z takiej sytuacji, jakby nie za dużo, nie wprowadzając ad hoc, nie przez biologiczne — co jest semiotyczną kategorią piśmiennoci — lecz zgodnie z orala i orala organizacją (nie „groszarka”) stworu, w zgodzie z kompozycją, której subtelności powiatał strukturę orala; boksantem greckim i sposobu myślenia jego orala; twórcy — nie umiemy dostrzec.

Korypię psychodynamicznej oralski i piśmiennoci charakter dorobku badaczy, których nazywa tekturalistami (A. J. Greimas, Trevor Todorov, Roland Barthes, Philippe Sollers, Jacques Derrida, Michel Foucault, Jean Lacan), Oga odrzuca, że (wzręca w nim „sięgłość historyczna”, a to znaczy — również ciągłość psychologiczną (tego się jedynie po przykłady z XIX w.), objaśniając przeszłość obecnymi jej kategoriami (wydaje się, że nie rozumie), zakładając odpowiedzialność jedne do jednego między elementami świata materialnego i słowem mówionym orali między słowem mówionym i słowem piśmianym, nie chcą odróżnić słowa piśmianego od drukowanego, oraz prawie nie interesują się komunikacją elektryczną. W efekcie trytycznikowy zakłada, iż razem z zapisem (słowa) zostaje do psychiki przesłane — jakby nurcieniem — całe pozamaterialne odniesienie słowa (czyli konwulsja), co jest fatalnym nieporozumieniem; słowo ma również termin „ameda”.

„Nie dziwi „grymas” w tytule książki McLuhana *The Medium is the Massage* (*Środki przekazu są masażem*), jeśli dostrzeżemy, Bumsacy Oga, że model medialny na niewiele wspólnego z komunikacją ludzką, która się z jej realizacją, przede wszystkim w sposobie przekazywania nadawcy. Model przewiduje sytuację, w której przekaz przetranszywa z porządku „nadawcy” do porządku „odbiorcy”. Realne warunki komunikacji wymagają od nadawcy „antypowinności uprzedzenia przesłanego”, tam nie tylko zaleca porządku nadawcy, lecz także — jeśli w ogóle ma dojść do komunikacji — „antawienia się” w porządku odbiorcy. Czyżby to także, kiedy mówię o sibi (sądząc, że jest „nas” dwóch). To, co powiem, zależy od tego, do kogo się zwracam — rozrywczylem lub w fantazji — zależy od szwadliwego odzwaśm „rodzowy”. Inaczej odziewe się do dziecka, inaczej do dorosłego. Muszę w jakim sposobie komunikował się z umyślnym głosem odbiorcy, zanim będą mógł służyć słowu. Może się to dzieć dzięki np. wczesniemu kontaktom, wymianie spójności, przez pośrednictwo osoby trzeciej i na różne spos.

¹ Jest to świadectwo go sibi; Nowy Criticism Oga interpretuje „groszarka” jako „produktowa”.

² Marshall McLuhan and Quentin Fiore, *The Medium is the Massage*, New York: Bantam Books 1967.

spoby. W umyśle tego drugiego masz „odczuć” coś, do czego moja wypowiedź będzie mogła nawiązać.

Ludzka komunikacja nie tylko nie jest jednorodna, nie tylko wymaga reakcji, lecz jej formy i zawartość kształtuje także antycypowana odpowiedź. Nie znaczy to, że wemy, co odbiorca powie, a jedynie to, że w jakiej mierze będzie zabrał przedwidując jego reakcję. „Paradoxa badzkiej komunikacji”, postawiła Ong, polega na tym, że im więcej dostarczyć się przekazu, masz najpierw znaleźć się w umyśle odbiorcy, a on w swoim tymczasem model medialny ponija ten intersubiektywny porozumiewania się. Model medialny jest pochodną swarunków ai cyfrowych, kultury, która może traktuje jako informację (kultura oralna wzbija nie jej formy działania, robienia czegoś dla kogoś). Na pierwszy rzut oka jakbyś przypomniał „jednokierunkową silkę informacyjną”, powstawał bez jakiegokolwiek realnego odbiorcy. A jednak, by powstał tekst, musi być adresat i mówienia, i pisanie, dlatego piszący — choć tworzy w odosobnieniu — stwarza odbiorcę fikcyjnego.

Fikcjonalizacja wymaga swojej „fachowości”. Ten, obczemia z tradycją (intertekstualność), która uszy tworzyć fikcyjne role, jakie zechce wziąć na siebie realni czytelnicy. Ta kunoizność swoich pisanie tak zmuszonym. Inną trudnością związaną z pisanem jest wyodrębnienie „dotarcia do umyśle” osób nieobczernych, których wiązności autor nie nigdy nie pozna. Rozumienie w tradycji literackiej pomoże autorowi i odbiorcy w pokonaniu także tej trudności.

Model „rarożacji” postawiło pod znakiem zapytania swoje mówienie, które przecież nie przekazuje świata pozamentalnego tak, jak byśmy oglądali go przez szybę; struktury języka i świata są bowiem różne. Derrida dostarczał też wniosek, że literatura i język „przedstawiają”, „wytwarzają” siebie i nie pona im, skoro nie przemijają niczego się rurociągami, to do niczego nie odnosi i nie nie znaczy, co jest dla Onga zaskakującym wnioskowaniem, przypomina prace strukturalistów deklaratywnie odwołujących referencyjności literaturze a jednocześnie korzystające z języka referencyjnego.

Uproszczenie, widoczne w poglądach tekstualistów na temat środków fonocentryzmu i logocentryzmu mają swe pendenty w pisanem, wypowiedziadaje się za mozę oralną oralność — albo umniejsza znaczenie pisma, wypowiedziadaje się za mozę oralną (*Fajbna i Sidsny lat*), albo wypędza ze swego Państwa poetów, powiewa — jak wyrażał Haselock — reprezentują dawny, oralny, mementoizujący świat mitematyczny. Z kolei budując niezmierny „świat idei”, miał Platon odrzucić wszystko, co podważa, np. ich analityczność, siowność, abstrakcyjność czy wiązność. Kwestia otwarta pozostała dla Onga to, za ile do fonocentryzmu, gładzie ku oralności, daje się przybliżyć na logocentryzm, na metafizykę „obczerności”, skoro idea są ciemnością, a więc nie mamy do czynienia z obecnością. Ong widział w „Jednym” Platona raczej pierwszą „gramatologię”.

Logocentryzm, w rozumieniu Onga, to nie pemat dźwięku, lecz nastawienie wzbudzenie przez tekstowoski, które uszczywioy francusko znajduje amerykański badacz w noscie Petrus Ramus, filozof i reformator wyznaczkowski (XVI w.). Nazywa to noszący „epistemologia czystości”, zakłada ona odwoławność jedyn do jednego między pojęciami, słowami a doświadczeniami. Ramuszczy model literarne pod uwagę teksty drukowane, nie dolega się tylko słowa czy wypowiedzi oralnej.

Ulihuana tze dekonstrukcjonizma (Miller), iż język i afirmacja logiki, a jednocześnie się ją podważają, zdaje się wypływać z przewidywania o doskonałej spójności języka. Ong sądzi, że i dośrodek takiego oczekiwania znajdujemy tam, że język stanowi system zamknięty; wiadomo jednak, że takich systemów nie ma, co podważa całą ideę. Myślenie dokoła dekonstrukcjonizmu i tekstualistów odnawia berytyczne uleganie piśmienności. Ong pragnie przypomnieć, że choć jesteśmy skazani na teksty, które kształtują nasz proces myślowy, to i literaturę, i oralność są — w odmienny sposób — „sprzyjliwoszące”, niezbędne. Bez tekstowoski trudno nam choćby zauważyć oralność, a bez tej ostatniej pierwsza stanowi formę okalimania, przemienia się w zabawy czy grę bez końca.

Ong konfrontuje z oralnością piśmienności również teorie aktów mowy (J. L. Austin, John R. Searle, H. P. Grice oraz Mary Luise Pratt) i — męski czytelniku. Akty: lokucyjny, ilokucyjny oraz akt perlokucyjny, „zasada współpracy”, pojęcie „implikatory”, mają inny wymiar w komunikacji oralnej, inny — w piśmie. Nikt, jak dotąd, nie próbował go sprzecywiać. Ludzie piśmieni o dającym obyciu z kulturami

innych oralnymi potencjami, w obczernianiu, podważaniu, grożeniu itp. są to w nich inny charakter niż w świecie piśmienności; stąd zapewne bierze się przewidywanie o nierazowości ludzi oralnych w dotrzymanym obietnic czy w odpowiadaniu na pytania. Potrzeba rozwinięcia problematyki oralności-piśmienności w teorii aktów mowy dotyczy nie tylko komunikacji oralnej, lecz również tekstowej (tytuł praca podąży Winfried B. Horner).

Przedstawiamy teorii reakcji czytelnika (Wolfgang Iser, Norman Holland, Stanley Fish, David Bleich, Michael Riffaterre, a także Jacques Derrida i Paul Ricoeur) są głęboko świadomi, iż pismo i literaturę różni od komunikacji oralnej aspekt obecności; oralny mówca i słuchacz są obok siebie, siebie i czytelnik — zwykłe nie są. Ci badacze są również przeciw typowej dla New Criticism „apozite tekstu facyzmu”: „Obiektywizm tekstu jest czystą” iżycją Ong Fisha. Treźba jeszcze wiele wysiłków, by tezy teorii odbioru ukonformować z kategoriami ewolucji procesów wotycznych spowodowanych przejściem od pierwotnej oralności do „wysokiej piśmienności”, a na to znaczenie dla praktyki — i teorii — uczucia czytania i pisanie.

Obie teorie mogłyby spełnić ważną funkcję sondażową ról środków przekazu — Ong jest zawsze blisko problemów doświadczenia — albo prowadzenie badań nad technologią związaną z oralnością wórną wyraża poznamia oralności pierwotnej.

8. Język, nasza, kultura a oralność i piśmienność

Pierwsze oralne doświadczenia językowe wiązą się z matką, co notuje angielski: mother tongue (język macierzysty). Ten związek jest źródłem bliski obu się zależności: między mową a tożsamością osobową czy kulturową. Łatwość myślenia w swoim języku wydajnia etymologia „native language” (rodziny, urodzony). Język wykorzystywany do samia i mówienia buduje skążerzenia z karmieniem. Marcel Jouhanon (*La Manducation de la parole*) opisuje psychologiczne przeżyczenie, przeżywanie, stawienie, przyswajanie; które słowo pisanemu powalają się na nowo oralnym, tj. żywym i realnym. Związek z karmieniem można dostrzec także w podejściu do języka jako fenomenu ustnego czy oralnego (łac. os, ora) — mimo że w tworzeniu dźwięków współpracuje wiele części ciała, że senowają byliby traktowali go jako zjawisko dźwiękowe, akustyczne.

Języki macierzystymi — mother tongue — przeciwstawia Ong języki wyuczony (łacina, sanskryt, klasyczny chiński, klasyczny arabski i rabistyczny hebrajski oraz tylko liturgiczne: staro-cerkiewno-słowiański i greki bizantyjski). Język wyuczony stwarzał dzieło, nie było tu związku matka-dziecko, czy nawet ojciec-dziecko, w grzbowem wychodzie osoba mniej bliska, np. nauczyciel. Zastanawia fakt, że rozwój myślenia człowieka odbywał się w oddaleniu od ogniska domowego, od świata matki i dzieci. W rozwoju myśli oraz cywilizacji oddziaływały i sytuacja języków wyuczonych przewyższa — w opinii Onga — rolę jakiegokolwiek języka czystego. Uczono tego języka: 1) dopiero po opanowaniu mowy ojczystej; 2) za pomocą pisma; opierał się na zapamiętanie, choć używano go oralnie; 3) języki wyuczone zostały w użyciu, gdyż poziom intencyjności pisma, druk i jego technologia nadały kształt procesom myślowym i strukturze obcowości; 4) były związane tylko z męczyźniami; 5) kałży z nich albo wyodrębnienie z użycia, albo odrębny status języka czystego, kończąc epokę „dyktastawoszych cyfrowanych” języków wyuczonych.

Perspektywa oralności-piśmienności ma znaczenie dla różnych dziedzin wiedzy. Wykazwał Ong na antropologii i językoznawstwie, innej wyrażenie są socjologii. Ciągle jest nieobecne w historiografii, choć może pomóc w interpretacji (np. *Ulihuana* — historię czy pisanie), ustaleniu związków literatury renesansowej z oralnością (tępy wojni i konfrontacji politycznych, typowe dla wczesnej historiografii, wyrażają facyzacje agonistyczną), może wyjaśnić dlaczego dopiero dzisiaj mamy historię świadomości (zmiennie intencyjności związanej z mentalnością cyfrowaniczną).

Oralność-piśmienność w badaniach porównawczych umożliwia analizę technologiczną bazy filozofii oraz pozostających nauk, ten, rozruchacz z faktem, że ich oparciu się technologia głęboko mierznirowana, pismo. Aparat pojęciowy kolejnych okresów filozofii wykazuje zapewne silną obecność oralności w filozofii starożytności, mniejszą — w średnio-wiekowej, a jeszcze mniejszą — w myśli Heglowej i fenomenologicznej; być może dowodem są, czy można mówić o pokrewierwieniu między ezotami i wadami — ich zagadkowoski dręczyli starożytnych

I ludzi średniowiecza — a zamykami z epowieści oralnej postaciami „ciężkimi” — tykami, w obłonie złożonej abstrakcyjnej psychologii hegzimu czy fenomenologii. Filozofia — analizując własną istotę — musi odnieść się do faktu, że bez technologicznego wsparcia pisma umysł nie jest w stanie filozofować, musi badać związki świadomości ze światem zewnętrznym, skoro technologia jest intelektualnie niezbędna, pamiętaj, że bez pisma, a szczególnie — druku, nie doszłoby do wyodrębnienia problematyki jaźni (tefl).

Dostojna rolę ma do spełnienia kompleks oralności-pamiętności, w bibliotece. Przyrost komentarza tekstowego w tej dziedzinie badań ma na równoż sobie w żadnej dyscyplinie, ale deformuje go pod do warowania „modułu kultury oralnych” na pamiętności. (Zmianę sposobu myślenia przynosi praca Kibera *The Oral and the Written Gospel*). Wejście oralności do studiów biblijnych łączy z Ongą nadzieję pogłębiania wykładki teorii i doktryny.

Niechabną spójność pamiętności znajdujemy w saloonach i w powalnych dziełach naukowych, gdzie ładnie „cywilizowani” pracowiadawcy są „wymyślonymi” lub „dzikimi”. Tytuły prac wybitnych antropologów, np. francuskich, odgale mówią o „savages”, „inferieurs”, „primitive”. Określenie „oralny” wprowadza — adnaniem Ongą — tylko w minimalnym stopniu moment wartejocujacy.

Inwentaryzacja zmian w psychice i kulturze związanych z przejściem do oralności do pisma i druku, to nie uznanie tego procesu za jedyną przyczynę tych zmian, lecz propozycja wejścia go pod uwagę. Ong pamięta o nie przemianowej roli wzrostu produkcji żywności, rozwoju handlu, organizacji politycznych, instytucji religijnych, technologii, wykatokasnia, transporta, przemian rodujny.

Pismo — zgodnie z interesującą tezą Ongą — było jednym z wielu czynników prowadzących do powstania nowoczesnej nauki, dzięki typowej dla niego, powtarzalnej wypowiedzi „wizualnej”. Dokładna obserwacja (była istotna choćby dla myślowych) wykorzystywano oczywiście dłużej przed pojawieniem się nauki, ale dopiero powiązanie jej z przycyą werbalizacji przyczyniło do rozwoju nauki. Pisanie starożytny, czy nawet średniowieczny, nie umiało dokładnie opisać przedmiotów złożonych, swąg kieruje na czynność, a nie na widzialną postać przedmiotu, scy czy osoby.

Współzależność między oralnością i pamiętnością otwiera najintymniejszych głębi człowieka. Wzrosty kultury religijnej narzucały się w orwałej przeszłości i w wysokim stopniu związane ze słowem mówionym, dokonały również intersekcji, zapisując święte teksty: *Wędy, Biblię, Koran*. Polaryzacja ordo-pisaniowości wydatnia, adnaniem Ongą, szczególnie chrześcijaństwo, w którym Syn, druga Osoba Boska, jest nazywany Słowem Bożym. Chrześcijaństwo dysponuje też piśmym słowem Bożym, Biblią, której faktycznym autorem — mimo ładnych poświadczeń — jest Bóg. Te fakty skłaniają Ongą do pytań o związek obu sensów Bożego „Słowa”, o to, jak dotyczą one człowieka?

9. Rzut oka na perspektywę

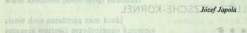
Badania tradycji oralnej reprezentuje ponad 1800 książek i artykułów w adnotowanej bibliografii Johna Milosa Foley'a. Lista badających ten obszar kultury w latach 1980 i 1990 jest rodujgła: Jeff Opland, Kevin B. Maxwell, Sylvia Scribner i Michael Cole, Bruno Gentili, Ward Parks (agnostyka i epika), Paul Zanzibar (poezja i mity), Wawick Wadlington (Faulkner), Sandra M. Gilbert i Susan Gubar (badania feministyczne), Northrop Frye (interpretacja *Białej*), James Perkins (krytyz gnostycy), Franz Josef van Beek (chronologia), Jesse M. Gellich (dialektyka), Brian Stock (kontrowersje teologiczne średniowiecza), David Toulan (hinduizm-judyzm-chrześcijaństwo).

Drobnok Ongą jest swobodnie wykorzystywana przez badaczy historii: Richarda Len Enoxa, Johna D. Schoffera, Patricka Bizarri i Bruce'a Herberga, Thomasa J. Farnelli. Teorii oralności-pamiętności poświęcono numery specjalne waltch periodyków naukowych: „New Literary History” (1984—85, s.1—206), „Cultural Anthropology” (1986, s.131—256), „Visible Language” (1986, s.248—361), „Interchange” (1987, s.1—173), „Semiotz” (1987, s.1—145).

Bardziej generalne formuły proponują prace historyczno-uczonej: Jacka Goody (wpływa pisma na organizację społeczną), Nolla Postman (negatywny wpływ telewizji na wypowiedzi publiczne), Joshay Meyrowitz (media, świadomość i kultura a za-

chowania społeczne); Stephena Tylera i Henry'ego Susmana (Ong narzucałdium ataków na dekonstrukcjonizm); Michaela Heims i Philipa Leitha (analiza wrod processing oraz sztucznej inteligencji); Roberta K. Logana oraz Ivana Illich'a i Barry'ego Sandersa (przeład zagadnień związanych z oralnością-pamiętnością).

Na zakończenie przywołujmy opinie Leitha: „Teksty Ongą wykorzystująa leżnie dziedziiny: filozofia, literatura, lingwistyka, historia systemów pamięci i historia medycyny, antropologia, socjologia, psychologia, teologia, etykazka, badania ogólnie i kultury”. Obrzucają to motywiolci, jakie posiada dorobek amerykańskiego jeraoty.



Księżka nadesłane

Poezja

- Bogusz Zarawok: *Znaki wodne*. Wyd. „Symbol”, Kraków 1993, ss. 72.
- Jerry Jarniewicz: *Rzeczona łędyie mialłwa*. Wyd. „Biblioteka”, Łódź 1993, ss. 51.
- Piotr Michalowski: *Powstok powierza*. Wyd. „13 Marz”, Szczecin 1994, ss. 79.
- Wiesław Szymański: *Witaz wiołeki*. Wyd. „Assunta”, Białystok 1994, ss. 104.
- Andrzej Kąjka, Marek Skowroński, Roman Bagaj: *Serce przestrzeni wiatu. Wybór wierszy*. Wyd. „Orzeł Biały”, Rzym 1994, ss. 126.
- Ireneusz Naumowicz: *Wędy tęp. Wybór wierszy*. Wyd. „Orzeł Biały”, Rzym — Zakroczym 1994, ss. 95.
- Mieczysław Machnicki: *Wiersz po atkach 1978-1992*. Wyd. ORFEU, Warszawa 1993, ss. 115.
- Anna Nowak: *Wybór [wierszy] z lat 1991-1995*. Wydawnictwo Spraw Społecznych Urzędu Miasta w Palawach, Palawy 1995, ss. 32.
- Zbigniew Mirowski: *Niebieska Góra*. Oficyna Wydawnicza „Witek-Druk”, Tarnów 1993, ss. 44.
- Andrzej Bulzicki, Konrad Hejnen: *Doprawanie*. Opracowanie graficzne Konrad Hejnen. Wyd. Grupa „Las-Kolumna 94”, Łask 1995, ss. 93.
- Janusz Drawczyk: *Podróż na południe*. Wyd. Oficyna „Craucio”, Kraków 1995, ss. 83.
- Marek Griaż: *Wiersze 1973-1995*. Wyd. Dum Kultury w Plocku, Plock 1995, ss. 124.
- Krzyszta Furtak: *Różowy amak księdz*. Poezje. Grafika Leszek Fry-Witkowski. Agencja Poligraficzno-Reklamowa JPT, Świdwiedź (brak roku wydania), ss. 15.
- Krzyszta Furtak: *Uciolający rymy*. Z cyklu Spotkania. Poezje. Opracowanie Leszek Fry-Witkowski. Nakładem autorki, Świdwiedź (brak roku wydania), ss. 23.
- Kwiaty miłosci. Antologia poezji*. Oficyna Wyd. „MAK”, ss. 199.
- Ryszard Cepuchowski: *Miałe już nie ma*. Poezje. Instytut Wyd. „Świadectwo”, Bydgoszcz 1993, ss. 64.
- Kazimierz Sopuch: *Wiersze wybrane*. Wstęp Ewa Nowacka. Wyd. „Marpsus”, Gdańsk 1994, ss. 153.
- Wacław Onajez: *Z doła na dzień*. Poezje. Grafika Edward Salifski. Wydawnictwo Kultury Międkiego w Toruniu, Toruń 1994, ss. 31.

LUTZ NITZSCHE-KORNEL

człowiek wychodzi rano
z domu wychodzi
dokądś tam gdzie odnajdzie siebie

nie wie jeszcze dokąd iść
odnajdzie to właśnie tam
gdy tylko dotrze

pozostawia dom
pozostawia siebie
wyrusza

nie wie czy tam dojdzie
przezwąca że droga którą idzie
jest jego nieosiągalnym celem

dzisiaj

ZAGUBIONY W LABIRYNCIE
ziemskich dni i nocy

z czegoś rozkazu osaczony
milczeniem które jest próbą ucieczki

promienie naszych przyzwyczajen
rosną jak solidne pręty krat

mówią ucieczka
ona wodzi mnie na pokuszenie

zmiana szat zapachów
one zaznaczają powietrzne rewiry
godziny odbijają się
w podobnych wariantach

to do czego jesteśmy przyzwyczajeni nazywamy szczęśliwym trafem

120

wyznaczamy już nawet zmianę wiatru
kurku na wieży kościelnej ty skorumpowany koryfeusz
wykrzyż swoje urojenia nie poruszając się

ogarnij wszystko to co zostało w perspektywie patrzenia
wiesz kościelne polne drogi ziemianki

cienie dnia paraliżują nam kroki
częczęć wartości przydrożnego kamienia
według mnie społeczeństwo
jest zakładnikiem nieudolnego państwa

nasze święte insygnia służą
do zakrywania nagości

postęp nauka kultura
wiera ufność copyright to się nie kończy

tajne służby firmy naftowe
zbijają swój wstrętny nieskończony interes

pospolitoczą potrzebę ogrzać się
nażreć nagość kochać

to trywialne wstać zostać w łóżku
to jest ten twój bezmienny plan

Żeby się nie przekreśliło w głowie

przez okno do mózgu wpelza
światłoczuła złamana błyskawica
a przechodzi delikatnie obok czaszki
palec rozpościerają zasłony

Ying przechodzi w Yang
Yang nie jest tym samym co Ying
błądzący szuka jakiegokolwiek sensu
Yang jest Ying
Ying jest Yang

to co znaczy tak znaczy też nie
w ten sposób narodziła się mądrość azji
i tak się skończyła
dzięki tym słowom nie rozumieją nas nigdy

przez szyby z ornamentami oprawione ołowiem
przedziera się światło i tańcząc pyłki

11 — Alant

121

te pyłki pachną kadzidłem
być lekkim jest ciężko gdy ciężar utraconej wiary
dławi w duszy strumień powietrza
wobec miłości która umknęła przez portal kościoła

*** * ***
LUITZ NITZSCHE-KORNEL

KRESY są wszędzie
jak mur w nas
który musimy pokonać
aby nie ulec przyzwyczajeniu

kiedy przyszedłem stamtąd
panowały tu — oto podobne zwyczaje

igranie z niemocą
cyniczny grymas
żądza władców

kiedy przybyłem
znalazłem się u kresu

I marja

festyn płynie przez nasze świeżo zamiecione ulice
jest dziewczę po orgiach nocy walpurgii ubrana w czerwono
ona pozwala się przeżywać w zamięszonej podniosły
w czasie między wiosną a latem
chwilowa żądza znajduje zastępcze zaspokojenie
przy budkach z hot-dogami
a rozbudzone pragnienie rozmów zaspokajają oberżyski
oraz inna dobrze znana holota
kapcie wzmocnione głośnikami studzą nasz zapal do tańca
napisy z reklamówek mieszają się z hasłami na transparentach
MASY PRACUJĄCE CAŁEGO ŚWIATA OCZYŚCIE SIĘ

Mitość

kobiety i ryby nie mają głosu —
cóż jest zatem warte
złowienie ryby
do samotnego łoża

zagubiona
zaczęłaby krzyżeć

gdy byłem dzieckiem
ryby
przemawiały
do mnie

ich przedziurawione wargi
wykazujące na sucho ład
okazywały mi swój strach
przed krojeniem
od gardła
w dół
aż do ogona

ktos tam będzie
pewnym chwytem
wrywać ich wnętrzości

dlatego: cóż
jest warte
złowienie ryby

przełożył Krzysztof Pacuski

LUITZ NITZSCHE-KORNEL ur. 1955, mieszka w Frechen w pobliżu Kolonii. Ukończył germanistykę w Lipsku, nauczyciel (zwolniony ze względów politycznych). Pracował w wydawnictwie muzycznym, następnie w lipskim zoo i jako menadżer kina w Hans Aemien. Na początku 1989 wyemigrował do RFN. Pisanie wierszy i pieśni rockowe. Organizuje dadaistyczno-surrealistyczne występy z zespołem i solo.

• Opublikował *Okres przejściowy*, wiersze, Ost/West Verlag, Berlin 1991.

w pyłki pachną kadzidłami mławiówk młodej węg
był kółkami jest ciępkim gdy śnieżem strusim wiatry wędz
dławi w duszy otworzył powietrze gwałtownie
wobec młodości kłóse umiarkta przez porwał kółkami sum ob

HARALD GERLACH

KRESY są wrośnięte młosiępną barwą
Krytyka Kłóse Kłóse Kłóse
Kłóse Kłóse Kłóse Kłóse

Tomisław lub gdzie indziej

Zaczyna się, mówi Koprowski i nie wypuszcza kłami z ręki. Stoi tak między sienią a izbą, jedyna nogą na progu, druga dobrze ciut z tyłu, za drzwiami to nie jest, ale też przecież nie wszedł, stoi tak naprzeciw Mielkego, naprawdę oko w oko, gdyż ten rozpiiera się na sofie między oknami, wzrok wbity w drzwi, w kąciut usztygła fajka, zawieszona tam na gumce od butelki po piwie.

Kto młielkiem wysiaduje na kanapie i ręk nie ma zajętych robotą, tego trapić widać ciężkie, jeśli zgola nie ponure myśli. Ale o tym Koprowski nie potrafi zbyt wiele powiedzieć, bo ma tylko jedną twarz, a nie dwie lub trzy, a i tę jedną można stracić, kto by się tam mieszał w coś takiego! Poza tym, co tu dużo gadać, to są przecież niemieckie myśli, które tak dręczą Mielkego.

Zaczyna się, powiedział Koprowski, po polsku, ale Mielke i tak rozumie. Musiałby tylko podnieść się ze swoich wyalizowanych sprężyn, wziąć kapelusz z szrafki, i pozostałoby z czasów śmiałego kłusownictwa, z powypychanym rondem: z lewej burza, z prawej deszcz, musiałby wyciągnąć kij wzierbowy i stosownym krokiem ruszyć u bok Koprowskiego na koniec wsi. Stosownym znaczyłoby tu z rozpamięchem, ale nie bez godności, człowiek jest na służbie, ale dobowolnie. To tak po ludzku, można by pomyśleć, gdyby nie chodziło o zwierzęta. Mielke jednak nie takiego nie robi. Siedzi zamiast się ruszyć i stroi mimy: czego akurat ode mnie chcecie!

Skoro jednak Koprowski daleki wytrzymał na progu, na jednej nodze jak bocian i nie mówi ani me, ani be, obraca Mielke ponure spojrzenie na brata Kurta.

Zdaje się, że pora na pytanie: a kto to taki — ten Mielke? Niemiec w Niemczech, które teraz są polskie, mówi o sobie. Niemiec w Polsce, gdzie przemaz był Niemcy, powiedziałby Koprowski.

Dwa poglądy zatem na jedną i tę samą sprawę, ale nie zmienia to nic. A ta oznacza dla Mielkego, że z lubuskiej dziury o nazwie Tommendorf wyruszył na wojnę, a po sześciu latach wrócił do lubuskiej dziury o nazwie Tomisław. Że nie pytając o zdanie mianowali go nocą dyrektorem Tomisławskich Zakładów Piasku Kwarcowego i że wykonywał tę pracę z niezłą dokładnością, dobitnie marszcząc nos i nie żąbując moliłki przysypanych polskich przekleństw. Że z początku miał za sobą dwóch oficerów, przeciw sobie wszystkich robotników zaś przed sobą uporzecze trudności,

a pomimo to w przewidzianym terminie zakłady pracowały z zyskiem i na eksport: — (za dziesięć dni od zakończenia wojny) i powiada: — Dla Koprowskiego rzecz jasna zwycięża to teraz niewiele. Patrząc w zaglądający przez okno wieców widzi, że czas ucieka — uciechło trzaskanie wieców od mleka, wieś szura ociepała piwni łafciuchami. Jest to godzina posprzątanych stołów, ogrzyzionych kości, chęci do zgody.

Mielke na sofie milczy. Może lepiej by było, gdyby teraz przemówił. Gdyż do jego rzeczywistości należy i to, że po przejściu na emeryturę chadzał sam otymymi drogami, wędził już tylko własny gnój i rzadko opuszczał swoje podwórko. Zapomniał piątkowej drogi do gospody i nie opierał się wygodnie o obce furki, by rozstrzygnąć problem: jaka pogoda będzie jutro — wie wind morgen das Wetter sein? Z zajęcią gorliwocią zrobił sobie za domem ogrodzenie i hodował oswojone sarny, dumnie zwierzęta, przypomnienie dzieciństwa młodego członka Straży Lasu Gustawa Mielkego — piękny obraz, trzeba przyznać, ale czy to wystarczy, by żyć? W każdym razie, od kiedy Mielke wycofał się na wycug, zrobiło mu się duszno w Tomisławiu. Początek był taki, że nie nazywano go już „pan dyrektor”, lecz — za plecami — „baran”, a to oznaczało mniej więcej tyle, co „ograniczony tpek”. Przez ponad dwadzieścia lat pracował wspólnie, on i Polacy, dzielili się sobą radości i smutkiem i nagłe uwarło się to jak za ciemem noza. Od kiedy zaczęły się dla niego liczyć już tylko zwierzęta, a nie ludzie, stał się sobie obcy nawzajem. Aż wreszcie pewnego dnia, gdy przechodził przez boisko, dzieci krzyknęły za nim: Hitler kapuut!

Murzyn zrobił swoje, pomyślał Mielke. Ale nie to powiedział głośno, lecz najbardziej szczerze przekleństwo, jakie mu właśnie przyszło do głowy, a z przekleństwami nigdy nie obchodził się rozważnie. Cóż jednak można dzięki temu zyskać?

Brat Kurt, który tymczasem daleko stał, nad Renem, wybudował sobie dom, posadził drzewo i spłodził potomka, napisał list. Kochany Gustawie, stało tam stromym, gotyckim piśmem, przyjeżdżaj do nas. Jaskółka, opisał Mielke nad Ren. Jaskółka oblatuje pół świata, żeby mogła żyć tam, gdzie stała jej kobyłka. Kochany bracie, zostaj tutaj.

Na tym bracie Kurcie, który wisi nad nim, utrwalony na fotografii, oprawiony w ramki i zakurzony, w wojskowym mundurze, litytujące znaki rymnicze zaklejone banderolami od papierosów, spoczywa teraz wzrok Mielkego. I pyta, oczekując rodzinnej porady: któż zostawi szesć saren dla jednego cielęcia?

To jest zatem formuła, do której Mielke potrafi dzisiejszego wieczora sprowadzić swój problem: czy nie mogą na stare lata żyć, jak mi się podoba, czy muszę aż po grób martwić się o cudze gówno i cielne krowy? Czy jedna trzecia mego życia nie wystarczy tu, gdzie pokazałem coś więcej niż tylko dobra woły?

Na to brat Kurt mruga przedko lewym okiem, prawe pozostaje nieruchome, jest ze szkła, i wykrzywia usta we wstyskowiedzącym uśmiechu: Kochany Gustawie, przyjeżdżaj do nas.

Mielke wyjmując fajkę z kąciaka usta i obraca niezdycydowanie w rękach.

LÓDŹ

Kapotański tłumaczenia. **LÓDŹ** — w tym w porządku, dwa razy
można mieć i dawno już po... — powstał, gdy by się stały ze

Miasto, tak jak utrwalony w kamieniu wczesny kapitalizm, brydki jak on. Neobarok, neogotyki, neorenesans, ten ostatni w wolnym tłumaczeniu: popiół odrodzenia narodził się. Współczesny styl brzmiał: nowe budownictwo. Wcześniej panowie nosili nazwiska, jak: Scheibler, Poznański, Kündermann; proletariatu chrzcili się sam: powstanie tkaczy w 1861; powstanie w 1892, 1905. Silberstein, ostrzeżony w ten sposób, przebudował w 1894 r. swoją tkalnię na warownię, na próżno. Pałac Poznański, pomysłnie pozbawiony dawnego charakteru użytkowego, na górze muzeum współczesność. Również tu, jak w całym kraju: nie przetwarzano imort (cykl) pod tytułem Wielki Głód z fotomodelką, która obrabia ornalnie tak nadzwyczaj subtelne metafory jak wiedeński kiełbasa lub banany), obok — balowanie, za wcześniej się cieszyłeś! — spolonizowanego modernizmu (między innymi: Jerzy Berę z swymi ruchomymi instalacjami z drewna, jedna z nich z dźwięka, która porusza trzy pary rąk do klaskania, jedna jedyna para, nie poruszona przez nią, nosi kajdanki). W restauracji Pestjeden z kelerów przedstawia się jako krajani z Litzmannstadt. Gdy pytam, gdzie to leży, staje się poprawny. Przykro mi, moja symulowana niewiedza geograficzna stawia mnie w sytuacji poinstruowanego. W przemyjanej kwaterze prywatnej, znad poduszki, rzut oka na dom partii nadprzećwiłko, pod oknem restauracja Europa, tamże striptiz w porze snu, gratisowe nagłośnień w postaci wybijających ze snu melodii do rozbierniania. Strip w Łodzi? Trochę to dziwne, jak subotnik na Manhattanie. Wytlumaczę da się tylko tak: Łódź — znane centrum przemysłu tekstylnego, w ciągu dnia zajęte głównie włóknami i tkaniną, po fajrancie jest skóra, przypuszczalnie zaordynowana przez lekarza przemysłowego. Wyrównawczy sport dla oka, wstęp tylko za zaświadczeniem. Rano odczyt w instytucje germanistyki, potem dyskusja. Rodak, zatrudniony jako gast-profesor wkłada zbroję, zamyka zardzewiałą przyłbicę, wstaje, stara szkapą rycerską rzy; już miałem się za straconego, wtedy czuję za sobą Polaków, słyszę, jak przypuszczają pięknie uargumentowany atak, widzę, jak wojowniczy Don Myope** elega spokojnie przewadze, obrzymy uroił coś sobie w kraju wroga, podczas gdy wiatriki stoją w kraju przyciąłca. Wieczorem jest festiwal. W całej Polsce, wydaje się, trwa non stop festiwal. Tym razem teatry studenckie, cztery jednakże wieczora, bardzo dobre, dobre i mniej dobre, logiczne, ważna jest ich ilość: ziemia pulchna, przewieszona, ożywiona, wspaniała żywny ferment, humus dla delikatnej kulturalnej roślinki Sztuki.

1977

przełożyła Halina Ludorowska

** Z Grec. myop = człowiek krótkowzroczny; tutaj także służą do Don Kichota — przyp. tłum.

JOACHIM WALTHER, ur. 1943 w Chemnitz, maturę zawodową w 1962 r., potem robotnik szermierzy i ilustrator maszynowy. W latach 1963—67 studiował literaturę i historię sztuki na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. Przez rok pracował jako nauczyciel, potem aż do przyswojenia wymówienia (w 1983 r.) jako lektor w berlińskim wydawnictwie Der Morgen; do czasu zwolnienia całej redakcji w 1978 r. był redaktorem czasopisma literackiego „Temperamente“, od r. 1983 niezależny twórca, w 1990 r. zastąpił przewodniczącego odnowionego związku pisarzy NRD, od 1993 r. realizuje projekt badawczy „Literatura NRD i służba bezpieczeństwa“. Mieszka w Gärshöhe koło Berlina. Powieściopisarz, autor słuchowisk, wydawca, publicysta.

Dwie polskie miniatury [w:] Joachim Walther, *Krajowa mijski i przyciśnięci, Historie i miniatury*, wyd. Neuns Leben, Berlin 1978 (copyright by author).

Wydawnictwo: *Wydawnictwo Literackie*, Kraków 1977, 112 s., 13 zł.

Dobre słowno [w:] Joachim Walther, *Krajowa mijski i przyciśnięci, Historie i miniatury*, wyd. Neuns Leben, Berlin 1978 (copyright by author).

Książki nadesłane

Poezja

Jan Sochoł: *Jasność*. Wiersze. Wyd. Księgarnia Gw. Jacka, Katowice 1994, ss. 91.

Andrzej Szmidt: *Taki pejzaz. Z dawnych wierszy*. Wyd. Wojewódzki Dom Kultury, Lublin 1994, ss. 20 nfb, pozycja bibliofilska.

Włodzimierz Nidziadek Sanecki: *Z domu i do domu*. Wyd. „Polihymnia“, Lublin 1995, ss. 72.

Zbigniew Tanajewski: *Na jawie i w śnie*. Wyd. Regionalny Ośrodek Kultury i Sztuki, Suwałki 1995, ss. 37+4 nfb.

Marian Karaczmarczyk: *I pod gruszą Ery białą. Przekazy*. Bractwo Literackie, Lublin 1993, ss. 49.

Sławomir Matusz: *Wakacje*. Wyd. „Przełanie”, Mysłowice 1995, ss. 34.

Sławomir Matusz: *Podrzywanie, podnieście*. Wyd. „Przełanie”, Mysłowice 1994, ss. 30.

Wejcheld Jarosław Pawłowski: *Nie wszystko przemija*. Wybór i opracowanie Antoni Cybulski. Wyd. Nauuczycielski Klub Literacki, Włocławek 1995, ss. 58.

Mariusz Grabalski: *Negatyw*. Oficyna Wydawnicza Ostrołęckiego Ośrodka Kultury, Ostrołęka 1994, ss. 41+3 nfb.

Lidia Irena Weglarz: *Ozryd słów*. Wyd. „Miniatura”, Kraków 1995, ss. 95.

Piotr Stanisław Mazur: *Chryzantemy dla Estery*. Wyd. „Polihymnia”, Lublin 1995, ss. 44.

XXVIII Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Haliny Połowińskiej-Urącywy nadwołanie i wyróżnienie. Wyd. Wojewódzki Ośrodek Kultury, Częstochowa 1994, ss. 104.

THOMAS KUNST

RANKAMI KOŁO CZWARTEJ SREBRNE OWCE CIĄGĄ KU RZECE

gwiazdy tkwią jeszcze głęboko
w glinianej głowie rozdeptanego miasta
poza tym jest też księżyc czegóż chciał więcej

twoje oczy charlie są parą niebieskich
krętych schodów w jakimś chociaż
mimowolnie parku

tam wyrzuci wyrzuci

na twoim czole cienie
ciemne chwiei
lampy

uśnij dzieciątko uśnij
ojciec pasie owce

matka ładuje broń maszynową
i w ciemne lampy strzela na próżno

pójdź dzieciku
pójdź ciątko

NIEDZIELAMI MIAŁ PÓŁ ETATU jako Czyszciciel swimming- poolu

I nie muszę chyba tego Podkreślać Oczywiście tylko
jesienią zwłaszcza z powodu liści z sitem

Na długiej Rekojeści kuku galgocie zgnile owoce Jednego razu
całkiem wzdęta jaskółka Słyszałeś już co nieco o lataniu różnica
między lataniem i kapaniem się Polega mianowicie na tym że
powietrze

Nie jest tak wprost z wody ale to z Jaskółką było
wypadkiem odosobnionym gorsza była Już scena Z pewną Starą
właścicielką książek Która zwała pool swoim Własnym On Akurat
wykonywał swoją pracę Wówczas weszła z niemilosiernie

białą Skórą do wody Jednak im dłużej tam na płask
pływała swoim torem tym wyraźniejsza stawała się różnica między
nią a na szczęście już wcześniej wydobytą z wody
jaskółką

TARAS OMINAŁ KRZESŁA JUŻ DO POŁOWY nie Wypływaj tak

daleko Marzniesz Wypijasz jedną Głęboko aż do wnętrza
perlistą wódkę Wiem że nie o to Chodziś Jesteś słuczna
Znikasz w jednej przewrotnej chwili Z Jakimś

Dobrze ubranym panem Który Wprawdzie ciągle uważa dinner za
dość

czarujący Który Uprzejmie rezygnuje z Ostatnich serwowanych
drinków jatrząc się gorączkując kluczyki od samochodu w Jego
szczyplych
dłoniach I który pyta Cię Już w innym miejscu Już gdzieś
Z pawilonem listowiem i ciemniejszym labędem Czy Tutaj
Można w ogóle z kimś rozmawiać prócz ciebie Tęż
jeszcze kiedyś Porozmawiałbyś tak z jakąś kobietą
nie Uważałbyś za możliwe Mój labędeń ale On
jest przyziemniejszy Jego nikt nie pyta A poza tym Wcześniej należał
do Niego

Pawilon wówczas Jeszcze dużo się działo całkiem samotne listowie
Droga w Tamto miejsce
i wszystkie uboczne drożki Które Wiodły do Drogi poza tym
Dostyć czarownej leniwie ciągnącej się przez pawilon Jednak kiedy
labędeń mówi
przecież można chociaż posłuchać Bez obawy nie wypływam
Już tak daleko czy będzie lepiej droga i tak poprowadzi dalej

NIZESERCZYCY POWIADAJĄ Zatóka zaczyna się śniegiem zbyt wczesnie

W Roku Martwiąc się od listopada Grudnia tylko Jeszcze Te
statki wysoko ociosane o szczyty tkwią
Pomiędzy skałami Męczyźni opuszczają
w porę pokład To jest Tępienie

Ich usieć ręki
W tawernach nie Dociera Aż do twarzy Oni
gardzą porajami witamin na liniowcach
to jest Zauzenie Nigdy do jakichś
daremnnych węzłów włosów nie Odzwałby się Ciestę tą z oddali
do której kiedyś przyzmięrzą scenariusz Jakiegoś możliwego
powrotu To jest Szerzość nizeserczycy powiadają zatóka
Zaczyna się śniegiem zbyt wczesnie W Roku ale zbyt Długo robić
Tego

staki z pewnością już nie będą Tak bezmyślnie
Wiśnię tam u góry i z Daleka nie topnieć lecz
przynajmniej Małe Jeszcze rzeczywisty śnieg będzie
przez mniejszy Kiedy pojawi się Ciąg nadaremnie
Spoz ramion Nizereczy powiadają zatoka zaczyna się
śniegiem zbyt wczesnym w roku Martwią się Jeszcze tylko
staki o góry

PODSTAWOWA MYŚL O WILGOCI Po przepięciu się Zwierzęta
Smutnieja Oczy przysagzone materia grzebiu niechlujna Zółta i
Zszarzała i słona najpierw tylko Patrzący tak
Skóra i mięśnie Innnych w Oddali wróżyły
niezbitie zwycięstwo Och gdybyż tylko Na tym
Poprzestali Dal zawsze była zamazana
bezradna dopiero dużo później Gładka dziewczęcość
geografii Kto tam nie patrzył Wierztyły Zółta i
zszarzała i Słona Przecież one mają to gdzieś
Ze geografii ma być młodsza Niż
dal już One same z siebie dbają o to By
interesować się tylko Takimi zwierzętami które im Już
i daleka odwracają się tyłem Żółtym i zszarzałym I
słonym Po przepięciu się Zwierzęta Smutnieja drżą
chwycić się bawią w Polegwanie na boku Nawet
jesli to z pozoru
nie przynosi pożytku
Przecież one mają to gdzieś
pierwz się Smutnieja
materia grzebiu niechlujna Oczy przysagzone Pod warunkiem
że kiedyś Był na tej właśnie wysokości jakiś wiatr

TO ZE ZMIANĄ ZWIERZYŃCA. To całkiem

Inna historia tylko na Uspokojenie lecz Ty
nie Jesteś jedynym któremu przytrafiło się to z
Przejęciem podziemnym i flamingiem
Po cóć jednak idziesz także w Niedzielę
Popołudniem przez Przejęcie podziemne

tłumaczcy Marek Wajdyła

THOMAS KUNST — urodzony w roku 1945 w Stralsundzie, w roku 1987 wyjechał do Lipska na studia pedagogiczne, które przerywa po czterech miesiącach i rozpoczyna pracę w bibliotece. Publikuje w „Verwendungs“.

Publikacje książkowe: *Um so mer, wiesenz, 1987; Besorg noch für das szept die chausse, wiesenz i opowiadania 1986-1990, Reclam Verlag 1991.*

STEFAN HERMLIN

CZAS WSPÓLNOTY

Było to zaledwie dwa dni po moim wyjeździe do Warszawy, owego nieprawdopodobnego miasta, do którego przybyłem niby tajny wysłannik wczesnego lata. Upał dogonił mnie szybko, jak gdyby sam chciał tu wszystko sprawdzić. Nad bezwietrzną równiną unosiły się teraz tumany wapiennego pyłu. Szedłem pośród ryku młotów pneumatycznych, usiłując odczytać hasła na transparentach ociekających, zda się, heroicznym zgiełku. Na ulicach, na budowach aż huczalo od zgiełku. Można było pomyśleć, że miasto zruca się do roboty ze zdwojoną pasją, z gniewu na własne wzniesienie.

Jak gdybym w swoich wieloletnich wydrórkach znalazł wreszcie miejsce, na które rzuciły odbicie poznane przeze mnie lądy, w którym powtarzały się istotne dla mnie szczegóły mego życia, wydawało mi się, że rozpoznaje twarze, postacie, ruchy, zapamiętane przed laty w jakimiś północno-niemieckim miasteczku, włoskim porcie lub na szosie w Hiszpanii. I tak widziałem już niedługo w Aleksandrii czy Hajfie, czy w Bejrucie ów nieustannie wirujący kurz, który osiadał znów na warstwie kurzu, półnagich robotników budujących trasę przez miasto i wolających ochryple o wodę, sprzedawców z obolami od kurzu oczami. Szedłem przez nieznajome mi i miasto niby przez panoramę moich trzydziestu czterech lat. „Podobnie — myślałem — muszą czuć się żołnierze, odczuwający podczas przemarszu z zaimprovizowanych znaków drogowych na prawo i lewo nazwy znanych, rodzinnych miejscowości i budynków.” A może winien temu wszystkiemu był ten list, ów list, który miałem już całą dobę w kieszeni, otwarty — tak mi go doręczono. Zagiądałem do niego kilkakrotnie, jak gdyby na nie istniejącej kopercie widniał mój adres, jak gdybym oczekiwał go od dawna niby wieści od przyjaciela, który przed podróżą musiał solennie przysiąc, że napisze możliwie krótko i dokładnie; jak gdybym wreszcie wobec niepomysłnego zbiegu okoliczności nie mógł zapoznać się dobrze z listem i teraz wyszukiwał w nim napredke najważniejsze punkty. Idąc przez miasto myślałem chwila mi o tym liście i niemal za każdym razem ogarniało mnie uczucie, że zawiara on zły nowinę, o której powinienem zapomnieć, choć właściwie jak gdyby umiałem ją już na pamięć.

Timezamed skupiałem wszystką uwagę na tym, co się dzieje na ulicach. „Jesteś tu świadkiem — myślałem — wielkiego i rzadkiego wydarzenia, oglądasz konanie śmierci.” Wyczerpany upałem i ufnością, ażrwałem w duchu jakby potok lawy, sięgający gdzieśniedzie

naprzód jezorami ciemnej, ognistej, szybko zastygającej masy, mur płynący cementu, powlekający równinę, jej gruzu, wymarłe dzielnice, groby, polamane latarnie i bezglowe posągi — fundament nowego miasta.

Pośród tych przemian moja własna niezmiennność pchnęła mnie nagle w drogę. Przywołałem taksówkę i wymienilem cel kursu. Serce biło mi szybciej niż myśl, że jadę na tajne spotkanie w tym mieście, gdzie nie znam nikogo, gdzie nigdy przedtem nie byłem. W dniu mego przyjazdu objechałem już Warszawę, aby wytworzyć sobie pojęcie o zniszczeniach i bieżących robotach. Przebýwając teren dawnego getta widziałem niewyrażnie z pędzącego samochodu baldy gruzu po obu stronach oraz pomnik ku czci poległych na czerwokamień placu. Obecnie, jadąc tam znowu, starałem się uprzytomnić sobie plan dzielnicy i określić pewne punkty wytyczne wśród całkowicie niemiłej pustki. Lecz rozfalowane, odlepiające światło udaremniało wszelką orientację i za każdym razem musiałem stwierdzić, że się omyliłem, że nie dam sobie rady. Nie wiem już teraz, czemu owa świetlista złośliwość, owa atmosferyczna przekora napeniła mnie dojmującym, głuchym gniewem na siebie samego. O ile sobie przypominam, byłem w tym momencie w równej mierze skłonny dać się wieść w nieznaną, bez woli i bez kierunku, jak i przerwać tę wyprawę. Jeżeli zatrzymałem taksówkę i odeslałem ją, stało się tak prawdopodobnie dlatego, że chciałem dowiedzieć sobie, iż jestem w stanie powziąć jakąś decyzję. I dopiero gdy oddalający się warkot samochodu zamilkł zupełnie, poznałem, że jestem zaledwie o sto metrów od placu z pomnikiem.

Poszedłem ulicą prowadzącą do placu, ulicą tak martwą, jak sobie tylko można wyobrazić. Płyty dawnego trotuaru były popękane, powysadzane z miejsc, poroane wbychami. Ulica, biegnąca niby wąską między dwu- lub trzymetrowymi śkami gruzu, musiała stanąć kiedyś jedyny dojazd do getta. Kolejno przeplatujące się niepokój i rozdrażnienie ujętych miejsca gorączkowemu, egzaltowanemu zadowoleniu; odczułem nagle coś w rodzaju złośliwej satysfakcji na myśl o okolicznościach, które chciały pokrzyżować moje zamiary. „A więc — myślałem w niemiej odpowiedzi, czując zarazem lekką niechęć do swego postępowania — więc jednak przyszedłem!” Rzeczywiście stałem teraz na ukos od pomnika, którego granit, właściwie ciemny, piętrzył się jakób bezbarwne w bezbarwnym świetle, niby na źle nastświetlonej fotografii. Po raz pierwszy widziałem pomnik z bliska. Słońce było właśnie w zenicie. W świetle południa gury powstańców, wyliniająca się ze środka pomnika niby z wyrwy muru, mogłaby właściwie wychodzić prosto z piekła, którego płomienie wbychają jeszcze poza postać. Cały ten surowy blok, zwężający się ku górze, przypomina piramidę, które pracownicy poległych musieli wznosić obcym faraonom i nie był może niczym innym jak brama piekiel, do której dotarli faktycznie przebywając tysiąc ognii i skąd spoglądali oto na rumowiska pustymi oczodolami w skamieniałych obliczach. A może wręcz przeciwnie: może ten glaz po ostatnim spojrzeniu w pustkę zamknie się za nimi i nie będzie już nie prócz gładkiego, ciemnego kamienia, za którym

szaleje piekło. Nie mogłem się napatrzyć grupie, porwany niepowstrzymanie w gehennę lat oświetlonych tym płomieniem.

Powietrze było jeszcze rozpalone, chociaż niebo, zbieżne z gorącą, przybrało stopniowo ziemnięce zabarwienie. Mój zegarek wskazywał już piątą po południu. Usiadłem na rozbitym kamieniu, leżącym w twardo zarysowanym cieniu resztek muru zachodniej krawędzi placu, i obserwowałem stąd nadal ku nie słabnącą uwagę placki i pomnik. Męczyło mnie pragnienie. Po gwałtownym potach skóra moja wyschła tak bardzo, że czułem ją w dotknięciu jako chropowatą, martwą substancję, nie inaczej niż nagrzany piasek lub kamień.

Nieliczni przechodnie pojedynczo lub grupkami stawali przed pomnikiem nie zwracając na mnie uwagi. Dostrzegalem ruchy rąk i warg niby nierozróżniając akcję na dalekiej scenie. Przed pewien czas zajmował mnie cień pomnika, jak się wydłuża i przybliża ku mnie. Kiedy dosięgnął mnie, wstałem. Przeszedłem obok pomnika w kierunku pochyłości, stanowiącej początek rumowiska dawnego getta, tuż przy placu. Bez wysiłku wspierałem się na trzymetrowe zbocze, przeszedłem parę kroków w przedół przedko, w którą stronę się zwrócił, jakbym przekraczał jaką granicę.

Ogarniałem stąd całą okolicę, gdzie wszystko, co podczas niszczenia była jeszcze ruiną — odłamy muru, ocאלy filar — zamieniono się teraz w bezkształtne zwały. Teren, zniwielony w równomierną falistość, biegł ku horyzontowi; mówię „falistość”, bo wzgórza gruzu tworzyły istotnie zastygłą równinę, której wzniesienia i zapadliny nie były bardziej odległe od siebie niż grzebienie i podnóza fal w słabo rozkølasywanym morzu. Gdzieś niedziedzie ziały krater, w których widać było muirowane części piwnic: w okresie późniejszym szukano tu zabitych i spalonych ludzi albo zakopanych dokumentów.

Po kilku krokach przystanąłem, teraz jednak szedłem dalej potykając się, szedłem coraz szybciej, stale zmieniając kierunek, jakby posuszny tajemnym wskazówkom pośród tego chaotycznego pobojowiska kamieni. Czułem się bezdomny i bezpiecznie zarazem, tak jak chyba czuł się przedmiot unoszony przez fale, gdyby był obdarzony świadomością. „Tu może być geograficzny środek mojego życia!” — powiedziałem sobie. I schyliłem się po nie istniejące rzeczy, które były przecież tylko potrzaskanym kamieniem, jakbym mógł nagle odnaleźć posiadane niegdyś przedmioty, jakieś pamiątki — przynajmniej tu przedem lat. Znowu szybko ruszyłem dalej, jak gdybym musiał jeszcze przed zapadnięciem nocy dotrzeć do celu, który wytknęło mi życie, lub który sam sobie postawiłem.

Zapadł już wieczór. Późne czerwcowe słońce odrzucając promienie spowiadało się w czerwoną mgłę i stojąc o dłoń nad horyzontem nadawało pokruszonym cegłom i żużlowi plastyczną głębię oraz wyraźne kontury. W tej chwili postanowiłem, że dole już bezplanowego błądzenia i marzeń. Ujrzałem wyraźnie przed sobą swój hotel z salą restauracyjną i orkiestrą taneczną i zacząłem się zastanawiać, gdzie znajdę taksówkę; już ją znalazłem, wyskoczyłem z niej, przysiadłem się do stolika mych przygodnych znajomych. Ale ten, któremu towarzyszyłem w wyobraźni był mi obcy; jeszcze mnie przypominał, lecz zaczął się już ode mnie niedołałnie oddalać,

... i może po to go odprowadzałem z tajną, a że skrywaną niecierpliwością, aby móc go czymś przedziwić.

W chwili gdy straciłem go z oczu, getto wzięło mnie zupełnie w posiadanie i ledwie doszłyśmy gwar odległego miasta zawisł nad mną jak ścież, w którą wpadłem na oślep. Wieczorne odgłosy Warszawy świadczyły, że pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy po-grzebanych pod gruzami getta będzie niabawem dzwigało nie tylko ciężkie ruin: nad owym bezdziałyym chaosem kamienia i żelaza legnie, nie jak mi to przedtem nasuwała fantazja, lecz w rzeczywistości — metrowa powłoka betonu. A na niej, podniesiona o trzy lub cztery metry stanie olbrzymia dzielnicowa odbudowywanego miasta. Ale ciężar ten, jak mi się zdawało, będzie dla amaryfch lekkii. „Umarli sami — myśleliśmy — naciągają na siebie przyrwyż z betonu, by zaznać spokoju pod olbrzymimi budowlami swych dzieci i przyja-ciół.”

W ostatnich blaskach dnia ujrzalem jeszcze raz wyraźnie martwe, bezkształtne spustoszenie wokół, zielska buchające na kształt ciemnego dymu ze szczelin pogruchocionego kamienia u moich stóp. Odrzucilem wszelką myśl i powrocie. Sznułem się dalej w pustkę, której krańce niknęły w nocy. (...)

przełożyła Anna Linke

STEPHAN HERMLIN — ur. 1915 r. w Chemnitz. Jako szesnastoletni gimnazjalista wstąpił do komunistycznej organizacji młodzieżowej. W 1936 wyemigrował z Niemiec (Egipcy, Palestyna, Anglia, Hiszpania, Francja). W 1937 brał udział w wojnie domowej w Hiszpanii. Od 1939 przebywał we Francji, a po jej zajęciu był internowany. Powrócił do Niemiec w 1945 r. Mieszka w Berlinie. Proza, reportaż, eseuista, tłumacz.

„Czas wspanyły jest opowiadaniem napisanym na początku 1949 r. w Warszawie i Berlinie. W: Stephan Hermlin, *Erzählende Prosa*, Aufbau-Verlag Berlin, 1990.

RADJO MONK

Droga do Karlstein

Wschodnie granice są szlabanem ulic
Sebastianką włożą się dziwki
ich odwieczne marzenia spowija
brunatny pyl elektrowni

To one namaszczą rany Kraju
spemą dalekobieźnych kierowców, mija
w macierzance stopy sutenerów

Srebrną twarz Cyganki, która uciekla
z Annabergu przed wiekami
zdarł pomysłny wiatr
wędrowniczkii w siatkowych pończochach unoszą
w marszu kciuk do góry
nie odwracają się

Kobiety na wysokości Sebastiankiej piją
W ze znaku wodnego, wyrzucają
łup linczy w dworcownik kłocienie
Igła wskazuje opuszczoną kłocienie
przyciągana przez
zamiennosci wszelkich miraży

Spojrzeniem wędrują z dziwkami
nigdy się nie zamkną nożyce czasu
Cztery żony cesarza Karola IV
strzegą wyryw w ścianie
między medytacją i siłą

W ich rękach pozostaje cicięwa
bólui wciąć napępią
Poszczą i odgruzawiają myślenie
z rozszczęć

Cztery pocalunki w jednym sarkofagu, głęboko
pod Katedrą św. Wita kontrolują ulicę
i do Beroun

Gdy jechaliśmy przez Komutau, pomyśleliśmy:
Tylko nieleżni mogli Szczyt Komunizmu

zdobyć w zdalnie ogrzewanych kapsułach z betonu
co przetrząją płuca Kraju, ludzie się żywią
wczorajszym śniegiem, który powoli
topnieje na ich roboczych rękawicach

Lisy z lasów koło Krivoklat
widzą rozległy grzebień Rudaw Czeskich
zanurzony w świetlistym mchu, mieszaniny
gazów z CO₂ i letargu, polują na nie
biegnie truchtem ku miastu do automatów gier

W Karlstein w skorupie ślimaka siedzi
dróżniczka kolejowa, strzeże snu Libussy

Jej wzrok — dalekie odbicie tylnych światel pociągu

Straż nocna (na pewnej chorwackiej wyspie)

1
Łd szczyrzy jaskrawy grzbiet Krasu
przeciw czyhającemu drapieżnikowi — niebu
dREWNIAKI kłękoczą po szczytkach
rzymskiego triumfalizmu

W cieniu zamkniętej studni
stara kobieta rozdiera serce
pod białymi łukami adriańskiego słońca
słyszcy wybijanie godziny po godzinie
spadające w morze

Kto zanurkuje za nimi z otwartymi oczami
do grot wapiennych do dna śladów
opon i gąsienic, kto się odważy

Wyspa wygląda na obłąaną
przez uzbrojony ból
wystrzone noże światła
rysują cienie psów
na plaży

W rzeczywistości wyspa jest oczywiście
grzbietem wielkiego małża
na jej południu rosną pinie
i pasą się imiona przodków

Gdy gorący pył słonecznych kół
ludzi zapędzi do domów
mistral poleże się liemi z jedwabiu

nieskończenie powoli — rzeźbę
morskie dzieło sztuki

Huk przyływu dzieli
czas jak ostatni bochen chleba
wieczność na kromki, dla każdego
śmiertelnika jedna

Zawinięta w gazetę
wojna miesza mapy kultury
stare narodowe zegary z kurantem
są skracane w europejskich
pokojach dziecięcych i zestrojone ze
zdalnie sterowanym zapalnikiem

Po kolana w wodach płodowych
siedzą bośniackie chłopki i patrzą
na dalmatyński brzeg po drugiej stronie
między nimi urlopowicze z przyległego pokoju
przeciągają się leniwie
w piasku wysypanym z worków

2
Wieczorem na bezładnej wyspie
sycą nas dziecięce piosenki i cykady
bębnią do tańca na czerwonych szczyłkach
ziemi

To nie było widowisko dla niemieckich turystów
gdy mężczyźni dzieliłi koźia pieczęć
dzieci Pana spożywiają swoją ofiarę
i przez niego będą poszucze cierniami

Jedyny dom na wyspie; ruina
w jego wnętrzu pełono dzielsi drzewko
oliwne, widziałem koronę z dymu
unoszącą się nad wodą i jadłem mięso
z rąk nocy

Być może prawa są przekłętym łóżem
w którym przesypiamy życie
śniny o wolności, zakratowane
gegi aż do świtu ggąją
przed Bożym Narodzeniem

Być może jest nam przeznaczone
gromadzenie pytań o Początek i Koniec
z równoczesnym burzeniem
murów odpowiedzi
każdego dnia

3

Godzinę dojrzało winne grono
w moich rękach, wtedy nagle
pojawiła się ona, biała kotka

Czy wraz z nocą przyszyła
w plecaku jakiegos uciekiniera?
Spoczęła na krawędzi snu
patrzyła w dół na zburzoną
fortecę dnia

Kamienie były jeszcze gorące jak krew
śmiech z portu uciekał w góry
jak gady wypuszczone z klatki

W półświecie dojrzałem jaszczurkę potrącającą
skórę siedziby rządu
ryk Ziemi-Krowy rozbrzmiewał echem
w nocnej krypcie, mieszał
się z piśkawkami piosenkami żołnierzy
frontowców na urlopie

4

O trzeci nad ranem pod oknem
pieje kogut: przede mną leżą lata
które nie miną
za mną leżą lata, które
nie minęły

Nasycam się
wiedzą wody

Gdy wszystko spi
w szkielet miasta pada winny deszcz
a jednak w ostatecznym mnie sen
w błędę poduszczę z kamienia

Któż by nie chciał spać pod piniami
wybawiony od morza, gdy ranek
dojrzywa w lusce księżycą
a jednak z właściwego snu
wynagany jest śpiący

(*Fel Łasny, lipiec '92*)

140

Smarki i woda

Wieczera pod sztucznymi palmami
i martwymi świerkami
wiatr podaje gościom gratis
czarne czyraki z fundamentów
Bratysławy

Zmęczeni ludzie w trolejbusie bez szmerania
w przymy zwożeni łazkami zapadają w obcy sen
wszystkie ich marzenia zostały zdewaluowane
przez handel pobielanymi utopiami

Z zapuszczonych cel mieszkalnych
bezrobotni uciekają do automatów gier
góra betonu błąszący jak mózg w formalinie
kto zajmuje miejsce na zylidie tej godzinie
wdycha wzywiez z glinianego garnka
pełnego smarków i wody

Na moście ustawia pociąg załadowany
zakonserwowaną krwią do ożywienia statystyki
noc ciągnie się przez
wieloładową pustkę ulic
w rajsikich ogrodach kwitnie złom samochodowy
nie pozostaje już w lasach
więziez z widokiem na dolinę okupują kamery
kto w domu szuka schronienia, tego wchłonnie
zatrzymuje obraz

Miasto wymiotuje na mój talerz
zamordowane cienie swojego herbu
wokół zakonserwowanego jądra miasta
czy to trawa jest zarazoną szarością myśli
upiorne stada ostrzyżonych owiec
ogrodzone kratami pięknymi oczekują
powrotu pasterzy i psa

Dziecko zapomnianego króla
idzie na czele kobiet wspanych
do doliny nierządnic, gospodarki światowej
w lewej ręce trzyma wariackie papiery
w prawej księgę gier

Zakładam się o znak wodny Ziemi, że
Niebo opadnie w dniu
który nie ma początku
wtedy na powierzchni zostaną rzeki ugazowane
całopalne ofiary przemysłu

(*Bratysława, 10.07.92*)

141

Sudicka (w Pradze, grudzień 93)

1
Śpiącemu na skroni rzeki, Golem mi położył
zakładkę pod język i zobaczyłem
Sudickę siedzącą w poczekałni, bębniła palcami i
zwotując bohaterów do małego tańca

Wzglądała się jak na początku mojego snu
wyglądała za śpiocem, obudzona
z bezsenności marzyciela

Światło reflektorów wisiało w powietrzu jak sopel śliny

Pilnowana przez psa na saniach, opływająca olejem silnikowym
solanką ocalała ryż jaszczurek

2
Sudicko — niegdyś malarz związał pędzel z twoich włosów
obraz, którego nie namalował twoimi włosami utonął
w farbach

W rozważaniach nad twoim ciałem budowniczości uczyli się
gotyckiego kodeksu geometrii

Na twoim łonie żaden dzwonek nie znalazł spokoju
tylko wybić godzinę, w której cię zwywał

Drobne ziarno piasku w kątciu twoego oka zna
ślad przeladowanego narodu

Widziałś — szli
jak widzisz, okopy pełne płomieni i te
rakiety w silosie porośniętym dzikim bzem
i robotników w fabryce gasienic czolgowych, którzy o tobie
zapomieli; inżynierowie Skody i ich dzieci
które będą przeklinały dzień swoich narodzin

Plastik wybuchowy z Brünń
piwo z Pilzna, szybry kryształowe
dla niemieckich mieszkań: widziś
to że Szczecina, spojrzenia kierując
na Hradczany

przed tobą wjął się olej orzechowe
na polach leżą białe sterty słomy
jak frachtowe osiadeł na mieliznie

Zaloga ucieka na prawo lub w lewo, kapitan
z łodzi ratunkowej salutuje tonącemu okrętowi

Wkrótce zobaczysz ich przy kamieniu ofiarnym
czarnym onykcie bez planu
jak z odberzycową bronią idą przez twoją oberżę
bądźiesz zrucal kości w Berounka

3
Ale każde mgnienie gra pierwsze skrzypce, jeżeli nawet
nikt nie wie kto dyryguje orkiestrą godzin —
zaszczycony słowcem w jego nieustannej lewitacji

Twoje śpiewanie na głos, Sudicko
jest fundamentem dla wznoszonych kościołów
koloru okien, które dumaczą światło
na język Moldawii, to twoje oczy
zyczyście obiecani katolickim grzesznikom
to ten płomień, który co wiosną cię oczyszcza
ze śmieci obcych czynów

Gdy złoto kupił i monstriańci
z powrotem spłynę do ziemi, starce usta
będą ssali z twoich dwudziestoczeretelnich piersi

Zanim twoja miłość narodziła się w jądrze cienia
Wenus zamarowana w ofiarnej skarbonce
króla miała za sługę przez 52 księżycę

Powoli jak mniisi okrążający ołtarz
kroczyś przez niebiańskie domostwa i zostawiasz
drzwi uchylone dla dzieci podążających za tobą

przełożył Dominik Opolski

RADIO MONK — poeta, prozai, dramaturg — ur. 1959 w Hainichen. Od 1984 mieszka w Lipsku. W Karl-Marx-Stadt uczył się zawodu stolara teatralnego, w operze podniósł kariery, przez teatralny zespół artystów zmywał naczynta, odziałł obory, reperował dachy, zamiast ulicy, uprzętał domy z rupiec, prał pielnicy, podróżował po Bałkanach — stał piętą sztuki i wirsem. Wyodrębniał również z muzykami, przygotowywał artykuły dla radia i prasy. Znały z eksperymentalnych wieczorów autorskich połączonych z muzyką jazzową. Filmem i fotografii. Opublikował po niemiecku: *Ślady snego* — razem z dziećmi Edith Tat, 1991.

dotychczasowe. Pragmatycznie zbliżania się do „prawdy” prowadzą, prawdy, jaką ich zdaniem takimi woli i zantoni konwencje sprawozdań artystów w ręk, czynią ich „rewolucjonistami z konieczności”. Każdy kolejny wyłom w konwencji (a było tych wyłomów dających rewolucji nieustająco co niemiar) dwał awantur do habilitnych manifestów i wojowniczych deklaracji, głojących objawienie i nadzieję panowania nowej prawdy oraz nowego katechizmu kierującego tej prawdy poszukiwaniem. Struka dzisiaj natomiast nie pragnie się zrytmizować problemem „przedstawiania”; nie zakłada ona, że prawda, jaką struka ma wyrazić, omi się „tam owo”, w nie-artystycznej czy przed-artystycznej rzeczywistości, czekając na to, by ją odmalować i nadać jej wyraz artystyczny. Uwolniony się w ten sposób od rzeczywistego lub domniemanego, ale za ogólną zgodą obdarzonego autorytetem najwyższym, sądu „prawdy rzeczywistości”, wzięły artysty — zagubiona w powszechnym rozgwarze samotniotwa — rękę sobie prawo do podobnego statusu, jaki przysługuje pozostałej części ludzkiego świata. Zawsze odwróciłaś świat, współkrona struka po współtwórcy. Był męstwem Jena Baudouin — nie ma przedmiotów wyprzedzających go. Dzieło znikł teorii własną prawdę. Wzięły artysty nie przedstawiają, lecz symulują — zaś symulacja odnosi się do świata pozachwytowego, obdłużono, świata, w jakim niekiedy odwołują się wygłosi. Struka tworzy nie tylko wyją, ale także ich znaczenia — nadejże sam lub tożsamość czemuś porównawczo sensu i tożsamości.³

Ta więc struka i rzeczywistości nie-artystyczna spotykają się na jej samej płaszczyźnie, jako na przesłaniu świata lub notwicie znaczeń, i to w świecie, o którym wiadomo, że dokształają ma naraz nadmiar i niedobór znaczeń. Brak w tym świecie wiary obserwowanej, wzrastającej się na tyle wysoko, by można z niej było objąć wzrokiem całość życiowego doświadczenia, a zatem owego doświadczenia w sposób kompetentny skatalogować i sanieć na mapę, nadając tym samym pewnym sensom doświadczenia rangę rzeczywistości i uniemożliwiając rozważania konstrukcyjne jako urojone lub bezzasadne. W świecie tym każde znaczenie ma jedynie status propozycji, zaproszenia do dyskusji i sporu, do składowania nowych propozycji, do formułowania wykładni alternatywnych. Zaden z proponowanych sensów nie liczy na to, że stanie się sensem ostatecznym, i zaden się takim nie staje. Rzec można, że w naszym świecie znaki błąkają się w poszukiwaniu znaczeń. Znaczenia dryfują, wytrącają śmieć, albo wrzepy restrakcji służą rozważaniu, a funkcje urzędnika stanu cywilnego mieszo — nie dzieje, że w takich warunkach zarówno składowanie się w znała, jak i rozwody nabrały niepokojącej dźwięk epästabilności. A rolę wzięły matrymonialne, które zostały przejęte przez mistyczne owego świata w zawierzaniu (nie świętych jak obecnie) wielu małżeńskich między znaćmi i znaczeniami, rozwodzi wypada na nowo.

Anna Jastrzabkowska, wiktoryi badacz i interpretator struki poświęconemu, proponuje co następuje: *obrazy artystyczne głoszą przypły sensory i znaczenia, składają się wyłącznie z odbioru jako formacji, strzygącej i formacji, sądzącej i powiększając we własnym wyrazie dźwięk zwiastom, w jakich mogą być umieszczane, w jakich pojawiają się za sprawą referencji działań obywateli i nastawionych na interpretację odbiorców... Tworzą pseudomaterialnych działań obywateli w raczej animator lub performer niż kreator... Autorstwo polega przede wszystkim na uprawianiu w ręk procesów, które nie zmienia do jakiegol formalnego zobowiązania w zerzeczony forma, lecz przebiega w sposób nieokreślony, nieprzewidywalny, wielokrotny, potężnie nieskomplikowany i owary...⁴*

Sensem nowoczesnej sztuki, powiedzić możemy, jest pobudzenie procesu samotniotwa i zapobieganie groźbie jego zahamowania; utrwalenie na przodku polifonie znaczeń i demaskowanie zawiloci wszelkich, prostych na pozór wykładni; innym słowy — wysypowanie w nurt intelektualnego odpowiednika owego zabłądzenia, jakie wlewa się do samochwytowej chłodyni, by ją ostrzeć przed zamartwiczeniem; sens sztuki nowoczesnej polega na niezaprzeczaniu zamartwiczenia tymczasowych ułamek w łodwacie kanony blokujące przeszły nowy możliwości. Zamiast utwierdzania rzeczywistości w jej ponurą funkcji centryczną nie spełnionych użasn,

struka nowoczesna wydybawa na powierzchni fakt iestowego niedokonaćmi znaczeń, a więc skłania także zasadniczą niewyzerchalność otczelnego się, co możliwe. Można postać się nawet o krok dalej i suponować, że sensem sztuki nowoczesnej jest dekonstrukcja sensów, a wyrażając się ściślej — że sensem tym jest odwołanie się do znaczenia, który w świecie tajemnicy, której nowoczesna praktyka teoretyzowania umożliwia w swym miar ukryć lub zafabrykować możliwości, że sens „istnieje” jedynie w procesie interpretacji i krytyki i jest umiarem wra i ich zafabrykowania.

Ta właściwość krycia aż sztuki nowoczesnej się wobec zastanej rzeczywistości dywersyjna, choć liczni autorzy (a Habermas w pierwszym rzędzie) pomniwiają ją o konserwatywnym. Oskarżenia o konserwatywnym odwołują się do nowoczesnej wzię postępu jako procesu kłutowanego przez Tanatosa rączni niż Erosa — proces polegający na zastępowaniu łada niższego rąpła (a więc włąpłego niedładu) łodem wyższym typu, na srod-walności selekcji możliwości i kanonowania możliwości od-rzeczonych, na nieubłaganej presji ku stanowi ostatecznemu, w którym wszelkie dalsze zmiany będą albo niebezpieczne widelnie albo wręcz postawione poza granicę. W świecie takiej koncepcji postępu sztuki nowoczesności, które wytrwale odmawia jednoczącej spróbę dą do jakiegokolwiek swoparę na autorytynie, bezapelacyjnego wyboru i upiera się przy tym, by szum ponowatwa odcia konstrukcyjną wszelkiego kanała komunikacji, musi wywarować się siłą konserwatywną, wrzeli sobie ona przecieć z nadziei poleżenia ręk wrażliwo i ustanowienia powszechnej zgody tam, gdzie panowała niedogdy (i panuje nadal) polifonia sensów i nieokreśloność możliwości. Kus, by rzec, że konserwatywny struka nowoczesnej istnieje tylko w oku tkwiącego w jej nowoczesnych schematach krytyka...⁵

Z chwili, gdy wolność zastępuje ład i zgodę powszechną w roli miernika jakości życia, sztuka nowoczesna aż się prosti o wysoki nieopieć i pochłonie światowodu. Sprzyja ona wżak wolności, pobudzając wyobraźnię, a zatem i podtrzymując możliwość przy życia i nie pozwalając im się starzeć przedwcześnie. Wymaga też szanse wolności przez to, że wszelkie przekonanie zachowuje w stanie płynnym, nie pozwala mu zastąpić w obchwalającym, biernym zainauwajac, jako pewność. Wypierając się na doświadczeniu sztuki współczesnej Piotr Kawecki uznał wyznacza znaczone wiedzy potocznej za różnicę sposobu działania artystycznego. Niewspornie w obręch kultury artystycznej uchodził za fragment, którego wytworzenie nie daje się pomieścić w miarę zręczności i zainteresowań z punktu widzenia potocznej świadomości estetyczno-symbolicznej i dla tej części rozróżnił się termin „sztuka”. Rozstrzygał tym samym, że ona cała to właśnie ów fragment niekonsumowalny dła potocznej odzawia estetycznej?⁶

Kawecki rozpija ta potrzebzenie Gadamera, że istnieć wypada za włączając wózkęszumna dzieła sztuki stwierdzenie, iż dzieło to odwołuje się tylko do kanonów wpojonych odbiorcy przez wychowanie estetyczne lub przywołuje na pamięć istniejącą skomponowane dzieła sztuki zamiat stawiać odbiór przez nowy i oryginalnym przejawem „porządkującej energii duchowej”, jaki trzaca wyzwanie wyuczonym kanonom interpretacji i sawykowym sposobom patrzenia. O René Magritte, malarza, którego słowozna bawia przekursem (antycypul on — powiada — *przebiega, co którego borykać się będą przyszłe pokolenia*), Swan Gahika pisze, że *okty myślenia [..] ma dla niego bez znaczenia, jeśli nie obracają się wyrazem ta tajemnicy. Malarszwo wyraża ową chwilę przeżycia, przeżytek genuzaru, gdy potępa myśli odwołują o swym istnieniu, odwołując tajemnicę ukrytą w przedmiotach, jakie do tej pory wydawały się znane. Owego momentu przeżycia ładna metoda, zdanem Magritte, nie jest zdobna sprawa...⁷*

Istnieć więc nie tylko o brak schematów do powielania i potwierdzania przez powtórzenia, o brak trzaw wyuczonych jak przez poprzedników, jakimi artysta może bezpiecznie podkłać, lub srod-walności zakurzeniemy konsekwencji wyrażania i odcyfrowywania znaczeń; ale nadto i o brak przyjętych i godnych zaufania metod budowania nowych znaczeń i uznanych sposobów ich wyrażania. Artysta nowoczesny, rzec można, musi być na kredyt; praktyka, jaką jego działanie powoduje do życia, nie istnieje jeszcze jako „fakt społeczny”, a tym bardziej jako „wartość estetyczna” i nie ma sposobu na to, by wstawia restrakcją, czy kodyfikować taką wartość, się

³ Jena Baudouin: *The Work of Art in the Electronic Age*, wywiad z *Les Sept ans d'après l'œuvre*, wywiad z Nicholson Zaburgaj: *On the Boundaries of Sense* (Interview, pod redakcją W. A. Krasna, London, Routledge 1993, s. 147, 148).

⁴ Anna Jastrzabkowska: *Obraz i rzeczywistość. Szkice o pseudomaterialnych obrazowaniu*, Warszawa, Instytut Kultury 1996, s. 46-50.

⁵ Piotr Kawecki i Romuald Polak: *Zagadnienie estetyki współczesnej. Sztuka — wartości — sens*, Gdańsk, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego 1994, s. 13.

⁶ Swan Gahik: *Magritte*, New York, Thames and Hudson 1985, s. 73, 72.

W krytyce nie idzie o to, że sprawy nie mają takiej siły, jaką mieć powinny. W krytyce idzie o to, by oblatywać niszczące przesłanki rozmaitego rodzaju nowotw. W krytyce przyjmowane, niedostrzegane sposoby myślenia, na których akceptowane przez nas praktyki się wspierają...

Krytycyzm polega na wydobyciu tych myśli na światło dzienne i próbach dokonywaniu w nich zmian: na tym, by pokazać, że sprawy nie są tak oczywiste, za jakie się je uważa i sprawić, by nie przyjmował za oczywiste to, co się za oczywiste przyjmuje. Uprawiać krytycyzm to tyle, co czynić łatwe geny trudnymi¹.

Ciężkiśdliś list przed napisaniem tych słów przez Michela Foucaulta, Magritte zanotował w szkicu autobiograficznym, opublikowanym w kwietniu 1940 roku przez czasopismo belgijskie „L'Invention collective”:

Nazw sprzeczną zawziętnie i bezładnie świat trzymam się bazy siły pokręconych i tautologicznych objaśnień, na przemian zawitych i wyntylich, które zdają się wprowadzać i unieważniać też, który obrzydliwie na nim prosperują... To doświadczenie obracano, które sadza świat rzeczywisty na lawie okartonych, potowia mi wierzki w nieokreśloność możliwości jeszcze przez życie nie doświadczonej. Wiem, że nie jestem osamotniony w przekonaniu, iż ich podkopy jest celem wyłączenia i jedynym celem tożsamości ludzkiego.

Oto dlaczego, jak się domyślał, pisała Gabiś o René Magritte, prekursorze. I oto dlaczego to, co napisała, zdaje się być tak szlachne, że aż oczywiste.

Zygmunt Baumann

(Spokaszczonej wersji referatu przeczytanego do wygłoszenia w ramach ARS 1993 w Heloskach 26 lutego 1995 roku)

FS Just po zakończeniu tłumaczenia, otrzymałem list od Romana Kubickiego, który przeczytał angielski oryginał, a przed którym niczego ukryć się da. Nie mogąc oprzeć się pokusie zacytowania fragmentu z jego listu:

Myślę nad tym wyrobkiem, który zniechęca skazuje teras na wieczne eksperymentowanie. Czymże jest ono, jeśli nie wyrazem totalnego braku zafascynowania tego, co jest? Fundamentem jego, nie dowie, że jest dawno wsparcia miły pochwalony, teraz szukał onsi durnostki tego, co dopiero być może, lecz nigdy przecież stać się nie musi... Soti

Z.B.

LIZ WIESKERSTRAUCH

Czy wymyśla się takie historie?

Ludzie, których się nigdy nie znalo, są jak postacie z powieści. Wystarczy jeden, dwa motywy, a już żyją w wyobraźni. Są realniejsi niż w rzeczywistości. Można ich posiadać, by zaraz potem się ich pozbyć, według upodobania, dając się schwylić lub składować w pamięci. Nie żukają, gdy tego nie pragniemy. Są marwi i żyją w przekazie. W wyobraźni można nimi dowolnie władać. Nie mogą nikogo oszukać.

Malu wyobraża sobie martwego brata Omamy. Wymyśla sobie jego historię, która tylko w zarysach odpowiada rzeczywistości. A przecież nie jest przez to nieprawdziwa. Tak czy inaczej są to profekcje, które we wspomnieniu utrzymują martwych przy życiu. Dla niej Lex składa się wyłącznie z jednego motywu, który powtarza się w dwóch historiach. Nieomal zapomniałabym o Jeleniu, jego kochance, która powstała z aluzji i przerodziła się w trzecią historię, wykraczającą poza śmierć Lexa. Motywem, który spaja te trzy historie, jest krzyk. Dzięki krzykowi, nie ten załostny płacz przy jego narodzinach, którym tak zdziwiona była jego siostra, moja babcia. To absurdalne: W moim wyobrażeniu ten dzięk, pociągający i przekonywający krzyk Lexa jest okrzykiem śmierci. Nie wyraża obawy, raczej nadzieję. Słyszałam go. Jest w nim upiór i przekora. Wymarzyłabym go sobie, chcąc sama krzyczeć tak nieopohamowanie głośno. Ten krzyk to wolność. Lex wiąże się nierozdzielnie z obietnicą wolności. A przy tym nigdy nie był postformował, że kiedykolwiek zachowywał się on głośno.

Gadania Emanuela o państwie autorytarnym czy jego pragnienie niepodległości nie dotyczyły Lexa. Władza nie była mu przeszkodą, wymykał się jej. Niepodległość była dla niego zbyt dużym słowem, i tak czuł się wolny, dbał o to nieustępliwie. Będąc koleżną raz gościem w Szolnowicach¹ i przysłuchując się sporom Emanuela z jego najbliższym przyjacielem Franschlem, nie pojmował wcale sytuacji politycznej. Dla Lexa zmiana władzy była przecięciem, może pomyłką. Wrócił do Rosnion², nic nie pojmując z dalszych zdarzeń. Przed Urzędem Franza Leszka w Opolu wywieziono swastykę. Usunął ją szybko. Później zażądano, by zakaz wydawania katolickiej gazety dla Górnoślązaków. Fransch wahał się. Gdy zwolniono go ze służby, znalazł schronienie w szolnowickim zamku. Ktos inny wywiesił flagę i zakazał wydawania gazety. Emanuel

¹ Wierny przekład oryginalnej nazwy Szolnowiczy [przyp.tlum.]

² Nazwa oryginalna użyta przez autorkę [przyp.tlum.]

¹ Michel Foucault: *Przebieg Cytosenu*. Cytat wg ję. s. 134–135. Nowe tłumaczenie działalności krytycznej nowego intelektualu na ręk. „Krytyczny intelektualizm” (Dot. wyjątkowo). Kuba w sluzem Foucaulta pisząca na opowiadaniu jak fakcie wyrażenia myśli może spowodować, iż... przekształca sama się na tyle historii dla ludzi, by i oświeca je poprzedzając i na tyle tradycji do przeprowadzenia, aby zakorzenić się głęboko w rzeczywistości.²

cieszyl się, że Lszek jest u niego. Z nim mógł się naradzić na każdy temat. Za poradą Franschla opuścił Stalowe Helmy akurat przed ich podporządkowaniem się naczelnemu dowódcztwu SA. W przeciwnym wypadku byłby zmuszony do współpracy z SA! W ten sposób udowodnił swoją niezależność, nie wspominał jednak przyjacielowi ani słowem o swym rozczarowaniu. Mężczyło go sumienie, gdy zadawał sobie pytanie, czy aby nie złał przysięgi danej swoim towarzyszom. Z chęcią odpokutowałby, ale nie wiedział jak. Z chęcią byłby się wyświadał, jednakże kapłani byli albo przesładowani przez reżim nazistowski, albo członkami NSDAP. Ci ostatni wykorzystali by jego wyrzuty sumienia bądź zdradziłoby go. W owych czasach tajemnicę spowiedzi łapano tak samo jak wymuszoną przysięgę żołnierską.

Franschl stał się wkrótce świadkiem licznych aresztowań. Gdy Ślązcy dowiedzieli się o jego kryjówce, do Szolonicz zaczęły przybywać kobiety prosząc o pomoc. Ich ojców, mężów, braci lub synów pojmano. Na podwórze zajeżdżały stale samochody, z których się strachem wysiadali zrozpaczeni. Adwokat, z którym się naradzał, rzadko mógł ich pocieszyć. Byli tam komuniści i socjaliści, Żydzi i Polacy, często również księża. Liv opowiadała się tymi kobietami i dziećmi, nieczym baronowa troszcząca się o szukających pomocy, po kryjomu nie potrafiła jednak przewidywać resztek odrzady.

Emanuel musiał sprzedać dwie żrebne klacze trapeńskie, by wspomóc materialnie klientów Franschla. Liv uważała to za przesadę. W czasie jednej z rozmów telefonicznych z zamkiem Frohnau poskarżyła się swej kuzynce Samirze na lekkomyślność małżonka. Emanuel uczynił to wbrew woli żony. Latwo mu przyszło oddać konie. Przed swym sumieniem zadeklarował o jako pokutę i z nikim na ten temat nie rozmawiał. Najlepszą cenę uzyskał u opolskiego Kreisbauernführera³. Na pokwitowaniu widniała swastyka. Franz Lszek osiedlił się w końcu we Wrocławiu, udzielając pomocy wszystkim przesładowanym przez reżim.

Lex pozostał beztrojski jak dawniej. Naturalnie pomagał Polakom we ws: dwór w Rosnion był dostatecznie duży, by mógł znaleźć tu schronienie każdy potrzebujący. Rozwój wydarzeń politycznych był dla niego czymś nierzeeczywistym. Istniał kraj, las, zwierzęta.

Pewnego dnia w Rosnion pojawiła się Jelena.

Stelmach Milan spotkał Jelenę po polskiej stronie, w Trzebnicy, i chciał ją posłubić. Tam wzrastała jako córka leńszczyńskiego wrodź służby Geszinsów. Ojciec odrzucał kategorycznie pomysł przeniesienia się Jeleny z polskiej na niemiecką stronę Górnego Śląska. Po co walczyli wtedy, gdy Jelena jej bracia byli miali, pytał, po co cały ten przelew krwi, skoro teraz nie przyklądają żadnej wagi do polskiej niepodległości? To Milan powinien przyjechać do Trzebnicy, zażądał, cytując hasło wyborcze, które wykrzykiwał pod przewodnictwem Korfantego: „Polakom i Ślązkom jest, jeśli na Niemcy głosujesz, człowiekiem jesteś, jeśli za Polską optujesz”.

³ Naczelnik okręgowy dn. rolnych [przyp.thm.]

Milan nie chciał na stronę polską, podkładał swą wierność Niemcom, trzymał się z dala od walk między Polakami i Niemcami, nie chciał występować jak jego ojciec przeciw swym panom czy własnym ludom. Mimo to pragnął zdobyć Jelenę. Wiedział, że hrabia Manowski i Geszinsowie utrzymywali już pod koniec ubiegłego stulecia kontakty handlowe. Wtedy to sprzedano tuże żelazo. Gdy Trzebnica stała się po głosowaniu polska, a Geszinsowie zupełnie nie mogli zrozumieć zajętego przez hrabstwo Manowskich stanowiska, kontakty zostały zerwane. Milan sądził jednak, że za piętnastu latami można byłoby ponownie nawiązać kontakty, zapytał hrabiego Moryca i Aleksandra, czy nie zechcieliby poprosić Natalii Geszinsowej (jak ją w tych stronach nazywano) o wystawienie się za nim u leńszczy.

Nie była to prosta sprawa. Wiedzieli, że pod wpływem swoich panów są tylko najbardziej szlachczy z Polaków. Tych, którzy, jak ojciec Jeleny, nienawidzili Polaków, nie nie było w stanie przekonać! Sprawą zajął się Moryc: miał zobowiązania w stosunku do Milana od czasu śmierci ojca na makowych polach Góry Świętej Anny. Poprzez Natalię Geszin zapewnił polskiego leńszczy, że Milan i Jelena zawsze znajdą u niego pracę i schronienie, a ich dzieci będą mogły uczyć się polskiego. Było to niesłychane w czasach, gdy niemieczano narwy wszystkich miejscowocil Jawornzo nazywalo się Jagennau, Rosnion Rosengraben, Szolonicz Schulwitz, a Lubliniec* Lubatal, ale naturalnie nikt tego nie przestrzegal. Moryc nakazał dodatkowo przekazać Polakowi jedną ze swych cennyh sztreb myśliwskich. Ojciec Jeleny triumfował. Potraktował flintę jako trofeum z Góry Świętej Anny i przekazał córkę Niemcom.

Jelena została służącą w majątku Rosnion. Jankowi polubił ją od razu. Jelena nigdy nie zachowywała się jak uległa służąca. Lex, gdy uśmiechnął się do niego po raz pierwszy, nie mógł znaleźć w jej wzroku żadnej przymilnej ułudności. Spojrzała na niego, mimo że świeżo żarzona z Milanem, płomiennym wzrokiem po prostu ze względu na jego jasne oczy.

Ten uśmiech zaciekawił go, ale jego zainteresowanie ograniczało się do patrzenia. Jak wiele Polek miała ciemne włosy średniej długości. Miała migdałowe oczy, nicomal czarne, których kolor w świetle słonecznym przechodził w ciemny błk. Dzikie włosie, pomyślał. Brwi miała wąskie, nos drobny, usta także wydawały się niewielkie, mimo szerokiego uśmiechu Jeleny. Nie sposób było przewidzieć, jak pełne stałyby się w pocalunku.

Z okazji ślubu podarował Milanowi nowy kapelus. Podarunek dla Jeleny był zbyt cenny i na dodatek niedoreczny, starożytny łańcuszek ze szlifowanego szkła kryształowego. Według zwyczajów, który powrócił wraz z jego ponownym zamieszaniem w Rosnion, mial prawo zatańczyć jeden raz z narzeczoną. Kto obsługiwał gramofon, puszczając tańce południowoamerykańskie. Jeszcze nigdy nie odwodził się na wsi zatańczyć tam. Jelena była uważną partnerką, tak że mógł ją łatwo nauczyć kroków, jakich nie znała.

* Nazwa oryginalna użyta przez autorkę [przyp.thm.]

Oparła się chętnie na jego ramieniu. Zmieniał figury, obracał Jeleną w piruetach i przysuwał na nowo do siebie. Mężczyźni gwizdał zachwyceni, Milan młaskal. Lex ukłonił się.

Jelena podbiegła do narzeczonego, ujęła za rękę i zawołała: „Chodź, Milanku, teraz my zatańczymy”.

Nastawiono polkę. Lex przyglądał się przez chwilę Jelenie, by stwierdzić, że jak na służącą ma bardzo mało dłonie.

Potem obserwował ją czasem, jak w cienkiej bawelnińskiej sukience wykonywała swą pracę. Stała się poważna, wyczekująca. Lex patrzył na jej ciało, kragle, mimo że wyjątkowo szczuple. Dotychczas znał kobiety, które były chude, sprężyste i surowe, albo bójne i miękkie. W Jelenie dostrzegł zarazem szczupłość i kragłość, która tak trudno opisać. Także jej ramiona były szczuple. W porównaniu z nimi pierś wydawała się duże, z łatwością rozpoznawał ich kontury. Biodra miała wąskie, nogi długie i proste. Skąd to wrażenie jej kragłości, pytał sam siebie. To ono wzbudzało jego pożądanie.

Minęły miesiące, nim dowiedział się, co to było: brzuch, który zyskiwał krątkową kragłość poprzez Rzeszy z wskąą talią i szcypułymi, prostymi nogami. Kochał ten twardej, jedyny brzuch, na którym lubił kłaść głowę, by przypatrywać się piersiom i wędrować równocześnie dłońmi po jej długich nogach. Kochał Jelenę i zawsze krzyczał, gdy przeżywał w nim spełnienie.

Ten wielokrotnie powtarzany krzyk, to krzyk tysiąca małych śmierci. *Piękna śmierć, za każdym razem. Takie dla kobiety.* Jelena trzyma go w ramionach, czuje jak jego krzyk powoli cichnie. Im bardziej mężczyzna zbliża się do śmierci, tym bardziej ona czuje się żywa.

Ale Milanek! Przecież jego także kocha. Kocha Obu. Dopóki Milana nie zabrano na przymusowe roboty do Rzeszy. Ma szczęście, że nie ginie na początku wojny jak wielu Polaków, w tym Janusz. Dopóki Lex nie zostanie powołany do wojska. Jelena ma szczęście, że może pozostać jako służąca w majątku Rosmion. Rodzi syna i myśli o dwóch mężczyznach.

Jeśli Milan jeszcze żyje, to gdzieś tam, w Rzeszy jako robotnik przymusowy. Nawet Moryc nie mógł temu zapobiec, rozkaz to rozkaz, on nie należy do tych, którzy odmawiają wykonania rozkazu. W takiej sytuacji nie znaczą nikt słowo dane ojcu Jeleny. Mimo to wolałby widzieć ją pod opieką mego.

Lex zostaje wysłany do Polki. Walkę przeciwko Polakom przyjmuje nicyzm rozkaz *wąja Moryca*. Znowu krzyczy cicho do siebie, to go wyzwała, uszawa wyzwały sumienia, *jest przeciw posłuszny nie swojej woli*. Musi być przuty, *nie na to nie poradzi, to przeciw proste*. Ale na tyle trudne, że od początku odtręwały rzuca się w wir wojny.

W Warszawie dzieje się coś dziwnego. Jest już zimno. Paru żołnierzy patroluje nocne miasto. Pała się lampy naftowe, w całej dzielnicy nie ma prądu. Wiatr zmienia po silnych liście, które tańcują w blasku światła. Upiorne wirowanie kurzu na chodniku. Co za zgodna znowu brudu i asfaltu! Strużki z polyskających kałuż wiją się w stronę kratak

ścieków, wsiąkają w ciemności. Mężczyźni stawiają kolnierze wojskowych płaszczy, chowają ręce w kieszeniach. Stukają obcasz oficerów. Z jakiegoś lokalu dobiegają znajome rytmy tanga. Żołnierze tęsknią za muzyką. Daje im wytchnienie, gdy piją wódkę i wpadają w melancholię. Tęsknią za kobietami. Wchodzą do lokalu. Powiew wiatru wpada do sali. Gasną światła na stolikach. Bandoneon urwa raptownie. Skrzypce wydają jeszcze kilka tonów. Mężczyźna przy pianinie grać. Tańczące pary zatrzymują się. Spoglądają na Niemców stojących w drzwiach. Przez chwilę jest cicho, *cicho i chłodno w zadymionym duszonym lokalu*. Zapalają się zapalki pocierane o brzezi pudełek, języki płomyków syczą na czubkach knotów. Ktos bierze butelkę wódkę i wypelnia aż po brzezi kieliszek współbiesiadników. Także muzycy dostają alkohol. Niemcy rozpinają płaszcz i podchodzą do baru, pytają o wódkę. Każdy dostaje kieliszek z plasterkiem cytryny. Kapela zaczyna grać znaną pieśń, *Caminito*. Wokalista zna hiszpański. Jeden z gości tłumaczy drwiąco tekst na niemiecki. Kpiąco śpiewa: „Wkrótce będziesz już cieniem, cieniem jak ja. Chciałbym, by czas nas zabił.” Nikt nie chce teraz tańczyć. Pija, Ten, który zna niemiecki, wola: „Ostatnie tango.” Spogląda w stronę Niemców. Eł ultimo tango.

Tak mnie więcej wyobraża to sobie Malu. Stary człowiek miesza się do rozmowy. Słucha tanga i wspomina Warszawę. *Czy Lex był przy tym?* Ze był młody, wtedy, na początku wojny. *Nikt nie zna tego starszaka.* Jak wielkie wywarły na nim wrażenie Polki, śpiewające i tańczące tango. *Przyjeżdż na wieczór z tangiem do „Fidello”.* Jak niewiele wówczas przeczuwali. *Nurza się w przeszłości i pije wódkę.* Ze odczuwał należny respekt. *Co odczuwał by Lex?* Jak bardzo wryło się w jego pamięć to zdarzenie. *Jakie zdarzenie?* Wola: Eł ultimo tango. *Ostatnie tango.* I opowiada dalej:

„Szczęśliu polskich oficerów wstaje, nie są już młodzi. *Można by pomylić, że walczyliż za Korfatego.* Wyglądają okazałe w swoich wyjściowych uniformach. *Można by sądzić, że po jednej wojnie i wielu wojnach domowych mają już dość bicia się, zabijania i bycia pokonywanymi.* Ich zony nie ruszają się od stołów. Pianino zaczyna grać melancholijnie pięknie. Dołączają się bandoneon i skrzypce. Utwór nazywa się „Silentio”. Rociągany bandoneon rozwija się jak wachlarz. Piosenkarz nasładowuje Carlosa Gardela. *Śpiewajkowy chciał wskrzesić legendarnego wykonawcę.* Silentio et la noche. Oficerowie tańczą, każdy osobno. Ręce wsparte na biodrach, kołyszą się miarowo, krąją po parkiecie, stukają niekiedy obcasami i obracają się, *jak gdyby zwracali się profilem w stronę wymyślonej tancerki*. „Spokój noca” śpiewa ten, który zna niemiecki. Przerwa wokalistę. „Krótką zwrotka dla naszych niemieckich gości”, wola sztycherca. Bandoneon wydaje przemiłnie dziewczęki. Mężczyźna śpiewa, „Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie. Mężczyźni zabijają się wzajemnie we wzrwie wojenny, pokrywają krwią pola Francji. Dziś już dawno wszystko minęło.” Piosenkarz powtarza zwrotkę po hiszpańsku. Peligría la patria. W końcu śpiewają jednocześnie, silentio en las almas, „spokój w sercach”. Bandoneon przeciąga dziewczęki, akompaniuje ostatnią słabą. Szczęściu oficerów strzela do siebie. Podczas

gdy jeden osuwa się na ziemię, następnym pociąga za spust. *Martwe oczy pierwszego patrzą na spadek następnego.* Dwóch przewraca się na siebie. Jeden strzelił sobie w usta, strzałka krwi pozostawia ślad na parkietce. Kobiety zrywają się kurczowo chwytając za stół. Piosenkarz śpiewa bez akompaniamentu. Adios muchachos.

Mału jest rozdrażniona. *Jaka wspomniała incenstacja!* Uważnie przysłuchuje się mężczyźnie.

— Oni wiedzieli, jaki los będzie ich udziałem, my nie. Zamawia jeszcze jedną wódkę. — Nie, oni nie poddawali się losowi. Oni działali. — Przez moment milczy. — I jak nas zwyciężyli, wymykają się nam. Pozostali panami samych siebie aż do śmierci! *Tango pachnie tyciem i ma posmak śmierci, brzmi napis na plakacie reklamującym wieczór taneeczny.* „Śmierć jako ostatnia godność”, mówi podniosło mężczyzna.

— Czy to wszystko jest prawdą? — pyta Mału.

— Czy wymyśla się takie historie?

Lex mogły być przy tym w Warszawie. Słucha smutnej pieśni i pije. Myśli o krwi swego ojca we Francji. Tęskni za Jelenią i wrzyga się ze wstydu, gdy oficerowie się zabijają.

Potem zostaje wysłany do Rosji. Od czasu do czasu dostaje na froncie urlop. *Ma jeszcze w zanadrzu jeden krzyk.* Jeszcze czas na to, dużo czasu. Wojna trwa długo. W snach krzyże przecię strachowi, przecię zimnu. We śnie jego krzyki wciąż jeszcze tłuścino. Lekko rozmarzony przywołuje krzykiem tęsknotę. Śni o tysiącach małych okrzykach śmierci i o spełnieniu w lonie Jeleny.

prezłoty: *Anna Pastuszka*

LIZ WIESKERSTRAUCH, ur. w Norymberdze w 1955 roku. W latach 1977—79 studiowała w Berlinie pedagogikę społeczną (jako dodatkowy fakultet literatury i polityki), w latach 1980-81 pracowała w opiece społecznej. Od roku 1982 zajmuje się redagacją piśmiar. Mieszka w Berlinie. Autorka opowiadań, scenariuszy filmowych i telewizyjnych, studium radiowych, publicystyka.

Czy wymyśla się takie historie! to fragment powieści *Na polach malkowcy*, Langem Miller Verlag, Monachium 1993.

TOM POHLMANN

Dane o wędrówce dusz

Ponieważ w moim przypadku umieranie nie wchodzi

W rachubę, odpowiadam na inne pytania,

Niż te, które są mi zadawane.

I okoliczności, prawdopodobnie

Zwolnil mnie,

Gdy był już czas, żebym szedł.

Nie zmienia to faktu, że zawsze

Jest poniedziałek, że zawsze jest wtorek,

Że nie muszę zadawać sobie trudu,

By nie być Don Kichotem. Pojedyncze

Strzałki kręą na płytach chodnika,

Zakaz totów, no więc! — Moja wielka dusza

Wdręje, proszę pozostać do nocy

Za piecem kaffowym & rozkoszować się

Dobrze zasłużonym stanem spoczynku,

Próbuję zreinkarnować się, a oni sprawiają mi ból —

Tzn. mógłbym również dobrze być

Maszynką do Kawy, również zależny & użyteczny

Po naciśnięciu guzika, ale to już było,

A ja nieźle ochryplem. Krowa

Nie byłaby zła, ale stalowe wrota

Szarygowane. Kwiać?

Kwiaty mają zbyt krótki żywot, są albo Rozdętywane, albo

obskubywane, cebule

Tkwia na zawsze pod ziemią, prawie nie ruszają

Się z miejsca, a więc szukam dalej.

Tutaj niemal nowa pompa wodna —

Ale woda jest dość wapnista.

Prosty człowiek,

W środku Niemiec, może to rzeczywiście

Błąd z mojej strony, że szukam właśnie jego.

A więc szukam dalej. Poetów

W żadnym razie, przyczyny

Są jasne jak słońce: Pragnę czegoś trwałego,

Co nie przewróci się wraz z podmuchem

Wiatru, proszę. Warowym gromem jest nasz Bóg —

Więc: Jestem swoim własnym bagażem,

Nikt nigdy nie dał mi wiary,

A więc i to jest passé. Ponadto

Nikt nie oczekuje niczego innego oprócz odpustu

I pozwała, żeby jego opony piszczały
Przed pralniąmi, a więc
Szukam dalej. Tylko żeby nie być dzieckiem,
Tylko nie to, Boże — Cały dzień słodkokwaśna
Papka. Coś z przyszlologia,
Może Japończyk. Coś, co chwytą pyskiem
Łagodnie jak baranek, ale co chwytą
A nie da się złapać, Albo jak Anioł
Stróż. Bo wszyscy chcieli być ochraniani,
A poza tym miałbym skrzydła.

Listy X

A więc mówię ci: świerki przelaty
Waly wściekle obok goźci
Nami, jak zielone sople lodu. Gdy
tylko zacząłem marznąć, zwolnił trochę,
Pod wieczoń czarne. Potem, kiedy
Się zmęcylem, przystanęły.
Wysiadłem z ciężarówki, i
Poszedłem w stronę miejscowości —
Kilka podniesionych do góry chodników,
Trzy cztery światła, jarzące się
W knajpie na końcu, albo
Tam, gdzie się żwirownia. Knajpiarz
Siedział przy stoliku dla bywalców
I studiował nekrologi.

Jakby był kustoszem ich spiczyni.
Przybiegli do mnie pies, który
Reaguje na każde imię, wiek & pochodzenie
Niewiadome. Przybiegli do mnie kocur, który się
Boi wróbił i innych —
Przybiegli do mnie żuk. Przybiegli do mnie
Ręcznik kąpielowy, spowity
Wiatrem — Przybiegli do mnie kociał na wodę.
Przybiegła do mnie koperta na listy, a w niej
Domek ślimaka, trzy biurowe
Spinacze, postać wycięta z papieru. Przybiegli
Do mnie obraz olejny, martwa natura ze
Słonecznikami, południem. Wiatr
Porywa ze sobą, co tylko może —

Przybiegło do mnie skrzydło ptaka.
Przybiegło do mnie moczenie nóg, mydło,
Dom. Niektórzy mówią, że była tu
Stacja benzynowa, daleko
Od tego miejsca, kiedyś dawniej. Wyobrażam sobie,

Że będzie tam na zewnątrz świecić,
Kiedy knajpiarz zainkasuje należność.
Tak jak ćma, magicznie przyciągana
Przez wspaniałe światło,
Przyleć do nich
Z naręczem toreb plastikowych
Być może, albo też
Z ukradzionym drewnianym wózkiem.
Zatankuję ten
I światło, a kasjer
Powie: już zapłacone.
Otworzę drzwi
Drewnianego wózka, niedbale,
Jak drzwi kabrioletu.
Odjadą wściekle szybko ze 180 rzecmi,
A żelazne obręcze kół
Wystrelą iskrami, wielkimi jak cebula
I koloru mandarynek,
Może przybędzie wtedy
Na dworzec, wyczarując
Sobie świeża pościel i gorącą
Herbatę. Oczywiście napiszę do ciebie.

Przedmieście pokrzyw

Jestem taki stronniczy. Państwo Schall,
Państwo Rauch, nie wychodzą mi
Z głowy, jak oni pędzili —
Zwizki starych banknotów wystawiały
Ze skarpet, rzeczy
Zwisiały ucepione.
A na prowizorycznych walizkach
Parzyły się pokrzywy.
Wedrując na skraju ja, albo
Tylko skrajując na wyrazu.
Kto nie miał nazwiska, ten się przeprowadził,
Kto miał nazwisko, ten dodał sobie
Tuzin nowych

I pewnego dnia,
Kiedy było już późno i życie
Nie mogło mnie już ukarać,
Ja też się przeprowadziłem, to był
Czwartek — tramwaje
Ruszyły wcześniej niż zwykle
Z zadymionego centrum
Na przedmieścia pokrzyw.
Tutaj wysiadłem

I porwała, żeby jego opłony pisała

Zasnęłam wśród wilków
I obudziłam się między wróblami.
Tu poeci wypierają się, że są
Poetami, i zaprzeczają pokrzywom, że są
Pokrzywami. A każdy przemieni

Czule szepce do ciebie: Zawróć,
Zawróć — Nienawść się nie oplaca
I miłość się nie oplaca —
Zawróć, zawróć.

Eiapoepia, trallala.

przełożył Zbigniew Dmیتroca i Janusz Gołec

Dzieci rakarza

Toczą Martwe Auto Na Stok
Wyspiska Śmieci
I Rozpruwają Przewody
Bo Wymiana Oleju Nie Jest Już Potrzebna
A Kolo Zapasowe Leci W Krzaki
Bowiek Nikt Nie Widział Nigdy Spadającego
I Auta Z 5 Kółkami
I Wiosłują & Wiosłują Kijami
W Morzu Nakrętek & Śrub
I Otwierają Schowek Na Rękawiczki
Który Wydaje Na Lup Rękawiczki & Ma
Pe Zmarłego Nieograniczonego Ja
Co Jeszcze Niedawno Było W Ruchu
Aż Do Poróża Aż Do Komór Obudowy
Gdzie Motorowe Serce Bilo & Wyło
O Ie Tylko Kierowca Dodawał Gazu & Zaciągał Hamulec
Zanim Tutaj Wysiadł & Po Prostu Sobie Poszedł
A One Chciałyby Zostać Tokarzami Ślusarzami Samochodowymi
Kierowcami Autobusów Maszynistami & Kowalami Podków
Od Czasu Kiedy Wiedzą Ze Ich Rodzice Gotują Na Klej z Koci
Martwe Zwierzęta W Położeniu W Pobliżu
Rakarni W Dzielnicy Texas
I Kiedy Wiatr Przywie Słódkowo Gryzący
Odór Z Tamtej Strony Tu Noszą
Przed Sobą Wyjętą Przednią Szybę
Jako Tarczę Przed Palpaniem Ludzi
Że Są Dziećmi Rakarza

przełożył Janusz Gołec

TOM POHLMANN ur. 1963, mieszka w Lipsku. Poeta. Ukończył studia w zakresie historii i literatury, obecnie jest operatorem filmowym i montażystą.

MICHAEL ZELLER

CZAROWNICZEK

Tego się nie spodziewałem — dwie nagie kobiety w kuchni!

Narodziny Wenus Botticelliego udały się znakomicie, na pierwszy rzut oka się nie można było zwrócić też aktowi leżącej kobiety Tytjana. Byłem niemal zaskokowany tym, że w kuchni pani Kuszlik, czymś w rodzaju kuchni mieszkalnej, ujrzałem trzy albo cztery z najbardziej znanych obrazów, namalowanych na płótnie, farbą olejną, nie były to żadne reprints. Fakt, że od razu rzuciłem się na te obrazy, tu, podczas mojej pierwszej wizyty, zakłopotaną panią Kuszlik. Mieszkała dumy i żalenownia zarumieniała jej twarz i czepiąc z bogactwa swego staromodnego języka zaczęła wyjaśniać pochodzenie tychże arcydzieł europejskiego malarstwa w swojej kuchni. Jej mąż pracował przez kilka lat w muzeum, było to jeszcze przed jej przeniesieniem się do Krakowie, wówczas podczas zmiany pomieszczeń wystawowych kopie te dostały się do niej. Tak to sobie w każdym razie dopowiedziałem — niemiecki pani Kuszlik, którego nauczyła się, jak by nie było, pięćdziesiąt lat temu, grzechotał przy tym gorzej niż zwykłe, czulem jednak, że nie powinienem był się więcej dopytywać.

Chyba że cztery razy musiałem zapewniać panią Kuszlik, że naprawdę nie jestem głodny i naprawdę nie chcę nic jeść, zanim w końcu uśledsmy do stołu i mogliśmy rozpocząć pracę, w tym celu tu przecieł przyszedłem — nawet sam w to w końcu trochę uwierzyłem. Ledwo podzieliłsmy między siebie napisany na cienkim papierze prebitkowym rękopis Awy, pani Kuszlik jeszcze raz się podniosła, przyniosła talerz z ciastem i poprosiła, abym przynajmniej tym się poczęstował. Było to ciężkie ciasto z czekoladą, kakao i orzechami, przypomniało raczej czekoladki niż ciasto.

— Sama zrobiłam, naprawdę — powiedziała pani Kuszlik zadowolona z mojej miny i zamknęła przy tym oczy, znowu z tą odrobinną wstydliwą znaną sprzed chwili, która tej zeszatałej już twarzy przydawała skromności młodego dziewczęcia. W milczeniu pochyliłsmy się nad kartkami, każde z nas z ołówkiem w ręku, siedzieliśmy przy stole kuchennym i pracowaliśmy. Pani Kuszlik tłumaczyła, ja poprawiając, aż ponownie podniosła głowę, odcedkała z lekkim westchnieniem, czy na to zareaguję, przeprosiła, że znowu musiała przerwać, odcedkała jeszcze raz i dopiero wtedy spytała, czy słowo „Zauberbrüchen“ (czarowniczek) rzeczywiście jest dzisiaj jeszcze używane.

Panią Kuszlik poznałem w czasie festiwalu kultury żydowskiej na Kazimierzu, podczas uroczystości zakończenia festiwalu w bożnicy

Popera, naprzeciwko bożnicy Remu. Nie wiem dlaczego — to zgromadzenie tak wielu osób w niewielkim pomieszczeniu popsuło mi nastrój — poczułem się nagłe opuszczony, obcy i zbyteczny. Dwie lub trzy próby wmnieszenia się do jakiejś rozmowy spełżyły na niczym. Miałem więc już odejść, od razu, abym nie popaść w jeszcze większą melancholię. Chciałem się jeszcze tylko pożegnać z Manfredem Lemmem, który po południu śpiewał w ramach tego festiwalu pieśń Mordechaja Gebirtiga, żydowskiego poety z okresu przedwojennego. Ale Lemm rozmawiał z jakąś starszą panią, niską i obficie zaokrągloną. Wmieszałem się ód razu w rozmowę i poddałem się ciepłu promieniącego ze szlachetnej twarzy tej już chyba siedemdziesięcioletniej kobiety. Manfred Lemm przedstawił mnie pani Kuszkil mówiąc o niej jako o dobrym duchu festiwalu. „Ona mieszka tu na Kazimierzu, dokładnie na ulicy Szerokiej, w domu obok bożnicy Remu”.

— No — powiedziała po niemiecku, spoglądając na mnie z chępcą za grubych okularów. — Troszczę się nieco o pieśniarzy i dosenkarki... troszczę, że wszystkich krajów, zostawiają w mnie w domu instrumenty, a jeśli się troszczę dobrze czuję w Krakowie...

Spojrzałem na jej uśmiech, który unosł palczki poduszeczki policzków. Ten uśmiech dobrze mi zrobił w nastroju, w jakim się znajdowałem. Gdy Lemm powiedział jej, że jestem pisarzem, jej zainteresowanie mną wzrosło. Spytała o moje książki, ich tematykę, styl...

— Skąd pani tak dobrze zna niemiecki? — spytałem. Pochodzi z Poznania, z tej części Polski, która po napaści Niemców w 1939 roku nazwana została „Warthegau” — dlatego, powiedziała śmiejąc się przy tym, dlatego nauczyła się niemieckiego, a mianowicie w podziemiu, jako dziewczynka. — To, co złe, czasem się jednak w życiu przydaje, pod warunkiem, że się przeżyje — tym samym ten temat był dla niej zakończony.

Nie, o pojsić do domu już więcej nie myślałem.

Chciałaby jeszcze raz, jeśli wolno, wrócić do mojego zajęcia, zwróciła się ponownie do mnie szczególnie ujmująco, uprzejmymi słowami: — Czy nie mógłby mi pan może nieco pomóc? Pracowała właśnie nad tłumaczeniem z języka polskiego na niemiecki, a nie jest całkiem pewna, czy niemiecki, jakiego nauczyła się w dzieciństwie, używany jest jeszcze do dzisiaj. Jest to sztuka teatralna dla dzieci, niezbyt długi tekst, tylko kilka stron, jej córki Awa, która organizuje teatr dla dzieci w krakowskich szkołach i dla jego potrzeb pisze też sama. Uważa je za bardzo dobre, te sztuki, naturalnie jako matka, ale odważy dodać jej też pewien znajomy z Niemiec i chciałaby je posłać do Niemiec, do wydawnictwa, może do telewizji.

Potem, niespodziewanie, pojawiła się między nami młoda kobieta, tego wieczora w bożnicy Popera na Kazimierzu, nie usłyszałem jej nadejścia, tak bardzo znajdowałem się pod urokiem pani Kuszkil. Była niewysoka, bardzo szczupła, sprawiała wrażenie nicy, raczej dziewczynka niż kobieta. Atrakcyjna blada twarz, atrakcyjna w pewien obcy, niezwykły sposób.

— Awa — powiedziała i wyciągnęła do mnie dżięcięcą rękę. Fala ciepła rozlała mi się po brzuchu — wszystko jest takie proste, to

pierwsze dotknięcie, jej ręka trochę wilgotna, może raczej chłodna. Byłem poruszony, poglaskany w taki miękki sposób, bez chłoda kokieterii, zupełnie bez jakiegokolwiek dreszczu w okolicach kroczka. Szkoda, że Awa musiała zaraz odejść.

— Całkiem dobrze bawi się pan z moją mamą, jak widzę — rzuciła na pośtegnanie, z drwiną w oczach. Coś we mnie pozostało, coś co paliło.

Na pewno zapropomowałbym pani Kuszkil pomoc, wtedy na festiwalu, także bez pojawienia się jej córki. Teraz musiałem uważać, aby moja obliczka nie zabrzmiła za bardzo nieufnie. Nie chciałem dawać żadnej pożytki materzynej nieufności, tej odrobiny zardroki, która pojawiła się w uśmiechu pani Kuszkil.

Chculem to wracać do domu: zapowiedź czegoś wielkiego zrzuciła swą kotwicę w moją duszę. Na imię miała Awa. Dotknięcie szczęścia rozlało się tej nocy, przeszło całe moje ciało, głowa wznosiła się ku niebu — gdzie była granica — kroki sprężynowały delikatnie po trotuarze uśpionego Krakowa.

Przyszedłem potem, po kilku dniach, nie od razu, na ulicę Szeroką, z trzema czerwonymi różami dla pani Kuszkil. Teraz przede mną leżała udratmatyzowana zaczarowana baśń Awa, na cienkim pomiętym papierze, ze złymi czarownicami i dobrymi wróżkami, miała pokazać dziećmiom nieco problemów ochrony środowiska i była, jak mi się zdawało, całkiem dobrze napisana.

Czarowniczek...? Nie, może inaczej...

Niemiecki, na jaki matka przetłumaczyła dialogi, jakiś gubernantka mogłaby wpaść swoim podopiecznym w ubiegłym stuleciu, tak ceremonialnie i sztywno brzmiał. Krążyłem długopisem po papierze, że pani Kuszkil już naprawdę zatroskana zerkła na mnie spoza oprawk okularów, jak gdybym był złym zarządcą.

Czarodziej stał się jednak z wolna nerwowy, bo jego Awa była podzielona. Z jednej strony chodziło mi, zgodnie z moim przyzwyczajeniem, o czystą pracę nad tekstem, która wymagała — może raczej wymagałaby — ode mnie całkowitej koncentracji. O wiele bardziej wolałbym z panią Kuszkil porozmawiać, dowiedzieć się więcej o jej życiu. Poza tym czyhało we mnie oczekiwanie — niewiadome, ale niepokojące, jaki się z nim łączył, nie można się było wystrzeżać. Gdzie w ogóle podziwiała się Awa — córka? Miałem być ostrożny, aby nie dać odezwać matce swoje zniecierpliwienie, owego wewnętrznego impulsu, który mnie to trzymał, tej małej zdrady wobec niej.

— Awa — powiedziała tak, jakby przejrzała mnie na wylot, musiałem mieć się jeszcze bardziej na baczności — Awa poszła do znajomych, bo ma dzisiaj urodziny. No i, pomyślałem sobie, że będzie dobrze, gdyby pan te kwiatuśki — piękne kwiatki dla mnie od pana... Naprawdę nie powinien pan być, to naprawdę urodziny z pana strony, ale są naprawdę szczególnie piękne — no, gdyby pan później te kwiatki podawał jej na urodziny, gdyby pan zechciał...

Próbowałem nadać mój twarz wyraz zaskoczenia i odmowy — czy mi uwierzyla? Moje serce jednak, skryte głęboko w środku, szalało z radości, że będę mógł jeszcze tego wieczora zobaczyć Awę.

Uczępiłem się natychmiast rękopisu, dzieła zarówno córki jak i matki, walczylem z potworami, czarownicami i przerozniętymi leśnymi duchami, które hulaly nocą po Krakowie i prowadziły przy tym między sobą konwersację niczym w szkolnej czytance z czasów cesarza Wilhelma. Wydawało mi się przy tym, że mimu dworskiego stylu języka matki rzeczywiście mogę odczytać z faby sztuki się wyobrazi, która być może mogłaby nawet dotrzeć do naszych małych telewizyjnych potworków w Niemczech, dla których niczym jest nawet najmocniejsza podnieta.

— Proszę się częstować ciastem — nalegała pani Kuszluk. — Nie może pan sobie wyobrazić jak jestem... przepraszam, jak obie jesteśmy panu wdzięczne...

— Czy był to właściwie pomysł Awy, aby pani przetłumaczyła te sztuki?

— No, wie pan — pani Kuszluk skierowała na mnie baczone spojrzenie, ale jej głos zagubił się nieco w przestrzeni między nami...

— Naprawdę, niechętnie o tym mówię, ale ciężko nam się teraz w Polsce żyje, nam wszystkim. Tak ciężko jak teraz nigdy jeszcze chyba nie było. Coraz trudniej utrzymać rodzinę, córkę, syna. Syn już wprowadził z nami mieszka, ma pracę w Lublinie, w telewizji, ale musi gdzieś mieszkać, a to wszystko tak podrożało, że sam nigdy... ciągle jeszcze potrzebuje mojej pomocy, bo...

— Czy Awa godzi się na to, że pani jej sztuki... — dopytywałem się, chociaż pełne wargi pani Kuszluk niebezpiecznie nabrzmiały, stały się miękkie, jakby chciały wysunąć się do przodu. Nie, tzy nie popłynęły, ale wolała patrzeć w kartki niż na mnie.

— W każdym razie, no... nie ma nic przeciwko temu, jest jej to obojętne, tak się chyba mówi: obojętne... Awa jest jeszcze trochę... Ona żyje w swoim własnym świecie. Jej talent: taki wielki talent! To okropne, że jej sztuki tu się poniewierają i żaden człowiek... Ten znajomy z Niemiec powiedział, że w Niemczech, w telewizji, można zarobić dużo pieniędzy, pisząc sztuki dla dzieci.

— Rzeczywiście, dość ciężko im się tu teraz wiedzie, w Polsce... Ktoś obcy może wcale by tego nie zauważył... ona naprawdę niechętnie o tym mówi, ale ma do mnie zaufanie: pieniądze kończą się jej już w połowie miesiąca, coraz trudniej się utrzymać rodzinie. Awa zarabia tyle co nic w swoim szkolnym teatrze, dużo mniej niż zwykła nauczycielka. Robi to tak dobrze, z ogromną fantazją, wkłada tyle serca, ach, nie mogę sobie naprawdę... ale to jest prawie za darmo.

— Gdyby pan powiedział, jak ona mało... zarabia... Odsunąłem od siebie kartki, by móc dokładniej słuchać. Cóż miałem jej odpowiedzieć? Byłem szczęśliwy, że głos pani Kuszluk stał się znnowu monotonny. Poprawiała sobie krzesło, usiadła na brzegu, kręciła w rękach okularami, przyszedł jej chyba do głowy nowy pomysł.

— U pana w Niemczech, zna pan tam pewnie wielu ludzi, mądrych ludzi, może nawet trochę zamożnych... i moją wie pan wie... no, czy może mi pan powiedzieć, ile pieniędzy można by dostać w Niemczech za taki obraz...? — spytała i wskazała na obydwa włoskie akty. Wstała i spomiędzy kredensu i komody wydobyla dwa

naprawdę obrazy, Bruegla oraz martwą naturę z muszelkami ostrzy i kieliszkiem wina, z pewnością także obraz malarza flamandzkiego z tego okresu.

Chętnie dalałbym pani Kuszluk nadzieję, ale nie chciałem obiecywać czegoś, czego później nie mógłbym dotrzymać. Pochwiliłem więc najpierw z przekonaniem jakość kopii, wykonane były rzeczywiście bez zarzutu, następnie powiedziałem, że na pewno znalazły się u nas zainteresowani, dla których te obrazy warte byłyby kilka tysięcy marek.

— Och — oczy pani Kuszluk zrobiły się ogromne ze zdziwienia. — Jak do takich zamożnych osób dotrzeć, tego uczwiecie nie mogłem jej powiedzieć, sam chętnie bym to wiedział, dla własnego użytku. Obawiałem się, że nie bardzo mógłbym być jej pomocny przy sprzedaży obrazów.

— Ależ nie, jest pan dla nas i tak ogromną pomocą — powiedziała pani Kuszluk i nieco się przestraszyła. — Proszę mi wybaczyć... proszę się częstować ciastem — i wsunęła mi talerz z śródek papierów tak gwałtownie, że cify Awy zaszeleły i stoczyły się nieomal ze stołu. Widocznie jeszcze przed chwilą zakłopotanie zniknęło z jej twarzy. Ponownie się ożywiła i zapanowała w pełni nad sobą. Gdy tak przebiegła mną sędziwa, we wzorzystej letniej sukni w kilku odcieniach błękitu, ze starą broszką i kokardkami wokół dekoltu, to jeszcze ułożonymi rozjaśnionymi włosami, z umalowanymi ustami i oczami — nigdy bym nie powiedział, że jest biedna. Także to mieszkanie na trzecim piętrze w tym domu obok bożnicy Remu — to prawda, elewacja budynku i klatka schodowa były zupełnie zaniedbane, ale kuchnia, w której siedzieliśmy, była urządzona skromnie i niczego jej nie brakowało; ulegając urokowi wyszukanej elegancji, ożywionej niepraktycznością wyposażenia, od razu poczułem się tu dobrze.

— Nie ma pan pojęcia, jak ciężkie jest codzienne życie w Polsce, zwłaszcza dla nas kobiet — jeszcze raz podjęła ten sam temat, ale tym razem z dystansem. — Zalatwianie... ciągle zalatwianie, także jeszcze teraz, gdy wystanek już jest, musimy przemierzać dalekie drogi, raz tu, to znów tam, a ceny coraz szybciej rosną. Moja emerytura, wszystkie place — wszystko pozostaje w tyle. Z każdym dniem pieniądze są mniej warte, każdego dnia. Dlatego, tylko dlatego, przyszedł mi do głowy ten pomysł, żeby te obrazy — być może...

— Znajomy, którego poznała w ubiegłym roku w Krakowie, tutaj na Kazimierzu — podobnie jak ja, on też przemierzał uliczki żydowskiej dzielnicy, obserwowała go przez wiele dni, a potem, sama już nie pamięta jak, nawiazała rozmowę. Ten znajomy obiecał zwróżyć się w Ameryce w związku z obrazami. Niestety nie więcej od tamtej pory o nim nie słyszała, był już bardzo chory, być może — o nie, na miłość boską, nie chce w ogóle o tym myśleć.

— Czy był Żydem? — zapytałem ją.

— Nie, wyglądał dostatanie, dobrze sytuowany. — Czy tak się jeszcze u was mówi? Był profesorem, najprawdopodobniej profesor, na uniwersytecie w... w...

— Tak, był Żydem, szukał tutaj swojej krewnej; tu, na Kazimierzu, jeszcze sprzed wojny, tak, był Żydem, przynajmniej trochę. Niemcem

też zresztą właściwie był, może raczej z pochodzenia, ten pan Wolgast.

— Jak...? Wolgast? — zapytałem. Już po raz drugi stykałem się z tym nazwiskiem.

— No, Henryk Wolgast... Nic, Henry, Henryk to po polsku... dlatego pan tak patrzy...?

— Ach, nie szczególnego — próbowałem ukryć zdziwienie. — Ktoś z moich znajomych tutaj w Krakowie go wymienił, to nazwisko pozostało mi w pamięci, Wolgast... tylko nazwisko, nic więcej.

Często tu przesiadywał, u niej, tu w kuchni, i chętnie z nią rozmawiał, a ona z nim, pani Kuszik zaczęła wspominać i energicznie przesuwała kartki papieru na stole — czy może chciała uniknąć mojego spojrzenia? No, jest trochę młodszy niż ona, dopowiedziała szybko, aby uprzędić moje skojarzenia, niewiele, tylko trochę, ma chyba tak nieco po sześdziesiątce, szrakł jej bliskości, dlaczego — uśmiechnęła się do swoich myśli — dlatego, tego sama dokładnie nie może powiedzieć. Specjalnie z Ameryki przejechał tutaj, żeby dowiedzieć się czegoś o swojej ciocie, z Krakowa, która najprawdopodobniej odegrała dużą rolę w jego życiu, przynajmniej w jego dzieciństwie.

— No, niech pan wjrzy na zewnątrz: co on tu jeszcze może znaleźć? Może na cmentarzu po drugiej stronie...

Jeździł potem po całej Polsce, przebywał dłuższy czas w Lublinie, potem wrócił — sprawiał na niej wrażenie człowieka, który nie może zaznać spokoju. Czuł się dobrze tutaj wtedy, gdy siedział u niej w kuchni, tego jest w każdym razie całkowite pewna.

— Był więc chory? — spytałem. Już samo tylko niemieckie nazwisko stanowiło pożywkę dla mojej ciekawości, od czasu, gdy Janusz po raz pierwszy o nim wspominał.

Tylko jej o tym opowiedział i dlatego nie wie, czy powinna o tym mówić — tylko jej powierzył swą tajemnicę, że lekarze rozpoznali u niego jakąś chorobę, tam w Ameryce, bardzo ciężką chorobę, i że nie wie, jak dugo będzie jeszcze żył. No, naprawdę, pani Kuszik prosiła mnie tak bardzo poruszona, że jej niemiecki znowu na tym cierpiał, nie wolno mi o tym dalej mówić, na coś silniejszego kazało jej się z tego zwierzysł, „jej osobnicie” dlatego tylko dlatego zebrała się na odwagę, aby odważyć mi jego zaufanie. — Ośmieliłam się zapytać go o te obrazy — po tym, gdy on sam — na pulchnych policzkach pojawił się nagły rumieniec — odkup od niej jeden obraz włoskiego malarza, świętego Sebastiana. Sama nie bardzo... — przestraszyła się przy tym, chciała przerwać, ale coś silniejszego kazało jej mówić dalej — właściwie nie bardzo go lubiła, tak, naprawdę nigdy nie chciała go oglądać, tego obrazu, jest bowiem katolicka — ale on, od od razu go odkryli i bardzo się do niego przywiązał, a ponieważ ciągle o nim mówił, dlatego i tylko dlatego mu go sprzedała, pomógł jej to, przez kilka miesięcy mogła zatać dziurę w domowym budżecie, a ani Awa, ani jej syn tego nawet nie zauważyli — mówiąc to ponownie się przestraszyła.

— Jezuś Maria, proszę — nie może pan nie powiedzieć Awie, ona nie może się dowiedzieć, że obraz jej ojca... Ona żyje w świecie baśni. Ale ja... co miałam zrobić?!

Teraz twarz pani Kuszik ściągnęła się znowu w zmarszczkach bólu, przejechała dłonią po oczach — spojrzała na tę dłoń, jakby była jej całkiem obca, położyła ją płasko na stole i zwróciła oczy ku mnie — w oczach ogrom zaufania, ciepło i odrobina obawy. Nie dostrzegłem żadnej łzy.

— Nie, Czarowniczek, to chyba niedobrze, ja bym chyba raczej... Ponownie pochylił się głowę nad kartkami papieru i pracowaliśmy chwilę w milczeniu nad tłumaczeniem. Co chwila zdejmowaliśmy okulary i uśmiechaliśmy się do siebie nie mówiąc ani słowa, od czasu do czasu sięgaliśmy do talerza i rozkoszowaliśmy się, nie zabując sobie, smakiem ryżującego się w ustach wspaniałego czekoladowego ciasta pani Kuszik.

A potem była ona: Awa, spoglądała na nas oboje i patrzyła na kartki leżące między panią Kuszik a mną na stole — patrzyła na swoją czarodziejską sztućkę i uśmiechała się tajemniczo, jakby nieobecna, a my; my mieliśmy być temu winni.

Matka porozumiewała się z córką spojrzeniami i kilkoma sylabami. Nasza rozmowa we troje przędła się zalamana, jedno z nas musiało ustąpić — pani Kuszik знаła tylko niemiecki, Awa tylko angielski.

Pani Kuszik zebrała kartki papieru, które ciągle jej uciekały i ze słowami przeprosin, brzmiającymi dla mnie jak wyrzut, wyszła w końcu z kuchni, zostawiając nas samych. Czy drwina w oczach Awy, gdy siedzieliśmy teraz sami przy stole, nie stała się nieco bardziej miękka?

— Niewiele mnie obchodzi, że mama to — Awa skinęła przy tym głową w kierunku pustego miejsca na stole — że chce to sprzedać, za granicę, właśnie tam. Może sobie robić co chce, ale mnie niech zostawi w spokoju.

Oczy Awy zwęzły się znowu.

— Czy jej niemiecki jest do tego w ogóle wystarczający?

— Ma pani bardzo piłą mamę — powiedziałem. — Może pani być dumna — tyle pomysłów, tyle energii... a jej niemiecki, owszem, jest... zdumiewająco dobry...

Wolałem oszukać ją niż wydać panią Kuszik. Wzruszało mnie, jak wszelkimi możliwymi środkami próbowała utrzymać rodzinę — a w zamian dostawała jedynie kpinę od własnej córki.

Oczy Awy, duże — jasne, zielone oczy. Blask, który nie wydobywał się na zewnątrz. Jej oczy starały się wchłonąć, wessać do środka moje spojrzenia. Te oczy stanowiły dla mnie największy urok jej twarzy, twarzy szczerzej, błędnej, nieomal jeszcze dziewczynki, z pierwszymi kreskami dojrzałej twarości wokół ust. Może dwadzieścia trzy? próbowałem ocenić i podsunąłem jej srebrną wagę z moimi trzema różami dla matki — podarowałem je teraz Awie na urodziny.

— Ach, więc nawet to pan już wie...

Awa wyczuła chyba, że się zacerzeniła i rozłościła ją to.

— Dwadzieścia trzy — zgadywałem na głos — albo dwadzieścia dwa?

— Zaśmiała się, na twarzy pojawiły się przy tym doleczki. Jej zęby — jakby ocienione, zagrożone, drobinki ze złota.

— Chce mi pan pochwilić... albo może to znówu moja matka? Muszę pana niestety rozczarować. Córka pani Kusziuk ukochyła dzisiaj trzydziści dwa lata.

— To naprawdę nieomal wytrzymało mnie z równowagi. Trzydzięci dwa? Gdzie na Boga podzielił się na tej twarzy ostatnich dziesięć lat? Może dotyk jednej z wróżek Awy sprawił, że młodość stała się tak długo ponadczasowa? Nie bardzo mogłem chyba zapytać o to wprost. Zamiast tego powiedziałem Awie kilka słów uznania o jej sztuce, ale ona nie była w najmniejszym nawet stopniu zainteresowana moją opinią. W ogóle nie chciała o tym rozmawiać, uśmiechała mi się tylko prosto w oczy.

— Co pan właściwie robi tu w Krakowie? Czy ma pan tyle czasu, aby z moją matką...

Zazdrość! wpadło mi nagle do głowy. Cudownie! Jest zazdrosna o swoją matkę.

— Przyjechałem tu — starałem się jej wyjaśnić tak chłodno, jak to tylko możliwe. — Zbieram materiał do nowej powieści — coś w tym rodzaju...

— O Krakowie? — Po raz pierwszy ujrzałem twarz Awy traktującej coś poważnie. Dokoła się pojawiła się jakby obawa.

— Nie, nie całkiem. Właściwie tak, trochę. — Opowiedziałem jej w skrócie, to co konieczne, był to dla mnie w tym momencie dość uciążliwy obowiązek. Sulem zamiar napisania powieści o Wicie Stwoszu, o ucieczce rzeźbiarza z Norymbergi do Krakowa, o jego pracy nad Oltarzem Mariackim, o wielkim dziele; o jego wyjeździe, tym razem z Krakowa, po dwudziestu twórczych latach spędzonych tutaj, mimo uznania, jakiego dorobił się w tym mieście; o sprzodanym warsztacie, dobrych zleceniach, zamożnych kupcach...

— Nie posunąłem się, mówiąc szczerze, jeszcze bardzo daleko... Samo miasto absorbuje, w każdym razie mnie — zupełnie nowy ideał. Jestem po raz pierwszy tu w Polsce.

— Potrzeba więc panu... potrzebny jest panu ktoś, kto pana tu miasto trochę — mam na myśli, tam gdzie obcy nie dotrze...

— Całkiem dobrze już wiem, gdzie jest Kościół Mariacki.

Prędko ją wyhamowałem, aby chłonąć radość, a ją nieco przytrzymać.

— Powiniennem właściwie spędzać te dni przed oltarzem, w Kościele Mariackim i w bibliotece historyków sztuki...

W tym stylu kontynuowaliśmy naszą rozmowę, przy czym uśmiech nie zniknął z naszych ust. Tylko od czasu do czasu spojrzenia nasze spotykały się ze sobą jakby od niechciaha na dłużej. Zatracałem się coraz bardziej w oczach Awy. Te szeroko rozstawione wzdniostozielone oczy. Ten odstęp między obydwooma punkcikami światła jej twarzy — być może oznaka jakiejś pierwotnej harmonii! Czulem, jak w zółdaku tworzy się i rozszerza żalążek ognia, błogość, lekkość, uderzyły mi do głowy, przekazywały mi i uczucia bez jakiegokolwiek oporu — ogarnęła mną zarozumiałej, próżności — nastrój,

w którym poczułem się wolny od jakiegokolwiek odpowiedzialności — nieważki, bez wspomnień i oczekiwań — słowa, które powstawały same z siebie; zatracała wszelką troskę o odpowiedzialność za nie — tak rzadkie uroczono szczęścia. Czulem się w tej zagubionej w czasie chwili tak, jakbym musiał zapamiętać Awę, teraz niezachmiast, nie, nie pytać, wywiązać jej, mając pewność naszych uśmiechów; powinna zostać moją żoną — a przy tym znaleźć ją niecałe pół godziny i nie była to gra. Całkowicie mnie to przepielniało.

Naturalnie powstrzymałem się od tego. Czy moje oczy coś jednak zdradzały? Zniknął w każdym razie uśmiech Awy, oprócz śladu w kąciach ust, którego nie kontrolowała. Powaga na jej twarzy, delikatnej i błędną jak kość słoniowa. Usta otworzyła się, jakby chciała mi odpowiedzieć, wyściskując i... tak, tak, tak.

Pukanie. Ktoś pukał do drzwi. W drzwiach stała Pani Kusziuk, jej krągła postać, przycięta z zakłopotania — badawcze spojrzenie rzucone ukradkiem zza krótkich rąg w kierunku córki — i rozspala nade mną najwyszukadsze girlandy przeprosin, które spadły jak kolce w moje włosy — uwaga, rozbiłaś myśl, matka i córka, niezwykły wybuchowa mieszanka. Nie chciała przeczyć, na Boga, ale musiała... i jej policzki zadrgały nerwowo.

— Awa zmarszczyła czoło nie mówiąc ani słowa, nie poruszyła się nawet, tylko jej oczy, zaciemnione, chciały wypędlzić matkę i przekroczyć mi w podnieśnieniu się z miejsca.

— Ja jednak wstałem.

— Z mojego pokoju może pan zobaczyć groby, z tyłu za bożnicą — powiedziała do mnie, nie tłumacząc matce co mówi. — Naturalnie jeżeli ma pan ochotę...

Pani Kusziuk stała obok niej, bezradna, dwie głębokie zmarszczyki nad okularami, wymuszona uprzejmość wobec gości.

— Na chwilę tak, chętnie... — odpowiedziałem, najpierw po niemiecku, potem po angielsku. Pani Kusziuk usunęła się na bok.

Pokój Awy z drugiej strony ciemnego przedpokoju: marsanda, zbudowana w narożu, kąć prosty, dwa pomieszczenia w jednym.

— Moja matka, wie pan, jest trochę... władca. — Znowu pojawił się wyraz twardości w twarzy Awy, jak obcy rys — albo może sam sobie wmaiewalem, że jest obcy? — Czasem muszę się przed nią bronić, przed jej łądaniem i tym co robi, tym wszystkim...

— Ma pan bardzo energiczną matkę, Awo — sprzeciwiłem się jej.

— Jak ona się angażuje dla pani ze swoimi tłumaczeniami i przy okazji pieczę jeszcze ciasteczka — czegoś tak wspaniałego dawno już nie...

— Chce ją pan mieć? — Piękna twarz, w policzkach doleczki, gdy się złościła. — Proszę...

Mimo że Awa była taka energiczna, minęło parę chwił, zanim zwołniała miejsce przed jednym z okien dymników. Ten obcy intruz sprawiał jej widocznie kłopoty.

— Proszę tu nie patrzeć — poprosiła mnie — jest tu u mnie trochę balagan..., a sufit — widzi pan te rysy na górze, tynek się sypie, dopiero

rok temu wybieliłyśmy całe mieszkanie, ale to nie trzyma się długo. Dach nie jest już szczelny, a poza tym powietrze tu w Krakowie...

Mówiła szybko jakby chciała szybko zakłopotanie. Dopiero teraz zauważyłem, że pokój był rzeczywiście poszarzały, jakby od lat nie oglądano pedzła. Okno, w którym mocowała się Awa, było też szare od kurzu.

— To wszystko przez to powietrze, wiatr naniosi cały kurz z Nowej Huty. To też taki pomnik komunistów z tamtej epoki.

Staliśmy obok siebie w wąskiej okiennej niszy. Awa taka drobna i tak mało jej w tej dziewięćdziesięciu sukience z okrągłym kołnierzykiem wokół szyi. Jej nagie ramię dotknęło mojego ramienia. Poczułem dreszcz na plecach, zimny ogień. Pogłaskać — czy mam ją pogłaskać, ostrożnie, jakby nieumyślnie? Ale Awa już się oddalała, umknęła, uciekała od bliskości naszych ciał. Zostawiając mnie samego z widokiem na cmentarz. Spojrzałem w dół na zdżurzący park pod wysokim murem, wychyliłem się daleko przed okno — żadnych grobów jednak nie zobaczyłem.

Awa zdmiała się. Z czego? Ze mnie? Nie: to nie to okno. Otworzyła nie to okno.

— To może tutaj — powiedziała. — Na pewno tutaj. Otwieram to okno tak rzadko, z powodu tego brudu z ulicy, wie pan. Dlatego...

Przeszliśmy do drugiego narożnika pokoju, do drugiego dymnika. Obok niego stała umywalka, lustro.

— To po to, abym nie musiała zawsze dzielić łazienki z matką — wyjaśniła Awa i pozostała tam razem w miejscu zostawiając mnie otwarcie małego okienka. Kosztowało to nieco wysiłku. Zauważyłem się dopiero gdy przystawiałem taboret i wyciągając głowę wychyliłem się tak daleko, że oparłem się o dach: kamień, przy kamieniu, piękne renesansowe stele, które przez stulecia leżały pod ziemią i tak się zachowały, przy całym temperamencie ludzi, którzy przez lata całe żyli na Kazimierzu.

— Niech się pan nie wychyla tak daleko, bo... — ostrzegła mnie Awa, która w bezpiecznej odległości stała za mną. — Przynajmniej moja matka by... — ona naprawdę na trochę... Urwała nagle, jej drwiący śmiech, spoglądała daleko ponad mnie w głąb pokoju.

Potem cicho: — Myśle, że musiał pan już iść.

Poszedłem więc, przemierzyłem dalekie drogi, aby nie prędko dotrzeć do siebie. Stałem później w domu, była już noc, ciepła letnia noc. W domu, w gościnnym mieszkaniu bliższej mińskiej Krakowa, gość! Opuszcłem potem ten pokój, o wiele za ciszy, usiadłem zaraz naprzeciwko, na ławce na Plantach, mającej tego obcego przede mną — jak wiele czasu już minęło, od czasu gdy go tutaj spotkałem? Obok mnie przechodzili ludzie, pojedynczy przechodnie, o wiele za mało miłośnych par, czułem na skórze ciepło nocy, zabrałem z domu kartkę papieru, coś do pisania i trzy butelki piwa, polskiego piwa, wróciłem na ławkę, teraz już moja ławkę, wdechałem tę letnią noc, piłem piwo i szybko zasnuwało mi w głowie, nie była to o tej porze specjalna trudność, potem zacząłem pisać z papierem na kolanie, szło mi bardzo szybko i bez zrzeczeń, wszystko płynęło przed siebie, ręka krążyła tak, że ledwo za nią nadążałem, piłem, pisałem i byłem pijany

szczęściem, całkowicie pograżony w sobie, to jasne, jeden przechodzień nie musiał odwracać za mną głowę, nazwałem to po ukonkretnieniu, że śmiałym rozmachem, który prawie że mi umknął, „Pijana skarga do nocy”.

Trochę się dzisiaj śmieję oczywiście z tych sztuczek, na jakie wpadała tu po stokrak pijana głowa w tych strofach — jak światłolot samotność ktoś, kto właśnie po raz pierwszy — o mało co się oświadczył!

przełożył Marek Dziuba

MICHAEL ZELLER ur. w 1944 w Wrocławiu, po zakończeniu wojny wyjechał z rodziną do Niemiec Zachodnich. W latach 1965–1974 studiował literaturę i socjologię na uniwersytecie w Marburgu i w Bonn obronił pracę doktorską *Ojciec i synowie w twórczości Tomazasa Manna*. W latach 1974–1982 uprawiał krytykę literacką w gazecie „Frankfurter Allgemeine Zeitung” — oraz wykładał literaturę na uniwersytecie w Erlangen, gdzie przełożył i opublikował habilitacyjną. Od 1982 roku pracuje twórczo jako pisarz. Mieszka w Norymberdze. Autor powieści, opowiadań, wierszy, esejów, seriali teatralnych i artykułów publicystycznych.

Całkowicie to fragment powieści *Café Europa*, wydanej przez Aris Vivendi Verlag, Cadolzburg 1994.

LUDMILA MARJAŃSKA

Polsko-niemieckie spotkania

W ciągu ostatnich kilku lat wyraźnie ożywiły się polsko-niemieckie kontakty w dziedzinie literatury.

Dotychczas opierały się one głównie na współpracy polsko-niemieckiej miast i regionów, zwłaszcza programicznych. Istniała między nimi — i do dzisiaj trwa — wymiana kulturalna. Polscy pisarze byli udziałem imprez organizowanych przez niemieckie organizacje, drukowali przekłady swoich utworów w tamtejszych czasopiśmie. Jednakże dopiero plan literacki Ericha Loesta ogłoszony w kwietniu 1994 roku zapropozował i rozpoczął wyraźnie poszerzenie tych kontaktów i rozwój wzajemnej współpracy. Pisał o tym Adam Krzemiński w artykule *Czytańskie zapiski* („Polityka” z 11 czerwca 1994).

To przedstawiciele ma być z jednej strony próbką pomogąco zainteresowania związków od lat kompletnie zmarginalizowanego w Republice Federalnej Niemiec, z drugiej zaś gestem zadobroczenia VS (*Verband der Schriftsteller der Związku Niemieckich Piisarzy*) wobec polskiej kadrze za nielojalność w roku 1983. Tu następuje wyjaśnienie, na czym ona nielojalność polegała.

Trzeba powiedzieć, że na skutek podziału Niemiec na Wschodnie i Zachodnie pisarze niemiecy byli, być może, bardziej rozproszeni i podzielni niż pisarze polscy, choć i tu, i tam istniała sieć do organizowania się w związku czy w stowarzyszeniu. Oprez Związku Piisarzy (VS), na którego czele stoi Erich Loest, istnieje Wolny Związek Piisarzy Niezrzeszonych — Freier Deutscher Autorenverband-Schutzbund Deutscher Schriftsteller (SPP odwołany w 1994, jego prezydentem, wiceprez. Hans Dietrich Lindstedt, proponując wydanie wspólnej antologii).

W poszczególnych rejonach Niemiec, wsi, landach, aktywne działają oddziały Związku Piisarzy, które bezpośrednio kontaktują się z pisarzami polskimi, zapraszając ich na wycieczki autorskie. I tak jako wykładce towarzyszące „placowi Loesta” odbyła się 21 czerwca 1994 r. w Wesseling k. Bonn — zorganizowana wspólnie przez Fundację Adenauera i Wydział Kultury Embassy RP — dyskusja literacka z udziałem Marcela Reicha-Ramickiego, Adama Krzemińskiego i dr. Krystofa Lipińskiego na temat „Polskie Literatur unbekannt — warum?” Ogłoszony w kwietniu 1994 r. „plan Loesta” zainaugurowany w czerwcu 1994 wycieczką autorską Henry Knafl w Bonn, Essen i Düsseldorf. Pod koniec czerwca 1994 Wydział Kultury Embassy RP, VS i Polsko-Niemieckie Towarzystwo Kulturalne zorganizowały dla wycieczki Jerzego Pilcha w Getyndze i w Frankfurtu, gdzie uprzednio wydanego jego powieści *Spis cudzoziemców*.

Na zaproszenie berlińskiego oddziału VS, którego prezesem jest Felix Huby, wyjechał do Berlina Aleksander Ziemny (grudzień 1993 r.), natomiast Felix Huby był gościem Stowarzyszenia Piisarzy Polskich w czerwcu 1994 r. Na 20. Berlińskich Dniach Autorskich reprezentował SPP Feliks Przytycki (koniec listopada 1994).

Niemieckie związki twórcze należą do tzw. Deutsche Gesellschaft (Stowarzyszenie Niemieckie), które zajmuje się m.in. organizacją wyjazdów piisarzy niemieckich i innych przedstawicieli środowisk twórczych do Polski.

Na jedno z takich spotkań, zorganizowane w dniach 26—30 września zostali goście przez SPP zaproszonego do Lublina. Ze strony polskiej organizował to spotkanie Teatr NN pod wodzą p. Tomasa Pietrasiewicza. W 20-osobowej delegacji niemieckiej tylko niewielki zespół stanowił piisarze, a przewodniczył im prezes Erich Loest. W Lublinie właśnie miałam okazję pomóc go osobiście i przeprowadzić pierwsze rozmowy na

temat naszej współpracy. Erich Loest miał wówczas spotkanie autorskie w Muzeum Czochowicza, zaś na kolejnej imprezie wystąpił zaprzyjaźniony z młodymi poetami lubelskimi lipka bard, Dieter Kaika. Istny śpiewał swoje polne wyznawstwa.

Kolejne moje spotkanie z presem Loestem miało miejsce w Poznaniu, gdzie jako prezes Stowarzyszenia Piisarzy zostaliśmy zaproszeni na wózeć autorski otwierający warsztaty kulturalne pt. „Polacy i Niemcy — zbliżenie przez kulturę” (27 listopada 1994 r.). Warsztaty organizował Instytut Zachodni w Poznaniu i Instytut Gustava Stresemanna w Bonn. Następnego dnia rozpoczęły się dwudniowe obrady poświęcone następującym tematom:

1. Kultura po Proletaria a nowe sąsiedztwo.
2. Polska i niemiecka oferta kulturalna. Dokąd od konsumizmu?
3. Polsko-niemiecka wymiana kulturalna. Nowe doświadczenia lat 90.
4. Problemy i trudności polsko-niemieckiej wymiany kulturalnej po 1989. Doświadczenia inicjatyw lokalnych. Rola środków masowego przekazu w nowych warunkach.

W warsztatach wzięli udział ataccé kulturalny ambasady Niemiec w Polsce p. Winfried Lipscher oraz naukowcy i dyrektorzy polskich i polsko-niemieckich Instytutów Kultury działających w poszczególnych miastach Niemiec (Berlin, Düsseldorf, Lipsk i Darmstadt), a także dyrektor Goethe-Institut w Warszawie p. Peter Seel, który wydatnie pomaga naszemu Stowarzyszeniu w organizowaniu spotkań i piisarzom niemieckim.

Medzy wrocławianym a lipotopulskim spotkaniem, w październiku, uczestniczyłem w kolejnej imprezie polsko-niemieckiej „Dialog 94” organizowanej corocznie w Szczecinie przez oddział szczeciński SPP i Klub 13 Muż. Oprócz spotkań autorskich, w których wzięli udział młodzi poeci niemiecy z Berlina oraz kilka piisarzy polskich (Bolesław Faz, Erwin Kruk, Leszek Szaruga, Jerzy Pacholowski) miało miejsce Segm. Szczeciński Kultury. Wystąpiła na nim przedstawicielka niemieckiego Ministerstwa Kultury z Poczdamu p. Karla Hoff. Efektom tego spotkania z p. Hoff na scenik był list p. Leonharda Kosubka, preesa „Kuratorium” (Stowarzyszenie Kulturalne Miejszozól Niemieckich za Granicą), zajmującego się organizowaniem literackich spotkań we Wschodniej Europie. Niestety, nie zdążyliśmy jeszcze odpowiedzieć na te propozycje współdziałania z kolejną instytucją. Nie ma ona chyba wiele wspólnego z „planem Loesta”, rozszerza jednak pole współpracy polsko-niemieckiej.

Jak widać, działalność organizacji niemieckich mających na celu rozszerzenie kontaktów z Polską jest widowerszerowa. Z łatwością możemy stwierdzić, że Zarząd Główny SPP nie jest w stanie sprostać tym wielokrotnym propozycjom, zgłaszanym przez stronę niemiecką. Nie tylko ze względów finansowych, ale i organizacyjnych.

Tym bardziej cennieć sobie prace poszczególnych środowisk piisarskich poza Warszawą — takie ośrodki jak Gdańsk, Poznań, Wrocław, Szczecin, Katowice, Olsztyn, a wiece polubne w zachodniej części Polski, od dawna mają żywe kontakty z poszczególnymi miastami i piisarzami niemieckimi. Szczególnie rolę odegrała tu Lublin. Dla tego miasta problem pogranicza aż również bardziej istotne. Od pewnego czasu środowisko lubelskie nawiązało bliższe kontakty również z Niemcami. Z wielkim zaangażowaniem wchodzi się w „plan Loesta” redakcja „Akcentu”, która w minionych latach (już od 1987 r.) przygotowała kilka „monograficznych” tomów swojej kwartalnika pt. *Na pograniczu narodów i kultur*, gdzie uwzględniono również problemy pogranicza zachodniego.

Najbliższym i największym przedsięwzięciem, jakie organizuje Niemieckie Stowarzyszenie (Deutsche Gesellschaft) przy współpracy Dużo-Polnischen Literaturbüro Oderberg e.V., Bund de Fördervereine für zeitgenössische Literatur i Ostdeutscher Rundfunk Brandenburg jest tzw. *Potenztampfer*, czyli ryś wzdłuż Odry i Nysy „Polsko-niemieckim statkiem literackim”. Cisę spotkań tej imprezy — „Statki literackie” nazywa się „Schiffe”. *Od 18 do 28 września będą poruszały się po Odrze, z granicy braku między Polską i Niemcami, na trasie: Frankfurt am Main — Szczecin — wycieczka po Warcie do Gorzowa.*

Na statku znajdują się kabiny z 22 miejscami oraz salon i duży okrągły stół, przy którym piisarzy niemieccy poci i panowie i panowie będą prowadzić rozmowy z osobistościami z obu krajów. W tych rozmowach będą poruszane tematy dotyczące kultury, polityki, ekologii, podległości, gospodarki, turystyki, mniejszości narodowych, itp. Jako

głoście udział w tych rozmowach węgry historycy, filozofy, tłumacze, publicyści, wydawcy, reżyserzy i inni.

„Darek literacki” będzie carnival w wybranych miejscowościach po wachodniej i zachodniej stronie rzeki. Pisarze będą witani na nabrzeżu przez przedstawicieli miast i wsi. W domach kultury i bibliotekach będą odbywały się odczyty. Odczyty, prezentacje i rozmowy będą prowadzone w języku polskim i niemieckim.

• Organizatorzy pokani w nagłówek tak układają program, aby oprócz literatury mogły zaprezentować się również inne rodzaje sztuki (...)

• Polscy i niemieccy pisarze będą zatem *znowu* mieć okazję nie tylko do bliźszego zapoznania się z twórczością sąsiadów, ale także do swobodniejszego przyjeleńskich kontaktów, a o to przecież głównie chodzi we wszystkich naszych spekulacjach.

wrzesień 1985

— *Wojciech Młynarski, „Książki”, Warszawa, 1985*

— *Wojciech Młynarski, „Książki”, Warszawa, 1985*

Ludmila Marjańska

W ostatni miesiąc „Książki” przyniosła nam kilka ciekawych i interesujących tytułów. Do najciekawszych należą powieści i opowiadania z „Złoty” i „Brama na Starym Mieście”. W „Złoty” mamy do czynienia z historią, która jest bardzo ciekawą i interesującą. W „Brama na Starym Mieście” mamy do czynienia z historią, która jest bardzo ciekawą i interesującą. W „Złoty” mamy do czynienia z historią, która jest bardzo ciekawą i interesującą. W „Brama na Starym Mieście” mamy do czynienia z historią, która jest bardzo ciekawą i interesującą.

W poprzednim numerze m.in.

Andrzej Czyżewski: **Marek Hlasko z bliska** • Maciej Męlecki: **wiersze** • Amy Tan: **Kłęb szczęścia** (fragm.) • Jacek Łukasiiewicz: **„Brama na Starym Mieście” — kłęb realizmu** • Marek Kusiba: **wiersze** • Jan Mistiuk: **Czarownice** • Jan Witani: **„W ramięch milujących wioziny...”** • **O lirycznym Mariusz Czuchra** • Bartłomiej Blaskiewicz: **wiersze** • Dariusz Bitner: **Z tchnięcia pamiętnika pisanego pod wiatr, czyli jak się pisać** • Andrzej Ogrodowczyk: **wiersze** • Sławomir Żurek: **Żydowska śmierć — żydowska życie** • Andrzej Sławomir Kowalski: **Metamorfoza** (opowiadanie) • John Guzdowski: **wiersze** • Dobrochna Dabert: **Język اپویتالیтары jako symptom zakłamywania się systemu** • Halina Cychol: **Lilith** • Tadeusz Piętro: **wiersze** • Mirosława Paroszyńska: **Labirynt** • Lechosław Lametski: **Zaczarowany świat Krystyny Rudzkiej-Przychodź** • Marek Kusiba: **Przeputnia do czytelnika, czyli reporter na emigracji** • Robert Lupieniak: **148 sek. dla NYU** • Dorota Gaj: **Czy wszystko było na sprzedaż?** • Christopher Garbowicz: **Przeżłotecz pod kadrem: dwie książki o Kielwskim** • Jerzy S. Wojciewiczki: **Wzręście generała Emila Przedzimirskiego-Krukowicza** • **Recenzje** • **Noty**

przekroje POECI , POECI...

ZOFIA KOLBUSZEWSKA

SŁOWO JAKO LIST

— *Światem* —

— *Głosem* —

— *Lubież* —

— *Uśmiech* —

— *Wody* —

— *Jęz* —

— *w* —

— *nie* —

(Emilia Dickstein, poet. Stanisław Baranowski)

Zatrząskując mnie w Prozie — / Tak jak — gdy byłam mała — / Zamknęłam w Komórce / Abym „nie siedziała” — ubolewa w jednym ze swoich wierszy Emily Dickinson (1830-1886), fascynująca swoją tajemniczością amerykańska poetka. Zżyje z własnego wyboru w odosobnieniu, porzucając się na swej przyjaźni i bliźniaki za pomocą dłuższych lub krótszych listów. Czasami, nie schodząc nawet ze swego pokoju na piętrze w posiadłość gości odwiedzających jej rodzinny dom, pooyła im arkuści z listem lub wierszem. „Listem do świata” była także jej poetka twórczości. Do świata, który, jak w innym wierszu poetka stwierdza słowami pełnymi łagodnej rezygnacji, „nigdy nie napisał do niej”. Nie drwi jednak fakt, że jej głos pozostał bez odpowiedzi. Za życia poetki opublikowano bowiem jedynie siedem wierszy. Rosną — 1775 wierszy w rękopisach — odkryto dopiero po jej śmierci w kufersku. Kompletnie wydanie wierszy Emily Dickinson ukazało się w 1955 roku.

Wybór korespondencji z przyjaciółmi i krewnymi, w tłumaczeniu Dariusza Piętrzyńskiej, wydany przez wydawnictwo „Znak” pod tytułem *List do świata* uwiadamia polskiego czytelnika, iż w pisanych prozą listach Emily Dickinson bez wątpienia nie „siedzi cicho”. I chociaż świadczą — szczególnie północnie z nich — o tym, że poetka oeniła sobie ciszę oraz skupienie, tym niemniej jej korespondencja była obfita i bardzo ożywiła. Wzrastające listy Dickinson nie doświadcują w wieloznaczności jej poety i — jak zausawa w przedmowie tłumacza — pokazują różne oblicza poetki, która dopisywała styl listu do intelektualnych możliwości adresata. Jednak od samego początku w korespondencji Dickinson pojawiają się owe charakterystyczne dla stylu jej wierszy aforyzmy, aluzje, cytaty i metafizyczna metafora, refleksja nad przetrzaniem, kruchością istnienia i zachwyt nad Naturą.

Tłumaczka, Danusia Piętrzyńska, dokonała bardzo trafnego wyboru tekstów ze wszystkich etapów życia poetki, umożliwiając polskiemu czytelnikowi śledzenie jej duchowego rozwoju. Początkowe listy, dłuższe od późniejszych, robią wrażenie nieco przegadanych. Porównując je można dostrzec ewolucję stylu poetki w kierunku coraz większej swobodności i rosnącą oszczędność środków wyrazu. Z pierwszych listów wynika się postać przedocześnie dojrzałej, nierytualnej i inteligentnej, ale i nieco promadrajnie pensjonariuski. Z przyjęciem korespondencji z przyjaciółkami o różnych problemach i w egualitarny sposób pisać o swoich uczuciach i życiu duchowym. W liście z 7 lutego 1845, do szkolnej koleżanki Abiah Root, pisze nieco wywołonym stylem na temat wykształcenia:

— *Panna* — nie wapij, że zapachuje z kogo chodzi, słuchaj swą edukację w przyszłym roku. Pośpiegnąć postać wążca to dzieło byćdzie miało mójdzie w [Nawiaz] Wtedy bydzie jej miała wszystko to, co my, bledzcy poddzicyzzy pichozta, próbujemy osiągnąć.

— Fotogramy Mikołajczyka stanowią zapis przypadku, ich ostatecznej postaci nie można bowiem przewidzieć. Światło kreśli swoje jasne rysy przypadkiem, przypominając trochę długie ślize lub czerwone wstęgi samochodów zabłąkane na nocnych pociągach, opalające Łuk Trzmielny, Kolumnę Zygmunta czy Most Westminsterki.

— Przypadek kryje się także w wierszach Skompińskiej. Jego bowiem wbiała poezja nazywa „posłańcem wieczności”, który bowiem cokolwiek jest wieczne, a „wieczność wymyślił jakiś pomysłnik”, to wstęram starych światów dogmatom pomyłka Platona, nie jest to żadne paradygmat, żadne prawo, ale żywotność chaosu. Przypadek u Skompińskiej pojawia się pod wieloma postaciami, jest cząstką jej sąma tajemnic, ich cisza — bytem negatywnym, brakiem, pustką, Skompińska, mieniąca Łodź, miasta lubującego się ognią w sececi, okrzela, opiera przypadek za pomocą zaprzeczeń, takich jak brak równowagi, brak symetrii. Bo symetria i równowaga są dotychczas tylko zakotwiczeniem efemerycznego bytu, są chwilowym narzucaniem na ulotną rzeczywistość siłki trwałych pojęć. Równowagę bardzo łatwo można zakłócić; podobnie z symetrią, krzywą równowagi, której istnieje zarodek od kaprysu przedmiotów.

— Ponieważ poezja wychodzi poza racjonalny system pojęć, narzucając rzeczom chwilową równowagę, w jej świecie nadbudowanym nad rzeczywistością postrzeganą oraz nad rzeczywistością logiczną, pojawia się świat trzeci, będący jak świat świetlistych pryzm Mikołajczyka rzeczywistością nieokreśloną, pozaracjonalną. By zacytować słowa samej poezji, które, choć dotyczą sztuki Mikołajczyka, jeszcze bardziej trafiają w istotę poezjowania Skompińskiej: *Świat ten nie wyznaje od nas rozważań, bowiem niezrozumiałe jest jego anatem (...). Tworzy się tu przestrzeń nielocowa, w której spotykają się nasze sprzeczne o niej wyobrażenia: to metafizyka sąplądzie z fizyką, tajemnica z rzeczywistością, skończoność z nieskończonością, przypadłość z wiecznością.*

— I rzeczywistość, sztuka Mikołajczyka jest współtęśnieniem takich sprzeczności: jest próbą (niepójną — jak sam przyznaje) uchwytenia momentu trwałego, bytuku w wyrobach trwałych, ale jednocześnie moment ten petyfikuje, zamienia w przedmiot, w artefakt, miszery istoty czegoś, co jest jedynie procesem, uśmiechaniem, co jest jedynie ruchem, materializuje coś, co jest niematerialne. Sprzeczności w poezji Skompińskiej są jeszcze bardziej widoczne: tu w wierszach pojawiają się obok siebie przekazanie i zachwy, niecierpliwość i strach (*Wspomnienie*), tu film jodocy i dzieli, starwala i uniezawia (*Rzeczywistość*), tu schowanie się wyciemieniem (*Bez powrotu*). — Autorka nie próbuje wykarzeć, że nie one tym samym, a raczej propozycje wyciemienie, w którym te dwie przeciwności nakładają się na siebie, istnieją symultanicznie, gdyż żadna z nich nie traci swojej samotułości, ale widzianna w pewnej perspektywie zaczyna istnieć zgodnie, symultanicznie ze swoim przeciwieństwem.

— Sztuka obowią artysty jest próbą uchwycenia tego, co z natury swej nieuchwytnie, ale realne; zapisanie obecności rzeczy ulotnych, bo należących do TERAZ, jak „byłby się by w świecie”, w jednym z wierszy Skompińskiej. Sztuka ta próbuje naprzeczyć, co nie ma ani nazwy, ani imienia, nadać formę cemuś, co jest bezkwalifik, bo niematerialne. Oboje dostrzegają, że cokolwiek istnieje, istnieje wraz ze swoim przeciwieństwem, że życie, istnienie, byt, podryte są niebytem, nicością, interesu, że światło jest tylko dręki ciemności. Stąd w poezji Skompińskiej obok wyszychniętych rzeź, ulic pełnych dzieci, pustych mównic.

— Oboje napięta rzeczywistość zewzajem. Mikołajczyki robi to na pół automatycznie, otwierając i zamykając migawkę aparatu fotograficznego; Skompińska sporządzając katalogi przedmiotów, skrupulatnie inwentarując nasze odziewności, postępuje podobnie jak obiektyw aparatu, tworzy zapis istnienia czegoś, co prowadzi nas do myśli o rzeczach nie istniejących, bo misyjnych, nie istniejących, bo będących brakiem. Skompińska jak postać z wiersza *Istnienie „mówi, metafizyka, mówi, mówi, istnieje”*. Wskazywano już na problematykę motuśniala wierszy Skompińskiej, pismo o tym samym poezji nad miejscem człowieka w rozważaniach o istnieniu. Wydaje się, że w sferach w sztuki Mikołajczyka poezja Skompińskiej ukazuje inne oblicze, zadając podstawowe, ontologiczne tym razem pytanie, co naprawdę jest.

Lucyna Skompińska, Antoni Mikołajczyk: *Przeci (Jasnopięta)*. Wyd. Miępska Biblioteka Publiczna, Legnica 1994, ss. 48, 49.

MARIAN JANUSZ KAWALOK

NAGLE POWROTY

Od kilku lat na rynku czytelników nowo ukazują się książki tych poetów, których debiuty prasowe przypadły na lata sześćdziesiąte i początek siedemdziesiątych. Są to zatem niezadko również Nowej Fali, Nowego Romantyzmu, grupy Tylicz i tym podobnych wólców zwyciężonych poetów. Jednakże w momencie startu okazywali się — z różnych powodów, jakie słowem — zbył „agregacjami” lub nie pasującymi literacko do tych grup. Ich wiersze nie trafiały więc do pierwszorzędnych almanachów poetycznych, nie znajdowały się na orbicie zainteresowań krytyków, nie eksploatowano ich nadmiernie w mass mediach.

Niektórzy z tych twórców, nie ustając w pracy nad własnym warszatem, czekali wciąż na swoją szansę. Dziś ich nowe zbiory wierszy, drugie, trzecie i następne, zaskakują niezadko krytycznością obratów poetycznych i zakresem stosowanych środków wyrazu. Czy zdarzają im się drobne krytyki, czy doceni publicystyka literacka? Czy zostają wyklamani na miarę swoich talentów? Słuchacze nadal w przedstawiaku historii literatury, temiki lokują w wydawczach części profesjonalistów, kierując się własnymi możliwościami finansowymi lub ewentualnymi sponsorami. Dlatego upominam się o snikwą analizę lokalnych miejscy wydawniczych. Właśnie za sprawą przedłużających impresów mogą dziś istnieć publicznie wartościowe pisanie.

Poruci takich autorów znajduję się również Pracei Kuszczyński, również pokolonia lingwistów i konstataców. Przez wiele lat dogrywał do osobowości poety, uczestnicząc luźno w różnych zjawiskach i przedsięwzięciach literackich. Ta obecność w kulturze pozwalała mu kształtować własny kanon wartościowania literatury oraz dochodzić do pełni samowiedomości twórczej.

Ostatnio opublikował — w ramach pomastkiej „Biblioteki ZLP” — trzeci i jak dotąd najlepszy zbiorek wierszy pt. *Jagiłło zwiłł*. Jawi się w nim Kuszczyński jako dojrzały moderator sytuacji historycznych. Kreśli on w swoich tekstach etymologiczno-psychologicznie wiarunek współczesnego Polaka, uwikłanego w różne dylematy natury moralnej i politycznej. Jego pisanieki aliter ego to osoba szczególnie uwrażliwiona na piękno i harmonię natury, muzykę i malarstwo. Dlatego antropomorfizuje on przyrodę, łagodnie ją ucłowiecza, utożsamia za noinka własnych, intymnych domów oraz sprawę zakaskujących refleksji metafizycznych. Taka projekcja materialii otwierania sprawa, iż wiersze zyskują elegancję, barokizującą formę.

*Wiatre zieleń czyta jak zdumienie
otwierając dzień...*

*... na tej łapie po której biegnie
głębokość [...]*

zatrzymał moje zdumienie

*Wiatr objawia przestrzeń
w której głębokości
i labiryntu...*

Zauważyć należy, że rach jakby element żywotności człowieka i nła sprawa przemian oraz światła i ciemność będące równowatnikami twórczości i rozpada do często pojawiają się w wierszach wielkopojemliki poety.

Kuszczyńskiego fascynuje również przestrzeń objawiana przez wiatr, zatem — znowu — rozumiana dynamicznie. W nie to každy z nas staje się ledwie „skrawkiem bojańki”, egzystującymi lekkiem, elementem wyobudowania z przyrody. Dlatego każda niemal chwila wreczania musi być okłupona koloni i samotnością.

*... Syrena karawki pogotowia
przenyca z ciepłeniem po ruchliwej ulicy
i niko
to nie obchodzi*

się na tym odwiecznym fundamencie. Naturalnie, nie chodzi tu — po Norwidowska mówiąc — o „śiękanę i marzka”; tam-tam-tam-tam-tam, nie o niewolnicze nadsłownictwo, lecz o twarde zauroczenie się w melodię narodową, by się ocalić przed chaosem obcego, niezrozumiałego a kuszącego. Trezeba być sobie wiernym — czyli wiernym głosowi, który zaś powołał do istnienia, marwał obłokiem znaczący czy większy fakt...

Ów postaw rytmu, doskonałe Kawale ze zmyślenia, choć tak bardzo porzywają i sąłtawo wewnętrznych, jak też z krajobrazów zapamiętanych — domowych, chlemskich, lubelskich, z profilotrowanych przez siła wyobraźni wrażeń, słów, zażybnych, przedsięwzięć. I tywa tak, że w polskich krajoznawstwa rzeczy domowych spoyka się polskie słowo z polskim rytmem sągłejbarń narodowym, wtedy spod pióra — gniego, antylekiego, wicznego... wywna się rzez piąka

*dzwonił gwizdy
połoty
ju krzy nadziei —
zamiel
i ryba psalna na stole
mity odwieczne znamie*

*wśród cedrów wstętku
piawka
brzośniona Panna stopa
w Niej bil
a nad nią jamość
i niebios srebrna laka*

*od miast zapach woska
z domąj otocz się spłano
a Pansie splywa do ról
cała bezdomność iwłata*

*dressze jak wieście i siemce
ku białej róży grocie
w blasku zwierzęcych źrenic
spobnie się sny porozce*

*i pocznie wpała Panna
Dziesięć Świata
Hosanna!*

Wierzę, iż te kolejki, jak przytoczona tu *Pastorałka noc*, zostaną w wicznzej kancyece polskiej poezji.

Ale co począć z barokowym zadurzeniem poety? Po pierwsze — nie leczy! Jeśli bowiem z owej ciężkiej przypadłości teoretyczno-histerycznej rodzą się od czasu do czasu takie wierze jak *Pastorałka 26* czy *Pastorałka noc*, to nich tam — niech się nawet wypta coś korce polskie, nie zasyją wznak tego, co prawdziwie znalezione i ofiarowane beztrosce i niecierpieniu ku wiczeniu wspaniałego czytelnika.

W swym *Ułaskawianiu baroku* Kawalko podsuwa czytelnikowi metodę — ja sądzę, że to metodologiczny wytych — lektry czynnej, lektry nieokoliczności (czy może ad absurdum). Dokonaje mianowicie preparacji wytychacyjnej (o ile można użyć w tym wypadku tego technicznego terminu) dla pokazania wielu możliwości artystycznego rozwinięcia wybranego do tych celów wiersza. Padło w tej pedagogice na wiersze Świata apokalypty. Wierzę, że wic — tu wyprawdzie autor pokazał tylko trzy — ale skutek jest jeden: unieważnienie wiersze! Z tej metodyki jest jednak nieszka, jeśli wiersz porwała się bezboleśnie przynaczać, przekształcać etc., to macka, że jeszcze nie jest godzin laski druku i powinien poleżeć. Owszem, to niełaż naka do wicząkości z naszą magiczną Reuty, czyli 0,00008% — jeśli wiersz daje się splepać, to — zaniem

się go podś do druku — należy go ujęrzyć, do momentu, gdy albo stanie się dojrzałym dziełem, albo kupką zużytego surowca.

Chwała Bogu, że Kawalko nie usteł jednak diabelskiej pokusie poddania zamemotrowanej na Światach apokalypty metodzie analizyirycznej wszystkich swoich wierszy, a szczególnie tych z nurtu pastorałkowego. Oczywiście wolno poczcie odwiecać na się planze krytyki; wolno teoretyzować; wolno politykować; wolno nawet wino w wodę przemieniać.

Mylę, że autor *Piana, pokręty i melicoi* może z własnej lekcy wyznać niełaż reguły: wierzę, rzeczywiście, powoła się lmać i oblamywać, ale jednak tylko do pewnych granic i w określonym stadium dojrzałości; po tym momencie — bardzo trudno do uchwycenia (myślę, że jedym z wyznaczników tej chwili mógłby być akt zmiany autorskiej prywatności wypowiedzi na jej upublicznienie; ogłoszenie, druk...) autorowi powinno należeć na trwałość swego dzieła, które nie powinno być poddawane publicznym próbom spójności. Niechże to porostanie obowiązkim krytyka.

Mariusz Iwan Kawalko: *Pian, pokręty i melicoi*. Wydawnictwo Książkowe TRS, Warszawa 1994, s. 78.

ZASADY

PRYZYNAWANIA NAGRODY IM. ARKADEGO FIEDLERA

1. Nagrodą jest „Barystowsy motyl” ufundowany i wykonany przez Zakład Julekski WOJCIECHA KRUKA oraz nagroda pieniężna w wysokości cztero-krotnego wyprzedzenia miesięcznego w gospodarce narodowej.
2. „Barystowsy motyl” będzie autorstwa Zakładu, o którym mowa w pkt. 1.
3. Nagrody wznacane będą w rocznicy śmierci pisarza, tj. 7 marca każdego roku, w Muzeum Arkaiego Fiedlera w Paszycyówku, począwszy od 1996 roku.
4. Organizację konkursu powierza się Bibliotecz Raczyńskich w Poznaniu. Na swoim piędziem postędnia jury dokona wyboru przewodniczącego oraz określi regulamin swego funkcjonowania.
5. Nagroda przyznawana będzie autorowi polakiemu niezależnie od miejsca zamieszkania.
6. Do nagrody należądować mogą książki beletryzyczne — powieści, opowiadania, reportaże, książki popularno-naukowe, albumy o tematyce podróźniczej i krajoznawczej. Nagrodzone może być tylko pierwsze wydanie książki.
7. Wniośki o przyznanie nagrody, w formie podania wraz z załączoną publikacją, mogą składać wydawcy i zainteresowani autorzy w terminie do dnia 31 grudnia każdego roku na adres Biblioteka Raczyńskich — Poznań, Plac Włocławski 19 z dopiskiem „Konkurs im. Arkaiego Fiedlera”.
8. Przesłane materiały nie podlegają zwrotowi.
9. Dyrektor Biblioteki Raczyńskich przekazuje Wojewodzie werdykt jury wraz z wnioskami o przyznanie nagrody.
10. Wrażenie nagrody dokonuje Wojewoda bądź inna osoba z Jego upoważnienia.
11. Rejestr nagrodzonych osób oraz dokumentacja związana z ich przyznaniem prowadzi Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu.

Dyrektor Biblioteki Raczyńskich
Janusz Dembski

Z RÓŻNYCH STRON

TADEUSZ SZKOLUT

FRANCISZEK WĘŻYK – POETA PRZYPOMNIANY

Kto dziś pamięta, kim był Franciszek Wężyk? *Dość jego nazwisko mówi nieco historykowi i polonistom, większość jednak — nie, lub prawie nie. A jednak, jego, osiągnięcia i analogi jego poety godne są przypomnienia! Po pierwsze dlatego, że w jego życiu odwołujemy kilka momentów symbolicznych, po drugie ze względu na walory jego twórczości literackiej* — twierdzi Barbara Czerwińsk-Jadziak, autorka książki *Francyszek Wężyk — poeta zapomniany*, która życie i twórczość tego pisarza ukazała jako ciekawą wypadkową ogólnej sytuacji historycznej i kulturalnej Polski i Europy w pierwszej połowie XIX wieku.

Franciszek Wężyk urodził się w roku 1785 w Witulinie na Podlasiu, zmarł w roku 1862 w Krakowie. Był pisarzem trzech epok: Królestwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego i lat międzywojennych (1831-1863). Reprezentował główne idee i ideale późnego polskiego Oświecenia szlacheckiego, które przeniósł do epoki romantyzmu. Miał swój okres świetności w literaturze — czas Księstwa, gdy wystąpił jako Trybun przewodzący w walce, był połem za stem Księstwa z powstania białego, członkiem przybranym Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, radką Konferencji Generalnej w roku 1812. Jego od „powtarzal cały kraj”, a tragedie ściślejszy trzymał na scenie narodowej. W okresie Królestwa także był popularnym autorem — głównie ze względu na pozycję poematu *Oskarżenie* i powieści historycznych, które zjednoczyły nam miano „barda Sarmatów”. Po powstaniu listopadowym zaś był twórcą przez wielką krytykowanym i w końcu jeszcze za życia zapomnianym. W roku 1856 został prezesem Królewskiego Towarzystwa Naukowego — instytucji o dużym znaczeniu dla ówczesnej kultury kulturalnego. Wtedy przyjął rolę kwestora, apolitycznej, apolitycznej w swoim sędzią dla tej znaczącej instytucji. Scharżowany, niemitujący starzec nie spodziewał, że stanie gmach na ulicy Sławkowskiej w Krakowie, służący dziś Polskiej Akademii Nauk.

Barbara Czerwińsk-Jadziak z prawdziwą pasją rekonstruuje biografie poety i prezentuje jego twórczość prześwietlając przez wieniec poety romantycznej, odmienną w cień przez historię. Autorka wykorzystuje relacje pamiętnikarstwa i dokumenty archiwów wrocławskich i krakowskich, bieżni ówczesnego czasopiśmi, analizuje i komentuje najbardziej singielny powieści i znaczące utwory poety. Przywołuje bogaty kontekst interpretacyjny, ukazuje i twórcę, i epokę, a czyni to z autentyzmem naczejem literackim, stylem potoczny i językiem przystępnym — wzbawiamy książkę popularnonaukową. Ułatwia to lekturę, a nie tylko temata. Lubelska polonistka udowadnia, że nie tylko wieszcy twórcy godni są zainteresowania badaczy, że ukazując twórczość pisarza drugorzędnego (dobrego, acz nie genialnego), można powiedzieć nie mniej o poecie niż prezentując wielkich poetów.

Rozdział pierwszy *W cieniu wschodzących światełek* ukazuje gładko rodzinie Wężyków (dwór w Witulinie otoczony wielkimi łąkami, spłaty we wrześniu 1939 roku), atmosferę domu rodzinnego przesyłaną poety, dzieciństwo i lata studiów późniejszego senatora-kasztela.

Rozdział drugi *W roli Trybuna* opowiada o barwnej epoce napoleońskiej, odwróconej od moralizacyjnej opiewającej ją, odwołującej się do gwiazdy Napoleona i polskich trybun, walczących o wolność ojczyzny. Władysław Wężyk — bratnek Franciszka, znany podróżnik i pisarz epoki romantyzmu, autor *Kroniki rozbójniczej* opiewającej m. in. dziesiątą przygodę Wężyków — pisal o trybun, że ten dał się wówczas pomać „jako zdolny szlachcił i poeta piszący ogniste ody do Napoleona — wybaczu Polakom”.

Nie do Napoleona, a do polskich żołnierzy przekraczających z Wielką Armia w roku 1812 Niemcy napisał Wężyk swój najbardziej wówczas popularny utwór: *Wiersz do*

wojka polskiego i okoliczności rozpoczętej wojny z Moskwą. Ma on swoje niepodzielne miejsce w całości kulturalnej, jaką stanowi polska poezja insurekcyjno-wolnościowa. Cechowała go beknosomowość, ostateczna determinacja, jedność „ja” lirycznego z narodem. Pisał tu Wężyk:

*Powstańcie szlacholno wje!
Powstań z bronią Polako cals
Jad błysły zgnane oręże,
Jad trąbę wojny zagrali.*

*Cyplił dotąd nie słyszycie,
Jad Pan niebois prowy wieś?
Dziś lub nigdy, śmierć lub życie,
Czwała lub śmierć zromat.*

Rozdział trzeci „*Ośmianów*” klarownie prezentuje stanowisko Wężyka wobec słynnego sporu klasyków i romantyków (nawiasem mówiąc, owe awantury spór będący nie tylko wyrazem pragnień w dziedzinie ideałów estetycznych, lecz odzwierciedlający również przeobrażenia postaw politycznych oraz wyobrażeń na temat istoty kultury narodowej został przez Barbarę Czerwińsk-Jadziak przedmiotowo przedstawił kompetentnie a zarazem klarownie). Generalnie rzecz biorąc, Wężyk był twórcą, który aprobował program sztuki klasycznej, natomiast jego stosunek do sztuki romantycznej mimo wyraźnej fascynacji poezją Mickiewicza zachowywał jent dystans. W roku 1828 Wężyk napisał wiersz, którego ostateczny tytuł utwór został przeniesł w brzmieniu *Do A.M. po wydaniu Wawliwca w Petersburgu i w czasie jego pobytu we Włozkach*, w którym odmił Mickiewiczowi jako poecie narodowemu. Naśladował też Mickiewicza w poemacie epiki *Jan* i powieci historycznej *Dzaska i Okazim*. „*Choć utwory nie były drukowane za życia autora, Komar został opublikowany po jego śmierci, a Darsko i Okazim*... do dziś poezją w archiwum Ossolińskich”.

W epoce Królestwa Kongresowego nastąpił dramatyczny proces malowania się wielkiego klasycyzmu porobiorczego, związany z rozmięśnieniem się klasyków z dążeniem wolnościowym narodu polskiego. W kręgu tej problematycznej sytuacji się rozdział *cztery Historii i herosów*. Pokolenie Wężyka to pokolenie szlacholterów — urodzonych w wolności, okrzysz w dzieciństwie, oswobodzonych w młodości i „poddanych obcej władzy w wieku dojrzałym”. W rozdziale czwartym autorka analizuje socjologiczne uwarunkowania popularności Wężyka przed rokiem 1830, ukazuje atmosferę patrystyczną Krakowa, odpowiada na pytanie, dlaczego Franciszek Wężyk — „bard Sarmatów” i „wieszcz nadwładzieli” a więc „wieszcz lokalny” — nie stał się w roku 1830 wieszczem narodowym. (Zakończony 12 września 2014 r.)

W rozdziale piątym zaś zarytowujemy Sokrates z *Misję* omawianych ostatnia półna twórczości i zmiernych życia Franciszka Wężyka — jednego z ostatnich reprezentantów pokolenia klasycystów postnapoleońskich, twócy, który przeżył zarówno wybitnych przedstawicieli własnej generacji, Kajetana Koźmiana (zm. w roku 1856), Franciszka Marawickiego (zm. w roku 1861), Ludwika Osińskiego (zm. w roku 1838), jak i wielkich romantycznych wieszczów: Adama Mickiewicza (zm. w roku 1855) Juliusza Słowackiego (zm. w roku 1849). Analizując utwory Wężyka z owego ostatniego okresu, autorka zwraca uwagę na znaczne stytnienie się światopoglądu poety, wyrażające się m. in. w patrystycznym szlacholckim, apolitycznym dawnych czasów i obywatel, i związane z tym niechęć do wszelkich innowacji, umiarkowanie religijne fundament życia społecznego. Postawa tradycjonalistyczna — pisze badaczka — wyznaczała także sposób myślenia o powołaniu literatury, wprowadzającej się do moralizacyjnej koncepcji literatury. Wszelkie nowolowosie językowe, wszelkie odstępstwa od moralizacyjnego modelu literatury kwalifikowane były przez Wężyka jako objaw upadku duchowego i wyraz „lekiego smutku”. Jako ciążawość odwołania do tradycji, i w literaturze potocznych Wężyka do Koźmiana odwołujemy *Wierszycę poręczy* *Cypriana Kamila Norwida, którego obywatel Manifestolnowy klasycyzmu stosował za twórcę, na równi z innymi ówczesnymi literatami, reprezentującego go „zły smak” młodziegę pisarzy epoki międzywojennolnowy; zwracając mu m. in. brak znajomości języka ojczystego.*

— Roparwa B. Czwóróg-Jadczak jest przykładem solidnej roboty polonistycznej. Autorka wnikliwie interpretuje poszczególne utwory Woliny, dokonuje ich wzbogaczonego zbioru krytycznoliterackiego, ze znanstwem wykorzystuje materiał archiwalny. A przy tym należy tylko sprawdzić, iż niekonwencjonalna tradycyjność prezentowanej pracy nie stanowi przeszkody w jej lekturze. Stąd też książkę labiryntu badacza można z pełnym przekonaniem polecić zarówno profesjonalnym historykom literatury, jak i szerokim kręgom odbiorców, albowiem w niebanalny sposób przybliża im nie tylko sylwetkę popularnego niezdyś a dzisiaj niedocenianego pisarza, lecz i opiekę nadawczą ważną w dziejach naszej kultury. Mięjmy nadzieję, iż dzięki studium B. Czwóróg-Jadczak Franciszek Wętek nie zostanie całkowicie zapomniany.

Beata Czwóróg-Jadczak, Franciszek Wętek — postacie zamykane Officy Wydawnictw Literackich „Zaprosze”, Lublin, 1994, s. 176.

JANUSZ TERMER

LITERATURA POLSKA WEDŁUG PIOTRA KUNCEWICZA

— To wielka księga — mówiąc ściśle, pięć obustronnych tomów — to prawdziwy fenomen wydawniczy, duże wydarzenie kulturalno-literackie. Zwłaszcza na ile obserwowanej obecnie nierzwi w zakresie opracowań krytycznoliterackich, monograficznych czy esejistycznych, dotyczących twórczości poszczególnych pisarzy, zagadnień teoretycznych czy problemów szczegółowych. Prace tego rodzaju z tradencją przebiegają si przez gęste siła wydawnicze i finansowe możliwości sponsorów, ale w dalszym ciągu najbardziej brak opieki całokształtu, w syntetycznym opisie dwudziesto-wiecznej, współczesnej literatury polskiej: podsumowania dorobku prozy, poezji i dramatu naszego kończącego się stulecia. I ot, w tym samym niespełna dwa lat otrzymujemy pięciotomową historię literatury polskiej XX w. (pisaną wprawdzie partię lat wcześniej, znaną opiekunów z publikacji w „Przeglądzie Językownictwa” i „Zaprosze Literackim”, długo nie mogącą znaleźć nie bojącego się ryzyka wydawcy).

Drugą niedopowiedzianką to fakt, że omawiane tu dzieło napisane zostało nie przez ogromny zespół specjalistów i sekcyjnych badaczy, a przez jedną osobę — krytyka literackiego Piotra Kuncewicza. Nawiasem mówiąc, jak widzę many sekcyjnych, kręcących nosami i wybrzydzących na „antycjonalistyczną” stronę Agnisi i nadziei, na jej schyłku wglądem rozmaitych polonistycznych „amantów”, na jej braku i niedostatkach (a zapewne są i takie).

— Nie dość jednak będzie słów pochwały dla autora, który podjął się zadania tego wymagającego ogromnego swiatła i pracy zadania. Nie dość też — co jeszcze ważniejsze — słów uznania za coś, co choć mocno wykontrowane, a co nadawało mu intelektualną niepodległość wobec koniunktury i fluktuacji politycznych, brakuje słękości wobec „obowiązujących” schematów i podziałów, febi i pretencji. Rzecz to w Polsce, nie od dzisiaj, rzadko spotykana, by krytyki i historycy literatury najnowszej postawiali swoje legitymujące polityczną „w szatyn” wyrażenia na pokoje literatury i potrafił zdobyć się na obywatelstwo w swym dialogu z reprezentantami poszczególnych (często odmiennych od jego własnych) racji czy opcji ideologiczno-politycznych. By zainicjował wo nie głównie zyciorysy i postawy, a dzieła i teksty. Jeśli przez pół wieka nie doczekaliśmy się podryczkowej, z prawdziwego zdarzenia sine ira et studio planety syntetyz dziejów literatury współczesnej, to chyba dlatego, by upolityczniona do monstrualnych rozmiarów polska krytyczność literatury nie dopuszczala — i nie dopuszcza wcale — nadal, mimo wszelkich zmian w ostatnim pięćdziesiąt — do istnienia i funkcjonowania tego typu postaw; obiektywizacji, dążących do stawiania na pierwszym planie wartości artystycznych i pomawiających literaturę... Jakże często krytyk miał, a ma nadal, związane ręk. Jakże często literaturę — i jej (lub b) był obiektywny czy koterę polityczną — nie mógł być ani obiektywny i krytyczny nadmiernie wobec „awacji”, których dorobek niebezpiecznie cenil (bo nie bardzo wypadalo lamat lojalność grupową), ani też, o drżno, wobec

„obcych” (bo czasem, np. w okresie „antycjonalizmu”) mogło wyglądać drzew na zwykły „doson”, a mogło też i mieć praktyczne skutki, jak choćby razak wkręcić czy zwinioneli). Ale też, trzeba powiedzieć jasno, że tak jak istniała kategoria partyjnych pisarzy-grafomanów (czy też oszczędnych w jej polubini), tak też istniała kategoria opozycyjnych pisarzy-grafomanów, również krytycznym „niekwalifikowanych”, jak tak grupa pierwsza, a często z racji wów opozycyjności schodzących za pisarzy wybitnych.

Agnisi i nadziei Kuncewicz, rzecz praktycznie wolna od tego typu sfilosofykacji i uprzedzeń politycznych, czy układów okolicznościowo-towarzyskich, należy do chwalebnych wyjątków. Wartość tego „złociękiego” przerwania się w wyudzianiu i pokójkie, ile współczesna literatura polska, mimo wszelkich różnic dzielących pisarzy, po pierwsze istniała (co nie da wyzwytać zastrzeżeń w stosunku do autorów, nie przedłużu się także oczywiście) i może się poszczycić niebagiennym dorobkiem, nie tylko w okresie międzywojennym, ale i po wojnie. A po drugie, je należą do niej utwory wybitnych pisarzy, niezależnie od tego, gdzie zdarzyło się im „przeżyłanie”, niekważ (w Kolobrzegu, w Warszawie czy w Londynie albo w Nowym Jorku) i o zdarzyło im się robić poza pisanie książek. Te należą do literatury polskiej zarówno książki Lechocha, jak i Iwaszkowicza, Miłkova i Putramenta, Brumnowskiego i Herberta, Kisielewskiego i Bratnego, Herlinga-Grudzińskiego i Zakrowskiego, Gombrowicza i Buczkowskiego, Romanowiczowej i Auderskiej, Gohnowska i Parskiego, Jędraka Mackiewicza i Andrzeja Kutniczewa, Białoszewskiego i Dronowskiego, Iredyńskiego i Kajzara, Grochowskiego i Brylla, Hlaski i Brychta, Marka Nowakowskiego i Samuela, Grynbęrga i Grynkowskiego, Myśliwieckiego i Radzińskiego, Andermana i Dziadoszy, Lomickiego i Laszczewskiego.

Stanowisko to nie prowadzi Kuncewicz, jak można by sądzić, do bezmiernego opisu i rezygnacji z wszelkich prób wartościowania i ocen. Przeciwnie, Piotr Kuncewicz, mimo iż z natury swej i krytycznego temperamentu jest najciężej człowiekiem łagodnym i szalenie „spokojliwym” mediatorem, nie zdradza bynajmniej na ogół odrębności literackie ziarne od plew grafomanii. Oszedł, przedmawia mu się pochylone i uzależniane, jak na swój kraj, troską i uwagą nad zjawiskami czasem drugo- i trzeciokrotnymi. Ale w kontekście całosci jego obserwacji dzieła jest to margines całkowicie dopuszczalny i często zachęcający rzeczyciele o kwestię gustu, a po wtóre — w kontekście postaw inkwizytorsko-katolickich oraz tendencji do niechędnego spoliczenia nazw krytyki literackiej — jest to zjawisko tylko porównywalne sympatycznie dla autora Agnisi i nadziei, co i w wielo sympatyczne dla czytelnika. A poza tym, nie pisze on tutaj wyłącznie swojej prywatnej historii literatury polskiej, jedynie z wielu osobistych ksiąg tego rodzaju (popularnych w wielu krajach, a których u nas przecież nie ma na sekurum), lecz próbuje — i to należy mu się wielkie uznanie — objąć zagisnem swego zainteresowania, ile nie całosć, to przynajmniej motłwie szeroki cępie dorobku piśmiennictwa literackiego w Polsce od 1918 roku do lat osiemdziesiątych.

Jakali jest zatem literatury polskiej według Piotra Kuncewicz? Jest — z czym się najbardziej zgadzamy — literaturą „zdarzenia” i „bycia w historii”. Jednocześnie niedocenianą (mimo to) znaną, jak we własnym kraju jak i na świecie. Najpierw dwa cytaty. Pierwszy z fragmentu autorskiego podsumowania dotyczącego znaczenia dorobku literatury międzywojennego dwudziestolecia: *Wtedy już, że wyrażał w większej mierze, niż nam zdawało, i polskiej tradycji literackiej, przede wszystkim z wykluczeniem modernizmu. Miał stanowisko z mało elementów metafizycznych i uniwersalnych w porównaniu z innymi literaturami światowymi i tradycją wiekową. Ale jest to literatura polska zbudowana i powierzonej ciężko i fałszywie ciężko nad samym krajem. Leci nawet wtedy, mada i literatury swego Rostrowskiego, Stanisłowskiego, Witkiewicza, Miłkiewicza, Kryszkowskiego, Liebera, Lemkina, Czechowica, Witlina czy Gombrowicza. Miał reformatorów i wirtuozów języka takich jak Tuwim, Przybylo, Peiper, Pasławskowa, Jankowiak i Miłkowi, czy w nagłownym przeciwieństwie Chyrowicza i Kadon-Bardziejewicza. Byli znakomici znawcy psychologii jak Nulowska, Kuncewiczowa, Breza, madażni stonawki i polemiki na temat Dąbrowskiego, Grynkowskiego, Strykowski, Kwaszowski, Szygalski i Kapłaniak i Kłapkaż jak Słomkowski i Nowaczyński. A przecież to czysto, bo spragnię dołbnych autorów było przecież grubo, grubo więcej. Najlepiej dowodem na to jest ten literatury było to, że gdy szlachnie odwołano jej w ciemno, to co miało rozwinąć? Należnie niebywało pięknosć, w ogóle nie chciało ruszyć ani w kierunku, to co, prawda, mieć wszelkie istneżne przerywane tradycji, ale tym razem efekty były wyjątkowo dramatyczne.*

I po latach przesyry trzeba było jeszcze napisać poprzedzającą notkę. Nie wystarczy już uśloś się wstawało. Szczęśliwie też, że nie udało się nawigacji do epoki – wczepić w rzeczywistość, dokonywać różniczek do porządkowania, kiedy ostatnio, mógł być brany pod uwagę, ale tylko przez przynajmniej dwóch literatów polski. I trzeba byłoby wskazać na literaturę powojenną, zwłaszcza, które by całkowicie nie miały precedensu w dwudziestolecie.

— I cytat drugi, dotyczący problemów periodyzacji poezji po 1956 roku: *Spore trudności sprawia problem klasyfikacji. Wyróżnia się nurt klasycystyczny, do się też wyodrębnić szkoła liryczności. Lecz na nie należy się tu tylko epizody. Podobnie jest z liryzmem, maturalizmem,awangardą, Antyklasyką – wszystko to mieszają się ze sobą, łączą, wchodzi w związki nielimitowane. Istnieje próba klasyfikacji, choćby Balcercana, ale przynajmniej, że w praktyce obowiązuje mało przydatne. Mówić więc nie bez przemyślenia można pokoleniowo powraca nieustraszenie, mimo że różnicę jakichkolwiek bywało w ogóle – jak między „Współczesnością” a „Hybrydami”. Za dala tych pokoleń, za często też rodzą być może cała to sformułowanie obciąża się z dalszej perspektywy nieprzezwidywa. Wzrost opisał nasmi zainteresowanych, trzeba wymienić „Współczesność” 1956, „Hybrydy” w 1960, „Nowa Fala” w 1968, „Antyklasyka” w 1973. Wskazywać należy, że w tym czasie bardzo wyprzedza. Na doświadczenia podziału klasycystycznego istnienie różnic empirycznych. (...) Tom trzeci „Agoni i nadziei” jest pierwszą i daleką od kompletności próbą szerokiego przeglądu. Mimo że od kilkadziesiąt lat interesuje nie poezję, nie społeczeństwo, że jest to dzielnica nak ogólnie hoga.*

— Za kluczem w tym krytycznym stanowisku autorkom Kuczwiczka wobec problemów, jakie wznajają się przed nią w „antyklasyce”, narzucającym przeszłości „próbę przeglądu”, uzasadnioną należałoby skłonić o potrzebie uwzględnienia ciągłości polskiej tradycji literackiej, konieczności dostrzeżenia i spełnienia wszystkich zjawisk i dokonań piśmiennych oraz ukłowania ich w jakiejś jednej pojeźni i spójnej dla poszczególnych zjawisk indywidualnych formule porządkującej (klasyfikującej), ale i macceniowo nojnej. I tu, w tej ostatniej sprawie, można by wejść w długie, nie kończące się spór z autorkami. Oczywiście trudno nie przyznać im idę ograniczenia całości dorobku piśmiennego, poszczególnych jego nurtów, kierunków, prądów, a dorobku literackiego poszczególnych pisarzy, poetów, prozaików, dramaturgów (czepiwo także i krytyków literackich). Lecz już sam problem klasyfikacji, jakie tu zostały przyjęte – według kryterium, które czasem tradycyjo-tematyczne, gatunkowe czy pokoleniowe kryterium – i zostały zastosowane dość kapryśnie oraz nie zawsze konsekwentnie bodźć mogą największe opory. Szczęśliwie w dwa ostatnich tomach Agoni i nadziei, tych dotyczących czasu sam najbliższych, gdzie podzielić mają się rozstrzygnięcia znaczenie tytułu i wyciemie porządkujące, a tworzące bywały, jak się najeze z bardzo prozaicznie przyczynę, po to aby ukłonić gdzieś tyłkami piśmiennych nie mieszających się we wczesniejszych podziałach, przyporządkowaniach i „klasyfikacjach”. Na przykład w tomie szwartym można ostrożnie zgodzić się na takie rozwiązania, jakie siona już w dwóch rozdziałach, jak np. *Słowicy z Krąd* i *Na emigracji. Przewrót literatury czy Przewrót Kolumba* – to jednak rozdział wyodrębniony *Masa i przerwany* (gdzie omawiany jest dorobek tak różnych autorów jak Jerzy Bohdan Rychliński, Stanisław Maria Salisński, Jan Papuga, Stanisław Fienarowa-Muskat, Ewa Szymańska, Leszek Korobek, Piotr Bodnarz, Leonid Teliga, Jerzy Persek, Wacław Korabiewicz czy Zbigniew Foliński) wydaje się, mówiąc delikatnie, nie do końca adekwatny wobec swej zawartości. W tomie piątym piątym można mieć zastrzeżenia także do nazwy rozdziału *Przewrót oporu marzeń, kryzys i dionizjusz*, bo nie ma tu żadnej kontinuitacji, a wprawdzie w tym toa na ślepe kryterium zabrakło wioda nazwisk, jak np. Wacław Sadkiewicz, Jan Pieniążczak czy Leszek Bugajski, a i wielu spośród tych, co są na niej też pewnie nie jest pięknie zachowywanych sposobem ich oszczędnej prezentacji. W tymże tomie jest też pięknie nazywający się, obszerny rozdział – *Długi zmierek dekady*, który trudno na dobrą sprawę pojąć, dlaczego znalazł się tu obok siebie inne pisarzy jak Janina Winczarska, Zysa Oryson, Janusz Kłobucki, Bogdan Zakrzewski, Tadeusz Zwargacha, Ryszard Fręlek, Jacek Kolbuszewski, Janusz Domański, Piotr Kyszyński, Bogdan, Lech Bojarski, Małgorzata Musierowicz czy Adam Janusz Bień! Najwyżej dykusyjny wywół zapewne wśród samych zainteresowanych i krytyków coznają pt. *Zbieralicy*, którzy swemu tytułowi, nawiązującemu z życia i dobrością ironii do nazwiska promotora nowej i młodej prozy – Henryka Berezę, redaktora „Ziemiaków”, zremnika Lew. rewolucji artystycznej w prozie polskiej (z wielkimi notabene opoznami wchodzącej

w twórczość) wielu czytelników, ale też i wielu krytyków różnych generacji), stal się w praktyce przeglądem dokonań prozatorskich młodego pokolenia debiutującego po 1975 roku, piśniarzy bardzo różnej rangi, tak jeśli chodzi o tematykę jak i poziom ich książki. I bardzo dobrze, bo im więcej przysyłałowych nazwisk i książek, tym lepiej dla całości obrazu, ale trzeba by było to jakiś rozdział, albo inaczej nazwać. Jest tu bowiem wielu autorów, których rozstrzygnięcie wywołano i wypracowano Henryk Berezę (np. Jan Drżdżiżon, Józef Łoftyński, Ryszard Schubert, Dorot Kirsz, Marek Stryk, Krystyna Sokołowska, Janusz Węgiele, Andrzej Łuczycyński czy Andrzej Turzaj), ale też jest i bardzo wielu, którzy z Berezę i Januszę i Januszę przez niego literaturę nie mają wcale, nie chcą wywołują, jak Marcin Wierucki, Andrzej Kotłowski, Anna Bojarska, Małgorzata Wacha, Michał Jagiełło, Anatol Ulanowicz, Ryszard Sugał, Jacek Nisianson, Henryk Lothamer, Helmut Kajzar, Andrzej Lematowski, Eustachy Rylski, Paweł Huelle i wielu innych, często już dobrze znanymi czytelnikom śledzącym twórczość przedstawicieli młodszych (dziś już raczej średnich) generacji piśmiennych.

— Ale wszystko to nie zmienia mojej generalnie pozytywnej opinii o „epikloskiej” Kuczwiczce, bo tak w gruncie rzeczy to przecież nie ma tutaj wcale żadnych autorskich przesłanek czy pretencji, by traktować „Agoni i nadziei” jako opracowanie podręcznikowe, jako akademicki wykład dziełach XX-wiecznej literatury polskiej. Wkladał natomiast autor wiele wytku w to, by była to księga nie tyle do studiowania, co przede wszystkim do czytania! I tu mu się rzeczywiście udało. Pochąbaje się bowiem nie suchym i szkolarskim językiem polonistycznego wykładowca, lecz jedynym i szczerym, obrazowym językiem estety i gwiazdarska, wystrymowanego swego przedmiotu, poruszającego się z równą swobodą pomiędzy tekstów olimpijskich i iżnaw, jak i tych mniej powszechnie znanych (choćby z owego niezapoczątego kręgu „morza i przymorza”). Językiem kogo, kto potrafi dokonać zgłębny i byskowity analizy, osobitym wspomnieniem, aluzją czy smaczynym cytatem – i nie po to, by się wykpić, lecz by dodać barwę i życia wlewu mającej przecież twórczość bohaterów opowieści o przygodach i awanturach” – zestawianych z losami literatury polskiej w wyjątkowo burzliwym dla niej stuleciu.

— I niech mi będzie wolno zadać tu jeszcze retoryczne pytanie: czy *Płoc Kuczwicz* nie jest już do polskiej krytyki literackiej tym, kim w piśniarstwo reportażowym był niedługoż autor *Karuki La Fontaine*'a – Melchior Watkowiak?

Płoc Kuczwicz: Agoni i nadziei. T. 1. Lwosławski podział 1931. m. 362. T. 2. Lwosławski podział 1936. m. 362. T. 3. Płoc podział 1936. m. 370. T. 4. Płoc podział 1936. m. 408. T. 5. Płoc podział 1936. m. 366. Polska Oficyna Wydawnicza „GRW” oraz Graf-Pakt, Warszawa 1993-94.

ANTONI BEDNAREK

LITERATURA I PRZEPOWIADANIE

Konkluzja współczesnego kaznodziejstwa jest równie złożona jak interesująca. Bośi poświęconych jej stron i swąg bywa jednak wciąż za mało. Ważne są zwłaszcza próby dostrzeżenia w niej sznaku słowa. Od kiedy wywona księżka wywołuje się z retorycznej orszki, opiewa jej historycy literatury, a jej zaufanie do języka potocznego nadmierne wzrosło – opinie teoretyków i praktyków homiletyki stały się jakby mniej dyktawkowe. Korozja pewnych konwencji kaznodziejstwa spowodowała chyba sam zażewienie, zbytnią ostrożność inwencji, czy też po prostu zabrakło nikielny kontekstu kulturowego. Środki wyrazu zawodziły tu często swoje pojęcie. Dlatego tak ważną staje się narę odwieki, kiedy w kontekstach z literaturą wiele korzyści dla powstawania nowych jakości w tradycyjnym rozumieniu kaznodziejstwa. Oczywiście chodzi przede wszystkim o skuteczność i jej z wspaniałym udomakowanie, ale nie do zbagatelizowania jest odpowiedzialność kłosa jako jednego z depozytariuszy narodowego skarbu – języka i zbiorowej wyobraźni.

Z pągnienia literatury i przepowiadania taki tytuł zoi książka dobrze pomysłana i ciekawie napisana przez ks. Wiesława Wilka – wioleńtonego wykładowcę literatury

w seminarium duchowym w Sandomeiru. Porządkuje do dotychczasową wiedzę na ten temat relację literatury i kaznodziejstwa. Czyżli to właśnie w wieloletnim życiu, co mniemam jest już w swoim spójnym złączeniu i korzeniach z literaturą jako tworzywa homilistycznego, kaznodziejstwo nie powiłał irakowski? Czy tylko jako słobazny przykład. Trzeba podchodzić do różnych wypowiedzi literackich (prace wykładów do tych o dajmy formacje artystycznym) jako do zapisu prawdy metafizycznej, czy wręcz religijnej (s. 5). I na tej samej stronie: *Życiem literatury literatury można wyrazić to, co niewyraźnie. Myśl to przedmiot! Warto ją stałe podtrzymywać w kręgu zainteresowań, ją spowolnić, podjąć obywatelski, metafizyczny. Bez niej nie odnajdzie się właściwej motywy, nie zrozumie potrzeby i znaczenia życia.*

Książkę otwiera szkic historyczny, sumujący dzieje polskiego kaznodziejstwa, także jego powinowactwa z literaturą. Kilka miejsc mogłoby spowodować ciekawą dyskusję. Chodzi o przykład o przekazanie, które jest zbyt zastępowane w świadomości czytelników: *I tak, gdy literatura polska wiela obwiniona może pozostać się autorytetem, oszczędzając, pominąć kaznodziejstwo zaradne racjonalizm i naturalizm, wraz ze skłoniami i. Rzeczywistość zjedniła na siebie, tworząc torstwu i jolowej retoryki.* (s. 15). Chyba jednak od dawna nie rozwidano tego sądu. Myślę, że kaznodziejstwo tego okresu wymaga nowego, gruntownego oglądu. Nierzadko zajmujące też może być wnioskujące w rozmaitej formie okresów późniejszych, zwłaszcza wieku XIX. Należałoby zaprzeczyć tezie Kryżanowskiego, tyjei ogólnikowej, co balustrady, jest ówczesna twórczość kaznodziejstwa nie przekracza granic pilnowałości zawodowej i nie odzła się na literaturę (także Kazanin w: *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*). A jednak, choćby te dwa marty — z których jeden ks. Wiik (na s. 17) łączę z nazwiskami Antoniewicza, Frunowicza i Teodorowicza („główny retoryki i podnieśno uczucia”), a drugi m.in. ze Zmarzyńskimi („emocjonalnego wyściska i społecznego politycznego wykładu”) — są w literatury solennie uwikłane. Właściwie rozpoznanie tego spawika może spowodować, że linie podziału przynajmniej będą inncze. Wznowca to Prasinowski i Teodorowicz dają się polczyć z Semenką i Jolowiczem, ich wspólność bowiem stanowił będzie tradycja romantyczna.

Rozważania na temat związku przepowiadania z literaturą, z natury rzeczy muszą być wyprzedzone w miarę przyszyją i przekonywająco odpowiedziami na pytanie o najwłaściwszy sens tego połączenia. A już staje się to potrzebą konieczną, gdy zjawisko zaczyna interesować debaty. Wiele pomoco może okazać się wtedy naukowe prześwietlenie ks. Wilka. Lektura rozdziału *Literatura piękna jako tworzywo kaznodziejstwa* podsuwa taką interpretację: literatura zapewnia kaznodziejstwo określony styl wyobraźni. Można by powiedzieć jeszcze — odwołując się do analogii mazychnych — że utawia jej głos. Wyposada ją bowiem w ten rodzaj wrażliwości, który rozszerza skądś możliwości interpretacyjnych człowieka mówiącego. Rozczwilioteli wtedy nie tylko służy zbierania głosowych do przylotu i ilustracji, ale przeciwnie: wybrębiana odnawia swoją słowność. Trudnie więc autor konstatuje: *[...] obedi o to, aby ty uchwycony rzeczywistotki, przedstawionu światem filii literackiej, z jej zasadami i tematu, działaniamu oraz zaobem znaczeń i odmian, skonfrontacji i ocenii w świetle doświadczenia życiowego, nadej wiodły i pomyślnie] i, i w związkiem zakowiczenia ich w *Słowie Bozym i doktrynie Kościoła. Z tego spoikania z dziełem smaki kaznodziejstwa wychodzi wyobrazony* (s. 37).*

Długotą tak ważną jest romantyczny światło kreowanych przez literaturę. Biecnie są zwłaszcza te, e ekstermy identyfikacji się szukający „sperzymierzeniec w niepokoi” (T. Merton, Cz. Miłost, *Litry*, Kraków 1991, s. 105—106) i, dla których całkowicie negacja jest dramatem, a także wyrażają poczucie tragizmu odwołując do: Autor zebrał wiele tytułów, doskonale systematyzował i oprzyty właściwym komentarzem.

Obiektem przemalowej uwagi może być również język współczesnego przepowiadania. Zagadnienia związane z jego kształtem winny być ustawicznie rozstrzygane (nie tylko przez homilistykę). Mają bowiem rodząy kontekst kulturowy. Pośród motywów do dyskusji i przemyśleń preferowałbym ten, którego patronowałyby następujące słowa: *Należy pamiętać, by wnikając żargonu teologicznego nie sier mowicem wyrażania nowoczesności, utrzymując w nadmiarze języka demagogicznego, technicznego, o w kontekście głoszących treść. Brzmieniały niezmierzona, a nawet retoryki i prowadziliby do utraty poczucia sakralności i wiary. Kompozycja i język*

współczesnego kazania, s. 57). W chwili obecnego bowiem intensywni świadkami bezradności w wyborze straty językowej. Kaznodziejstwo w pewnym momencie zostało całkowicie oderwane od kanonu podmiotowości. Ciepłotą z własnej winy, po prostu z nadwyżkami niepełny tego tonu wypowiedzi. Pajawła się więc totalna — także są prawa odrażająca — skłonność do skrajnej naturalności, która może być rozumiana jako kompetentne (teologiczne) objawienie lub (dla innego adstratu), „uczynienie” wypowiedzi, odwołującej się do języka potocznego. Tymczasem zagrożenie z tej strony jest bardzo realne: banalizację krutych uwolnień, sztamowania, a także żargonu naukowego i publicystycznego powierzchowności. I w tym miejscu, mimo minuty wrócić do literatury. Obyczy z nią w znacznej mierze wzbogaca — sprężbiący to taki określić — odwołność słowa przekazu. Człowiek w naturally spójno oczekuje wzmocnienia tam, gdzie ono ma pierwszeństwo. Okres powojenny przyniósł degradację i wyłączenie z tego niewłaściwe wnioski, zapominając, że istota rzeczy tkwi we właściwych propozycjach, a nie zaniżaniu. Szuka patosu stały trudna. Ks. Wiik w dołączonym do książki wierszu własnych tekstów homilistycznych, ale również, i, że można się z powodzeniem posługiwać tym delikatnym instrumentem.

Podczas lektury książki warto zatrzymać się nad adaniem, które zwraca uwagę na rzecz bardzo ważną: *Dojrzałe dzieło literackie [...] aplikuje do wybrani, uczucia i woli rozważa wrażliwość etyczną i kształtuje postawę moralną. Spiewa też funkcje quasi religijne, otwiera ka transcendencji, niepokoi, budzi awanie, szczeniwa wstrząsnąć (rozdział pt. *Demagogia: wyściska literatury pięknej*, s. 93). Tak więc, jeśli założymy, że kaznodziejstwo jest przedmiotem, ale i poleźnikiem po różnych drogach doświadczenia religijnego, pamiętajmy, że literatura jest jedną z nich i dysponuje ogromnym zasobem wartości bezcennych.*

Ks. Wiesław Wilk, *Z zagadnień literatury i przepowiadania. Księga iedna. Wydawnictwo Dobrego, Sandomeir 1991, w. 192.*

HERMENEUTYKA PERSONALISTYCZNA

Najnowsza książka profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, ksiądz Czesław Stanisław Bartnika, jest swego rodzaju wydarzeniem naukowym. Jest to pierwsza w Polsce praca stworzenia kompendium wiedzy z zakresu tej dziedzin filologii i teologii, która jest nie tylko dyscypliną naukową, ale też jedną z najważniejszych samostanowienia dla współczesnego człowieka odnawiającego się myśleniem historycznym. Hermeneutyka oprócz tego, że jest filozofią interpretacji, stała się również sztuką rozumienia. Dzieło Bartnika uzupełnia w tym względzie istotny brak na polskim rynku wydawniczym. W zamiarze autora praca ta ma stanowić kompletną historię hermeneutyki filozoficznej i teologicznej. Nie rosztu tu pominięty żaden autor i żadna „odmiana” historyczna hermeneutyki. Autor przyniema przykład hermeneutyki, które nieistoty posłuży w zapomnienie, a które odgrały znaczną rolę w poszerzeniu przestrzeni myśli humanistycznej i metod rozumienia, choćby dla przykładu hermeneutyka hebrajska, patrytyczna i średnio-wieczna. Uwypakują jest wkład myśli chrześcijańskiej w sprawę hermeneutyki.

Omnawiana praca jest już sprawnie dwudziestą piątą w dorobku naukowym i pisarskim Bartnika, ale dopiero w niej po raz pierwszy rozwinięto na tak obszerne i kompleksowo zagadnienie metody i swojej koncepcji personalistycznej. W swojej pracy doktorskiej, obronionej w Rzymie w 1993 r. i poświęconej właśnie zagadnieniu hermeneutyki (Krzysztof Guzewski, *Ermenautica e eritologia in Czesław S. Bartnik*, Roma 1993) świadomicznie linie hermeneutyki Bartnika, które były bardzo wyraźne w jego artykułach, ale stało się rzeczą nieoczekiwaną, że sam Czesław Bartnika zechciał napisać o swoim wstąpieniu, o własnych założeniach hermeneutycznych, w kontekście hermeneutyki już istniejących. Autora nie zadowolono posługiwanie się metodami innych kierunków, od lat konsekwentnie tworzy własny system, do czego przynajmniej

Rozdział czwarty traktujący o historii i hermeneutice dokładniej wyjaśnia związek tych dwóch systemów hermeneutyki i personalizmu. Po pierwsze hermetyka współczesna zawiadza swój rozwój odkrywcio historycznego charakteru myśli, idei i rozumienia. Starożytności Środkowiec charakteryzowały się abstrakcyjnym modelem poznania i myślenia. Uważano, że nie da się poznać tego co historyczne, zmienne. Personalizm podkłada historyczność osoby ludzkiej, jej rozwój, egzystencję, dynamikę bytowania i poznania. Podstawowe zróżniczenie historii nie daje *(de Geschiche)* oraz za historię jako naukę o faktach empirycznych *(de Historie)* porwała Bartkowiśko różnicę do względu metodologicznych stron przedmiotową historii od jej strony podmiotowej. Wzrostę jego personalizm z założenia ma prowadzić do ujednostalcenia, scalania różnych aspektów rzeczywistości. Dlatego nie chce, żeby historia przyspawać wyłącznie stron podmiotową, czyli traktować ją jako naukę uniwersytecką (s.208). Autor nie utożsamia historyczności z wydarzeniowością (następowanie po sobie faktów), lecz historyczność według niego oznacza że rzeczywistość *stworzona podobać* *zmianom czasu i przestrzeni, objętościom czasu* *stworzonej przez człowieka, jego czynności i cały jego świat podmiotowy* (s.209). Na historyczność składają się trzy czynniki: przestrzenność, czasowość i personalność (por. K. Guzuowski, op.cit., s.238). Powody łączenia przez Bartkowiśko personalizmu z hermetyką są dość proste: osoba ludzka jest historyczna i „objawia się” w historii, z drugiej strony nie istnieje historia bez osoby ludzkiej (poza osobę istnieje tylko przyroda). W efekcie historia jest hermetyką człowieka (wyjaśnia jego istnienie), a antropologia jest hermetyką historii (s.212).

Werytatywność hermeneutyka, która jest tematem rozdziału piętego podnosi kwestie możliwości dotarcia do prawdy oraz obiektywności prawdy w historycznej perspektywie ludzkiego poznania. Bartkowiśko dowodzi że stworzenia systemu zupełnego, nie zatrzymuje się na opisach analitycznych. Jest to największy walec jego hermetyki. Powstało pytanie o hermetyki, które nie były doprowadzone do końca własnie z powodu nieuregulowania kwestii, czy można dojść do prawdy obiektywnej przy zastosowaniu narzędzi poznawczych zalecanych przez daną hermetykę. Bez normatywnego wymiaru hermetyka personalistyczna byłaby jeszcze jedną interesującą hipotezą. Lubelski filozof, omawiając krytyczne rólne podjęcia kierunków dawnych i współczesnych do podmiotowości i języka, proponuje ujęcie syntetyczne, w świetle którego hermetyka opiera się na języku, ale ten język jest z jednej strony naukowy i obiektywny rzeczywistości, a z drugiej strony – podmiotowy i subiektywny (s.244).

Dla zdefiniowania werytatywności (prawdowości) poznania hermeneutycznego Bartkowiśko wyzuka wartości poznania propozycyjnego (proponując – osoba), którego nie można rozumieć ani jako subiektywny, ani jako irracjonalny. Jest to rodzaj poznania ma być przeciwny dla opinii niektórych hermetyków, którzy warte poznania przypisują jedynie językowi. Musimy oddać słusność twierdzenia autora, bo sam doświadczyliśmy, iż rozum hermeneutyczny dociera do bytu, istoty, sensu. Widąc to szczególnie w obrębie hermeneutyki chrześcijańskiej, która dociera nie tylko do słowa „Jezus”, ale do rozumienia Jego i siebie, naszego losu i przeznaczenia, naszej sytuacji analogicznej do Jego sytuacji. Semy i zrywności, symbole, tak samo do nas przemawiają, jak do ludzi tamtego czasu: ten sam problem człowieka, samotności, przyjaźni; tak samo doświadczyliśmy ograniczoność bytu i doskonałość zwycięstwo dawnych, tak samo kamień nasz, a woda gazu przegiętości. Ranozy, natura człowieka, prawa przyrody, dusza ludzka tworzą język uniwersalny, powołanie człowieka w „kole hermeneutyka” nie można nigdy pominąć awersów, czyli pamięci, która nie zmieniła rozumienia aktualnie przeszłości. Prawda historyczna posiada jedno nierozerwalne, substancje, zmieniają się jedynie formy zewnętrzne (por. K. Guzuowski op.cit., s.226).

Czasław Bartkowiśko nie poprzestaje w swoich rozważaniach na analizie języka oraz opinii syntetycznych, lecz poddaje krytyce zastane semy, nijnymie stanowisko ontologiczne, które wykląda sens bytu, a nie sens zdania czy też zdanie w jego ujęciu. Według personalizmu rzeczywistość w pewnym momencie ucieleśnia się w języku, gdyż jest ujęta w relacji do osoby indywidualnej i społecznej (s.248). Tu dochodzi drogi do pojmowania prawdy, której rozumienia i funkcji nie można zrealizować „zgodności” intelektualnej czy racjonalnej. Jeśli działanie hermetyki wymagałoby mianem od osoby ludzkiej, nie do jakości jego „widzcy”, to koniecznie trzeba wyjść poza „fizyczny” proces przekazu (s.261). Prawda hermeneutyczna pozostaje zawsze wielkością

osobową i historyczną. Hermetyka personalistyczna pozbawia się kategorii prawdy i dociera do informacji werytatywnej, gdyż osoba ludzka nie poznaje dla zabawy, lecz dla odwołania sensu ontologicznego i osobowego, dla których nieograniczonej miłości (środkowiskiem) jest historia jako „personalizacja”.

Czasław Bartkowiśko pisząc swoją *Hermetykę* oparł własne rozważania na doświadczeniach podstawa systemowych. Od trzydziestu lat buduje swój własny system personalistyczny i chociaż zmieniały się jego poglądy, to w obecnym dziele wyraźnie opowiedział się za trzema liniami swojego systemu: za personalizmem realnym, relacyjnym, za personalistyczną koncepcją historii; za propozycyjnym modelem rozumienia, a tym samym za hermetyką typu personalistycznego. Należy oczekiwać, że nastąpię dalsze i personalistyczne, które już jak w druku, składe nam w pełnym świetle swoje system filozoficzny i teologiczny, którego założenia metodologiczne prezentuje nam obecna książka.

Czasław Stanisław Bartkowiśko, *Hermetyka personalistyczna*, KUL, Lublin 1984, ss. 340.

WALDEMAR MICHALSKI

WSPÓŁCZESNA PROZA ŁUŻYCKA

Nasi zachodni sąsiadzi Serbobotycyżanie – naród liczący dziś ok. sto tysięcy osób – zamieszkuje zwarta grupa etniczna Górna Łużyca, tj. m.in. okolic: Budziszyn (Bautzen), Kamienie (Kamenz) oraz Dobra Łużyca: Chociebuł (Cottbus). Nie dane im było wyszukać autonomii państwowej, mimo że wielokrotnie o to walczyli i zabiegali. M.in. w 1918 r. Serbobotycyżanie Kołczyli Narodowy na konferencji pokojowej w Paryżu benktuwiście wstosowali o utworzenie państwa łużyckiego, podobnie po 1945 r. władcy politycy tego świata, urządzący na nowo Europę po II wojnie światowej, nie byli skłonni brać pod uwagę interesy Łużyczan.

Zdaniem autora wysooty narodziłby istnienie – przetrwał zbrodnicze marzabogia Marzchi Wschodniej Serbobotycyżanie, któryi ogpłiem, zmienił i traciąc podług Łużyczan i w 963 r. oparł swój granicę na Odra, przetrwał i Hitlera, któryi postawił ostatecznie „ziakwosów problem” Łużyczan: wymordowanie inteligencji i przywódców duchowych narodu, zakazano używania języka łużyckiego, zmieszano wszystkie instytucje oświatowe i kulturalne, a młodych męczyżym wcielono do Wehrmachtu.

W bję Niemieckiej Republice Demokratycznej Łużycyżanie, jako nieograniczonej narodowa – uzyskali – zagwarantowania konstytucyjnie – autonomię kulturalną, swobodę podługowania się językiem ojczystym, możliwość tworzenia instytucji kulturalnych i oświatowych – odrzodziło się czwosimniotekowo, powstało zaliczono różnego stopnia, instytucje naukowe, teatr, wydawnictwo „Domownia”, zespoły pieśni i tańca – wyszuka finansowanie było z budżetu państwa, oczywiście ze stażem lojalności wobec nowej władzy i ustroju. Jak się wydaje, Łużycyżanie „autonodowa” szansę wykorzystali nie tracąc ani godności narodowej, ani poczucia smieru.

Niepodygląd kład Łużyczan przetrwał więc. Jego etosą był język narodowy. Ludzi rolników i rybaków zachował w swej pamięci i twórczości ludowej wiele legend, ballad, pieśni śpiewających czasach wspólnych z wojami. Bolesława Chrobrego wypraw stawiających skłaczony odpór niemieckiej ekspansji. Ta „Judsona pamięć” stała się inspiracją wielu tekstów literackich zarówno poetyckich jak i prozatorskich. Serce narodu łużyckiego w świecie jego poręży znakomicie przedstawił Witelmo Lewicki w obszernej *Antologii pieśni łużyckiej* (Wyd. „Śląsk”, Katowice 1960, ss. 363). Pierwszym z powojennym wyborem prozy łużyckiej była antologia pt. *Latowia. Współczesna nowela łużycka* (wybór Jani Kruszka, wstęp Bolesława Chrobrego. Wyd. „Śląsk” 1982, ss. 210). Wydawną została w serii „Dzieła Pisarzy Łużyckich” i prezentowała piętnastu autorów, zarówno startujących literacko w dwadziestolecie międzywojennym, jak i młodych, debiutujących już po II wojnie światowej. Ujęwiała czytelnikowi polskiemu wielu znakomych prozaików podejmujących odwołanie, w konwencji realizacyjnej, temat wojny i czasów podległości przeobrażać społecznych, które wraz z kolektywizacją wsi oraz rozwojem przemysłu i odkrywkowego

kopalnictwa nioty ze sobą dramatai kłódnictw ciałych wó hulekcyk i rozprezentaia ich mieszkaóów.

Dobrze się stało, że w dziesięciu latach od ukazania się *Laterni* opracowujemy kolejno po polsku zrealizowany wybór prozy Luzytan, autorów w części znanych już z poprzedniej antologii, ale też i nowych, najmłodszych, uwzględniając w ten sposób ich przedświadczenia i ukształtowanie. To i inicjatywa Aleksandra Noworockiego warszawskie wydawnictwo „IBS” opublikowało antologię pt. *Narzytów weselej drubey*. *Wypowiedzia proza lutycka*. Autorem wyboru tekstów i wstępu do książki jest Dietrich Scholze, utwory zaś tłumaczył z języków germanoalpejskich, dolnoalpejskich i niemieckiego Stanisław Marchiniak. O ile nie ma wątpliwości, że zamknięty manuala języka literatury D. Scholze dokonał reprezentacyjnego wyboru utworów, w tym zwłaszcza się pytanie czy przekład wszystkich zamieszczonych w antologii dowodził, że ten właśnie sensuista autorów dokonany przez jednego tłumacza był najlepszym rozwiązaniem problemu translacji. Teksty w swojej konwencji językowej, wyrazite artystycznie, stały się do siebie wyjątkowo podobne, zanikł — jak się wydaje — indywidualny kolorysty językowy poszczególnych autorów. Nie zmienia to faktu, że tłumaczenia Stanisława Marchiniaka są dokonane wybora polszczyzną, czyta się je z zaskoczeniem.

Antologia *Narzytów weselej drubey* zawiera naprawdę teksty prode wyjątkim irodynego i najpóźniejszego pokolenia lutyckich prozatorów. Otwiera ją trybowne opowiadanie seniora literackiego irodowca Jurja Brzana, prezentowanego niegdyś także na łamach „Akcentu”. Rzecz: jest to naszytnik nie zawsze przynoszonym szacunku, ale z pokolenia na pokolenia przetrzymującym ciał pamiętka i symbol rodzimych dziejów. Brzian posiadał wyjątkową umiejętność prowadzenia gawdy „o dziesiętych łodziach i dawnych cianach”.

Wyjątek mała ojczyzna, Ludyce, uczynił najczerniej literackiej wykładai uniwersyteckiej wartości i kształtowaniu się ludzkich charakterów. Bohater prozy Brzana — jak to już zauważył Bolesław Labow — wstępuje do *Laterni* — wywodzi się najczepiej z „ziemi”, próbuje przebić się do lepszego „miejskiego świata. Jest pełen kompleksów, wymienionych ze irodowictwa swojej klasy, „obdarzony garbem lutyckim”, niepewności i dążą wrażliwością.

Autorów irodynego pokolenia reprezentują w *Narzytów weselej drubey*: Mariá Mlynkova, Jurj Krauzin, Jan Wornar, Jurj Koch, Kreszjan Kravac, Kito Lorenc oraz Ingred Naglowa.

To głównie dzięki ich aktywności literackiej publiczność lutyckiej prozy niotyću zdomyłowała dokonania prozatorów. Proza objawiała i rozruchanoła to główne nioty ich twórczości. Pozostają one w ścisłym związku z sytuacją społeczną i narodową Luzytan. Tu pisarz jest jeszcze sumieniem narodu. Władnie w prozie Krauzin (*Wypu pod narow*, „Moje raze”) formułowany został program bajkowej wyobudby, *zrazie brawot kadziej przedzieln ciału, ażeby się nie dostała w obce raze, bo w krachu wypu maści się brawot przed zarłocznymi falami... Rola daje ciału rodzine, a na rodzine opiera się narodowość* (s. 55).

Jurj Koch swoich młodszych bohaterów pokazuje w ciągłej rozbadowywaniu o nowe wątki narracji. Zżyja oni aktywnie, z pasją „kochać i nieznawidzić”, myśla bardziej o *roświeleńczej* przyszłości, młodzi też w historycznych faktach i zobowiązaniach. Nie mazy to wcale, że oceniają się o narodowych korzeni, ale nie chcą być w „alokwistycznym skłanieniu”. Studują w Lipku, Berlinie czy Pradze — stamtąd wspominają w szczególności chwilał Budzistyn, Niewszczydo, Kamienie.

Bohaterowie opowieści Lorenc, ale także i Krauzin (zakończone opowiadanie z parobka o zorganizowaniu przez władze miasta miszaniec gódy) wydają się mieć głęboko zakorzenione w swojej świadomości poczucie krzywdy i niesprawiedliw.

Asymilacja jest dziś jednym z najbardziej proznych gwałtów niszczenia i opanowania narodu Luzytan. Zdają sobie doskonale z tego sprawę także najmłodsze pisarze lutyckie. Do nich należy prezentowany w antologii *Narzytów weselej drubey* Bono Budar, Angela Stachowa, Benedikt Dytlich, Róza Domakowa, Hync Rychar, Ingred Hasistejo, Jewa-Mariá Cornacke i Peter Jenjka.

Piszą z równym powodzeniem w języku lutyckim jak i niemieckim. Uczestniczą w życiu społecznym Niemiec, np. Stachowa w 1990 wybrana została posłanką do Bundestagu, a w tym samym roku Dytlich został posłem do Sejmu Saksonii. Jest także członkiem Związku Pisarzy Niemieckich, wraz z Erichem Loestem — prezesem tego Związku — odwiedził w wrześniu 1994 r. m.in. Lublin i „Akcent”. Są literacko

wzschodzonymi, oprócz prozy uprawiają esejistykę, dramaty, poezję — obok drukujemy m.in. wiersze Dytlich i Domakyn. Ich narracja utrzymana jest w nurcie prozy psychologicznej, w Stachowej i Domakowycy zasobierownyż można eksperymentalnie opowiadane różnymi płaszczyznami czasowymi, dostrzegając na próby z pogranicza fantastyki, a innych ukształtów pooblegowania się sloganik, literacką bańką (np. interesujące opowiadanie Petera Jenjki pt. *Czer, czyli psie życie* — niestety, wiersze zapowiadający się pisarz w wieku 27 lat zginał w wypadku samochodowym w 1987 r.).

Są zdumiewająco wiersi swojej małej ojczyźnie. Bohaterowie ich prozy często przedkładają powinność utrzymania lutyckości nad szczęście osobiste, np. w opowiadaniu Cornacke pt. *Kasztan*, dziesiętnyce zrygnęte z miłości Niemca, który nie akceptuje ani języka, ani lutyckich obyczajów. Bohaterka tego opowiadania wyraża: *dlia nas sprawa najwazniejsza jest stworzenie lutyckiej rodziny* (s. 245) i dalej: *W Berlinie narze dzieciśi śladu moim było po lutycku, gdyby ty mi nie pomógł, a w końcu ja ze względu na ciebie miwiałym tylko po niemiecku, ażeby ciebie nie męczył swojem językiem. Trzeba go się nauczyć bez systematycznego przynamu, jedynie przez wchłanianie się. Słpisił moich dawnych szkolnych książekku, więc, to znaczy jedna trzecia książki, wyszła za Niemców, a tyła w jednej z tych rodzin moim się po lutycku na codzień — to dlatego, że rodzina ta żyje w lutyckiej wii* (s. 256). W opowiadaniu Domakowa bohaterka opowiada: *Moja przelazona w banku nie mogła iesterpić tego, że rozmawiam i ładnie w języku mojej babki (...). Intencje nie miałam odno do dobrego* (s. 212). Wyparcie się języka i wyżycie ze irodowictwa staje się przyczyną ciągłych niepowodzeń bohaterki i choroby „na klórę nie ma teków” — *Praszę mi pomieć! Od czasu, kiedy zaparłam się, nie porażę już niczego zamawiać* (s. 217).

Benedikt Dytlich zauważa: *Władze rżniwiel, jak wzmagają się wsiadliki dążeń do oryginalności życia i jego polu. A jednocześnie obserwują, jak dążeń to przeniesienia się stopniowo w nurty, rezygnację i izolację. Władze jak wista faworyznie intelektualnie i duchowo, jak wycofuja się do sfery całkowicie prywatnej, unikając próby do odpowiedzialności za społeczeństwo i naród. Jest wielka nadzie, żeby nie znalazło pod sobą grona (...). dźki kałdunom i nałg zapadła niebezpieczniejsza choroba: izolacja (...). Obawiam się, w moim kraju kałdy może zwolnowić podległości są własnym językiem, to jednak wielu Luzytan nie chce korzystać z tej swobody* (s. 209-210).

Sprawy narodowego dziedzictwa nie mogą być jedyniej czy głównym kryterium oceny piarstwa Luzytan. Zdają sobie z tego doskonale sprawę wdpowiedzi pisarzy lutyckie. Chcą być obywatelami narodowego języka a równocześnie autorami uniwersalnymi. Coraz częściej domagają się tu piarstwie problemy zamieszanie dla wdpowiedziej cywilizacji i języka, w światowej prócie, dyktamty moralne, alienacje, strępy, także młody, krytyczny, radok z posiadania własnego miejsca na ziemi — to wszystko odczuwają i przeżywa także w *Narzytów weselej drubey*. Szubra narodowi i językowi nie oznacza rezygnacji z aspiracji artystycznych. Świadczą o tym mogą coraz liczniejsze tłumaczenia książek pisarzy lutyckich na języki nie tylko europejskie, „Małe” komiecy tu bez przesady: *ładne i piękne*.

Narzytów weselej drubey, *Wypowiedzia proza lutycka*. Wybór, wstęp i noty z autorów Dietrich Scholze z języków germanoalpejskich, dolnoalpejskich i niemieckiego przetłumaczył Stanisław Marchiniak. Opracowanie graficzne Bono Nowka-Krawca. Wydawnictwo Książkowe IBIS, Warszawa, m. 272 s. 4 zł. Książka zawiera fotografie autorów.

ELŻBIETA MATYASZEWSKA

Mnichów — czyli o artystach polskich w Monachium słów kilka

*W północnej Europie Monachium szczególnie — nie wiadomo dlaczego — słynie niczym nie usprawiedliwioną przewagą w sztuce [...]. Czyim się jeszcze przede wszystkim Monachium odznacza, to dostarczaniem rąbów niegodziwych malarzy, przystrojonych w spiczaste kapelusze, mnożących się zastraszającym sposobem i zalewających znow ojczyznę wielkimi i małymi obrazami. Uwory te mają szczerne zadanie rozszerzenia i utrwalania w Niemczech aż do najdalej przyszłości ciastnych o sztuce pojęć i braku gustu...*¹

Tę zaskakującą krytyczną opinię o Monachium pisał Cyprian Godebski w roku 1875, czyli wtedy, gdy to miasto nad Isarą miało już wśród artystów ustaloną pozycję niekwestionowanego centrum sztuki europejskiej. Czy rzeczywiście sąd ten był słuszny? Aby odpowiedzieć na to pytanie musimy sięgnąć do samych początków, czyli do okresu, gdy Monachium, zgodnie z życzeniem ówczesnych władców Bawarii, miało stać się „niemieckimi Atenami”. Wybór greckiej stolicy jako wzorca nie był tu przypadkowy, zważywszy, że pierwszym królem nowo powstałego po 1800 roku państwa greckiego był Otton, syn Maksymiliana i Józefa Wittelsbacha, króla Bawarii. Artystyczny mecenat Wittelsbachów zaowocował przede wszystkim generalną, prowadzoną w duchu hellenistycznym, rozbudową architektoniczną miasta i stworzeniem bogatych zbiorów dzieł starożytnych mistrzów. Za głównego protektora sztuki uważany jest Ludwik I, najstarszy syn Maksymiliana I. To za jego panowania (1825-1848) w Monachium zbudowano niezliczone budowle wzorowane na greckich pierwowzorach. To dzięki niemu powstały Głiptoteka z rzeźbami i kopiami rzeźb greckich, Stara Pinakoteka gromadząca malarstwo europejskie do XVIII wieku głównie i Nowa Pinakoteka prezentująca współczesne malarstwo, włącznie niemieckie. Tak dobrze rozpoczęte dzieło kontynuował syn Ludwika, Maksymilian II, a po nim jego syn Ludwik II, toteż protektorem Wittelsbachów rzeczywiście sprawił, iż Monachium mogło претендовать do miana współczesnych Aten i centrum artystycznego Europy XIX wieku. Na przybywających tu tłumnie ludzi pędza

¹ C. Godebski, *Listy o sztuce 1875—1876*, oprac., wstęp i kom. M. Masłowski, Kraków 1970, s.17—18.

czekali nie tylko bogate zbiory muzealne, ale też liczne pracownie malarские prowadzone przez uznanych artystów. Czekała również Królewska Akademia Sztuk Pięknych, propagująca oficjalną, alegoryczno-historyczną sztukę akademicką. Przyciągał też ich monachijski Kunstverein, prezentujący dzieła o charakterze kameralnym, mniej reprezentacyjne, z przewagą tematów rodzajowych, pejzażu i scen batalistycznych. Pierwsza z instytucji powstała już w 1808 roku, druga w 1821 — obie podlegając naturalnym przemianom kształtowały gusta artystyczne ówczesnego społeczeństwa i wyznaczały obowiązujące kierunki w sztuce.

Polacy odkryli Monachium dość wczesnie. Już w początkach lat trzydziestych XIX wieku zaczęły pojawiać się na listach studentów Królewskiej Akademii i Kunstvereinu polskie nazwiska — najpierw siedmiu, by dojść do kilkunastu w latach pięćdziesiątych i osiemdziesiątych². Pierwsi polscy studenci trafiali pod czujną dyktando oko malarza z kręgu „nazarencyków”, Pietera Corneliusa, który swych uczniów naabty często angażował do malowania fresków w kościele św. Ludwika, a sama szkoła porządku w sztuce akademickiej, monumentalnej i pompacyjnej. Znacznie bardziej liberalny był kolejny dyrektor Akademii, Wilhelm Kaulbach: *Pod jego jurysdykcją — wspomina Stanisław Witkiewicz — wrzła najświeższa reakcja przeciwko linii, klasycyzmowi i wszystkim, czego on był genialnym przedstawicielem. Kaulbach nie tylko że nie próbował przeciwdziałać temu rozpętaniu kolorystów, lecz przeciwnie, cieszył się i interesował do najwyższego stopnia nowym ruchem. On, który drzącym konturem rysował podług analogii swoich bohaterów i pejzaże stylizowane, podziwiał i szanował najdalej posuniętych przedstawicieli nowego zwrótu rzeczy.*³



Godtfred Neurether: Akademia Sztuk Pięknych w Monachium, 1876.

Pierwsi przybysz z Polski byli dość dobrze przygotowani do pobytu w obym mieście. Zнали na ogół język niemiecki i dysponowali wystarczającymi funduszami. Ponieważ było ich niewiele, nie two-

² Obszerna lista polskich studentów podaje Halina Stępień w swoim opracowaniu *Artysty polscy w środowisku monachijskim w latach 1828—1855*, Wrocław 1990, s. 79-81.

³ S. Witkiewicz: *Sztuka i Krytyka u nas*, wstęp i kom. M. Obzarnecka, t.1, Kraków 1971, s. 381.

rzyli polskiej kolonii. Pracowali samodzielnie, wtapiając się raczej w niemiecki żywioł. Swą odrębność podkreślali jednak tematyką malowanych obrazów, czerpiąc ją najczęściej z historii własnego narodu i kraju. W księgach wpisów Akademii Monachijskiej z lat czterdziestych widnieją m.in. nazwiska Władysława Majeranowskiego, twórcy kompozycji historycznych i portrecisty, związanego później z polskimi „nazarenczykami”, czy też Józefa Simmlera, malarza historycznego, który w ocenie Jerzego Mysłkińskiego był pierwszym polskim kolorystą nowoczesnych czasów⁴. W kręgu tzw. Fachler, czyli twórców związanych z monachijskim Kunstvereinem, obrabiali się malarze przybyli pod koniec lat pięćdziesiątych. Wśród nich lwowski malarz rodzójowy Aleksander Raczyński, Tadeusz Brodowski, malarz wschodnich scen bitewnych, czy Ludwik Kurella, twórca z „grupy Marcina Olszynieckiego”, któremu zarzobiliście wypominano, że przez czterdzieści lat pobytu w Monachium nie był w stanie nauczyć się języka niemieckiego.



Franc Marc: *Święty Józef*, 1913, tempera, 63x55 cm.

Prawdziwie polska kolonia zaczyna powstawać w Monachium od końca lat sześćdziesiątych. W tamtych czasach Królewską Akademią gnieździła się w części murów pojezuickich razem z muzeum paleontologicznym i zoologicznym w szarych, brudnych i ciemnych korytarzach i zaułkach. Nie było zewnętrznego przepływu, nawet żaden

céch ognika sztuki. Odlew z antycznego lwa, stojący w branie, mógł również dobrze wskazywać drogę do gabinetu wypchanych zwierząt, jak i do szkoły malarstwa w rzeźbie. Stary Hausmeister wystawiał za kratą listy do uczniów; kilka bał myło czasem korytarze, rozwiezając na miotłach postrojenie ścierki, które Chelmonski kupował jako nagłecze „starto” dla starożytny Liwii, którą zamierzał malować. W pracowniach cisną obfite były noszaki zgrumionych z palety farb, podłogi wydępane, cały inwentarz materaców i parawanów dla modeli był w zupełnej ruinie i zamiedłaniu.⁵

Również sama organizacja szkoły pozostawiała wiele do życzenia w opinii malarzy. Nie mając do końca przemysłowego systemu, rozbita była na wiele pracowni, prowadzonych przez samodzielnych profesorów, mniej lub bardziej zdolnych, a nierzadko swoich uczniom własny sposób malowania. Stąd też tak powszechna w Akademii maniera, charakteryzująca poszczególne grupy młodych twórców skupionych wokół jednej osoby. Wprawdzie, jak każda inna szkoła sztuk pięknych, prowadziła uczniów od nauki rysunku poprzez techniki malarstwa aż po sztukę kompozycji, lecz mimo to dawał się wyraźnie odczuć brak dobrze skonstruowanego systemu nauczania. W opinii artystów Akademia Monachijska drugiej połowy XIX wieku była zlekkiem różnych, często wykluczających się i działających niezależnie od siebie pracowni, od sal zastawionych gipsowymi odlewami posągów i bustów, gdzie staruszek Strähuber pilnował czystości linii i proporcji greckiego antyku, od technicznej szkoły *Wagnera do Dieza*, gdzie panowała żelazna orgia kolorystyki drwających z rysunku, linii, antyków, „aktów” i szukająca tylko barwnego zestawienia plam, harmońnego ich ustosunkowania, wydobyła tonu i świetności kolorysty.

Każdy nowo przybyły do Akademii musiał, nie znalazł się w samodzielnej pracowni, pręgi obowiązkowo przez niższe klasy techniczne. Najpierw klasa antyków prowadzona przez wspomnianego Alexandra Strähubera, rysownika i litografa, o którym Wojciech Kossak pisał, że to typ niemieckiego profesora, niesetty zanikający. Nie znał on nianawici rasowej — zdolnych, młodych Polaków (jak samo kochał jak młodzież niemiecką).⁶ Początkujący malarz uczył się u niego rysunku z odlewów gipsowych, by później pręgił pod skrzydła profesora Hermanna Anschützta i szkolił się w rysunku z natury i w „modelowaniu olęmnymi farbami”. Większą biegłości w tej technice nabierali uczniowie w klasie malarstwa prowadzonej przez Alexandra Wagnera, gdzie, jak relacjonował Ludomir Benedyktowicz, na palety uczniów przychodzi cały zapas najwiewniejszych farb i tutaj bogactwo kolorysty — przy modelacji, którą już dobrze poznać należy — główna rolę gra, łącząc przymioty przystołości, efektu i siły.⁷ Dopiero po pomyślnym ukończeniu tych kursów młodzi adepti sztuki mogli myśleć o szkole kompozycyjnej, czy inaczej mówiąc o pracy w samodzielnej pracowni uznanego malarza. W latach siedemdziesiątych własne atelier prowadzili między innymi bawarski batalista Franz Adam, malarz historyczny włoskiego pochodzenia Karl Piloty i Polak Józef Brandt, ceniący się uznanie nie tylko u swoich rodaków. Jak wynika z korespondencji Benedyktowicza, szczególnie przy furcie do szkoły Piloty ego strasznie ciężka zapora i osobliwych wymagań tam legitymują; toteż trudniej podobno dostać się do niego, jak do jakiego czararównego zamku. Posiadając niezrównane przymioty jako nauczyciel jest on przy tym szczerzym dyplomata i aby uzyskać rozgłos swojej szkole, przymiaje do siebie

⁴ S. Wiktorycz: *Monografie artystyczne*, oprac. M. Olszaniecka, t.2, Kraków 1974, s. 285-286.

⁵ Ibidem, s. 286.

⁶ W. Kossak: *Wspomnienia*, Warszawa 1971, s. 63.

⁷ M. Masłowski: *Maksymilian Gierski i jego czasy*, Warszawa 1970, s. 156.

⁴ H. Stepien, op. cit. s. 126.

tylko takich, o których jest pracownicy, że i bez niego bardzo daleko by zaszli.⁹

Nauka w jednej z tych pracowni była dla młodego malarza pewnego rodzaju wyzwoleniem, dawała możliwość tworzenia z większym rozmachem. W liście do Kazimierza Epiplora Maksymilian Gierymski pisał: *Od czasu malowania w atelier czuję, że aż zdrowy jestem — i humor dobry, i myśl swobodniejsza; wyobraźcie sobie być wśród głupiej halastry nie nie umiejących, zarozumiałych i jak dzikie zwierzęta rozklejanych Niemców i z końca świata pozbieranych zbiorów, po części bez żadnego wykształcenia, i wśród takich to ludzi wynajdować piękne formy antyków; to więcej jak nie do zmielenia!¹⁰ Jednakże mimo tak krytycznego stosunku, większość polskich artystów, którzy przeszli przez Akademię Monachijską przyznaje, że można się było w niej czegoś nauczyć, że pracowicie lata spędzone przy sztalugach i blokach rysunkowych nie poszły jednak na marne. Artyci o wielkim talencie mogli się to odpowiednio rozwijać, a słabsi stawali się przynajmniej dobrymi rzemieślnikami sztuki.*



Pracownia Józefa Brandta w Monachium, fot. ok. 1893 r.

Początek polskiej kolonii malarskiej wiąże się z Józefem Brandtem, przybyłym do Monachium w 1862 roku. Ten uczeń Franza Adama i Pilyota jego żon w cztery lata później otworzył własną pracownię. To wokół niego zaczęli skupiać się młodzi Polacy przybývający tłumnie do miasta nad Łazą, nazywane przez nich z polską Mnichowem. Jako że przyjeżdżali często bez odpowiednich funduszy, ani nie znając języka, ani nie mając odpowiednich kontaktów, naturalnie było, że udawali się wprost do Brandta, którego dom otwarty był dla wszystkich rodaków. *Serdceży nastroj tego domu zastępował niedużemu młodemu atmosferę rodziny, której brak w pierwszych czasach po rozstaniu, dawał się nierzad dotkliwie odczuć* — wspominał Jan Rosen przybyły do Monachium w początkach lat siedemdziesiątych¹¹. O wsparciu ze strony Brandta pisali też bracia Gierymscy, Juliusz Koszak, Stanisław Witkiewicz, wspominając, że ich starszy kolega pomagał im wynajdywać mieszkania, nierzadko też wspierał finansowo i zawsze chętnie gościł w swoim domu. Był swoistym

⁹ *Ibidem*, s. 156.

¹⁰ M. i A. Gierymscy: *Listy i notatki*, zebrał, ułożył i wstępem opatrzył J. Starzyński, teksty do druku i kom. oprac. H. Stepien, Wrocław 1973, s. 23.

¹¹ J. Rosen: *Wspomnienia*, Warszawa 1933, s. 28.

spiritus movens polskiej kolonii artystycznej, jaka ugruntowała się w latach siedemdziesiątych. Drugim „generalem” — by użyć tu określenia Henryka Siemiradzkiego — był Maksymilian Gierymski, młody artysta, który w krótkim czasie osiągnął znaczną popularność i uznanie. Wokół tych dwóch indywidualności krążyły, jak satelity, mniej lub bardziej uzdolnieni artyści, mieszkający już jakiś czas w Monachium, prowadzący w miarę uporządkowane życie, mający większe lub mniejsze, ale stałe dochody i względna pozycję w środowisku artystycznym. Byli na ogół porządni i schludnie ubrani, zachowywali się nienagannie, nie mając w sobie nic z artystów-*cyganów*. Tworzyli oni tzw. sztab, a wśród nich wymienić można Alfreda Wierusz-Kowalskiego, Władysława Czachórskiego, Antoniego Kozakiewicza czy Antoniego Kurelle.

Drugą grupę o zupełnie odmiennych cechach tworzyli znacznie młodszy i wiekiem, i ształem artyści. Żadni pieniądze i sławy przybýwali oni do Monachium zachęceni suknem swych starszych kolegów, o których fama docierała do kraju. Przyjeżdżali najczęściej z tak skromnymi funduszami, że przez długie miesiące pobytu cierpieli prawdziwą nudę. Byli głodni, ale pełni nadziei i entuzjazmu dla sztuki, często dziwnie i wręcz zdający swoim wyglądem sensację wśród monachijskiego mieszczaństwa. Prawdziwe cyganie *o genialnych marzeniach zjadanych tęsknotą do nieznanego i wstętem do rzeczy wisiego życia, od zaciętych pracowników do namiętno-politycznych walkonów i bulionów, dla których całkowity urok sztuki strzeżali się w modelkach*¹². Byli wśród nich Józef Chmielowski, który wzbudzał sensację swoim strojem, składający się z czerwonych spodni konnicy rosyjskiej, ułaskiej granatowej kurtki



Adam Chmielowski (późniejszy św. Brat Albert), fot. z lat 70. XIX w.

¹² S. Witkiewicz: *Monografie artystyczne*, op. cit. s. 299–300.

iczachoci konduktorskiej. Byli też i Henryk Siemiradzki *malarz trochę stracony tym, co się koło niego działo, a było tak różne od tego, czego się dłużej lata uczy*¹³, Julian Maszyński, bardziej sumienny niż utalentowany, Stanisław Witkiewicz, malarz i jednocześnie autor tak cennych wspomnień o życiu w Monachium, Ludwik Zmigrodzki, którego wielki talent pozostawił zapowiadając bardzo wiele, o który przypaść nie zdążyławszy nic¹⁴, Henryk Piątkowski, utalentowany kolorysta, Jan Rosen, karykaturzysta, Adam Chmielowski, który wywoływał niemal poruszenie, gdy z żywą przywiązaną do drewnianej kuli urządził popis jazdy na lodzie. *Nawet dwór królewski zjeżdżał, by go podziwiać*¹⁵, rzeźbiarz Stefan Jarzomski, klepiący w Monachium strasną miedź, przedstawiający Słomców smutników i pomnożoną twarz¹⁶ i wiele innych, nie mniej dziwacznych postaci. Miał „sztabem” a o wymi cyganami istniał jakoby — tak to wynika ze wspomnień chociażby Wojciecha Koszaka czy Jana Rosena — pełna harmonia i porozumienie. Starsi pomagali młodszym, a ci ostatni z wdzięnością przyjmowali te oznaki koleżeństwa. Razem spędzali czas przy sztalugach i poza Akademią. Przystępując jednak należy, że wspólnie wieczory przy zacierzanym stoliku w kawiarni w Tambozego, gdzie grano w bilard, palono cygara i dyskutowano przede wszystkim, spędzali także w artysty, których zaliczano do „sztabu”, innym nie pozwalano na to bowiem ich sytuacja finansowa. *Dla artystów-cyganów było to czas wyjątkowej biedy, głodowania [...] zjedliśmy wszystko, co było jadalnego — wspominał Stanisław Witkiewicz — wyszokaliśmy kręcznie wszystkie skórki chleba, ba, obródkę, które się do wycierania węgla używano, sprzedaliśmy z odczty, co się sprzedać dało, i już nie było się czego jąc. Głód nas dosłownie obalał*¹⁷. Wieczorami zaś, zamiast do modnych kawiarni i teatru, chodzili do tanich piwiarni, by zagrzać w wista i powoli wyszczyć kufel piwa, który ktoś zycielny postawił. *Uciekaliśmy [też] z miarą w pole, na łąki, w których rzeźwały czajki, lub leżąc gdzie na miedzy słuchaliśmy przepiórek i kurapat jak wtóra tej tęsknoty, która nas zjadła*¹⁸. Ale to również ci nędzarze wprowadzali w spokojne życie Bawarczyków ten, tak charakterystyczny dla ośrodków sztuki, artystyczny chaos. To oni przechadzali się w krakowskich sukmanach pośród dostatnio i nobilito odzianych mieszczuchów, to oni nie ślad ni zowąd tańczyli na chodnikach ognistego kota, sprawiając wszystkim w osłupienie. Którędy noze rozbrała na części składowe ogromny wód meblowy, by złożyć go na szczycie wzgórza, do którego prowadziła tylko wąska ścieżeczka. Solidni monarchijscy przez wiele dni zastanawiali się, kto i w jaki sposób ten ciężki wóz wiozł na górę. Takie i inne dowcipy robili niemal codziennie, wprowadzając ożywczy ferment w senny i tryb spokojny, jak na ich gust, Monachium.

Było jednak coś, co łączyło niemal wszystkich artystów przebywających nad Izarą. Ich malarstwo. Owego niepowtarzalny sposób kładzenia farby, ową elegancję, doprowadzoną do perfekcji technikę, dzięki której pedantycznie wykonane drobiazgi zlewały się w jednolitą całość, ten subtelny sposób łączenia kolorów sprawiający, że banalno, dość powadze temat urastał do rangi zjawiska. Wspólnie były: rozległe, jakby smętne równiny z chatkami, stogami siana i mającymi gdzieś w dali przydrożnymi kapliczkami, samotne drzewa osunęte mgłą i mrok spowijający ludzi, konie i wozy, czasem tylko rozświetlony blaskiem zachodzącego słońca czy dogasającego

ogniska. Wspólny był ten monarchijski Stimmung, który oznaczał nie tylko nastrój, ale przede wszystkim umiejętność ukazania w malowanym obrazie takiej natury, która się nosi w sercu, która się przeżyło i zapamiętało. „Stimmungowe” obrazy malowali niemal wszyscy artyści, którzy przeszli przez monarchijką Akademię. *Tem i Stimmung czyli nastrój, było to wyraz, które powtarzały sęcha starych korytarzy Akademii, które słychać było wszędzie, gdziekolwiek się zeszli malarze: na ulicach, w pracowniach i w głębi knajp, przy marmurowych porośnianych stolikach, wśród mgły tytoniowego dymu i zycielow z kawy i piwa*¹⁹.

Nastrójowe kompozycje wygonowane polskimi nazwiskami sprzydały się jak świeże buleczki. Wokół pracowni uznanych artystów jak roje natrętnych sępów krążyli handlarze szarą, tzw. Kunsthändler, wydający prawie spod pódzda łowieko do ukonczono obrazu. Oni też sugerowali nierzadko twórcom, jakie tematy powinni malować, gdyż na takie, a nie inne był najlepszy popyt. Według relacji Mariana Trzebińskiego i pracowniami i funkcjonowaniami od dawna mogli tracić na popularności, tenże, za namową swego odbiorcy, handlarza Heinemann, zaczął malować... wielbłądy i dla lepszego ich poznania udał się w podróże do Tunisii.



Paleta polskich malarzy w Monachium, ok. 1890.

Kolonja polska w Monachium, mniej lub bardziej liczna, przetrwała aż do początków XX wieku. Niewątpliwie szczyt swojej aktywności i popularności przeżywała w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, gdy filarami jej byli Brandt, bracia Giermscy, Chelmoński, Chmielowski. W latach dziewięćdziesiątych, gdy jedni wyjechali, na ich miejsce przybywali nowi, początkujący artyści, również pełni nadziei na zrobienie kariery i stworzenie arcydzieł. Poza Akademię i pracowniami i funkcjonowaniami od dawna mogli kształcić swe umiejętności w dwóch szkołach prywatnych: Grocholskiego i Ałzhego. Pierwsza z nich miała żywą dobrą opinię, mówiono, że *jest zapewniona i zdyskredytowana, bez zdolnych uczniów i bez zapala do pracy*²⁰. Utrzymywała się dzięki żałośnym, ale niezbyt zdolnym uczniom, którym taki poziom w zupełności wystarczał. Sam jej dyrektorem, Stanisław Grocholski, był postacią nieprzeciętną. Otwarty na nowe prądy, współpracował z modernizac-

¹³ Ibidem, s. 298.

¹⁴ J. Rosen, op. cit., s. 29.

¹⁵ J. Skotnicki: *Przy sztalugach i przy barce*. Wspomnienia, Warszawa 1957, s. 96.

¹⁶ S. Witkiewicz: *Monografie artystyczne*, op. cit., s. 300.

¹⁷ M. Maszyński: *Malarzy i twórcy życia Chelmońskiego*, Warszawa 1972, s. 122.

¹⁸ S. Witkiewicz: *Monografie artystyczne*, op. cit., s. 300.

¹⁹ Ibidem, s. 294.

²⁰ M. Trzebiński: *Pamiętnik malarza*, Wrocław 1958, s. 61.

nym piśmie „Jugend” i był członkiem monachijskiej „Secesji”. Jako jeden z pierwszych zaczął uwieczniać na płótnach życie i kulturę Huculów, wprowadzając już na stałe te motywy do sztuki polskiej. Drugą szkołę prowadził słowackie z Ljubianą, Antoni Azbe. W jego szkole mówiono *wszystkimi językami, samych Polaków było z dziesięciu. Rej wodzili Amerykanie, najwięcej zaś balaru rabuli. Włost [...] Szkoła była w całym tego słowa znaczeniu międzynarodową z pewną liczącą przewagą Niemców²¹*. Z polskich artystów uczęszczał do niej m.in. batalista Zygmunt Rozwadowski, rysownik i portrecista Stanisław Sawicki, polajzysta Józef Czajkowski, jeden z przyszłych założycieli stowarzyszenia Polska Sztuka Sztosowana, Edward Okuń, malarz z kręgu modernistów, późniejszy ilustrator „Chimery”. U Azbeo młodzi malarze uczyli się umiejętności kładzenia farby zdecydowanymi pociągnięciami pędzla, bez drobiazgowego wykańczania i hawienia się w szczegóły. Jeszcze jedną prywatną szkołą, do której trafiali Polacy, była węgierska szkoła Szymona Hallosy’ego. Jednym z wybitniejszych jej uczniów był Konrad Krzyżanowski.

Sława Monachium jako centrum artystycznego przetrwała do I wojny światowej. Wprawdzie miasto nie wygrało z Paryżem w walce o prymat w sztuce, niemniej jednak przyciągało młodych uzdolnionych artystów, a tych, którzy się tu zadomowili, potrafiło zatrzymać. *Wielka swoboda, wielka tolerancja sprawiała, że wszyscy czuli się jak w domu — przyjeździł na równi z Niemcami! — i ci pierwsi do pewnego stopnia stworzyli życie w Monachium²²*.

Dla Polaków Monachium miało szczególne znaczenie. Nie tylko bowiem pozwoliło młodym artystom na studiowanie w słynnej Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych, ale też umożliwiło im stworzenie polskiej kolonii artystycznej, propagującej sztukę rodzimą, nie znaną do tej pory szerszej, europejskiej publiczności. *Wschodnie labirynty Józefa Brandta, rozstrakane błaskiem broni i drogotocznych rzędów kocińskich, Włki Alfreda Wierusz-Kowalskiego, ciemne punkty na tle oświetlonej równiny, Trójki i Czwórki Józefa Chlemonskego, o których spokojni Bawarczyści mówili, że za duzo w nich życia, wreszcie Polowania i Patrolu Maksa Giersmayskiego — to wszystko tworzyło niepowtarzalne, jedyne w swoim rodzaju zjawisko powstałe w Monachium i określone mianem „szkoły polskiej”*.

Elżbieta Matyjaszewska



teatr



MARIAN LEWKO

NOWE STUDIUM O IBSENIE

Nakładem Wydawnictwa Gdańskiego ukazała się niedawno niewielka, ale ważna ze względu na podjęty temat monografia poświęcona Henrykowi Ibsenowi. Jej autor, Edward Beyer, emerytowany profesor literatury skandyńskiej na uniwersytecie w Oslo, zajmuje poczesne miejsce w życiu naukowym i kulturalnym swego kraju. Jest współredaktorem rocznika z 1999 r. pomnikowego, napisanego na wielką skalę, przedsięwzięcia wydawniczego poświęconego norweskiej krytyce literackiej. Wraz z ojcem, Haraldem, także znanym badaczem literatury, wydał w 1970 r. pod redakcją Nikową *Historię literatury norweskiej*, był również inspiратorem i redaktorem wielkiej, 6-tomowej, zbiorowej syntazy historii literatury norweskiej (*Norges litteratur historie*), wydanej w Oslo w 1975 roku, do której wniósł swój autorski wkład. Tom trzeci, w całości jego autorstwa, omawia okres od Ibsena do Garborga. Badania naukowe Beyer skoncentrował głównie na twórczości cyklowego norweskiego romantyka Henryka Wergelandta oraz na literaturze realistycznego problemu z końca XIX wieku, motem więc powiedział, jak Ibsen w polowku Z. Ciesielski, *że posiada szeroki wiedz o epoce, w której żył i tworzył Ibsen*. Toteż warto sięgnąć po wspomnianą monografię, tym bardziej że w języku polskim brakowało nowego syntetycznego opracowania przybliżającego sylwetkę Ibsena dzisiejszemu czytelnikowi, a pojawienie się prezentowanego dzieła w dużej mierze wypełnia lukę w polskiej literaturze i ikonologii w chwili, gdy ministerstwo tym piaraniem udaje się powracić. Dowodzi tego organizowany corocznie w wrocławiu od 1995 r. przez Teatr Narodowy w Oslo Festival Ibsenowski, połączony z sympozjum naukowym, ściągającym wielu znanych z różnych stron świata. Ważniejsza jeszcze staje się prezentacja festiwalowych spektakli, które dowodzą żywości idei sztuki ibsenowskich w współczesnej rzeczywistości, dzięki indiom teatru opisie o poszerzonych hiełkach dramatach ulegają znacznym przemianom, ukaskuokowanym wyraźnie na drzewnie kwestii egzystenjalnych i kondycji człowieka w dramaturgii Ibsena, odwołując się do historii historycznej problematyki mieszczańskiej. Zdecydunkowały się realia, nadal jednak żywe pozostały konflikty postaw ludzkich. Znaczący był zresztą tytuł pierwszego sympozjum. *Czyż znasz Peera? Kim jest Brundt?*, a doświadczenia nienawście z obrad dwu kolejnych festiwali, po ogólniejsze zaprezentowanych sztuk, przywieszonych z różnych krańców globu (Norwegia, Anglia, Grecja, Czechy, Armenia), utwórdomi nągk, je piarsz im nie jest tylko martwa wsiół ościsła, przykłażna do historii literatury, ale drzewia w nim silę dolnie porażony, powiększonego człowieka. To stało się bodźcem, by następnie, trzeci spotkanie, poświęcić gębbemu rozpatrzeniu tego właśnie zagadnienia, kim jest dla nas Ibsen dziś, w naszych czasach.

Książka prof. Beyera stawia podobne pytanie, wyszukując w dramaturgii poety to, z czego ona wyrasta, konteksty historyczno-kulturowe, z drzewaj za strony wskazuje

²¹ Ibidem, s. 63.

²² Ibidem, s. 76.

przedstawienia klimatu właściwego dramatom mistrza. Przesuwając punkt ciężkości z naturalizmu ku symbolizmowi — może nawet nastromić i oszpecił rzybitły Kłajwo do pozostałych dramatów. Wypląskańsko. Autor *Kłajwo* był artystą posiadającym szeroki dar percepcji teatralnej, jego natychmiast tworzył starożyte wgnę, często sześcio przekładane na kształt sztuk scenicznę. Zatem załuga reżysera tówi także w znakomitej interpretacji. Wyreżyserował to, co na scenie punktowe trudno.

! Szczególna uroda paru scen domaga się ich krótkiego opisu.
! Grezema światło. Scena i widownia pogrózione są w ciemności. Punktowe światło ze wzrastającą intensywnością ujawnia skrzące obrazy gry. W stopniowo rozświetlanej scenie i tłem rozpoznajemy narysunki — czerń i białe kształty w silnym uświetnieniu. Po chwili całkiem wyraźnie nagłó się spina z czarną tarczą. Widzimy zaopatry w idealnej cieni akt młody, w rymie rozłożony na słanki sekund. Schematyczny naturalizm doskonale był tłumiony letargiczną sennością.

! Całopalenie. Żywe plonienie pochłaniały drewnianą linkę (i Kłajwca, i Młode) — za moment widzimy ją przybraną w drewniane szkielety, wznoszącą rękoma matki-abytynki ku niebu. Świecia apocryfa w teatrze.

! Ułamienie wnętrza. W akcie sceny oświebla Młode obkrytądo atakuje gromadę wieśniaków. Cierpieniem opłaca każdy kolejny krok, kładąc niewne uśmienie ręki. Potyka się, upada pod ciosami niewiedzących uderzeń. Rytmicznie snok spadających kamieni punktował czas jej umierania. Aktozy (gromada) nie wyzyskali rekwizytów z ręk, stojącąc sły i czepotliwość uderzeń kłom do drewnianą senne, potęgował iluzję, której ekspresji poddawał się widz bezwiednie. Aktozy grał bardzo dobrze, Joanna Kasperk szczególnie przynajmniej kreowała rolę Młodej.

! W tym roku zaproszonym spektaklom gościny użyteżyły sceny Teatru Dramatycznego, Teatru Polskiego, Teatru Małego i CKS PW „Stodoła”. Największą próbą dla gości był występ na deskach Teatru Dramatycznego — słaba akustyka mogła obniżyć poziom spektaklu. Wybrał z tego Teatr Stary, zespół z Olantyna niezestny nie. Wybór sceny-widowi okazał się bardzo istotny. Ze względu na brak odpowiedniego miejsca do gry zrezygnowano z zaproszenia Wrocławskiego Teatru Polskiego z *Kasia i Hilbrowa Kłajwa*, w reżyserii Jerzego Jarocznika. Nie pnie tu szerzej o *Szalone Sceny Placuszek KUL* (obserwuj artykuł o tym teatrze ukazał się niedawno w „Akencje”) i *Piosenkach przed trybunałem* Teatru im. Wilama Horczyca z Torunia — także spektakle tegorocznych Wyższych Szkołki Teatralnych.

! Zanim ten tekst ujrzy światło dzienne w kwartalniku, z pewnością zamyśli już myślı o kolejnej, przybliżonej edycji tej jedynej w swoim rodzaju teatralnej imprezy z nadzieją na wrażenia domonujące tegoroczny.

Malgorzata Olszewska

noty

MACIEJ JOZWIK

ZA LITERATURĄ, PRZECIWI HISTORII

Tym razem w centrum uwagi Baranacka znalazł się amerykański, a nie polski krytyk! Zestawienie esejów powstałych w latach osiemdziesiątych i rozproszonych pierwotnie po czasopiśmiech i książkach się za ostatnim może na pierwszy rzut oka sprawić wrażenie nadmiernej różnorodności w doborze tematów i wątków. Są to komplekty różnych esejów z jedną stroną temat dywulgenta, ustalenie jego naprawdę nim był w tamtych latach, wolność i zniewolenie literatury i kultury w warunkach politycznej opresji, problem dziedzictwa i wydziedziczenia ze świata Zachodu społeczeństw odcinających od niego helazną kurtyną, poszukiwanie nowego tożsamości, próba powrotu do zakorzenienia, kiedy udziałem człowieka staje się los emigranta lub wygnanka; a z drugiej strony — eksploatacja osobnych przestrzeni wyobraźni artystycznej różnych twórców, dostrzeżenie do nierzekalowych składników portyckich i twisatopogów poprzez badanie pojedyńczych sformułowań, metafor, schematów fabularnych, całych utworów, poezyi. Spotykają się tu Michnik z Wysztytkim, Miłosz z Wojtyła, Ziawozyc i Dolatow z Grossmanem i Aksjonowem, Bruno Schulz z Wassem, Gombrowicz ze Szczepankim, literatura polska z węgierską, czeska z rosyjską, pisarze z młodymi nazwami... Tematyca tyłwoczkowa tekturów zawiera także swoje odzwierciedlenie na przestrzeni ugrupowań politycznych, a więc także historycznego lub socjologicznego, wykładu przemówienia, biografii artysty, połączenia recenzji z autobiograficznym wspomnieniem, systematycznych obrzawów twórczości i potrzebów pisarzy wzbogaconych o elementy listu do bohatera esaju.

Jednak w tej wdrowce po tematach i formach wypowiedzi, ujawniającej ich różnorodność, dostrzega się coraz wyraźniej, że poszczególne szkice są ogniwami jednego łańcucha, fragmentami spójnej, znacząco całości. W odczytaniu zasadniczego problemu długopiętej pracy kładzie z esejów pomaga zrestną sam autor, dając swojej książce zapożyczone od Lemna tytuł, który wyraża prawie wszystko. Ta rzecz jest po prostu o nienaturalnej konieczności „oddychania pod wodą”, co stało się w powojennej Europie udziałem narodów skazanych przez komunizm na życie w niemożliwych warunkach. Od razu trzeba tu dodać, że co najmniej tak samo ważne jest jednak dla Baranacka pokazanie odwrotnej strony tego obrazu. Jak dopowiada w pierwszym esaju, stanowiącym swoistą klamerę dla pozostałych (to znaczenie podkreśla fakt, że jego tytuł został nadany całości), książka chce wierszemu społeczeństw żyjących pod wodą ma także mówić o „próbach wydotania się na powierzchni”. Czytelnik otrzymuje w ten sposób bogaty zespół faktów, które tworzą

¹ S. Baranacki, *Breathing under Water and Other East European Essays*, Harvard 1990. Książka z angielskiej wersji wydana w Polsce w przekładzie i z wstępnym wykładem Macieja Jozwika w „Zestawieniu Literackim” (nr „Maci”) lub wyciągnięta przez samego autora do jego *Tablicy z Mosaiką*.

Lublin i Münster od 1991 r. utrzymują ze sobą stałe partnerskie kontakty. Nie drzewo, że przybyli do Münster Polacy to przede wszystkim goście z Lublina. Bardzo dobrze się stało, że w skrybywaną węzłową była to młodzież ze szkół średnich, która bardzo szybko nawiązywała kontakty z miejscową młodzieżą. Lublina do Münsteru przybyli także przedstawiciele środowisk twórczych: artyści, muzycy, fotograficy, redaktorzy kwartalników „Akcent” i „Scriptores Scholares”, znakomicie reprezentowała polską sztukę plastyczną i muryzów Lechela, a Galeria na Prowinz”, burzliwym oświadczeniem przyjęto koncert Chóru Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, cztery osoby się ogromnie zainteresowaniem występy Zespołów Pieśni i Tańca Politechniki Lubelskiej i Akademii Rolniczej, także władze miejscowe przybyli do siebie wystawiały Teatr N (niezależnie spektakli) Zespołu teatralnego, teatr szkolny grupy integracyjnej „Promieniści” (wolna interpretacja Małego Powiatowca).

W sobotę, 1 lipca, w pierwszy dzień Tygodnia, na dziedzińcu miejscowego ratusza, odbył się tzw. targ kontaktów. Polacy i Niemcy na kiermaszowych stoiskach oferowali m.in. wyroby sztuki ludowej, ale także przedstawiali swoje oferty współpracy gospodarczej i turystycznej. Z uwarunkowań swojej sordociny powołała gości z Polski i zainaugurowała Tydzień dobrotliwej miasta Münster pan Marion Tins. Ze strony polskiej przemawiała m.in. pisa Ewa Labo-Falecka — atakach kulturalnej naszej ambasady w Niemczech.

Podczas sobotnich prezentacji stoiska polskie cieszyły się dużym zainteresowaniem. Zapomina się z nimi wielu Niemców, wśród nich byli znakomici goście, m.in. przewodniczący landu i członek Bundestagu pan Erwin Schlegelberger i wielce Polakom życzyli biskup miejscowej diecezji Kościoła katolickiego ks. dr Reinhard Lettmann — częście i dług rozmawiał z Polakami, opuszczał „targ kontaktów” z „Akcentem” w ręku.

Z frontonu ratusza przez cały tydzień powiewała ogromnych rozmiarów flaga, a centrum miasta, szczególnie w sobotni „jarmark” rozbudziła mową polską, śpiewem i rytmem polskich ludowych melodii, bawia strofów ludowych — to m.in. pięknie prezentowały się Zespół Pieśni i Tańca Politechniki Lubelskiej.

Foruon na „targu” zrobili dźwięczny z Zespołu Siskó Włókniarskich w Lublinie — pokazywały duże kolekcje młodzieżowych ubiorów według własnego projektu i wykonania — nie drzewo, że zaofiarowano im kolejne prezentacje.

Jeśli już „targ” i kontakty, to także „gastrostomia”. Zgodnie z niemiecką tradycją było pivo i kielbaso, ale przy jednym stoisku ustawiony był duży kotłowy — to uczestnicy z Zespołu Siskó Gastrostomii sprządały przywiezione z Lublina regionalne zryty i pierożki z owocami. Na stoisku obok panie Polki Mijsi Katolickiej w Münster oferowały ciasta własnego projektu — jak się później okazało, cały dochołd z ich sprzedaży (ok. 1800 marek) przekazywany na fundusz budowy domu dla dzieci specjalnej troski w Fileju na Lubelszczyźnie. Prezesa miejscowej Polkijskiej Mijsi Katolickiej jest p. Małgorzata Wójcik (urodziła się w Luburze, jest absolwentką filologii klasycznej KUL, od wielu lat wraz z rodziną mieszka w Münster).

Następnego dnia „spotkanie w Polsku”, niezłomnie, miał także wyjątkowy charakter: ze względu na niemiecko-polskie uroczystości religijne. Rozpoczęła się „Wieża Prowinz” z okazji 50-lecia zakończenia II wojny światowej. W modlitwianym przemarszu przez miasto (w czasie wojny niemal doznany zniszczone alianckimi bombardowaniami) uczestniczyło ok. pięciu tysięcy ludzi — Polacy stanowią grupę ok. tysiąca osób (na prosczyk wyruszyli z „polskiego” kościoła św. Klimenta wraz z pracującymi tu polskimi duszpasterzami i chórem KUL). Następnie grupę niemieckie i polskie katolickie, by wspaniale dojść na plac przed katedrą, gdzie miały miejsce uroczystości polsko-niemieckie msza. W tworzonywie kilkadziesiąt księży białych odprawiały i homilii wygłosił ks. bp Reinhard Lettmann. Posłanie archidjaka lubelskiego ks. Bolesława Pyłaka odczytał ks. prof. Edward Walewander z KUL — przez oddział lubelskiego „Wspólnoty Polskiej”.

Biskup Lettmann mówił o tragedii, jaka była wojna rozpoczyna przez ludzi cpanowanych zbrodnia ideologiczna, jeszcze raz — najważniejsze do słynnego odczytu biskupów — prosił Polaków o przebaczenie. Również odczyt ks. archidjaka Pyłaka (odczytane w języku niemieckim) nawiązywały do bolesnej przeszłości, ale mówiło też o wspólnej odpowiedzialności za przyszłość Europy, o potrzebie budowania jej w imię chrześcijańskich zasad i dobrych sąsiedzkich stosunków. Obudwa wystąpienia przyrównane były wielokrotnie oświadczeniami.

Trzeba pamiętać, że w „Münsterlandzie” zdecydowanie dominuje wyznanie rzymskokatolickie. To w Münster dnia 1 maja 1987 r. wyjątkowo szeroko podejmowany był Jan Paweł II. Przygotowywał to m.in. do grobu zbliżona Klimenta Galena — adekwatny przedstawiciel narodowego społeczeństwa. Analoga między tym i dziełem była Galena a kard. Sifuzia Wyszyńskiego, który też jednocześnie odczytywał. Dodał trzeba, że ważnym akcentem religijnym na zakończeniu Tygodnia Niemiecko-Polskiego była msza ekumeniczna odprawiona w protestanckim kościele uniwersyteckim — brał w niej udział biskup Abel z chełmsko-lubelskiej diecezji Kościoła prawosławnego. Miejscowa prasa obiegło m.in. jego zdjęcie dokumentując moment wspaniały się do której księgi miasta Münster.

Z kilkadziesiątu imprez, jakie miały miejsce w ciągu tygodnia Tygodnia należy odnotować polityczne spotkania młodzieży niemieckiej i polskiej (tzw. warsztaty porozumienia). Odbywały się one w wielu szkołach i miały charakter dyskusyjny o problemach nurtujących młodzież nie tylko w zakresie życia szkoły i seminów — zamienne były wypowiedzi z obydwu stron o potrzebie wzajemnych kontaktów i Europie bez granic.

W Międzynarodowym Centrum Spokas „Most” („Die Brücke”) odbyło się seminarium naukowe na temat ekumenicznego powojennej Polski i jej szansa wejścia do Wspólnoty Europejskiej, m.in. prof. Jan S. Kowalski z Uniwersytetu w Münster w referacie pt. *Polska i Unia Europejska* przedstawiały niezbyt optymistyczne prognozy, Polska w zakresie gospodarki nie może się równać nawet z Portugalią i przyjęcia jej do Unii nie należy się spodziewać przed 2005 rokiem. W dyskusji zabrano głos wielu praktyków naukowych — ekonomistów z tytułowego uniwersytetu oraz studentów. M.in. obecna była liczna grupa studujących tu sławotów. Zwłaszcza uwagę, że ekonomia nie jest jedynym wykładnikiem europejskiego państwa. W trakcie tego spotkania przedstawiony został „Akcent” jako czynnikiem przemianę także i zaizolowanie wartości europejskiej kultury, z podkreśleniem udziału w niej twórców polskich. Uczestnicy seminarium otrzymali najnowszą numer „Akcentu”. W trakcie spotkania przedstawili też swój kwartalnik „Scriptores Scholares” młodzi redaktorzy lubelskiego prywatnego Liceum Ogólnokształcącego im. ks. Gostyńskiego.

Tyżdzień Polski w Münster miał bardzo uduary program artystyczny. Koncert Chóru KUL w ogromnym gościnnie kościół św. Lambertusa był wydarzeniem nagrodzonym wieloletnią owacją są stojąco.

Szczególnie uwrażliwieni — jak się wydaje — na muzykę Niemcy przyjęli także z ogromnym aplauzem koncert muzyki kameralnej zorganizowany przez lubelską „Fundację na Prowinz”. Odbył się on w reprezentacyjnej sali bankowego pałacu Erbfoldeon. Polacy i niemieccy artyści prezentowali muzykę obydwu narodów. Wielkie umianie oddawała sopranistka Maria Mitrova — do niedawna jeszcze studentka Konserwatorium Warszawskiego, a dziś — bez przesy — wchodząca gwiazda polskiej wokalistyki. Wykonała przy akompaniowaniu Piotra Rachonia (fortepian) m.in. pieśni Strakusa, Webersa, Schumannia, też i Chopina, Mozilaska, Kartowicza i Szymanowskiego. Koncert przebiegł był niemal o godzinie — to licznie zgromadzeni melomani nieustannie prosili o bity, a na koniec urządził jej niemal półgodzinną owację.

„Galeria na Prowinz” promowała także w Münster polskie współczesne malarstwo w ramach tzw. Galerii Jednego Obrazu. Już pierwszego dnia Tygodnia w sali wystawowej Urzędu Miejskiego (Stadhaus), w obecności pani nadburmistrz Marion Tins, została otwarta wystawa prac kilkadziesiąt malarzy polskich i niemieckich (takopraczy organizowaniem była przy współudziale Wolnego Związku Artystów w Münster). Obrazy ekspozowane były całą Tydzień Polski. Równocześnie w różnych punktach miasta zorganizowane indywidualne pokazy, m.in. wystawiały swoje bardzo oryginalne prace Krystyna Radzka-Przychoda — ekspozowano je w bardzo nietypowym miejscu, bo w hali miejscowego banku. W związku z tym wystawa miała nieuramiane liczba publiczność, a ręk katalogów do niej pobliż legoczący drugi numer „Akcenta”, w którym przedstawiono osobę malarzy i jej dokonania twórcze.

Często omawiane w miejscowej prasie były polskie lubelskie fotografie. M.in. wystawiały swoje *Krajowizna polskie* Paweł Kawczyk. Oryginały awangardowe prace fotograficzne prezentowała w miejscowym Muzeum Miejskim Anna Nawrot.

Znakomicie zostali przyjęci także najmłodsi, kilkunastoletni fotograficy. Marcin Kowalik i Andrzej Wielgus z Fundacji „Nowy Start” (cykle fotografów *pl. Młocze miasto* i *Laibin i Laibin – miasto z pogranicza kultur*).

Lubelskie teatry: Teatr NN i „Promieniści” – grupa z Integrującego Klubu Animatorów (inicjatywa Licium im. Adama Stanisłowego w Lublinie) zaprezentowały swoje spektakle. *Ziemię pokorną* uznano zostały za sztukę głęboko kontemplacyjną (o przemianach i szukaniu swojego miejsca na ziemi). Niezapomniane – jak się wydobyć – wrażeń *zrobili* wykorzystane w trakcie spektakli śpiewy z języka jidysz. Dwa dni wspaniale Marek Stasiak omawiał w swojej sędziwej sili głosem i funkcją obywatela koncentracyjnego na Majdanku („Konstruktoryjny Laibin”) – miejsca uwięzionego krwią także Żydów lubelskich.

W ciągu dziesięciu dni, które umownie nazwano Tygodniem Niemiecko-Polskim, miało miejsce kilkadziesiąt prezentacji, wystaw, spotkań, projekcji (np. filmów Krzysztofa Kieślowskiego), zawodów sportowych itp. Dla gości z Polski gospodarze postarali się także o ciekawy program artystyczno-sportowy. Były więc wyścigi po Westfali z udziałem zamków, było zwiedzanie miast i muzeów, były też ciekawe spotkania z ogromnym zainteresowaniem wyjścia na baseny (m.in. do słynnego „Germania Theres”) i na polsko-niemieckie dyskusje o najbardziej znanych klubach...

Na ogólny sukces Tygodnia pracowali wielu ludzi. Gospodarzom należą się słowa uznania. Ze strony polskiej jednak powinno się pomnyć o niezgarnianym sprawstwie systemu obiegu informacji wewnątrz krajnej prasy. Grupy gości. Chociaż gospodarze zadbał o programy, spotkania, plenery, biletów – nadal były niezawisłości i absencje. Więcej uwagi należało też poświęcić propagandzie poszczególnych imprez, szczególnie przed zaistnieniem danego zdarzenia (kompensowały to w jakiś sposób omówienia prasowe post factum).

W ostatnich dniach Tygodnia – niedziela 5 lipca 1995 r. – kilkadziesiąt osób spotkało się w sali ratuszowej na dyskusji panelowej *Niemcy i Polacy – obywatelstwo*. Wzięli w niej udział m.in. znana pisarka, działacz społeczny i wydawca „Die Zeit” hrabia dr Marion Dönhoff, członek Bundestagu i jego wiceprezydent Helmut Becker oraz pisarz polski Andrzej Szczypiorski. Zgodnie stwierdzono, że dotychczas nie było jeszcze tak dobrego czasu i korzystnych warunków, jakie są obecnie, do słożenia partnerskich i przychylnych stosunków między obydwoma narodami. Były też rewizjonistyczne wypowiedzi z serii „w starym stylu”, szokujące nawet samych Niemców. Młoda Kobieta – chyba studentka – odpowiedziała: *Jestem rozczarowana. Sądzę, że nie będę nie udzielić w *Wieszcach* takich wypowiedzi...* Jej dezaprobata i protest przyjęte zostały burzliwymi oklaskami. To, że Niemcy i Polacy mogą dziś bez wzajemnych uprzedzeń spotykać się, gościć, rozumieć i szanować umowa nawet za „mały cud naszych czasów”. Tydzień Niemiecko-Polski w Münster wydawał się być potwierdzeniem tej opinii.

Waldemar Michalski

Nakładem Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent” ukazał się tom *„Akcent” 1986-1995. Bibliografia. Dokumentacja*, zawierający pełną bibliografię z wartości kwartalnika, wybrane „świadectwa recepcji” oraz fotografie. Wszyscy prenumerujący otrzymują go wraz z numerem 3-4/95. Inne osoby zainteresowane tą publikacją mogą ją otrzymać po pisemnym zamówieniu (do listu prosimy dołączyć znaczek wartości 0,80 zł na koszt przesyłki).

Informujemy Czytelników, że sprzedaż biletowych i dawnych numerów AKCENTU prowadzi się następująco:

Główna Księgarnia Nowaków im. B. Prusa
ul. Krakowskie Przedmieście 7
00-068 Warszawa tel. 26-18-35, 26-64-49

Księgarnia Akademska
ul. Św. Anny 6
31-008 Kraków tel. 22-10-33 w. 167

Księgarnia Władysława Nankowskiego „Elifant”
ul. Podwale 6
31-118 Kraków tel. 22-37-47

Księgarnia ORPAN
ul. Mielżyńskiego 27/29
61-725 Poznań tel. 52-45-16

Księgarnia „Jodynka”
Al. Mszczynskowskiego 21
61-745 Poznań tel. 52-53-05

Księgarnia Nowakowa „Book service”
ul. Podgórska 3
61-429 Poznań tel. 52-04-77

Księgarnia Ośrodka Rozwoju Społeczeństwa
Władysława Nankowskiego PAN
Plac M. Curie-Skłodowskiej 5
20-031 Lublin tel. 37-54-13

Księgarnia „Etop”
ul. Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin tel. 256-15

Księgarnia Medyczna
ul. Krakowskie Przedmieście 29
20-002 Lublin tel. 261-53

Księgarnia Marka Gacki
ul. Prosiaków 2
20-007 Lublin tel. 238-14

Księgarnia „AKCENT”
Rynek Kościuszki 17
15-421 Białystok tel. 219-33

Księgarnia „Białystok”
ul. Narutowicza 27
20-004 Lublin tel. 220-32

Księgarnia Danusia Uzczyka-Gacka
ul. Królowicza 11
20-109 Lublin tel. 260-48

Tę do nabycia m.in. numer prezentujący wytwórcę Stanisława Lema i Jana Lechońskiego oraz estetykę wiedeńską (1/1991), tom pod hasłem „Kamizm, humor i groteska w kulturze Europy” (2-1/1991), m. in. G. Bransera, J. Broń, S. Diton, W. Młynarski, B. Okudźwa, A. Oszecka, J. Opekna, M. Wolica, numer 4/1991 zawierający m. in. wiersze W. Ouzaję i M. J. Kawalki, wspomnienia Tymona Terleckiego oraz eseje na temat najnowszej literatury amerykańskiej, numer 1/1992 z wierszami tekстами Witolda Gombrowicza oraz Geografów z Stanisława Barasickiego, numer 2-3/1992 pod hasłem „Na pograniczu narodów i kultur” (Białoruś, Litwa, Łotwa, Niemcy, Rosja, Ukraina, Węgry, Żydzi), numer 4/1992 z nowymi wierszami Ryszarda Kapuścińskiego, motywami amerykańskimi, tekstem I. B. Singera o Brunonie Szlachu i polonistyk S. Błojny – Cz. Miłko, numer 1-2/1993 (m. in. sen w literaturze i sztuce, nieznane opowiadania A. Lucewiczki i autobiografia Andrzeja Warhola), numer 3/1993 z pierwowidkiem esaju M. Kunowiczowej o J. Lechoni, nowa próba J. Abramowicz-Nowej, wspomnienia m. in. I. B. Singera, numer 4/1993 z nazwanymi wierszami Czechowicza, trójgłosom o Dasiaku, Młoczu i prezentacją kultury Rostoka, autor numer 1/1994 o nowych piosenkach W. Młynarskiego i kłopotach mistrzów sen, numer 2/1994 z mową prof. Cichowicza oraz listami do Czesława Jankowskiego (Witni), numer 3-4/1994 z pierwowidkami Andrzeja Bury, wspomnieniami o życiu kulturalnym Łowca, esajem o twórczości W. Ouzaję oraz prezentacją malarstwa Eugeniusza Zaka.

Księgarnia ORPAN w Lublinie realizuje wysyłkę zamówionych numerów AKCENTU za pobraniem pocztowym. Zainteresowani mogą się zwracać także do redakcji „Akcent”.

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”
East Central European Cultural Foundation

akcent

20-022 Lublin, ul. Okopowa 7, Poland
tel. (4881) 27469

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” ustanowiona została 18 stycznia 1994 r. przez kilkunastu pisarzy i humanistów, którzy bądź uczestniczyli przez piętnastoma laty w powołaniu kwartalnika literackiego „Akcent”, bądź wspierali to czasopismo swymi publikacjami, sympatią i radą. Wpis do rejestru uzyskała w listopadzie 1994 r.

Celem Fundacji jest — jak to sformułowano w statucie — inspirowanie i popieranie różnych form twórczości (m.in. literackiej, plastycznej, teatralnej) i różnych dziedzin refleksji humanistycznej oraz ich promocja w kraju (szczególnie na wschód od Wisły) i za granicą (szczególnie w państwach sąsiednich). Główny nacisk w sferze działalności Fundacja kładzie na usuwanie uprzedzeń (etnicznych, religijnych, światopoglądowych) dzielących ludzi sztuki, ukazywanie bogactwa kultury wynikającego m.in. z jej różnorodności i przezwyciężanie stereotypów w myśleniu o kulturze, szczególnie na obszarze Europy Środkowo-wschodniej.

Fundacja zamierza m.in. organizować spotkania autorskie pisarzy, twórców sztuki i uczonych, konferencje, sympozja i seminaria służące refleksji nad historią, stanem obecnym i przyszłością kultury, prowadzić prace nad dokumentowaniem i archiwizacją dorobku artystycznego oraz działalność propagatorską, informacyjną, wydawniczą i wystawienniczą, a także fundować stypendia i nagrody. Siedziba Fundacji jest Lublin. Dla realizacji swych celów Fundacja współpracuje z instytucjami państwowymi i organizacjami społecznymi, uczelniami, szkołami, wydawnictwami, redakcjami czasopism, muzeami, teatrami, galeriami i osobami fizycznymi zainteresowanymi jej działalnością zarówno w kraju, jak za granicą.

Rada Fundacji składa się z pisarzy, plastyków, profesorów uniwersytetów i pracowników instytucji kulturalnych. Należą do niej: Edward Bałajewicz, Michał Jagiello, Ryszard Kapuściński, Alina Kochańczyk, Tadeusz Konwicki, Zofia Kopel-Szulić, Iwona Kowicz, Waldemar Michałski, Wojciech Młynarski, Wacław Oszajca, Irena Sławińska, Jerzy Święch (przewodniczący), Bogusław Wróblewski, Bohdan Żadura.

Fundatorzy proszą wszystkie instytucje i osoby zainteresowane celami Fundacji o deklarowanie współdziałania i wsparcia ekonomicznego. Można to uczynić za pośrednictwem redakcji „Akcentu” lub dokonać wpłaty na konto: Bank PKO S.A. Oddział Lublin, Nr 543015-26934158-2701-3.

Nagroda Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent” dla Profesora Jerzego Bartmińskiego

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” promując działalność kulturalno-artystyczną i naukową służącą rozwojowi sztuki postanowiła przyznać główną nagrodę w dziedzinie refleksji humanistycznej prof. Jerzemu Bartmińskiemu z UMCS za osiągnięcia w badaniach nad folklorem oraz wschodnim pograniczem kultury.

Zarząd Fundacji w liście do Laureata pisze m.in.: „Żywiemy wielkie uznanie dla dzieł Pana Profesora, takich jak *O języku folkloru* (1973) czy *Folklor-język-poetyka* (1990), które stanowią znaczący wkład do badań nad ludową sztuką słowa. Zasługą Pana Profesora jest stworzenie lubelskiej szkoły badań nad folklorem, która odniosła już poważne sukcesy w skali międzynarodowej. Znany jest też udział Pana Profesora w pracach nad *Encyklopedią kultury polskiej XXI wieku*. Jest Pan redaktorem drugiego tomu *Encyklopedii poświęconego współczesnemu językowi polskiemu* (1993), którego pojawienie się wypada zaliczyć do ważniejszych wydarzeń w językoznawstwie polskim lat ostatnich. To właśnie Pan zainicjował wielce cenioną lubelską serię *Etnolingwistyka*, rzucił projekt szeroko zakrojonych badań nad kolejami, czego plonem jest tom *Kolejodawnia na Lubelszczyźnie* (1986) oraz nad *Słownikiem ludowych stereotypów językowych* (1980). Cienioną pozycją stal się zredagowany przez Pana tom studiów *Pojęcie ojczyzny we współczesnych językach europejskich* (1993). (...)”

Nagroda została wręczona przez przewodniczącego Rady Fundacji, prof. Jerzego Święcha w czasie uroczystości w Teatrze im. J. Osterwy 24 października 1994 r. Serdecznie gratulujemy!

Jest nam tym bardziej miło, że Profesor Jerzy Bartmiński niekiedy ze swych ważnych szkiców opublikował właśnie w „Akcentcie” w numerze 4 z 1986 r. zaprezentował metodę etnolingwistyczną w badaniach kulturoznawczych, a w numerze 3 z 1987 r. przedstawił interesującą zjawiska w kulturze pogranicza wschodniego („*Rzuka po polsku łagodniejsza mowa*”, czyli o języku folkloru na pograniczu polsko-ukraińskim).

(red.)

Redakcja „Akcentu” serdecznie dziękuje czytelnikom, którzy w latach 1992-1994 dokonali wpłat na Fundusz Wydawniczy Przeciwdziałania „Akcentu” (100 USD, 2 mln st. zł lub wielokrotność tych sum): Wacław Iwaniuk, Toronto; Zbigniew Kaczorowski, Wiedeń; Marek Gacka, Lublin; właściciele Klubu Towarzystwa „Hades”, Lublin; Szecepan Sadurski, Lublin; Danuta Hacıski, Baltimore, F.H., Chicago; Kazimierz Zacharski, USA; Stanisław Bask-Mostwin, USA; Jacek Lech Mostwin, USA; Wydawnictwo „Norbertinum”, Lublin; Maria du Souich, Paryż; Piotr Michałowski, Szczecin; Maryla Krajewska, Toronto; Mira Puacz, Chicago; Polska Księgarnia Golden Bookstore, Chicago; Adam Szyper, New Jersey.

Ponadto w latach 1992-1994 udzieliły redakcji wsparcia: Fundacja Kultury, Fundacja im. Stefana Batorego, Fundacja Wł. i N. Turzańskich z Toronto, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Rada Miejska Lublina, Rada Miejska Lubartowa, Rada Miasta i Gminy Zwierzyniec, Rostoczański Park Narodowy oraz Attaché Prasowy Ambasady Węgierskiej. Dziękujemy!

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” składa gorące podziękowania wszystkim, którzy w pierwszym roku istnienia Fundacji dokonali wpłat na jej działalność: Stanisław Bask-Mostwin, Mira Puacz, Joanna Romaszewska, Fundacja Wł. i N. Turzańskich, Tadeusz Chabrowski, Jacek Lech Mostwin, Krystyna Rudzka-Przychoda, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Krystyna Frelík, Alina Nowicka, Małgorzata Kaczorowska, Wojciech Młynarski, Kancelaria Prawnicza KONSULT R.O.K.

Dziękujemy poetom i krytykom, którzy w całości lub w części przekazali na konto Fundacji swe honoraria za udział w „wernisazach literackich »Akcentus«” w 1995 r.: Marian J. Kawalko, Stanisław Popek, Elżbieta Cichla-Czarniawska, Eda Ostrowska, Monika Adamczyk-Garbowska, Józef Fert, Waldemar Michalski, Bogusław Wróblewski, Ewa Mazur, Bohdan Zadura, Tadeusz Chabrowski, Danuta Mostwin, Alina Kochańczyk.

Z okazji 15-lecia „Akcentu” w dniu 24 X 1995 r. w Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie odbył się koncert zatytułowany **Wojciech Młynarski i jego goście** zorganizowany przez Wschodnią Fundację Kultury „Akcent”. W przygotowaniu uroczystości Fundację wsparli: Wydawnictwo „Norbertinum”, Klub Towarzystwa „Hades”, Hurtownia „GLORIA”. Do długotrwałej oważy licznie zgromadzonej publiczności dołączamy serdeczne podziękowania dla artystów, którzy byli łaskawi zrezygnować z honorariów za występ: Joanny Kurońskiej, Wiesława Gólsa i Wojciecha Młynarskiego.